

ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Czesław

BIAŁCZYŃSKI

**OSTATNIA NOC
NIEWIDZIALNYCH**



WOJNY HAOLTAŃSKIE 1

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[O tym, jak i komu pojawiły się płonące folio\(a\)tomy](#)

[Preludium wojny](#)

[Ostatnia noc niewidzialnych](#)

[01.](#)

[02.](#)

[03.](#)

[04.](#)

[05.](#)

[06.](#)

[07.](#)

[08.](#)

[09.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[Zielona planeta CO2 – więzienie](#)

[Bunt w Parku Chimer](#)

[Na CO2 – w więzieniu u Elpikowców c.d.](#)

Czesław Białczyński

Wojny Haoltańskie 1

**Ostatnia noc
Niewidzialnych**

SOLARIS
Stawiguda 2015

O tym, jak i komu pojawiły się płonące folio(a)tomy

Któregoś wczesnego ranka, kiedy wracałem do mego niegościnnego atelier po jednym z wielkich, szampańskich przyjęć, nie pamiętam dokładnie, zaraz... Ależ tak! Przypominam sobie – było to drugiego lutego 2085 roku naszej ery, a biorąc rzecz ściślej, trzeciego rano. Wtedy to z grupą mych przyjaciół i bliskich znajomych o nieco egzotycznych poglądach fetowaliśmy hucznie początek Chińskiego Nowego Roku w prywatnym, acz dość licznym gronie. Tegoż więc ranka, w porze szarego świtu, kiedy na ulicach nie znajdziesz nawet taksówki i tylko mroźny wichur siecze śnieżnymi biczami po twarzach takich jak ja degeneratów, w owym brzasku szarym, gdy już wszedłem do pokoju, mając na myśli tylko ciepłe łóżko, a w głowie szum i poczucie nierealności otoczenia, w tym czasie, miejscu i stanie umysłu, kiedy zamierzałem leć w moim łóżku pudle, określanym przez złośliwych i ekscentrycznych, najbliższych jednak memu sercu przyjaciół mianem „trumny” – wzrok mój przypadkiem padł na biurko stojące w odległym kącie, pod samym oknem wychodzącym na wschód.

Z pewnością zbieg okoliczności to sprawił, iż właśnie oświetlił je pierwszy promień czerwonego jak krew, zimnego i małego jak malinowy lizak, lutowego słońca. Zapewne nie zauważyłbym owej rzeczy, gdyby nie to nikłe światełko w ogólnej szarości, ale stało się inaczej. W jego blasku pnący się pod sam sufit stos książek,

którego wczoraj jeszcze w ogóle tam nie było, pokrył się rudymi refleksami, zwracając mą uwagę. Rude płomyczki rychło nabrały mocy, przeradzając się w pomarańczowe siedlisko ruchu tętniące własnym pulsem.

Patrzyłem urzeczony, jak ów stos ksiąg dziwnych, bo na pierwszy rzut oka nie papierowych, jak ów stos lśniący w karminowych promieniach wschodu przeradza się na mych oczach w znane mi dobrze symbole, zmienia formę i kolor, zmienia rytm i walor, wreszcie przybiera kształty oczywiste, nie do zlekceważenia. Jak upodabnia się do Gorejącego Krzaka objawionego Mojżeszowi, przybiera wygląd ognistych słupów, na których spłynęła Arka Przymierza, pała oślepiającym blaskiem uprząży rydwanu, którym powoził Helios, formuje się w płomienisty miecz Archaniola Gabriela, użyty przeciw naszym Rodzicom, i w języki stosów ofiarnych świątyń Amona, Ptaha, Isztar, Baala, Quetzalcoatla, Zeusa, Afrodyty, Ozyrysa, Taranisa, Thora. Patrzyłem oniemiały jak przybiera kształt Ognistego Dzbana Zerywanów, Świetlistej Czary Światowida, Peruna, Swaroga i Wodo, oraz kształt Złotego Jarzma Prowego, Marduka, Thota i Varuny, Złotego Pierścienia Trimurti, Utixo, Unkulunkulu, Złotej Gałęzi Tangaloo i Spora, Kwan-ti, Rai-Dena, a nawet wciela się w emanujący żarem Astram Kriszny.

Nie sposób pozostać obojętnym wobec tego typu znaków. Hinduski stos żałobny w ogniu. Mogą być ostrzeżeniem, jak zjawia Gully Foyle'a, którą widywał i której nie pojmował, lub ognie świętego Elma, albo objawieniem, które otwiera przed umysłem zupełnie nowe perspektywy niczym olśniewający blask towarzyszący wniebowstąpieniu, nirwanie, światło czakramów.

Księgi nie były zwyczajne, jak już rzekłem. Ogniska nocy Świętego Jana – Wodo –Kupały. Co w nich niezwykłego,

odkryłem wkrótce, kiedy podszedłem bliżej i z niejaką obawą dotknąłem ich dłonią. Pożary Sodomy i Gomory. Zrobiono je z trójwymiarowej folii i były nadzwyczaj chłodne, po prostu zimne, aż bolały palce. Erupcje Etny i Wezuwiusza – Pompeja zalana czerwienią. Kierowany ciekawością rządzącą postępowaniem każdego pisarza, który zamierza zgłębić cokolwiek więcej poza cyrklem słownej ekwilibrystyki, przytknąłem do pierwszej z brzegu folii termometr. Zero stopni Celsjusza. Wziąłem ją w dłoń – jakbym nic w niej nie miał.

Pobiegłem do łazienki po wagę, bardzo wrażliwe urządzenie z elektronicznym czujnikiem. Położyłem tom na szalce. Ani drgnęła. Znów zero? Nieważka. Dołożyłem drugi tom, na oko dwa kilo, na skali nic.

Tak niespotykane fakty są wystarczająco niepokojące, by natychmiast wytrzeźwieć i żeby człowiekowi odechciało się spać na dobre.

Moje zaniepokojenie objawiło się w ten sposób, że od razu zabrałem się do wertowania zmaterializowanego na mym biurku zestawu dzieł. Policzyłem. Było tego dwadzieścia cztery tomy i już w pierwszej księdze, na pierwszej stronie znalazłem klucz do rozszyfrowania obcojęzycznego tekstu. Znajdowały się tam pokrywające stronicę od góry do dołu sześciany. Naliczyłem ich siedemset trzydzieści. Trzysta sześćdziesiąt pięć zielonych w kolumnie po prawej oraz trzysta sześćdziesiąt pięć czerwonych w kolumnie po lewej. Od razu zorientowałem się, że sześciany czerwone odpowiadają zielonym i są ich tłumaczeniem na nie znany naszej cywilizacji język o zapisie hieroglificznym. Pierwsze z nich przedstawiały doskonale widoczne na wszystkich sześciu płaszczyznach każdego z sześcianów sceny z życia bądź pojedyncze przedmioty, drugie zaś skomplikowane

znaki zbudowane z grubych, zamaszystych kresek stanowiących osnowę oraz płataniny cienkich linii wypełniających kontur tak utworzonego szkieletu.

Początkowo zadanie rozszyfrowania zagadkowego pisma wydawało mi się stosunkowo proste, jednakże bardzo szybko przekonałem się, że są to tylko pozory. Mimo iż miałem do dyspozycji dwa tysiące sto dziewięćdziesiąt rysunków i tyleż odpowiadających im znaków pisma, do dziś nie udało mi się nawet pod elektronowym mikroskopem i za pomocą komputerowego programu zidentyfikować wszystkich pojęć owego języka, tak drobnymi szczegółami różnią się poszczególne hieroglify.

Przytoczę tu tylko dwa podstawowe kłopoty z całego oceanu, jakich dostarcza tekst. Pierwszy z nich polega na tym, że często nie sposób określić, czy kreska bądź kropka różniący jeden znak od drugiego jest efektem zamierzonym, oznaczającym odmienną, czy też uszkodzeniem folii, która w wielu miejscach jest nadpalona, pomarszczona od żaru, skłuta mikroskopijnymi punktami, wyglądającymi na uderzenia rozpędzonych do wielkich prędkości cząstek elementarnych. Drugi problem bierze się stąd, że nie wszystkie rysunki i zdjęcia potrafię jednoznacznie określić, przedstawiają one bowiem często przedmioty, jakich nigdy nie widziałem, których przeznaczenia nie potrafię zidentyfikować, oraz niezrozumiałe dla mnie sceny obrzędów bądź zwyczajnych zajęć codziennych (doprawdy trudno powiedzieć) z tamtego obcego mi świata.

Na szczęście świat z obrazków nie jest całkiem mi obcy, momentami nawet zaskakująco znajomy, tylko dzięki temu coś jednak już odczytałem. W każdym razie od tamtego dnia rozpoczął się nowy rozdział w moim życiu. Rozdział wypełniony

mrówczą pracą, z lupą i mikroskopem w ręku, w otoczeniu słowników literatury fachowej, z komputerem brzęczącym nieustannie za moimi uszami. Wypełniony pracą wykonywaną w samozaparciu i z zacięciem graniczącym z furją, która wyzwala resztki energii z do cna wyczerpanych rezerw mego słabego organizmu.

Zaiste nie mam pojęcia, czy tekst, który z takim trudem odcyfrowuję, jest tego poświęcenia wart. Być może nie. Do tej pory przetłumaczyłem tylko jeden z tomów, który właśnie oddaję w ręce Szanownych Czytelników i który miejscami wydaje się być ciekawy, miejscami pouczający, miejscami zaś zabawny i dowcipny, wciągający w wir wydarzeń jak dobra powieść detektywistyczna, ale zdaję sobie sprawę, że są w nim także obszary mniej zajmujące.

Praca nad nim zajęła mi dwadzieścia cztery miesiące, dwadzieścia cztery dni, dwanaście godzin i dwanaście minut, ze stoperem w ręku. Czyli kawał czasu z rzadka przerywanego krótkim wypoczynkiem, snem lub posiłkiem. Ciągłe dręczy mnie również przecucie, że niezwykle język interlingua oraz jego zapis – interlinlla, kryje przede mną jakieś drugie dno, do którego mój przekład nie sięga, które jest hermetyczną twierdzą pełną zakamuflowanych sensów i znaczeń niedostępnych naszej zbyt ograniczonej wyobraźni.

Obecnie staram się usilnie, mimo wszelkich wątpliwości, przetłumaczyć drugi tom z zestawu ksiąg. Powoli, straszliwie powoli posuwam się do przodu w tym zbożnym dziele. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, życia mi nie starczy na wydrukowanie całości.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednej wątpliwości, która jest znacząca dla dalszych losów przedsięwzięcia i której sam

rozstrzygnąć nie umiem: czy historie opowiadane przez Jana San są na tyle ekscytujące i ważne, czy dostarczają one na tyle ważnych i wiarygodnych wiadomości, czy są na tyle Wam miłe i potrzebne, by tę gigantyczną robotę przez dalsze lata kontynuować?

Pozwolę więc sobie w tym miejscu przymówić się o wiadomości: listy, esemesy, maile. Słowem tele- i e-listy z prośbami bądź przekleństwami, listy zwyczajne pocztowe z przyganą i pochwałą, listy kurierskie długie jak noce polarne i krótkie esemesy, z męskim „tak!” lub „nie!”. Moje zamiary adresowe, mailowe, esemesowe są doskonale znane Wydawcy, który je wszystkie chętnie na każde żądanie udostępni.... Zatem czekam. Często jeden e-list z serca znaczy więcej niż całe morze zapisanego komentarzami, krytykami, peanami, uczonymi deliberacjami, niedouczonymi dywagacjami, zwyczajnymi głupotami papieru.

Niestety na dobrą sprawę nie ma żadnej gwarancji, że posiadane przeze mnie księgi wszystkie dotyczą tej samej historii, tej samej osoby, tej samej epoki historycznej. Jediną solidniejszą wskazówką jest tutaj tytuł przetłumaczonego już tomu pierwszego. Jakkolwiek by było i cokolwiek by się okazało, przyrzekam Wam, że jeśli tylko zechcecie i sił mi starczy, przetłumaczę dla Was wszystkie, równo jak leci.

Rzecz zrozumiała, nie potrafię w żaden sposób wyjaśnić pochodzenia Ksiąg, w każdym razie wyjaśnić w kategoriach naukowych. Mam kilka teorii. Wiele na przykład przemawia za tym, że jest to relacja z przyszłości naszego własnego świata, która pierwotnie nie była przeznaczona dla nas, lecz dla żyjących w Teraźniejszości Autora rzesz odbiorców.

Jakimś sposobem magicznym, lub przez dziurę w czasie (?)

wymknęła się mimo wszystko w przeszłość. Niekiedy odnoszę jednak wrażenie, że została celowo nam dostarczona – wrzucona w nasz czas. Równie dobrze mógł tego dokonać sam autor, jak i ktoś inny. Być może Jan San doszedł do wniosku, że wyprzedzając swych wrogów publikacją o wiele wieków, zabezpieczy się, zapobiegnie temu, co przeciw niemu zaplanowali. Być może stało się inaczej; wrogowie Jana San wyekspediowali w przeszłość jego dzieło, gdyż pozbywszy się wpierw jego samego chcieli usunąć ostatni ślad po nim w Teraźniejszości, w której żyją.

Są to tylko spekulacje, i wszystko inne w naszej sytuacji może być tylko spekulacją, która przeważnie z prawdą miewa tyle wspólnego co orka z orkanem, organy z organem albo Orfeusz z Morfeuszem.

Z góry muszę uprzedzić wszystkich czytelników, że niejednokrotnie zdarzyło mi się zapewne użyć jakiejś nazwy czy określenia zbyt archaicznego, zbyt „z naszych czasów” na to, aby oddać proces, sposób działania, istotę rzeczy czy opisać przedmioty opisywane przez Autora w Przyszłości. Staralem się jak mogłem być wierny oryginałowi, ale też mam świadomość, że współczesny czytelnik musi zrozumieć co się mu przedstawia, a do tego może użyć tylko pojęć sobie znanych, mniej więcej zbliżonych do świata w jakim żyje. Nie potrafię wam powiedzieć jak działa coś z przyszłości – na przykład ixar, mnemomemo, infor albo inffon czy wifon – jeżeli sam Autor tego nie objaśnia musimy pozostać tylko przy domysłach i współczesnych wyobrażeniach.

W jakim celu właśnie nam dostarczono ów tekst, jeśli wykluczmy przypadek? Może wyjaśnią tę kwestię inne tomy, a może zdołacie sobie sami odpowiedzieć na to pytanie.

Wiele pomogłaby wiadomość o tym, czy Jan San wydobył się szczęśliwie z opresji, czy zwyciężył w pojedynku z fałszerzami historii, czy też im uległ. Niestety konstrukcja pierwszej księgi wyraźnie wskazuje, że tego typu odpowiedzi należy się spodziewać dopiero w księdze ostatniej, a wrodzona systematyczność i solidność nie pozwalają mi jako tłumaczowi sięgać tam wcześniej nim wszystkie tomy nie zostaną przełożone w należyтым porządku i bezbłędnie.

Jedno jest pewne, adresatem tej przesyłki przez wieki na pewno nie byli nasi naukowcy, których zamierzano by tym sposobem zaznajomić z technologiami używanymi w przyszłych tysiącleciach. Ludziom z tamtych czasów musiało być bowiem wiadome, że w wieku dwudziestym i dwudziestym pierwszym naukę opanowali szarlatani, których bóstwem jest logika, liturgią matematyka, a obsesją powtarzalność zdarzeń i dotykalność rzeczy.

Tymczasem zaś nie wszystko da się dotknąć i nie każda sytuacja się powtarza. Powiedziałbym nawet, iż prawie nic się dotknąć nie pozwala i żadna sytuacja się nie repetuje. Jest oczywiste, że żaden naukowiec nie zainteresuje się czymś, czego sam nie wymyślił, co nie da się zważyć i nie ma atestu najważniejszych na świecie autorytetów. Taka rzecz bowiem, a każdą z trzech powyższych cech posiadane przeze mnie księgi reprezentują, z góry jest podejrzana o falsyfikację zgodnie z żelazną logiką twierdzenia Van Heter Odyna.

Twierdzenie to mówi, że: „Współczynnik podejrzliwości rośnie wprost proporcjonalnie do liczby obowiązujących w danym świecie praw matematycznie ujmowalnych oraz odwrotnie proporcjonalnie do stopnia posiadanej przez daną cywilizację rzeczywistej wiedzy o wszechświecie”.

Lustrzane twierdzenie określa stopień zaufania nazywany przez Van Heter Odyń współczynnikiem wiary.

Zastanawiające jest dla mnie także, że kiedy usiłowałem pokazać posiadane dzieła memu serdecznemu współpracownikowi Logisowi Ratio, ten w ogóle nie zauważył piętrzącego się pod sufit stosu. Cóż, powiedziałem sobie, nie każdemu jest dane wiedzieć i rozumieć wnikliwie, nie każdy może się wznieść w ulotne krainy wyobraźni i intuicji, na pewno nie dokona tego żaden skrajny racjonalista.

Pozwolicie więc, racjoniści, którzy zechcecie podważyć autentyczność przetłumaczonego przeze mnie tekstu, że z całym szacunkiem dla was pominę lekceważącym milczeniem wasze argumenty z hermetycznej krainy Kultu Nieomylnego Rozumu.

Czesław Białczyński – Kraków

85 – 05 – 15, rozmiar buta 41

Preludium wojny

Zamach na intuicjonala wszech czasów

wstęp, który jest konieczny, ale niekoniecznie nudny

Bardzo długo zastanawiałem się, czy jest sens jakiś głębszy w ponownym opisywaniu przypadków mego życia i snuciu wspomnień nad czymś, co bezpowrotnie minęło. Zwłaszcza idzie mi o to, że każda z historii, które zamierzam wam jeszcze raz w tym manuskrypcie opowiedzieć, została po wielekroć zrelacjonowana i zinterpretowana wcześniej, przez wszędobylskich reportażystów naszych szacownych dzienników, tygodników, miesięczników i wszelkich innych periodyków, łącznie z wielkimi Rocznikami Galaktyki Mlecznej.

O niejednym przedsięwzięciu z mej bogatej kariery były też relacje filmowe, dokumentacja w HV, zapisy magnepterowe, kodony komputerowe, przekazy lodivowe, relacje sieciowe kosmonetem, dializy mnemomemo i analizy matematyczne, metamatyczne, metatematyczne i metagnomiczne i Bóg jeden wie, jakie jeszcze. Także niejeden zrobił na mnie magisterium, kilkudziesięciu doktoraty, a ze trzech nawet habilitację.

Były czasy, gdy skromna ma osoba stała się idolem tłumu, bohaterem dzieł literackich, komiksów i sztuk teatralnych, realonów, steronów, digimultistori a nawet – co mi szczególnie pochlebia – natchnieniem dla poetów. Opiewano me czyny w sagach, pieśniach, a także w całkiem kretyńskich aero-storm-

rockowych hitach. Powstało też na mój temat sporo dowcipów, czasem nawet śmiesznych, choć częściej grubych i płaskich, jak również podawano z ucha do ucha wiele legend niekoniecznie do końca prawdziwych. Zaistniałem też jako legenda dzikiego rapu-sapu. Te czasy, jak na wstępie wspomniałem, minęły dawno i już nie wrócą.

Jestem dziś starcem zgrzybiałym, a choć nie do cna jeszcze, i kilka lat zapewne pożyję w mej twierdzy na Kors, to jednak zapomnianym, wykreślonym z pamięci zbiorowości galaktycznej, odpisanym na straty z chwilą, gdy Główny Komputer ogłosił, że przekroczył wszelkie granice dopuszczalnego do pracy wieku i jako taki muszę odejść na emeryturę.

Ta trudna dla mnie decyzja zapadła dziesięć zaledwie lat temu, lecz od tamtego czasu ani jedna sieć kodonowa, kosmonetowa, hv-prionowa, ani jeden z najgorszych nawet brukowców nie poświęcił mi słowa.

Jakże szybko społeczna opinia zapomina o swych herosach, gdy zaczyna ich dręczyć reumatyzm, nabawią się wrzodów żołądka albo zdziecinnieją przez swoją sklerozę. Jakże często odchodzą w ciszy i samotności nie zaszczytzeni najskromniejszą nawet notatką prasową poza trzylinijkowym nekrologiem, w którym wymienia się jedynie ordery i medale, i zdawkowe słowa nieszczerego żalu. Ci najwartościowsi bywają za życia gnębieni, niedoceniani bądź wręcz ośmieszani przez HV i lżeni przez artystów rap-sapu. W najlepszym razie usiłuje się ich ignorować. Dopiero po długich latach, a czasem musi ich minąć sto lub więcej, kiedy im to na nic niepotrzebne i niczego już zmienić nie może, zyskują sławę i należne im miejsce w panteonie bóstw, którym powszechnie oddaje się hołdy. Inni

zaś, co nie zasłużyli się dla potomności niczym, a tylko szli przez życie, rozpychając się łokciami i mieli usta pełne frazesów, które krzyczeli na lewo i prawo, wypełniają swymi rozdętymi posturami szpalty oraz ekrany. Tak się dzieje, mimo iż ich nędźność i charłactwo na pierwszy rzut oka widoczne być musi dla każdego, kto choć przez sekundę nad ich dokonaniem rzekomymi pomyśli.

Dziwne prawa rządzą pamięcią ludzkości, a jeszcze dziwniejsze środkami masowego przekazu. Nie o tym jednak chciałem tu mówić. Nie zamierzam się skarżyć ani usprawiedliwiać. Zresztą, jak wspomniałem, mnie samemu powiodło się nie najgorzej. Byłem sławny i składano mi hołdy nie tak dawno jeszcze.

Po odejściu na emeryturę zagrzebałem się w słonecznym zakątku Kors, wspaniałej wyspy na morzu Śród, i zamierzałem odpocząć.

Byłoby się zapewne tak właśnie stało i nikt by już o mnie nie usłyszał, gdyby nie pewne fakty, które mnie zmusiły do ponownego zabrania głosu, do wykazania się aktywnością. Mimo to, nim zabrałem się do pisania, miałem olbrzymie wątpliwości. Dziennikarze to straszliwie wścibska, a często i dociekliwa nacja, potrafią się wcisnąć nawet w mysią dziurę, by wynaleźć jakąś sensację i nic, co może im przydać splendoru albo trochę grosza, nie ujdzie ich uwagi – czy to pod naszym skromnym słońcem, czy pod jakimkolwiek innym, w najdalszym zakątku Galaktyki.

Także w moim przypadku, jak się zdawało, nie pominęli żadnej okazji, wydarzenia bądź sytuacji, by zauważyć, co trzeba, a potem przelać to na folię, światłoczułe błony i kasety HV, zaopatrzywszy w sążniste komentarze naświetlające sprawę

wszechstronnie, bezstronnie, a więc obiektywnie.

Jakże nie znoszę tego słowa: obiektywnie. Obiektywnie. Z najwyższym trudem przechodzi mi ono przez gardło. To słowo jest jednym z najważniejszych powodów, dla których zdecydowałem się właśnie me psioniczne przygody odtworzyć minuta po minucie.

Psionika – wiedza zajmująca się poznaniem i wykorzystaniem sił PSI, psi – czyli wyłącznie mentalnych, psychicznych (od sławnej greczynki Psyche – podobno półbogini starożytności). Psi, sił ograniczonych, lecz naukowo niepoznawalnych, choć dla człowieka dostępnych, opartych o ciemną (nie mylić z czarną) materię i jej prawa. Psi – w odróżnieniu od Taj – sił boskich (taos, teos – bóg), niezmiernych i nieprzeniknionych zaklętych (zakluczonych) w ciemnej (nie mylić z czarną) energii Wszechświata, oraz w odróżnieniu od sił In – widzialnych i mierzalnych, materialnych. Psionika, dawniej z angielska Psychic Serach Incarnation Objects, dzisiaj, gdy angu nikt już nawet nie pamięta – w języku uniwersalnym: psi – psychiczne siły introniczne (czyli wewnętrzne siły mentalne człowieka).

Muszę stwierdzić, że już dawniej niektóre uwagi czy komentarze zamieszczane, przy okazji tej czy innej akcji, w jakiej brałem udział, w różnych czasopismach, budziły moje zastrzeżenia. Niestety dotyczy to nie tylko brukowców, które z samego założenia, niejako immanentnie, mają prawdę za nic i spychają ją na plan dalszy, wybijając to, co może nasycić nienasycone nigdy gardziele tłuszczu. Także w tak zwanych mediach poważnych o ustalonej renomie, które zdawałoby się powinny dbać o swą markę, pieprzono o mnie różne głupoty. Niestety przez wieki rozwoju ludzkiego kryteria kulturowe i moralne, miast się umocnić oraz wysublimować, gdzieś się

zapodziały i zatraciły tak, iż trudno dziś odróżnić poważny roboreportaż od robołajna, a dziennik od brukowca, gangstera od polityka czy krowę od byka.

Ale żarty na bok, niejednokrotnie relacje reporterów o zdarzeniach, w których osobiście brałem udział, tyle miały wspólnego z rzeczywistością, co wojenne filmy dokumentalne z wydarzeniami na polach bitew, czyli prawie nic. Tak więc e-gazetowe wersje moich dokonań niemal zawsze odbiegały od tego, co się działo realnie, jak i od tego, co sam chciałbym na ten temat przeczytać. Nie zamierzam jednak wydawać zbyt pochopnych sądów. Każdy roboreporter jest wszak istotą jednostkową, a co za tym idzie ma prawo do swego subiektywnego spojrzenia. Więcej, w ogóle nie jest w stanie wygłosić nic ponad zaledwie subiektywny sąd, choćby go ubrał w nie wiem jak odczłowieczone, ponadludzkie sformułowania.

Idąc więc tym myślowym tropem, doszedłem do wniosku, że manuskrypt mój powinien koniecznie ujrzeć światło dzienne, ponieważ jeśli sądy obiektywne nie istnieją, jeszcze jedna relacja subiektywna może nas tylko zbliżyć do prawdy, nie zaś od niej oddalić.

Któż zresztą mógłby to zrobić lepiej, któż mógłby być bliżej mej osoby stanowiącej owych wydarzeń jądro, ode mnie samego?

Mój sąd osobisty nie odkłamię, rzecz jasna, mitów wokół tamtych spraw narosłych, ani nie zniweluje uproszczeń bądź nieuprawnionych uogólnień, które poczyniono. Bo nie sposób wyobrazić sobie siłę, co byłaby zdolna przeciwstawić się podstawowym mechanizmom, jakie jednostką oraz zbiorowością człowiekowatych rządzą. Jednakże z pewnością nie można by mu odmówić pewnych wartości poznawczych.

Dobrze! Myślę, moi drodzy czytelnicy (jeżeli istniejecie gdzieś we wszechświecie), że wystarczająco uzasadniłem pewne powody, które skłoniły mnie do chwycenia za wiecznopis. A także, że wystarczająco was zanudziłem, by przejść nareszcie do sedna rzeczy. Otóż wszystkie powyższe przemyślenia byłyby jednak impulsem zbyt słabym, by wzbudzić we mnie pamiętnikarsko-literackie ciągoty, gdyby nie fakt, a właściwie cały ciąg drobnych fakcików, co urósł w lawinę niepokojącą, który mną do głębi wstrząsnął.

„Co nowego – myślałem wcześniej – potrafię powiedzieć na przykład o Phasangu, gdy z Gourkami ruszyliśmy na jedną z najniebezpieczniejszych we Wschodnionadirowej Rubieży wypraw po szlachetny kamień Finleyu. Co nowego, o tej niefortunnej mej przygodzie z morskim potworem Ougalonem, którego miesiącami ścigałem na polecenie wielkiego koncernu międzygwiazdowego Biooceantransmutator? Opisywanie po raz sto pierwszy czegoś po stokroć opisanego w szczegółach prawdziwych, realnych, urojonych bądź wymyślonych może być co najwyżej nudne! Tak, to musiałyby być nudne, diabelnie zanudzające i niepotrzebne. Człowiek, choć stary, niektórych rzeczy nauczyć się nie potrafi. Zwłaszcza, jeśli zbyt sprzeczne są z jego naturą, z wewnętrznym dekalogiem moralnym, jaki wszak każdy z nas, choćby szczątkowo, w sobie nosi. Moja bezgraniczna naiwność i wiara w szlachetność istoty zwanej homo cosmicus została jednak wystawiona na szwank i chyba już nigdy tych przymiotów charakteru nie odzyskam”.

*

Było to w sierpniu, tak z pewnością, w samym środku

skwarne południowoewazjskiego lata. Kors nie jest najlepszą na tę porę roku siedzibą, zwłaszcza dla podstarzałych intuicjonatów, którzy się urodzili dalej na północ naszego kontynentu, jak ja. Może kogoś drażnić ten kod skrótów, jaki się w języku uniwer upowszechnił, ale no cóż, jest jak jest, więc musimy to znosić: Kors a nie Korsyka, i koniec.

Siedziałem więc całymi dniami w cieniu daktylowej palmy bądź po szyję zanurzony w mym marmurowym basenie i wypijałem całe hektolitry przeróżnych płynów, by się nieco ochłodzić. Mój umysł pracował straszliwie ociężale, myśli sączyły się jak krople z wyschniętej saharijskiej studni głębinowej. W północy pogrążyłem się w żeglujących wizjach z mej odległej młodości, gdy odpoczynek przerwał mi natarczywy sygnał wifonu. Połączenie odebrał mój domowy serwant i mniemałem, że je co najwyżej zarejestruje w pamięci, lecz on zjawił się po chwili u progu basenu, by stwierdzić, iż osoba, która chce się skontaktować, jest rodzaju męskiego, nie przedstawiła się nazwiskiem ani pseudonimem i upiera się przy koniecznie natychmiastowej, osobistej rozmowie.

– Dobrze – powiedziałem. – Niech będzie.

Dlaczego tak postąpiłem, do dziś zachodzę w głowę i nie znajduję innego wyjaśnienia poza genialnością mej intuicji. Z trudem niemałym wydobyłem się z dna mego domowego oceanu, wygramoliłem się po śliskiej drabince i wytarłem włochatym ręcznikiem. Nie lubię mieć do czynienia z urządzeniami elektronicznymi, gdy przebywam w wodzie, ani rozmawiać na głos, mimo że mieszkam sam i mogłyby mnie podsłuchać jedynie domowe urządzenia.

Mam tu na myśli nie tylko roboty i androidy, ale także sprzęty takie jak lodówka, czy pocziwy kombajn rozrywkowy. Androidy

to prawdziwa zaraza, złośliwa, że hej. A roboty wcale nie są takie potulne bądź głupie, jak to usiłują nam wmówić przeróżni mądrale. To samo dotyczy zwyczajnych elektronicznych, procekronowych i mnemonicznych sprzętów czy narzędzi. Przekonałem się o tym wielokrotnie w ciągu swego długiego życia. Potrafią nie tylko zapamiętać, co im się żywnie podoba, ale i wykorzystać to potem do niecnych celów. Jak choćby Pendral GX-81 z Vaggi, któregom w ostatniej chwili niegdyś powstrzymał, gdy już niemalże do ruiny doprowadził gospodarkę vaggańskiej cywilizacji, a który był zwykłą automatyczną szczoteczką do zębów ze 100-gigabajtową pamięcią. Dzisiaj poczciwy podajnik w moim salonie ma 1000 terrabajtów, a co dopiero infor czy serwant. Mój stareński aerolot ma mózg 10 petabajtowy, a Adnes, ooo, ta dopiero ma mózg – półtora eksabajta!!!

O tamtej historii zdążę wam zresztą opowiedzieć innym razem. Wracajmy do tematu. Kiedy dotarłem, klapiąc po posadzce mokrymi stopami, do łazienkowej konsoli z mnemofonem, bo lubię się pokazać z dobrej strony, a przynajmniej na dobrym tle (jak cię widzą tak cię piszą), spotkało mnie niemiłe rozczarowanie – ekran był czarny jak noc bezksiężycowa. Myślałem nawet, że coś się popsuło, lecz zaraz odezwał się niski, chrapliwy głos.

– Nie myśl sobie, że ci się wifon popsuł – wycedził. – Nie musisz widzieć mojej twarzy, żeby mnie zrozumieć!

– Ale może... – zacząłem.

– Żadne może, ty pokraczna karykatury idola – przerwał mi niegrzecznie. – Nareszcie się dobrali do ciebie. Takich jak ty trzeba wytępić, i to do cna! Tacy jak ty są gorsi niż procjońskie muchy!!!

– Kto mówi?! – zdenerwowałem się. – Czy aby nie pozwala

pan sobie na zbyt wiele?!

– Milcz, kreaturo, i słuchaj! Jak chcesz sobie trochę prawdy o sobie poczytać, to kup, zakuta pało, najnowszy numer „Świata Fantastycznego”! Wreszcie się na tobie poznali! Już dawno należało ci, sklerotyku, przypier...! – i wyłączył się.

Muszę powiedzieć, że zdenerwowałem się bardzo. Kto śmiał się łączyć ze mną po to tylko, żeby mnie obrażać?! Jak to się stało, że dysponował moim zastrzeżonym numerem?! Musiał to być ktoś, kto od dawna straszliwie mnie nienawidzi, bo przecież zestarzałem się i od wielu lat nie pracowałem już, i nikt w sercu nie mógł nosić jakiejś świeżej do mnie urazy.

Natychmiast wywołałem rejestr rozmów i odczytałem, iż ostatnie połączenie miało miejsce z publicznego wifonu, z kolejowego dworca w Kopen. Ta informacja nie miała właściwie dla mnie znaczenia, to znaczy miała tylko o tyle, że wiedziałem teraz, iż nie namierzę wroga dzięki komórce, z której się łączył ani jego osobistemu mnemofonowi, ani sieci menonet, ani kos monetowi, ani żadnym innym procekronowym sztuczkom. Wiedziałem też, że ów wróg zapiekły jest gdzieś niedaleko, nie tylko na Metropolii zwanej dawniej po prostu Ziemią, ale i na tym samym kontynencie, to znaczy w Euaz, od którego mą posiadłość dzielił jedynie wąski skrawek słonych wód morza Lig. W ciągu piętnastu minut, jakie minęły od zakończenia rozmowy, mógł się przenieść na dobrą sprawę wszędzie. Na przykład za pomocą publicznego vindu, jeśli go tylko na to było stać, albo jakimś konwencjonalnym środkiem komunikacji, nawet o tysiąc kilometrów. Gdyby użył aero, znacznie bliżej, za pomocą pneumo, też, ale zaledwie w godzinę mógłby się dostać kombinowanym połączeniem rastów na któreś z dwunastu lądowisk promów, jak również na orbitalną stację

Geoport II, skąd odchodziły transplanetyki.

Przedsięwzięcie w tej sytuacji jakichkolwiek natychmiastowych kroków w ogóle mijало się z celem. Musiałem się już na początku pogodzić z tym, że być może nigdy nie uda mi się zidentyfikować tego gbura, jeśli jego osoba nie ujawni się w kontekście przyszłych wydarzeń. Przestałem się więc nim zajmować i skupiłem się na informacji, która tak mego wroga ucieszyła, a wkrótce miała być przyczyną mych straszliwych zgryzot i męczarni. Wezwałem serwanta i kazałem mu ściągnąć i druknąć kopię czasopisma „Świat Fantastyczny” z dnia dzisiejszego, albo kopię ostatniego dostępnego numeru. Sam udałem się do sypialni, gdzie klimatyzacja pracowała pełną mocą i podajnik był szczególnie uwrażliwiony na me potrzeby. To znaczy miał rozbudowany ten fragment klawiatury, który służy do komponowania różnych mieszanin leczniczych ziółek. Zioła były mi teraz niewątpliwie bardzo potrzebne, głównie nasercowa naparstnica i łagodnie uspokajająca dwuprocentowa domieszka skopolaminy, bo diabelnie mnie wyprowadza z równowagi, gdy mnie kto w moim własnym domu obrazi.

Nim doszedłem na górę – musicie wiedzieć, że w całej posiadłości Pod Daktylowym Snem, kupionej przeze mnie przed laty od pewnego miliardera (zbił majątek na syntetycznych krewetkach), nie ma ani jednego ruchomego chodnika, jest tylko winda awaryjna, bo uważam, że człowiek powinien dbać o kondycję – nim więc doszedłem na górę, na posłaniu leżał już pachnący świeżą farbą egzemplarz podesłany mi z dołu przez serwanta.

Całe szczęście, że najpierw wystukałem na podajniku kod odpowiadającej mi mieszaniny (81 02 06, polecam na podobne okazje) i upiłem spory jej łyk. Gdybym najpierw rzucił okiem

na holokładkę tego periodyku, to pewnie szlag by mnie na miejscu trafił i nawet nie zdążyłbym wcisnąć sygnału alarmowego dla automedu. Na okładce znajdowała się prawie goła pani z mieczem u boku i jedną piersią jak miednica, wywaloną nad gorset nienaturalnie. A w lewym dolnym rogu biegł tańczący, trójwymiarowy napis w gallalingua: *Jan San – największe oszustwo tysiąclecia!* Oczywiście, manipulując odpowiednio egzemplarzem można było tej pani zajrzeć nie tylko za plecy, ale gdziekolwiek. Słowem – pornobrukowiec fantastyczny.

Mimo iż lek już zadziałał, przysiadłem sobie z wrażenia. Łapczywie wpiłem się w pismo i odszukałem właściwą stronę. Zacząłem czytać. Me przerażenie z każdą przeczytaną linijką rosło. To było oburzające! Anonimowy autor, co za ohydny zwyczaj, którego ciągle nie udało się jeszcze wyplenić, usiłował wmówić swoim czytelnikom na bitych dziesięciu stronicach maczką, że wszystko, czego w życiu dokonałem, jest kłamstwem, fałszem, złudzeniem, a w najlepszym razie nikomu niepotrzebną dłubaniną. Udowadniał też, że ja sam jestem zidiociałym łotrem, oszustem, bigamistą, fałszerzem faktów i pieniędzy, zboczeńcem płciowym oraz rajfurem o ilorazie inteligencji 135 jednostek, co, jak powszechnie wiadomo, odpowiada średniemu poziomowi człowieka prehistorycznego.

Anonim, który dla niepoznaki był podpisany dwiema literkami, A. K. (oczywiście nie mającymi żadnego odniesienia do rzeczywistości), włożył na dodatek w moje usta kwestie, których nie mogłoby z czystym sumieniem wypowiedzieć nawet dziecko w wieku przedszkolnym, bo jest już na to za mądre. Posunął się również do kwestionowania wydarzeń powszechnie znanych. Insynuował mi, że je wymyśliłem, dowody

spreparowałem, świadków przekupiłem, albo wręcz ukradłem przygody innym, którzy je rzeczywiście przeżyli. Że wstawiłem w miejsce nazwisk prawdziwych bohaterów własne nazwisko!!!

Ten ordynarny atak szedł jeszcze dalej, kwestionując mą tożsamość, miejsce urodzenia, dane personalne rodziców, wykształcenie, a nawet rysopis. Na koniec autor stwierdzał, że jestem bohaterem wymyślonym, ściśle fikcyjnym, który w kosmicznej społeczności człowiekowatych i innych, nie funkcjonował nigdy bardziej realnie niż na przykład baron von Munchausen, Sherlock Holmes, Tarzan, James Bond albo Ijon Tichy! Tego już było doprawdy za wiele!!!

Nerwowo przerzuciłem karty w poszukiwaniu stopki redakcyjnej. Pierwszą rzeczą, która mi się w niej przed oczy nasunęła, był przerażający nakład „Świata Fantastycznego” 6¹⁰⁰⁰ egzemplarzy drukowanych + nieograniczony dostęp przez liczne e-sieci i i-nety, w których rozpowszechniono ten ohydny paszkwil.

Rozumiem, że młodzi autorzy są niecierpliwi i usiłują na siebie wszelkimi sposobami zwrócić uwagę, że gotowi są w tym celu postawić cały świat na głowie i zmienić prawa fizyki, byle udokumentować swe rewelacyjne tezy. Rozumiem także, że potrzebują ciągle większej gotówki, bo któż z nas jej nie potrzebował, kiedy był młody. Nie rozumiem tylko jednego, dlaczego to ma się odbywać moim kosztem!!!

Ostatecznie przy moim poczuciu humoru wybaczyłbym ten kiks redakcji, gdyby na przykład w następnym numerze zamieściła sprostowanie, wyjaśnienie lub choćby przeproszenie. Nawet najmniejszą czcionką, u samego dołu, albo w rubryce nekrologów, ale nic takiego nie nastąpiło. Wręcz odwrotnie.

W następnym miesiącu, który cały strawiłem na próbach

identyfikacji czasopisma, jego lokalnych ekspozytur i osób odpowiedzialnych, wydano kolejny numer pisma. Tym razem już z trzema artykułami na mój temat. Obsypywano mnie całkiem otwarcie inwektywami, epitetami i obraźliwymi wyrazami niemal na każdej, zasranej holostronicy.

Oto dlaczego nie mogłem dłużej milczeć, a przede wszystkim dlaczego nie mogłem pozwolić sobie na zasłużony wypoczynek i znowu zostałem zmuszony przez ukrytych wrogów do działania.

Na Oddziały Specjalne nie liczyłem już od dawna. Zwłaszcza od czasu tej historii z uprowadzeniem Agry – mojej byłej. Musiałem sam przystąpić do akcji, sam wyjaśnić wszystko, nim moje imię zostanie kompletnie zbrukane.

Początkowo jeszcze nie podejrzewałem, jaki to perfidny spisek, i zdawało mi się, że sprawa rozwiąże się prosto. Niestety od razu miałem przekonać się, że jest inaczej. Kiedy zwróciłem się do lokalnej ekspozytury redakcji na Metropolii, aby podała mi nazwisko rzezonego autora, spotkał mnie kolejny zawód. Najpierw bowiem okazało się, że nikt tam nie odpowiada na fony, ani na maile, ani na mnemonity. Potem dowiedziałem się od automatycznej sekretarki, iż nazwiska znane w lokalnej ekspozyturze redakcji nie są ujawniane byle komu (pomyśleć, nazwano mnie byle kim! Mnie, największego intuicjonała wszech czasów!). Wreszcie okazało się, że nazwiska te, ani żadne adresy, łącznie z adresem centralnej redakcji, w ogóle nie są nikomu ujawniane!

Kiedy po stu próbach połączyłem się z jakimś człowiekiem, który był podobno rzecznikiem medialnym „Świata Fantastycznego” na Ziemi, z jego bełkotliwego wywodu (chyba był pijany albo walnął jakieś prochy???) wyniknęło, że osobnik

ujęty w stopce jako redaktor naczelny już dawno nie jest naczelnym. Poinformował mnie chełpliwie, że nakład wynosi nie 6 a 60 do tysięcznej, czyli pierdyliardy kopii, oraz że pismo to właściwie wcale nie nazywa się tak jak to napisano na okładce, tylko całkiem inaczej! Jak?! Tego pod najwyższą karą zabroniono mu mówić.

Gdy się rozłączył, przez dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy mam do czynienia rzeczywiście z przedstawicielem kogokolwiek gdziekolwiek. Czy był on pełna rozumu, czy też może jest jakimś popsutym androidem, którego zapomniano wyłączyć.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wsiadać w pierwszy lepszy statek i osobiście odwiedzić siedzibę tajemniczej redakcji supertajemniczego miesięcznika. Okazało się to niełatwe z powodów, o których wspomniałem już wyżej. Dane w stopce były fikcyjne, jedyną informację prawdziwą stanowił numer wifonowy, na który dzwoniłem przez trzy tygodnie, by się dowiedzieć, że i tam nic nie wiedzą. Uzyskałem na wszelki wypadek, za pomocą różnych komputerowych sztuczek, z Planetarnego Spisu Adresowego adres owej ekspozytury, zidentyfikowany poprzez numer mnemofonu. Zastanowiła mnie zadziwiająca zbieżność: ekspozytura mieściła się w Kopen, skąd otrzymałem anonimową wiadomość foniczną.

Na tym poprzestałem. Trzeba było znaleźć jakąś inną drogę dla uzyskania interesujących danych. Na szczęście mam przecież w swej willi terminal wszelkich możliwych sieci, i-netu i systemów komputerowych, jakie funkcjonują w US (US – Układ Solarny). Przez Astronet (galaktyczną wersję Internetu) wszedłem w centralny rejestr galaktycznych czasopism drukowanych, gdzie znalazłem na początek piętnaście periodyków o tytule „Świat Fantastyczny”, ale tylko trzy z nich

były miesięcznikami. Jeden wychodził w Altairze, a dwa gdzieś na Peryferiach: na planecie Solid, jedynym nadającym się do życia globie gwiazdy RRN 1980/87 S, oraz na półpustynnej Arr Uzel zamieszkaney przez śmieszny rasę karłowatych istotek, ledwo powyżej poziomu neandertalczyka i chyba bez wyobraźni. Zażądałem natychmiast od serwanta e-kopii ostatnich numerów tych gazet i tutaj sprawa nieco się uprościła, bo okazało się, że wydawnictwo altairskie zdążyło już splajtować.

Pozostałe dwa nie miały nic wspólnego z tą szmatą, w której szargano moje dobre imię i co za tym idzie, dobre imię Metropolii.

Pismo z Arr Uzel miało charakter kilkustronicowego komiksu o asach tamtejszoplanetarnej służby bezpieczeństwa. SB dzielnie stawia czoło wszechkontynentalnej pustyni, która otacza ze wszystkich stron i napiera na siedzibę ich wodza satrapy. Pustynia snuje swe piaskowe, spiskowe, agenturalne nici po stolicy oraz pcha wrogie macki ku tronowi jedynowładcy samozwańczego. Jedynowładca jest w tym komiksie oczywiście cacany, „głupi lud kołkowaty” jest skołowany przez piaskową propagandę, która raz po raz się do miasta, mimo murów, z trąbami powietrznymi wdziera. A biedna służba bezpieczeństwa sama jedna trwa na straży i roboty ma po uszy. Słowem, takie tam bajdurzenie niepoważne w kilku obrazkach kolorowych i dymkach nad postaciami herosów przedstawione.

Pismo z Solid miało zupełnie inny charakter. Numer, który wyrzuciła paszcza podajnika w moim salonie, świadczył, iż mamy do czynienia z pismem statecznym, niezdolnym do zamieszczenia jakiegoś paszkwila, graficznie nienagannym, z poważnymi tekstami naukowymi, z wideokasetonami, z holododatkami, z plikami komputerowymi wdrukowanymi

w indeksy i z zestawami płytek informacyjnych do wszelkich czytników, dołączonymi jako suplement, z jedną stronicą wideookienek, gdzie przedstawiano w ruchomych obrazach filmy historyczne z dziejów Solid; jakieś rewolucje, walki imperialno-socjalne i cały szczegółowy zarys dziejów planety. Jedna z trzech tysięcy stronic tego miesięcznika zawierała fotografie 3D i lovidy 5D, a także diagramy dźwiękowe związane z zamieszczonymi tekstami paranaukowymi. Paranaukowe, ha! Ich poziomowi nie powstydziliby się i przyzwoity uniwersytet metropolitalny. Więc żadna z nich!!!

Utkwiłem w martwym punkcie. Nie należy załamywać rąk! Przebadałem pozostałe czasopisma o tym tytule, wychodząc z założenia, że informacja o długości periodu jest fałszywa. Nic to nie dało. Najwyraźniej fałszywy był sam tytuł, bo pismo musiało być zarejestrowane przy tak kolosalnym nakładzie. Zresztą, miało przecież swą ekspozyturę u nas.

Jak dojść do tego jednego tytułu, który jest mi potrzebny, gdy na każdej z setek tysięcy zamieszkałych planet wychodzą setki tysięcy tytułów?!

Przypomniałem sobie na szczęście o tym mężczyźnie z Kopen, który nieopatrznie się sypnął, że zna adres redakcji i tytuł, tylko go nie ujawni. Nie znoszę przemocy, ale czy pozostawiono mi jakieś inne legalne, bądź mniej drastyczne, wyjście. Byłem tak zaintrygowany i wzburzony, że nie czekając następnego ranka, jeszcze tego samego wieczora wskoczyłem w aerolot. Musiałem to pudło wystawić wcześniej do ogrodu, by się opłukało w strugach deszczu, zapowiadanego na godzinę szesnastą. Deszczu oczywiście nie było, aerolot stał brudny i sfatygowany po ostatniej eskapadzie sprzed trzech lat, kiedy go używałem. Nie umyłem go, tylko przetałem nieco tablicę rejestracyjną (żeby się

zbędnie nie narażać Powietrznemu Patrolowi). Nastawiwszy na podajniku zestaw płynów 80 88 8 – dziurawiec, chinina, kokornak, skrzyp, lactuca virosa – przelałem go do termosu, a termos wziąłem pod pachę i wystartowałem ku nowej przygodzie.

Automedycy polecili mi co godzinę sączyć łyk naparu, by zlikwidować uporczywe bóle kręgosłupa, roztrzęsienie rąk oraz poprawić pamięć. Muszę tu na boku przyznać, że mam z pamięcią ostatnio nieco kłopotu – cóż starość nie radość, a 350 lat to przecież sędziwy wiek. Niejeden z moich rówieśników ani za próg nosa już nie wystawia, nie mówiąc o tych, co go nie wysuwają nawet za krawędź trumiennego wieka. Ha, ha, ha!!!

Stosowałem się do ich rad przez czas jakiś, ale każdy łyk tych delicji tak mi gębę wykrzywiał, że szybko zapomniałem o tej powinności.

Oto jak było. Dosiadłem mego aerorumaka, wdrapawszy się lekko jak motylek po drabince na jego czub, gdzie mieścił się fotel, i dodałem gazu. Kopen stanowiło jedyny ślad, ostatnią szansę. Postanowiłem jej w żadnym wypadku nie zmarnować. Ostрым szarpnięciem zmieniłem bieg, aeropłat zerwał się do ręczego podniebnego harcu. Zarzuciło przy tym nieco i łupnęło mnie w krzyżu. Zaraz więc zwolniłem i niespiesznie, pociągając łyk po łyku napój 80 88 8, podążyłem na północny wschód, ku półwyspowi Jutlan.

Wylądowałem na akwencie aero wydzielonym w kopenskim porcie, o godzinie dwudziestej piętnaście, to jest po trzech godzinach lotu. Łezka się w oku kręci na wspomnienie powietrznych wypraw z aparatem przyspieszającym na plecach. Kiedyś robiłem je na tej samej trasie w piętnaście minut. To już odległe bardzo czasy, kiedy tu bywałem w poszukiwaniu

przybytków typowo męskich rozrywek. Niech nikt jednak nie myśli, że jeśli jestem stary, to mnie można bezkarnie lżyć i poniżać!!! Już ja się im dobiore do skóry, tym „fantastykom”! Ładowałem z fasonem, tak że mnie komputer bezpieczeństwa nawet zbeształ... i bezceremonialnie w ostatniej fazie przejął stery. Odstawiwszy mój pojazd na pole parkingowe 3993, wcisnął mi kwit do kieszeni, po uregulowaniu rachunku, bez słowa. Nie wiem czemu nastawał na opłatę z góry, czy wyglądam na takiego, co mógłby gdzieś po drodze kopnąć w kalendarz i już tutaj nie wrócić?!!! Ha, ha, ha!!!

Zaraz tedy ruszyłem na poszukiwanie ulicy Hlamzgaakjoltaet. Znalazłem ją nawet łatwo. Kamienica numer sześć znajdowała się między numerem cztery a pustą parcelą na rogu tej króciutkiej przecznicy z Gamsgolaaren. Siedziba ziemskiego przedstawicielstwa „Świata Fantastycznego” mieściła się na trzecim piętrze. Stanowiło ją prywatne mieszkanie, tzw. kawalerka z pijanym w sztok przedstawicielem właścicielem wewnątrz. Ręce mi opadły, gdy zobaczyłem, w jakim ten nieborak znajduje się stanie. Słabo mi się zrobiło na myśl, że będę tutaj musiał przesiedzieć do jutra, póki on nie wytrzeźwieje. Należało coś natychmiast wymyślić. Na drugim rogu tej uliczki znalazłem punkt fryzjerski. Uprzejmy golibroda poza przepysznym duńskim dialektem władał także bezbłędnie uniwerem – galallinguą i interlinguą. Dogadaliśmy się szybko. Golibroda jako zdecydowany przeciwnik napojów wysokowych, a zwłaszcza słynnej szesnastki, trzymał w szufladce pod lustrem razem z grzebieniami i mydłem toaletowym cały zestaw otrzeźwiaczy. Bezpłatnie obdarował mnie: stryżeniem z goleniem, sześcioma pastylkami oraz paroma historyjkami.

Po godzinie byłem z powrotem w ziemskiej ekspozyturze tego

pożal się Boże „pisma”. Jego przedstawiciel, w podartej bieliźnie, spoczywał nadal w fotelu ani na jotę nie zmieniawszy pozycji. Musiałem mu wepchnąć w usta, jak gęsi, pastylkę, co wzbudziło we mnie odruch szczególnego obrzydzenia. Nie znoszę się grzebać w cudzym ciele, a już szczególnie zionącym mi w twarz odorem szesnastki. Środek podziałał błyskawicznie. Mój bełkotliwy interlokutor, potykając się o butelkę, pokłusował do toalety. Odgłosy dochodzące stamtąd świadczyły, że leczenie jest skuteczne.

Nie będę tu opisywał, jak udało mi się w końcu wydobyć zeń interesujące mnie wiadomości, bo i tak już mnie pewnie uważacie za starego gadułę, który co chwila jakieś skoki w bok od swych opowieści czyni. Dość więc na tym, że późną nocą byłem z powrotem w porcie. Strawiłem tam niestety godzinę na poszukiwanie kwitu, który mi się gdzieś zawieruszył. Pewnie wypadł mi z kieszeni, kiedy reanimowałem tego bubka. Potem jeszcze godzinka, żeby przekonać androida strażniczego, że mimo braku kwitu powinien mnie wpuścić, bo mój aerolot jednak tutaj parkuje. W końcu po wielu połączeniach, przełączeniach, rozmowach i tłumaczeniach w nieskończoność, uwierzono mi i szlaban uchylił się na tyle, bym się mógł na czworaka przesmyknąć.

Lecz na tym nie koniec. Zapomniałem przez to wszystko, pod jakim numerem mój aerolot stoi, czy jest to pole 3939, 9339 czy też może 9933. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć i musiałem się zapytać inforu. Infor znów nie chciał mi udzielić odpowiedzi bez kwitu opłaty. Widać posądził mnie, że zamierzam sobie jakiś pojazd przywłaszczyć. Żałowałem bardzo, że mój antysklerotyczny napój pozostał w pojeździe. Gdy pokonałem tę ostatnią barierę, byłem zmęczony, wściekły, zasapany

i wygłodzony tak, że mi żołądek przysechł do nadwerężonego kręgosłupa. Ale byłem też i szczęśliwy, bo znałem już numer indeksu, pod którym zarejestrowano „Świat Fantastyczny”, jak i prawdziwą nazwę, pod jaką pismo zarejestrowano w CSGC.

Kiedy startowałem z Kopen, nad wodami cieśniny Sund wstawały czerwone poranne zorze. Myślałem tylko o jednym, by zdemaskować przebiegłego przeciwnika. Jego sprytny manewr z nazwą miesięcznika polegał na takim ułożeniu słów tytułu na każdym egzemplarzu, żeby ich kolejność można było interpretować dowolnie. Tytuł biegł jak banderola przez całą szerokość okładki i brzmiał przy takim odczytaniu: Świat Fantastyczny Świat Fantastyczny Świat Fantastyczny Świat. W rejestrze użyto tytułu „Fantastyczny Świat” i w ten sposób uzyskano zgodność z wymogami stosownych procedur. Że też mi nie przyszło od razu do głowy tak proste rozwiązanie. Chyba przez tę emeryturę moja intuicja również uległa częściowemu rozkładowi, tak jak i pamięć.

Jeszcze w trakcie lotu zażądałem od inforu szczegółów o siedzibie, redakcji centralnej i wszystkim, co się wiązało z czasopiśmem. Miesięcznik, o który mi chodziło, miał siedzibę na planecie CO₂, stolica: miasto Chchlor. Lądowałem w mym ogrodzie pełen dobrych myśli, nie mogąc doczekać się chwili, gdy zasiądę przed wielkim kosmoatlasem i wyszukam tę planetkę. Już ostrzyłem sobie zęby na spustoszenie, jakiego dokonam w szeregach potwarców. Ich nazwiska jakoś nic mi nie mówiły, może były fałszywe, lub osoby rejestrujące zostały podstawione. W każdym razie dopadnę ich wcześniej czy później, a wtedy wytoczę im proces o zniesławienie, który ich zrujnuje, zrówna z ziemią, raz na zawsze oduczy rzucania słów na wiatr i fabrykowania kalumnii. Suma, jakiej zażądam jako

zadośćuczynienia urażonej dumie i miłości własnej, ale także przecież zbezczeszczonemu honorowi Ziemi, będzie zaiste tak fantastyczna, że żaden z redaktorów tego „Fantastycznego Świata” nawet we śnie by jej nie wymyślił!!!

Nie zasiadłem jednak przed holoekranem tego wieczoru, bo byłem tak zmęczony, że miałem tylko siłę, by kęs sucharka popić kubkiem kakao i pożuć garść rodzynek, nim mnie całkiem zmorzył sen.

Na rano zamówiłem Adnes, żeby zrobiła mi masaż, potrafiła to doskonale. Stawiała człowieka na nogi w pięć minut. Tak, Adnes była dużo lepsza na bóle niż ten diabelny koktajl 80 88 8, tylko nie pomaga mi na żołądek. Zbyt tłusto gotuje. Cudowna kobieta, nigdy się ze mną nie kłóci, natychmiast spełnia polecenia. Milczy, kiedy zabroni się jej mówić. Jest zawsze gotowa na wszelkie zachcianki, nie tak, jak to było z Agrą, co pamiętam z dawnych czasów. Te wieczne awantury, utarczki, nieporozumienia, żądania i pretensje. Inna rzecz, że Adnes ma cały czas świadomość, iż opór i kłótnia donikąd nie prowadzą. Przeważnie wyłączam ją wtedy i stawiam w szafie aż do następnego łupnięcia w kręgosłupie. Albo do chwili, gdy przyjdzie mi ochota na ruskie pierogi, których prócz niej nikt już chyba na tej planecie przyrządzać nie umie. Czegoś takiego nie mogłem oczywiście zrobić z Agrą, bo była kobietą z krwi i kości. Gdy tak leżałem, zasypiając i zasypiałem leżąc, i porównywałem w myślach je obie, wcale nie byłem pewien, czy bardziej wolę krwistą kobiecość Agry, która się wyłączyła i przeniosła na tamten świat prawie sto lat temu, czy też mechaniczną nieco uległość Adnes, która czekała na każde skinienie tuż za drzwiami. Być może jestem cyniczny, tak spekulując zimno na temat największej miłości mego życia, ale wierzcie mi, że

w moim wieku zapewne sami bylibyście tak samo, jeśli jeszcze nie bardziej, chłodni i trzeźwi w tych sprawach. Zasnąłem.

Noc przebiegała spokojnie, nie licząc jednego koszmarnego snu, który trochę popsuł mi humor. Był to sen tak bezsensowny, że łatwo włożyłem go między bajki, mimo chwilowej irytacji. Otóż śniło mi się, że planety CO₂ nie ma w żadnych atlasach, ale że wiedzą coś o niej w sztabie Wielkiej Armady Wojennej. Nikt mi jednak nie chce udzielić informacji, bo planeta jest tajna, cały region wokół niej również utajniony i na wszelkich mapach pokryty czarną farbą. Nagle od gigantycznej płaszczki z czerwonymi oczami dowiaduję się, gdzie ona leży. W wielkiej tajemnicy, uciekając przed groźnymi patrolowcami pilnującymi granic sektora, ląduję wprost w stolicy. Okazuje się, że nie ma tu normalnej atmosfery, głównie dwutlenek węgla, a tlen stanowi tylko niewielką domieszkę. Mimo tego wysiadam i oddycham. Mieszkańcy CO₂ są zwykłymi porostami, a kiedy chcę się od nich czegoś dowiedzieć, odwracają się tylko tyłem i gniewnie marszcząc grzebienie, tłuką mnie zielonymi mackami po twarzy. Redakcji, która miała się mieścić przy głównej ulicy Chchlor, wcale tam nie ma, a samo Chchlor jest wioską składającą się z pięciu domów, w których egzystuje dziesięcioro ludzi z obsługi tamtejszej stacji badawczej. Ludzie ze stacji w końcu okazują się nie ludźmi, tylko popsutymi automatami, które są pogrążone wyłącznie w swoim urojeniu. Błąkam się więc samotny, odepchnięty przez porosty, zagubiony, po kontynentach w poszukiwaniu śladów redaktora naczelnego „Fantastycznego Świata”. Ma on być wielkim jak góra gorylem, co spędza czas wyłącznie na pożeraniu inteligentnych porostów. Wiem to wszystko z fotografii rozesłanej przez Interpol, którą noszę w kieszonce na piersi. Z jakichś niejasnych powodów moje

poszukiwania kończą się fiaskiem. Nagle też zaczyna mi brakować tlenu i duszę się. Pędzę przez łąkę do mego statku, widocznego na horyzoncie, roztrącam i tratuję porosty czepiające się złośliwie mych nóg, oplatające przy każdym kroku moje stopy. Kiedy z ostatnim haustem powietrza dopadam rakiety, okazuje się, że wrosła ona w ziemię i zdążyła zapuścić już głęboko, grube jak ramię, korzenie. Wypuszczam powietrze, duszę się śmiertelnie i wtedy zauważam nagle, że sam zaczynam zielenieć. Ręce mi flaczeją i zamieniają się w macki, stopy wrastają w grząski grunt. Te rozległe, falujące łąny porostów są więc milionami schwytych w pułapkę ludzi!

W tym momencie zbudziłem się z krzykiem, tak niesamowite zrobił na mnie ów pejzaż wrażenie. Na szczęście był to tylko sen. Na szczęście, że się zbudziłem, bo bym was zanudził tym snem. Nie ma nic nudniejszego, niż wysłuchiwanie czyichś bezsensownych, głupkowatych snów.

Sprawdziłem, czy ręce i nogi mam na swoim miejscu. Zerknąłem w małe lusterko, co je zawsze stawiam przy łóżku na noc. Zaraz obok szklanki ze sztuczną szczęką. Twarz była w porządku, wcale nie zielona, tylko lekko spocona i blada. Uspokoilem się łykiem 08 01 02 i zasnąłem ponownie. Rano, zaraz po masażu, który wypędził ze mnie wszelkie zmyry nocne, a przed śniadaniem (trzy sucharki, łyżka syropu cedrowego, pięć pastylek witaminy C, szklanka mleka 25 22 11, to znaczy butelkowane, krowie) pobiegłem do mojej podziemnej biblioteczki, żeby sprawdzić w atlasach położenie CO₂. Bardzo lubię swoją bibliotekę. Zawsze marzyłem o czymś takim, a moje sukcesy w pracy zawodowej pozwoliły mi nieelicho zarobić. Bardzo nieelicho. Tak że ten cały pałacyk tutaj na Kors, oddalony od świata, spokojny, ukryty wśród cyprysów i palm, nawet

w procencie mego majątku nie nadwerężył. Metropolia, znaczy się Ziemia, ostatnio pusta, i nawet Par przypomina jakiś zaścianek, a Moulin Rouge to nawet podobno z braku turystów ogłosił, po tylu wiekach szczytnego krzewienia damskich wdzięków, upadłość. Myślę, że mógłbym kupić nawet i planetę za to, co posiadam, ale na co mi ona, tylko kłopot.

Zdaje się, że znowu zjechałem z tematu. Ta starcza skłonność do gadulstwa, ale to już się nie powtórzy. Już wracamy na utarty szlak, a jakbym jeszcze raz zboczył, albo nie daj Bóg zaczął się powtarzać, to niech mnie tam który kuksnie w bok, nie obrażę się. W porządku.

Atlas tymczasem gdzieś mi się zapodział, musiałem też przejść dobrych parę kilometrów, zanim znalazłem tom ze skorowidzem. Przyjaciele dawno mi radzili, abym zelektronizował się, albo zholował zbiory, albo co najmniej zmikrofilmował, albo sfoliował i włączył w mnemopamięć komputerów inforu. Biblioteka w stylu antycznym tak wrosła w moje marzenia, że chyba nigdy tego jednak nie zrobię. Oczywiście mógłbym się zwrócić do inforu z prośbą o określenie położenia dowolnej planety, nie wstając z łóżka, tylko po co mam zatrudniać infor, skoro każde wybełkotane przez te piekielne maszyny zdanie + wizualizacja, kosztuje od razu trzy i pół luna, a mam swoją bibliotekę i w niej wszystko co trzeba. Tak więc znalazłem tom ze skorowidzem planet jakieś trzy kilometry od drzwi i już po małej półtoragodzince wiedziałem wszystko.

CO₂ leżało na peryferiach w niewielkim sektorze złożonym z około 10 000 gwiazd, a zwanym Terytorium Wielkiego Sześcianu. Wielki Sześcian w istocie był więc całkiem mały. Dodatkowo podkreślała to także marna gęstość zaludnienia, tylko co trzechsetna gwiazda z systemem planetarnym w granicach

tolerancji dla człowiekowatych. Czyli 33,3 ewentualnych cywilizacji w całym sektorze. Nigdy w tym rejonie noga moja dotychczas nie powstała i pewnie nigdy bym się tam już nie wybrał, gdyby nie owa skandaliczna potwarz, którą fałszerze i oszczercy rozpowszechniali bez zająknięcia po najciemniejszych nawet zakamarkach galaktyki. I to o kim? O mnie! O mnie!!! O Mnie!!! MNIE, który jestem trzecim w historii najślawniejszym Ziemianinem po Koperniku i Einsteinie, no może czwartym, jeśli doliczyć jeszcze Luke'a Skywalker'a! Co za skandal! Nie, nie mogę dopuścić za nic w świecie, by dalej trwał!!!

I w tamtym momencie po raz pierwszy zrodziła się we mnie tak na poważnie myśl o napisaniu wielkiego dzieła, co by odkłamało narosłe mity. Dopowiedziało wszystko co nie dopowiedziane i raz na zawsze położyło kres podobnym próbom, delikatnie mówiąc, omijania historycznej prawdy. Pragnienie to umocniło się jeszcze później i zrealizowało w innych okolicznościach, do których niebawem dojdziemy. W każdym razie wtedy to, w bibliotece, nad kosmoatlasem, zapadła klamka. I oto, mam nadzieję, otrzymujecie państwo do swych rąk pierwszy tom mego zbeletryzowanego hiperpamiętnika. W nim każde wydarzenie jest tak realne, a osoby i nazwiska, miejsca i okoliczności zgodne z prawdą w najdrobniejszych szczegółach. Moja rola w przedstawionych wypadkach zgodna jest z tym, com czuł, widział i zapamiętał. Pięć dalszych części mego dzieła spoczywa już (a przynajmniej powinno) w żelaznych sejfach wydawców i systematycznie będą się one ukazywać niebawem.

Wtedy też, zaraz po śniadaniu, poczyniłem odpowiednie kroki, by zyskać dla tego pomysłu poparcie odpowiedzialnych, wysoko postawionych osobistości. Zresztą nie tylko dla pomysłu

książki, lecz również dla całej misji. Najwięcej zastrzeżeń budził jak zwykle nakład. Te kłopoty z folią, płytami, mikrofilmami i papierem nigdy się u nas nie skończą. Wciąż tych materiałów brak, zwłaszcza dla poważnych twórców lub tych niewygodnych, co krytykują planetarne, sektorowe, regionalne i centralne władze zbyt otwarcie. Za to nie brakuje ich na biurkach urzędników. Oczywiście nikogo nie obchodzi, iż prestiż naszej rodzinnej planety cierpi na próżnych rozgrywkach i koteryjnych przepychankach. Na różne głupie reklamówki papier jest, a na demaskatorski, konieczny z moralnego punktu widzenia cykl w bzdurnym stubilionowym nakładzie, nie ma! I co za infantylne tłumaczenia, że odkąd zabrakło naturalnego drewna na Ziemi, trzeba je sprowadzać, importując za wiele setek transsolarów, przecież to oczywiste!!! Czy ja w końcu mam sam wyciąć swoje prywatne drzewa, by załatwić porachunki Metropolii i występować w jej imieniu przeciw międzygwiazdnemu gangowi jakichś łotrzyków czy szantażystów?!!! No, dosyć. Chyba się nieco uniosłem, ale przyznacie państwo sami, że każdy by się zdenerwował – targować się ze mną w tak prestiżowej sprawie o marne sto bilionów egzemplarzy i bzdurne honorarium. Och, czuję kuksańca w lewy bok, czy to możliwe, bym znów zboczył z tematu? Przepraszam, już wracam.

Wyłaniały się przede mną trzy równoległe cele: po pierwsze, zmobilizować swą pamięć, żeby spisać rzetelnie wspomnienia, po drugie, ruszyć na poszukiwanie wroga, by go zdemaskować w jego jaskini, po trzecie, uzyskać priorytet dla tej misji z Ministerstwa Spraw Pozaplanetarnych i Komitetu Rozpowszechniania Wiadomości o Metropolii. Ministerstwo ma swą siedzibę w Szang, a Komitet w Casabla, nie było więc sensu zdzierać butów i wyczerpywać się przed wielką podróżą,

jaka mnie czekała. Połączyłem się fonicznie z oboma miastami i załatwiłem, jak już wspomniałem, nie bez trudności, co trzeba. Jacy ludzie są dzisiaj małoduszni i skąpi!

Przez trzy dni przekonywałem odpowiedzialnych urzędników, że powinni zawrzeć ze mną kontrakt w wyżej wymienianej sprawie zdemaskowania międzywilizacyjnej szajki mącicieli. Certolili się i biadolili, że niby za dużo za tę usługę żądam. A nawet jeden na oko miły jegomość, który przedstawił się jako radca Herdsman, śmiał insynuować, że jestem za stary i jako intuicjonał skończyłem się wiele lat temu, a w ogóle z tą intuicją to wymysł i bzdura! Co za bezczelność! Powoływał się przy tym na jakieś wykresy, artykuły i prace naukowe, które spisywały ich lokalne komitetowe komputery! Jakby maszyny rzeczywiście mogły wymyślić coś naprawdę mądrego! Wyłączyłem się na taką bezczelność oświadczając, że nie będę więcej z nikim dyskutował, a kto wie, czy nie podejmę nawet głódówki protestacyjnej. W końcu jestem nie byle kim i nie pozwolę się tak traktować. Dostałem szesnaście orderów ziemskich i dwa tysiące innych w całej galaktyce, i byle półgłówków, jakiś Herdsman, co powinien raczej krowy pasać, nie będzie mi prawić impertynencji.

Jakoż i po półgodzinie zadzwoniono do mnie, przepraszając oraz gęsto się tłumacząc (widać zajrzeli nieuki do „Who is Who”), i już bez targów zapewnili mi kontrakt na rok i pięć tysięcy lunów, czyli pięć transsolarów. Tak więc formalności zostały załatwione. Wyciągnąłem tylko paszport z szuflady i otrzepawszy go starannie z kurzu, bom dawno nie podróżował, schowałem dokładnie na dnie walizy.

Musiałem wynająć prywatnie jednoosobowy stykowiec przestrzenno-czasowy, bo jak się okazało, metropolitalne biura

podróży nie prowadzą komunikacji bezpośredniej z CO₂, a wszelkie proponowane mi połączenia kombinowane musiałyby zająć kilkadziesiąt lat tylko w jedną stronę. Straciłem w ten sposób pierwszy tysiąc z mego honorarium. Pal licho pieniądze, kiedy w grę wchodzi patriotyzm. Paliwo załadowano w tydzień i po dalszych dwóch mogłem ruszać z orbity Transplutona. Niemniej, kiedy ten tysiączek zszedł był z mojego konta, poczułem się smutny.

Mój statek nazywał się „Panta Rhei”, nie wziąłem tego za zły omen. Przepakowałem się na jego pokład w parę dni. Kufrów się nieco uzbierało – wciąż przychodziły mi do głowy różne niezbędne zakupy – a to sekstans, a to lorneta powiększająca, przez fachowych gwiazdnych killerów zwana powiększalnikiem, a to znów zapas landrynek na cały pobyt (to takie cukierki, według receptury jeszcze sprzed Wielkiej Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej), zestaw wideoobrazków, trochę literatury fachowej z zakresu wszystkich moich sześciu fakultetów i wiele, wiele innych drobiazgów. Kiedy podliczyłem budżet, okazało się, że kolejna pięćsetka moich lunów przepadła, a raczej nie przepadła, tylko przeobraziła się w górę przedmiotów. Niejeden raz posądzano mnie w brukowcach o nieuprawnione materialne korzyści, o zagarnięcie gór złota i innych drogocennych kruszców (choćby tony fineyu po pamiętnej wyprawie w 1685 NNE, z Gourkami). Oskarżano mnie o stawianie zbyt wyśrubowanych warunków, gdy szło o ustalanie mych honorariów w sprawach, których rozwikłania się podejmowałem. Na tym tle zarzucano mi nawet niemoralność – przypomnijcie sobie – na przykład choćby po sprawie Siedmiu Wspaniałych z roku 1675, o ile mnie pamięć nie myli. Są to oczywiście oszczerstwa i już na powyższym przykładzie widać,

że nie mają nic wspólnego z prawdą. Moja misja jeszcze się nie zaczęła, a już jedna trzecia sumy rozplynęła się w powietrzu. Uważam wręcz, że moja działalność nosi znamiona charytatywne, i powinienem być zwolniony od podatków! Bezskutecznie przekonuję o tym od nieomal trzystu lat przeróżne instytucje podatkowe i wciąż spotykam się z tępym oporem biurokratów, z murem obojętności i wzruszaniem ramionami! Cóż z tego, że stać mnie na kupno planety?!!! Nawet gdyby mnie było stać na zakup dziesięciu planet albo średniej wielkości supernowej, nie powinno to nikogo bulwersować po trzystu latach ciężkiej harówki, jaką dzień w dzień odwałam, wyniszczając swój umysł i rujnując zbyt wielkimi skokami siły „chi” swe ciało!!!...

Na pokład dostałem się po trapie ze sznurowej drabinki skleconej byle jak, nie było tam nawet wężła cumowniczego, nie mówiąc o hamownicach. Model był stareńki, starszy ode mnie – hi, hi, hi! W ogóle cały ten „Panta Rhei” przypominał raczej atrapę pomalowaną w ochronne barwy lub jak kto woli, trumienne. Nic mnie jednak nie przeraziło tak jak przyspieszacz mocy, zwierciadło fotonowe (popękane w paru miejscach) oraz komora anihilatora kumulującego ponitowania metr po metrze, jakby ją wyżarły metalożerne myszy chiadyjskie, a potem zacerował niezbyt pilny Szewczyk Dratewka w przerwie przed zamordowaniem kolejnego smoka, co zdaje się stanowiło jego główne źródło utrzymania. Opukałem, popatrzyłem – trudno, trzeba będzie przetrzymać. Od oszustów tych małych i całkiem wielkich aż roi się we wszechświecie, czegóż więc można wymagać od armatora „Panta Rhei”. Ale „wszystko płynie” teraz naciął mnie, innym razem sam zostanie oszwabiony. Dawno już straciłem złudzenia i wyzbyłem się idealizmu.

Usadowiłem się w fotelu, nacisnąłem guzik: „start” i zamknąłem oczy. Coś zachrobotło, jakby tąpnęło i nagły wybuch, który w tym samym niemal momencie targnął ładownią, oznajmił, że ruszyliśmy, a statek wciąż jest jeszcze cały. Dopiero teraz, po starcie, znalazłem chwilę czasu. Będzie musiało go minąć sporo, nim oddalę się na bezpieczną odległość od US, a potem dotrę do styku. Mogłem spokojnie się zastanowić i przemyśleć pewne sprawy.

Śmiać mi się zachciało na przypomnienie mego nieodległego snu, i z dziecinnego, bzdurnego skojarzenia, co się wprost wzięło od nazwy planety, że niby CO₂ to od razu dwutlenek węgla i te porosty, co się nim pasą, i ta rakietka wrosnięta w ziemię, i ja zieleniejący w bezdechu, musiałem chyba zjeść coś tłustego na kolację, że mi się ubrdało podobne makabrzydło. Tylko, tylko... nie potrafiłem sobie przypomnieć, co tamtego wieczoru jadłem? Czyżby rzeczywiście tłusto, skoro od pięćdziesięciu lat jestem na diecie?! Nic nie pamiętam, czarna plama. Dałem spokój tej sprawie i niezrażony łyknąłem dla poprawienia pracy mózgu 80 88 8 z podręcznego termosu. Ziółka podziałały nadspodziewanie.

Myśl moja od razu zapełniła się postaciami z przeszłości, z których każda byłaby skłonna zbrukać me dobre imię. Oczywiście od razu zdałem sobie sprawę, że nie chodzi tu o zawodową zawiść. Nie, to żaden z mych kolegów po fachu, intuicjonistów, telepatów, psychokinetyków, prekognitów, inercjalistów, teleportantów czy astrohipnotyków, nikt z tej przebarwnej menażerii, do której i mnie (niesłusznie!) zaliczano. To raczej zakrawało na akt zemsty. Lecz który z tamtych się mścił? Tamtych obrażonych, zawiedzionych czy rozwścieczonych, których były setki, ba, tysiące! Mógł to być

choćby taki Proxistar, któremu zepsułem interesy na Ziemi, a i potem zalażłem nieźle za skórę. Więc on?! To wydarzyło się zbyt dawno, tak dawno, że sam już prawie nie pamiętam. On nie byłby chyba bardziej ode mnie pamiętliwy? A ten osiłek z Maskrii, zaraz, jakże on się nazywał?... Malaw Malwan!!! A Dei Łotr, a czasowy korsarz Tim Timeon, Grims, Nibor Dooh, królowa matka Sarrah, Zvinov, medytator Truhhan, Oatumea, Blogh, Malik z Eternity Way?! Setki, setki spraw i setki wściekłych, zdemaskowanych, pogwałconych. Każdy z nich mógł paść żądzą zemsty. Niektórzy otrzymali przecież długoletnie wyroki. Nie wspomnę o takich jak Steon Frees, co go skazano na dożywotnią banicję w efekcie prowadzonego przeze mnie śledztwa, i puszczono z zablokowanymi sterami poza granice Galaktyki. – Jeśli to na przykład on?! – bzdura! – A jeżeli? – Jakim cudem wydostałby się ze statku i na dodatek skierował go na powrót ku nam?! Absurd! A gdyby tak jakiś zabłąkany meteoryt uderzył główny mechanizm i zwolnił zaczepy? – Powiedzmy. Co wtedy z przyspieszaczami, jak by je uruchomił, żeby się wydostać z pułapki prędkości przyświatlnej, przecież zaspawano ogniwa i wypróżniono zbiorniki! – A gdyby ktoś mu pomógł, był z nim w zмовie, poznał współrzędne trajektorii, przemycił potrzebną aparaturę? – Nie, niemożliwe. Koszmarny żart!... I tak leciałem sobie ku stykowi GCX 29453957445, tocząc ze sobą samym dysputę. I pocąc się na samo wyobrażenie powrotu Freesa. I zadając sobie pytania i udzielając odpowiedzi, w poszukiwaniu potencjalnego wroga. Wroga, który mógł mieć do mnie żal tak zapiekły, by mnie na starość pogwałcić potwarzą lub gorzej. Taki Frees pragnąłby mnie zapewne zetrzeć w pył, unicestwić, a i to kto wie, czy sprawiłoby mu wystarczającą satysfakcję za te, ile tam, chyba już osiemdziesiąt lat podróży bez końca. Nic

pozytywnego z mych rozważań jednak nie wychodziło. Miast się przybliżać do rozwiązania, tylko się oddalałem, a lista nazwisk rosła czarnym rojem inicjałów, pseudonimów, literek, znaków, rosła i rosła, aż pulsującą magmą umysł zalała i zasnąłem.

Przebudziłem się, gdy statek osiągnął prędkość podświetlną. Nie było to przebudzenie naturalne. Z przerażeniem zauważyłem na ekranie, że autopilot nacelował już statek na styk, którego centrum migocze na przecięciu nitek namiaru, a wewnątrz rakiety coś się ogłuszająco telepie i łomocze. Zaraz też termos przede mną zaczął tańczyć na stoliku i nim udało mi się go pochwycić, sam trząsałem się jak w febrze, a on leżał już na podłodze w kałuży ziółek. Ta landara, ta kosmiczna drynda, kupa złomu i szmelc zgraciały, to próchno z zakamarków stoczni remontowej, ten pierwolot przeklęty przy 0,997c wpadł chyba w wibracje i gotów był lada chwila się rozlecieć!!! Bez zastanowienia wyłączyłem kopniakiem autopilota, który od jakiejś minuty mrugał bezradnie czerwonym światełkiem alarmu (tyle one potrafią, pożał się Boże, głupie maszyny!). Włączyłem przyspieszacz do oporu, zerwawszy plomby ochronne. Tego manewru nie ma w podręcznikach – Uczcie się, młodzi adepci, szybkiego pilotażu! Oto leciwa, stara, ale jara praktyka, a nie jakieś teoretyczne mazgajstwo z najnowszych kursów książkowych! „Panta Rhei” zatrzęsała się i zatrzeszczała groźnie. W grodziach zawyło fotonowym wichrem, skurczyłem się w fotelu ze strachu, że jednak może przestać „płynąć”, i nim zacisnąłem kurczowo powieki – by już nic nie pozostało we mnie rozkurczone, nieprzygotowane na uderzenie – kątem oka dojrzałem jeszcze równomiernie migający licznik zbliżania. Z jazgotu wyłowiłem jego pi–pi–pi–pi cykające cyferki: 13...12...11...10...9...8...7...6! Dalej już nic nie widziałem. Odliczałem tylko

w duchu: 5...4...3...! i modliłem się: ...2 ...1..., ... Wstrząs! Grzmot!!! Spadłem z fotela... ale jeszcze żyłem i nie było słychać charakterystycznego, narastającego szumu dekompresji. Byłem po drugiej stronie półprzepuszczalnej błony kosmosu, w innym wymiarze czasoprzestrzennym. Ekrany zewnętrzne oślepiły jak zwykle przy tego rodzaju locie. Komputer pokładowy zamiauczał, zasyczał i przepalił się z wrażenia. Otarłem pot z czoła i poszedłem do magazynu po płytkę rezerwowego podzespołu, słabe nerwy mają te automaty.

Lot „w ciemności” miał potrwać cztery dni. Nie będę tu streszczał, na czym mi upłynęły. Nic ciekawego. Głównie grywałem sam ze sobą albo z naczelnym mózgiem w krong. To drugie rzadziej, bo jest w tym denerwująco nieudolny. Nie znacie tego?! To cudowna gra! Udało mi się stoczyć trzy piękne partie. Jeżeli nie umiecie grać w krong, to tracicie połowę radości życia! Plansza jest kolistą i składa się z ośmiu koncentrycznie ułożonych torów. Pięć zewnętrznych tworzy tak zwany Krąg Zewnętrzny, trzy wewnętrzne zaś Krąg Awansu. Tory zewnętrzne są podzielone na pola rozchodzącymi się od centrum szesnastoma promieniami. W Kręgu Awansu podział jest inny. Pola toru trzeciego mają podwójną długość i jest ich osiem, pola toru drugiego mają długość czterokrotną w stosunku do pół Kręgu Zewnętrznego, a w centrum na torze pierwszym znajduje się tylko jedno pole zwane PACem (Pole Awansu – Centrum). W grze bierze udział po każdej stronie osiemnaście figur. Po trzy Kołaki, dwa Egzekutory, dwa Naganiacze, dwa Skoczki, jedno Widmo, cztery Bazyliżki i czterej Towarzysze. Kołaki w trakcie partii awansują i stopniowo zamieniają się w Krongi zyskując specjalne przywileje. Najciekawszą zaś figurą jest Widmo... ale znów się zagalopowałem, przepraszam, przysięgam jednak, że

nie wziąłem żadnej łapówki od producenta za reklamę. Jest to gra tak pasjonująca, że cztery dni minęły jak z bicza trzask. Jej zasady wyłożę wam być może przy jakiejś innej okazji.

Przejście przez antystyk odbyło się bez sensacji przy utracie chyżości do 0,993 c, a więc na granicy bezpieczeństwa. Antystyk, jak się okazało, znajdował się niedaleko granicy układu MGB 12A, w którego skład wchodziła planeta CO₂. Od razu wziąłem ją w lunety. Wyglądała efektownie i imponująco. Jak gigantyczna, kremowobiała kula szklana przejaśniająca się miejscami, by odkryć najskrytszą przyszłość, tfu! Odkrywała oczywiście zaledwie swe zwyczajne pomarańczowe płaskowyzę, bardzo rzadko pokryte smugami fiołkowych lasów, a nie żadne tam metafory. Jeszcze nie zmniejszywszy prędkości, wysłałem pierwszą sondę. Po godzinie nadeszła z niej analiza: skład powietrza, kontakt eksploracyjny z cywilizacją oraz procentowy udział pierwiastków w glebach wszystkich szesnastu kontynentów. Pierwiastki były w normie, kontaktu z żadną cywilizacją nie nawiązano, co od biedy mógłbym uznać za normę, gdyby nie fakt, że gdzieś tutaj miała się znajdować redakcja „Świata Fantastycznego”. Musieli więc być ludzie, nawet jeśli anonimowi, to przecież chyba nie fantomatyczni – miałem nadzieję. Natomiast trzeci składnik analizy zastanowił mnie poważnie: atmosfera CO₂ faktycznie składała się w 90 procentach z CO₂. Prócz tego 8% tlenu i domieszka innych gazów bez znaczenia. Czy można tym oddychać? Wyglądało na to, że nie. Perspektywa misji w skafandrze, pod obciążeniem tlenowych butli, stanowczo mnie zdeprimowała. Trzysta pięćdziesiąt krzyżyków na karku i do tego piętnaście kilogramów aparatury!? Nieco za ciężko! Zapytałem o ten problem inforu. Po raz pierwszy od startu miał okazję czymś mi się przysłużyć,

bo unikałem go do tej pory jak ognia. I rzeczywiście. Wymyślił coś śmiesznego. Sztuczne płuco wkładane do plecaka o wadze dwóch kilogramów i zdolności syntezy litra tlenu na sekundę, na zasadzie rozkładu dwutlenku z uwolnieniem węgla opałowego. Niezły pomysł, patrzcie państwo! Ciekawe, ile tego węgla się przy tym robi? Może by tak zająć się produkcją na skalę przemysłową, założyć tu fabrykę i eksportować do jakiejś antycznej, zacofanej cywilizacji?!

Zbieżność rzeczywistości z moim snem była, jak na początek, zastanawiająca i nieco dziwna. Nie przejąłem się nią jednak specjalnie... aż do lądowania. Przesiadłem się do lądownika w piętnaście minut później, gdy „Panta Rhei” dryfowała już po orbicie parkingowej. Pozostała daleko za moją lewą burtą, migając czerwonymi światłami pozycyjnymi i zrobiło mi się jakoś smutno. Choć cztery dni to zbyt krótki okres, żeby się do kogoś, a tym bardziej czegoś, przywiązać. Nie było to nawet uczucie smutku w pełni, lecz coś trudno zdefiniowanego, jakbym żegnał się z nią na długo. Mówiąc przenośniami, nie wyglądało to na zwyczajne „do widzenia”, kiedy z kimś bliskim rozstajemy się na kilka godzin, ale na przeciągłe „żegnaj”, które ma starczyć na lata rozłąki. Po kilku sekundach światła zniknęły niczym kamfora, a chwilowy nastrój prysnął. I to do tego stopnia, że trudno mi było uwierzyć, iż w ogóle istnieje jakaś moja rakietka i że krąży tu blisko.

Postanowiłem zatoczyć jeszcze kilka zacieśniających się spiral, zanim zdecyduję się na lądowanie. Wydałem pokładowemu inforowi polecenie śledzenia każdego śladu, który by można uznać za nienaturalnego pochodzenia, w tym szczególnie gdyby natrafił na trop człowiekowatych.

– Jest, jest! – krzyknął infor, gdy nawracaliśmy po raz kolejny.

– Co?

– Ogień. Po nocnej stronie terminatora.

– Może od pioruna?

– To kilka ognisk blisko równika; równoleżnik 0–00–15, południk 375–16–97

– Ląduj! – rozkazałem. – Jakiś kilometr od nich.

– Tak jest – wydukał niepewnie infor swym sztucznym tenorem. – Czy na ciemnym ciągu?

– Jasne!!! Chyba nie chcesz, tępaku, żeby nas od razu dostrzegli?!

– Oczywiście – odpowiedział infor nieco sycząco i wyłączył się. Za to zapłonęły ekrany sekcji lądującej i po minucie z łagodnym wstrząsem zaryliśmy się między dwoma wzgórzami, wznosząc niewielki obłok pyłu. Spowodowaliśmy tylko nieznaczny ruch podłoża, który strącił kilkanaście głązów w przepaść. Jak na masę tysiąca ton, manewr nie został przeprowadzony wcale źle, choć widziałem dużo elegantsze upadki. Maszyny naprawdę wysokiej klasy potrafią dziś przy dziesięciokrotnie większej masie usiąść jak piórka w dużo trudniejszym terenie. Oszwabili mnie na Transplutonie, nie da się ukryć. Wziąłem na plecy swoje trzecie płuco, jednym bolesnym wkłuciem włączyłem je w krwiobieg, do kieszeni notatnik, parę landrynek na wszelki wypadek i rzuciwszy przez ramię: – Maskowanie! – zeskoczyłem na twarde grunto planety CO₂.

Musiałem odczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. W duchu cieszyłem się, że przynajmniej księżyc nie może tutaj wzejść, bo go po prostu nie ma. Powoli, by nie upaść na usianym skalnymi odłamkami gruncie, ruszyłem w górę niecki. Podejście stanowił ostry stok i po kilkunastu krokach już się zasapałem.

Mimo tego musiałem włączyć ogrzewanie, gdyż poczułem dreszcze, chyba od chłodu. Cóż to też mogły być za ogniska? Czyżby „Światem Fantastycznym” zarządzało kolegium troglodytów, co ledwo parę lat temu zeszli z gałęzi?! A może to jakiś kamuflaż i pułapka?! Próżno było zawracać sobie głowę przypuszczeniami. Zbyt mało danych, choć w przypadku tak doświadczonego intuicjonala jak ja, i poważniejszy niedomiar informacji nie mógł stanowić naprawdę zasadniczej przeszkody.

Obejrzałem się za siebie i z satysfakcją stwierdziłem, że pokładowy infor dobrze wypełnił zadanie. Rakiety ani śladu, za to pośrodku kotliny wyrosła w parę minut ostra, chropowata skała odcinająca się wyraźnie swym spiczastym wierzchołkiem od rozgwieżdżonej tafli nieba.

Do krawędzi, za którą zaczynał się płaskowyż, dotarłem niemal na czworakach, za to w świetnym humorze. Przykręciłem lekko zawór, bo euforyczny nastrój musiał mieć związek z nadmiarem tlenu dostarczanego mi przez działający bez zarzutu aparat. Ledwo przekroczyłem ostatni zrąb łatwo osuwającego się w dół gołoborza, a już odezwał się ten kretyński, półgłupi mózg elektronowy.

– Ważna informacja – zaskrzeczało mi przy uchu. – Ich namiar się odezwał. Są półtora kilometra na północny zachód od nas. Ale ich urządzenie plecie nieprawdopodobne bzdury! Nie mogę sobie poradzić! To jakiś mechaniczny wariat!

– Zamknij się! – ofuknąłem go. – Sam jesteś wariat! Czy muszę ci przypominać, że przy takich akcjach obowiązuje absolutna cisza w eterze?! Chcesz mi ich ściągnąć na głowę, zanim postawię pierwszy krok?!... Na jakiej fali nadają?

– Długość 1322 m, średnie 760 m, UKF 65, 66 i 67 metrów.

– W porządku. I nie waż się odzywać aż do odwołania. Twoja

rola to otworzyć drzwi, kiedy będę wracał. Hasło: Sezamie, otwórz się. Zrozumiano?!

Wysłuchałem się w trzaski, ale odpowiedziała mi tylko cisza.

– Co się z tobą dzieje?! – wrzasnąłem zaniepokojony.

– Przecież miałem się nie odzywać do końca akcji – powiedział po dalszych denerwujących sekundach ciszy obrażony infor.

Co za idiota! Jeszcze parę dni z nim popracuję i będę musiał się udać do jakiejś zacisznej lecznicy, żeby podreperować nerwy! Nie powiedziałem już jednak nic, żeby nie prowokować niepotrzebnego hałasu w eterze. I pomyśleć, że ta kupa kretyńskiego metalu pomieszanego z plastykiem o innej, takiej samej kupie, która się wydziera na 1322 metrach potrafi powiedzieć, że jest zwariowana?! Prawdę mówiąc miałem już wiele okazji, by się zapoznać z tą stroną natury naszych usługowych automatów. Chyba dlatego ich nie cierpię, że są tak głupio zarozumiałe. Trzeba mu będzie zrobić porządny przegląd, bo pewnie bezpiecznik musiał puścić. Bezpieczniki to ich najsłabszy punkt. Taki drobiażdżek robi fuk! i już delikwent zaczyna się mądrzyć i robić głupstwa.

Przez paręset metrów szło mi się lekko. Lita skała przekształciła się stopniowo pod moimi stopami najpierw w piasek, a potem w twardą, nieurodzajną glebę. Posuwając się w dalszym ciągu na północny zachód, zauważyłem ze zdziwieniem, że z tego klepiska coś z rzadka wyrasta. Niewielkie kępki, zupełnie czarne na tle granatu nocy. Kępki te w miarę dalszego marszu stawały się coraz wyższe i gęstsze, a odstęp między poszczególnymi krzaczkami stale malały. Po następnych kilku minutach, w czasie których nie ustając w pochodzie bardzo uważnie śledziłem rozwój sytuacji, byłem

zmuszony się zatrzymać i zastanowić nad tym, co zobaczyłem. Pochyliłem się nad pobliskim krzewem i złapałem w palce jego falbaniasty liść. Był wilgotny, miękki, porowaty i frędzlasto pofałdowany. Tak... Przetarłem spocone czoło i poczułem dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Teraz miałem pewność. Ale co to, u diabła, wszystko razem może znaczyć?! Jak nieraz w swej karierze, znów stanąłem przed zadziwiającym faktem – mój sen sprawdzał się. To były porosty! Cały płaskowyż, aż po horyzont, stał pokryty lasem coraz gęstszych i wyższych porostów! Usiadłem. Nie, nie z wrażenia, raczej dla odpoczynku. Poza tym powinienem był, idąc za wskazaniem świętej pamięci profesora Fairsightera Pierwszego, surowego wykładowcy w moim akademickim, niezbyt udanym kursie jasnowidzenia, dokonać właśnie teraz bardzo wnikliwej introspekcji. Tak też zrobiłem. Jak się miał mój proroczy, jasnowidczy sen do rzeczywistości? Czy w poprzedzającym go czasie zdarzyło się cokolwiek, co mogłoby być sygnałem wywoławczym pewnych utajonych we mnie, bądź w moim bezpośrednim otoczeniu, informacji? Jeśli nie, to jak to się stało, że zastany przeze mnie pejzaż tak dokładnie pokrywa się z tamtym wyśnionym?

Na razie mogłem stwierdzić tylko, że do obecnej chwili pejzaż snu jest identyczny z rzeczywistością CO₂. Nie potrafiłem sobie uzmysłwić, czy w okresie poprzedzającym sen cokolwiek mogło na mnie wpłynąć w ten sposób, że taki kształt sennego marzenia stał się nieunikniony. Należało stwierdzić, że raczej nic takiego nie zaszło, ale też nie można było wykluczyć zupełnie podobnej ewentualności. W końcu moje życie trwało dostatecznie długo, bym mógł na przykład przypadkiem w jakiejś kawiarni czy w filmie popularnonaukowym usłyszeć coś o CO₂, czego nie potrafiłem w tej chwili odpamiętać. W każdym razie jeszcze parę

godzin przed zaśnięciem nie miałem pojęcia, że uprzykrzona redakcja znajduje się właśnie na CO₂, nie miałem także pojęcia, gdzie CO₂ leży, ani tym bardziej, jak może wyglądać! Czy fantasmagoria i rzeczywistość będą zbieżne do końca?! Jeśli tak, to czekały mnie nie lada przykrości. A jeżeli nie? Siedząc tutaj, tego się nie dowiem. Czy mogę zrezygnować, być może krok od celu, ze sprawdzenia swych przypuszczeń?! To nie miałoby sensu. W powyższej sytuacji trzecie pytanie traciło znaczenie. Nawet jeśli ktoś w czasie snu bez mej wiedzy mnie na CO₂ teleportował (mało prawdopodobne) lub jeśli hipnopedycznie cudem (jakim – nie wiem) podsunął mi jej obraz i zasugerował stan emocjonalny, by zwabić mnie w pułapkę, to zawsze istniała, zgodnie z trzecim prawem metamatyki, szansa pokrzyżowania mu planów. Z drugiej strony, jaki mógłby mieć cel w tym, by mnie uprzedzić o spisku i spowodować me przedwczesne wycofanie się z akcji, powrót do lądownika, ucieczkę z CO₂?!!! Nie. To raczej moja genialna intuicja wtrąciła tu swoje trzy grosze. Zwyczajna jasnowidcza projekcja wywołana skupieniem całej siły „chi” na nurtującym mnie problemie! Jeżeli zaś tak jest, to nie powinienem się bać. Raczej powinienem być z siebie dumny!

Wstałem, prostując z godnością plecy, i rozejrzałem się dokoła. Panowała grobowa cisza. Wiatr od czasu do czasu pochylał korony co wyższych porostów. Ruszyłem przed siebie i nastroiłem peleng na częstotliwość obcej stacji. – Nie są znowu takimi troglodytami, skoro mają radio, i nie zaszkodzi posłuchać, co też mają do powiedzenia. – Mimo że ściszyłem odbiornik do granic możliwości, gdy tylko strzałka ustawiła się we właściwym miejscu skali, rozległy się dzikie wrzaski. Wyglądało to na jakąś idiotyczną audycję reklamową i w duchu

musiałem się zgodzić z opinią mojego inforu na temat jego ceońskiego pobratymca. – „Najważniejszym barwnikiem dla fotosyntezy jest chlorofil A!!!” – krzyczał głos w eterze – „Wynika to chociażby z faktu, że barwnik ten występuje u wszystkich organizmów fotoautotroficznym z wyjątkiem bakterii purpurowych!!! Natomiast chlorofilu B brak całkowicie w niektórych grupach glonów! Zdecyduj się! Wybór zależy wyłącznie od ciebie! Pamiętaj, że nasza dziejowa misja nie może być odkładana w nieskończoność!!!... A teraz podaję wiadomość na życzenie: Z okazji dziesiątej rocznicy pobytu i dwudziestej piątej rocznicy uczestnictwa w naszym wspaniałym ruchu najserdeczniejsze pozdrowienia dla Reia Furra Łapsa przesyłają weseli chłopcy z jego patrolu... A teraz muzyka!!!” – rozległy się dźwięki jakiegoś krakowiaczka. – „I pamiętaj” – zajęczał zmysłowo głos. – „Warunkiem wykorzystania przez roślinę pochłoniętej energii promienistej jest przekształcenie jej w formę potencjału chemicznego. Z jednej strony chodzi tu o wytworzenie potencjału między wodorem a tlenem, z drugiej zaś o zmagazynowanie energii w wiązaniach APT... I na tym kończymy muzykę. Jest trzecia trzynaście. Znaczą trzynaście minut po trzeciej!!! Komunikat wizualizacyjny: W najbliższym kręgu brak formacji fantomatycznych. Mimo tego wskazana jest najwyższa ostrożność! Możliwe lokalne zaburzenia. Strzeż się wroga!!!... I jeszcze: W komórce żywej fluorescencją wykazuje tylko chlorofil A – Chcesz świecić nocą?! Czekamy”...

Wyłączyłem ten bełkot. Najwyższy był zresztą czas po temu, bo jak ustaliłem, musiałem się już znajdować najdalej czterysta metrów od miejsca, gdzie wykryliśmy z orbity ogniska. Nie było ich wcale widać.

Pewnie skryły się za szczelną zasłoną nieprzyjemnie

szeleszczących, porowatych krzaków. „Czy nie jest tak – pomyślałem nagle, a była to jedna z tych myśli, które przelatują człowiekowi przez umysł niczym błyskawica – że te porosty faktycznie są myślące, że to one między sobą prowadzą tę paplaninę o chlorofilu? Wtedy tekst, który do mnie dotarł, nie byłby tak całkiem pozbawiony sensu! W moim, nie waham się użyć słowa, proroczym śnie porosty myślały, jednakowoż nie nadawały audycji radiowych, i to na wszystkich pasmach. Łącznie z namiarowym, za pomocą którego nawiązuje się przecież pierwszy międzycywilizacyjny kontakt z gospodarzami planety. Tak jest w całej oświeconej części galaktyki. Na tej jasnej mapie galaktyki trafiały się także ciemne plamy. CO₂ nie wyglądała na członka cywilizowanego świata, raczej na jakąś izolowaną kulturę. Przy tym była jednak na tyle znana i rozpoznana, że figurowała w moim bądź co bądź starym kosmoatlasie, a nawet wymieniono tam jej stolicę. Tylko że tej stolicy nigdzie jakoś dostrzec nie mogłem, ani z pokładu „Panta Rhei”, ni później przy rozpoznaniu planety z lądownika. Poprzednia pewność, że podejmuję właściwą decyzję, ruszając na spotkanie z nieznanym, ustąpiła miejsca wahaniu. A jeżeli to jednak pułapka?! Jeszcze jest czas. Zawsze można się wycofać!

– Ręce do góry! Nie ruszać się!!!

Stałem w miejscu i cała krew odpłynęła mi z mózgu, tak że odjęło mi mowę na dobrych parę sekund. Jakiś zwalisty cień wytoczył się naprzeciw mnie zza najbliższego krzaka. Nie mógł to być porost, tyle do mnie dotarło.

– Kto idzie?!!! – rzucił ochryplym głosem, wyciągając w moim kierunku lufę, która błysnęła złowieszczo. – Kto idzie, pytam?! Bo jak ci zasunę!!!... – szcęknął odwiedziony kurek.

„Więc na wycofanie się bywa jednak czasami za późno” –

skonstatowałem z niesmakiem.

– To tylko ja – słaby okrzyk wydobył się ze mnie pod wpływem nagłego przestrawienia.

– Ja?! – wychrypiął z szyderstwem. – Jaki ja, ty cholerna płaszczko?! Ty kupo oślizgłego gnoju! Maso bezrozumna! Hasło! Podaj hasło, ofermo!

– Ha ... hasło? – wydukałem. – Se... se...

– He?! – ryknął zdenerwowany. – Głośniej!

– Se... Sezamie...? – odezwałem się nieśmiało ni twierdząco, ni to pytająco.

– Gównu – powiedział rozwlekłe i bez złości. – Chciałeś oszukać Reia Łapsa?! To ci się nigdy nie uda, ty rybi pomociu. Kupo ikry bezwładna! W imieniu prawa...

– ...Prawa?! – wpadłem mu niegrzecznie w słowo. – Jak pan śmie mówić o prawie? To, co tu się dzieje, od początku do końca jest bezprawne i oszukańcze!

– Aaa, to już zależy od punktu widzenia – oświadczył z niezmaconym spokojem kolos, który sam siebie nazwał Reiem Łapsem. – W każdym razie, aresztuję cię, ty krzyżówko jesiotra z delfinem. Rzuć broń!

– Broń?! Nie mam broni.

– Zobaczymy. – Człowiek zrobił krok w moją stronę, a ja wiedziony ciekawością nieopatrznie sięgnąłem do kieszeni na piersi, by wydobyć stamtąd... Lecz w tym samym ułamku sekundy padł strzał! Poczulem gorąco na policzku, jakby podmuch z hutniczego pieca, i przewróciłem się na ziemię z okrzykiem przerażenia: – Nie strzelać! Nie strzelać!!! – wrzeszczałem. – Ja tylko chciałem sięgnąć po okulary!!!

– Okulary? Ty zgniły śledziu. Już ja znam te wasze sztuczki. Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał! Aleś mnie nastraszył. – Otarł

pot z czoła.

– Nie słyszałem. A poza tym proszę mnie nie nazywać tymi ohydnyimi przezwiskami! – Również obtarłem czoło. – Nie dość, że obrażacie mnie na łamach gazet, to jeszcze w takiej sytuacji nie potraficie sobie darować.

– Dobra, dobra. Nie gładź. Wstawaj. Idziemy..

Podniosłem się i otrzepałem ubranie z kurzu. Poprawiłem plecak. Ruszyliśmy, Rei Furr kazał mi iść przodem, o jakieś pięć kroków, i nie spuszczał ze mnie muszki swego karabinu. Dłuższy czas posuwaliśmy się w milczeniu. Pierwszy odezwał się mój oprawca:

– Co tam nosisz za garb na plecach, ty wszawa rybo?

– Dlaczego uparcie mnie pan znieważa porównaniem do tej gromady wodnych kręgowców? – nie wytrzymałem. – Czyż nie widzi pan, że mam dwie nogi?!

– Nie krzycz. Nie krzycz. Wy, ryby, myślicie, że my, ludzie, jesteśmy głupi, ale sam nie wiesz, jak bardzo się mylicie! Jeszcze się z wami rozprawimy! Masz szczęście, że jestem dziś w dobrym humorze, bo mam urodziny i kilka rocznic. Inaczej od razu strzeliłbym ci w ten paskudny pysk, ani byś zipnęła! Tak Rei Furr Łaps postępuje z rybim pomiotem.

– To jakaś pomyłka! Nie jestem żadną rybą. Niczym się od pana nie różnię, to chyba widać na pierwszy rzut oka!

– Spryciarz z ciebie. Nie przystawaj – powiedział, popychając mnie kolbą naprzód. – Ale mnie nie natniesz. Dobrze słyszałem komunikat. Lokalne zaburzenia wizualizacji. Chciałeś to wykorzystać i mam cię. Czujność. Czujność to nasz pierwszy obowiązek!

– Ja też słyszałem ten komunikat, i, iii... życzenia dla pana też! – nie wiedziałem, śmiać się czy też płakać.

Zatrzymał się gwałtownie.

– Stój! – zakomenderował i znów odwiódł kurek. – I co jeszcze takiego słyszałeś, rybeńko? – odezwał się z fałszywą pieśczętą w głosie.

– Co... co jeszcze? – zająknąłem się, czując, że brnę w jakieś większe kłopoty. – Eee... nic takiego. Coś o chlorofilu A i B.

– Ciekawe – wymruczał do siebie, rozważając coś w myślach.
– Nawet bardzo... No nic. Idziemy.

Ruszyliśmy pośród pióropuszy identycznych niemal porostów. Niebo poróżowiało z lekka. Noc była chłodna. Trzęsło mną jak jesiennym liściem. Co chwilę potykałem się, klucząc między coraz to grubszyimi korzeniami. Prawdę mówiąc, miałem dosyć już tego pospiesznego marszu. Łupanie w kręgosłupie odezwało się ponownie, widać przy gwałtownym upadku, gdy mnie chciał ten dzikus zastrzelić, przesunęły się jakieś kręgi. Nogi ledwo mnie niosły przez tę monotonną, obcą płaszczyznę. Rei Furr sapał za plecami, poszturchiwał mnie od czasu do czasu to kolbą, to lufą. Zorientowałem się po gwiazdach, że musieliśmy minąć miejsce, o które mi chodziło, skręcaliśmy bardziej na zachód. Musieliśmy już przejść ze dwa kilometry. Wkrótce zagon porostów przekształcił się w bór, a dalej w istną dżunglę porównywalną chyba tylko z lasami Strogłona. Trudno byłoby przedrzeć się przez te chaszczce, gdyby nie tunel wyrąbany i zapleciony, którym posuwaliśmy się. Niebo zniknęło teraz zupełnie, szliśmy pochyleni, a kiście mokrych liści chlastały nas po plecach.

Po pewnym czasie znowu nieco się przejaśniło. Wyszliśmy na rodzaj polany i ze zdziwieniem zauważyłem, że przemierzamy ją na wschód. Wychodziliśmy z puszczy. Grunt stawał się coraz twardszy. Najwyraźniej Rei Łaps zataczał kółka,

usiłując mnie zmylić. Wkrótce też rozpoznałem owo nieszczęsne miejsce, gdzie doszło do naszego spotkania. Przez całą drogę nie przyszło mi nawet na myśl, że mógłbym uciekać, czmychnąć gdzieś w krzaki lub rzucić się kolosowi na szyję. Prawdę mówiąc, wynikało to z kompletnego zaskoczenia, nie posiadałem planu, który by przystawał do okoliczności. Postanowiłem się przycziąć. Niech mnie doprowadzi wreszcie dokądś i zobaczymy, co dalej. Kiedy po raz drugi weszliśmy na dawny trop, zapytałem go, dokąd mnie prowadzi tymi zakolami.

– Dokąd?! Za ciekawski jesteś. Ale mogę ci powiedzieć. Do Rady Nadzorczej.

– Rady Nadzorczej? To znaczy do Rady waszej gazety?

– Gazety też, jasna rzecz, ale przede wszystkim Ligi.

– Ligi? To znaczy, że jestem więźniem jakiejś Ligi? A cóż to za liga, można wiedzieć?

– Nie wiesz? Coraz gorzej z wami. Kogo tam szkolicie? Kto was tam szkoli? Coraz większe dziury w szpiegowskim wykształceniu.

– Nie rozumiem?

– Milcz, komiczna kopio żółwia morskiego!

– Bardzo przepraszam – obruszyłem się. – Nie ma we mnie nic z żółwia. A poza tym może pan przestanie wreszcie krążyć w koło i zaprowadzi mnie do kogoś, z kim będę mógł porozmawiać sensownie!

Zmierzył mnie wzrokiem w milczeniu i raptownie zboczył ze ścieżki. Znów byliśmy w gęstym ostępie porostoboru.

Po kilku zaledwie krokach dotarliśmy do czujki. Rei Łaps rzucił przez zęby niezrozumiałe słowo, stanowiące hasło i strażę się rozstały. W asyście dwóch strażników Łaps wprowadził mnie na mały placzyk między okrągłymi parterowymi budowlami

z liści, które musiały stanowić mieszkania tubylców. Na środku placu, właściwie rodzaju udeptanego klepiska, płonęły trzy wielkie stosy. Hm, przechodziliśmy tuż obok dwukrotnie i nie zauważyłem ani śladu płomienia! Mniejsza z tym. Najważniejsze, że wreszcie odzyskałem jako tako jasne spojrzenie. Od chwili spotkania z Łapsem postępowałem jak zamroczony. To zetknięcie wprawilo mnie rzeczywiście w szok. Teraz usiłowałem pozbierać myśli.

Przychodziło mi to niesporo, ponieważ natłok zewnętrznych bodźców jeszcze się wzmógł. Ich poziom musiałby opaść, abym mógł odzyskać w pełni swój dar, a przede wszystkim wyzwolić „chi” z wystarczającej liczby neuronów w głównych splotach. Gdy tak rozmyślałem, prowadzono mnie do ognia. Dojrzałem twarz Reia Furra i całe szczęście, że stało się to dopiero w tym momencie, bo gdyby mi ją ukazał przedtem, to chyba nie wygrzebałbym się z katatonicznego stuporu bez kilku zastrzyków. Gębę miał straszliwie pomarszczoną, w kolorze sinozielonym, wargi przekłute pionowo wielkim gwoździem i przyśrubowane tak, że tworzyła się tylko wąska szczelina. To przez to zamierzone samookaleczenie Łaps nieustannie sapał i świszczął. Z głowy sterczały mu pojedyncze kosmyki splecione w grupki, które przy pewnym wysiłku wyobraźni można było uznać za warkoczyki. Czoło miał wysoko wygolone, a od lewego oka przez nos i prawy policzek biegła głęboka poszarpana szrama, dzięki której miało się wrażenie, że twarz Reia Furra rozpada się na dwie oddzielne twarze, jedną straszniejszą od drugiej. Nad płomieniem, w wielkim kotle warzono jakiś napar, a wokół siedziało pięciu facetów w bardzo przyzwoitych garniturach, skrojonych nienagannie, tak że wydawało się, iż szyl je jakiś metropolitalny krawiec. Jak powszechnie wiadomo,

straciliśmy już prym we wszystkich dyscyplinach nowoczesnego życia, Metropolii pozostało tylko jedno – wciąż dyktowała modę. Z Ziemi pochodzą – według Przewodnika Galaktycznego – najlepsze trunki, najlepsze kobiety i wyroby tekstylne. Nie mogę powiedzieć, żeby przez fakt posiadania tych garniturów sprawiali na mnie bardziej korzystne wrażenie. Wręcz odwrotnie. Byli jacyś bladzi, wychudzeni aż do szarości, a oczy mieli gorejące, chore, kontrastujące tym wyraźniej z resztą fizjonomii, która sprawiała wrażenie martwej. To były oczy zaborcze, oczy krwiożercze, straszne, po prostu fanatyczne i z fanatyzmu nieprzytomne. Najstarszy mógł mi dorównywać wiekiem (lecz z pewnością nie fizyczną formą) i siedział pośrodku, wachlując się gałęzią zerwaną zapewne nie opodał. Pozostali mieli znacznie mniej lat i siedzieli po jego obu stronach symetrycznie, jak dwa nieruchome skrzydła drapieżnego ptaka, który zaraz rzuci się na ofiarę. Reszta mieszkańców była nieobecna, może spali, a może pochowali się gdzieś po kątach. W każdym razie poza mną, trzema strażnikami i tamtą piątką na placu, nie było żywej duszy. Dobrą chwilę staliśmy, gapiąc się bezmyślnie w ogień, nim staruch odezwał się nareszcie piskliwym głosem o nieokreślonej tonacji.

– Co to się stało, Rei, że nie wypełniłeś misji? – zapytał spokojnie, nie oderwawszy spojrzenia od ognia. Rei Furr skurczył się na te słowa i zmieszał, ale szybko odzyskał rezon.

– Złapałem tego oto Płaszczaka, towarzyszu fanatyku Certarionie – wysyczał między zasznurowanymi wargami.

– Czyż nie wiesz, że powinieneś być przejść Wielkie Przeobrażenie?

– Ale ten Płaszczak kręcił się blisko obozu! Skradał się! Nie mogłem dopuścić, żeby...

Staruch przerwał mu zniecierpliwionym gestem.

– Ależ towarzyszu fanatyku Certarionie! – próbował się bronić Rei Furr, pokazując na mnie końcem lufy. – On twierdzi, że słyszał nasz program radiowy, że nie jest rybą i gada jakoś dziwnie. Był nie uzbrojony, ale może być jakimś nowym rodzajem szpiega!...

– ...Zobaczymy, zobaczymy – wpadł mu znów w słowo Główny Nadzorca – na razie odejdz, Reiu Furr. Tyleś dla naszej Ligi zasłużony, co i nierozgarnięty. Zjedz coś i połóż się spać. Wielkiego Przeobrażenia dostąpisz jutro.

W tym momencie jeden z siedzących obok starucha asystentów trącił go lekko w łokieć i coś zaczął mu szeptać na ucho. Trwało to dosyć długo, a wszyscy trwali w tym czasie napięci i milczący, więc milczałem i ja. Na koniec starzec wydał przeciągłe westchnienie, ze smutkiem pokręcił głową i patrzył na Reia Furra zatroskanym, bezbrzeżnie litościwym okiem.

– Z tobą zawsze same kłopoty. Widzisz, co znowu narobiłeś? Towarzysz fanatyk Pinus słusznie zwrócił mi uwagę, że dzisiaj był ostatni dzień trzeciej kwadry. Będziesz musiał poczekać co najmniej rok!

Przez maskowatą twarz Reia przemknął bolesny skurcz i potężne chłopisko w ułamku sekundy zważyło się w pył klepiska, gdzie wiło się, wyjąc i wyło, wijąc się, jakby wyrządzono mu okrutną niesprawiedliwość.

– Nie! – wykrzyknął. – Zlitujcie się! Czcigodna Rado, nie pozbawiajcie mnie tego zaszczytu tak lekko! Ja się poprawię!

Zastanowiło mnie, że ów człowiek zachowuje się tak, jakby podpisano na niego wyrok śmierci albo pozbawiono go ojca i matki oraz całego majątku ciułanego z trudem przez pokolenia.

– Nie rozpaczaj. Wiemy wszyscy, jak bardzo ci zależy

na dostąpieniu zaszczytu Przeobrażenia, ale sam jesteś sobie winien. Miałeś się wszak udać na plantację – mówił przyboczny Certariona. – Zresztą, co się odwlecze, to nie uciecze. Mamy komplet na najbliższych dwanaście kwadr.

– Och, nie, nie, nie!!! – wykrzykiwał bezustannie Rei Łaps, który przypominał teraz zmiętą, włochatą ścierkę samosprzątającą, co w nerwowych podrygach usiłuje zebrać na siebie nawet najmniejszy pyłek z podłoża. – Och, pozwólcie mi się z nimi połączyć!

– Może zwolni się jakieś miejsce – przerwał mu łagodnie Certarion. – A teraz wstań! Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

– Dziękuję ci, czcigodny Główny Nadzorco – Rei zerwał się z ziemi w ułamku sekundy i przypadł do starca całować jego pergaminowe dłonie.

– Nie trzeba, nie trzeba – certolił się staruch, ale było widać, jak mu to pochlebia.

Obserwowałem całą tę scenę z narastającym zdziwieniem, bowiem nigdy żem nie przypuszczał, iż tak mogą wyglądać stosunki między naczelnym redaktorem a jego pracownikami w jakiegokolwiek redakcji we wszechświecie. Gdy tylko Rei odszedł, zaraz ochoczo zabrano się za mnie. Nie miałem już więcej czasu na myślenie, wypadki zaczęły się toczyć szybko.

– A ty, Płaszczaku? – Certarion wymierzył w mą pierś swym kościstym palcem. – Podejdz bliżej i opowiedz, kim jesteś lub za kogo się podajesz. Jestem Głównym Nadzorcą Przeobrażenia. Zwracaj się do mnie tak, jak to już słyszałeś. Czegoś tu szukał? Twoi mocodawcy znów prą do waśni?! – zmarszczył groźnie czoło. – Zdaje się, że dawno nie dostaliście łupnia. Trzeba wam odświeżyć pamięć!

Postąpiłem krok do przodu.

– Ja nic nie wiem. Jestem geologiem – skłamałem bez zająknięcia. – Zamierzałem zbierać próbki skał, ale właśnie, kiedy wyszedłem na rekonesans, złapał mnie ten drab – pokazałem w kierunku niknącego we wnętrzu jednej z lepianek Reia Łapsa. – Zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi. I nie chcę rozumieć. Chcę tylko zbierać kamienie. Mam nadzieję, że mnie wypuścisz?! – Strażnik, nim jeszcze skończyłem, dał mi tak potężnego kuksańca, że w oczach stanęły mi świczki. Natychmiast przypomniałem sobie o koniecznej formule i dodałem pospiesznie z niskim ukłonem – Towarzyszu fanatyku, Główny Nadzorco Przeobrażenia Certarionie.

– Geologiem, powiadasz?! – zaskrzeczał Główny Nadzorca. – Przeszukać go!

Nim się obejrzałem, już mnie rozciągnięto na ziemi i strażnicy sprawnie opróżnili mi kieszenie z landrynek i zabierali się do otwierania plecaka.

– Nie ruszać plecaka! – wrzasnąłem w panice, że mnie zaraz od mego płuca odłączą. – To sztuczne płuco!

– Czekajcie! – rozkazał strażnikom jeden z młodszych facetów w garniturach i szybkim krokiem zbliżył się ku nam. Przez moment lustrował urządzenie, po czym podniósł się z klęczek i otrzepał kurz ze spodni. – Rzeczywiście sztuczne płuco. – Zostawcie zatem. Pokażcie, coście tam znaleźli – powiedział staruch Certarion. Postawiono mnie z powrotem na nogi i jeden ze strażników, niczym relikwie, złożył landrynki u stóp Nadzorcy. Tamten przyjrzał się im uważnie najpierw z lewa, potem z prawa, z dołu i od tyłu, potem powąchał, odkaszlnął i polizał jedną.

– Geologiem, tak? – kiwnął głową i znowu kiwnął, i jeszcze raz, jakby to był nerwowy tik. – Jak na geologa, bratku,

to skromny masz sprzęt. Niewiele tego, he?! Te skały zamierzałeś chyba łupać ciosami karate!

– A na próbki nawet plecaka nie ma, bo przez płuco cały zajęty – odezwał się przyboczny. Główny kiwał głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Powiedz no mi, jakżeś tu przybył? – wycedził z nieprzyjemnie złowróżbnym akcentem pomiędzy jednym skłonem głowy a drugim.

– Rakieta jest na orbicie planetostacjonarnej. Sam przyleciałem na przyspieszaczach, towarzyszu fanatyku. Zostawiłem je w skałach. Niedaleko.

– Na przyspieszaczach! Aha?! – przyboczny zwany Pinusem zerwał się gwałtownie i tupnął nogą, aż się tuman wzbił. – Kłamie! Bez przerwy kłamie!!! A podobno słyszałeś naszą audycję, a radia przy tobie nie ma, a wniosek z tego – nie przyspieszaczem przyleciałeś, a co najmniej statkiem lądowniczym, co? Bobyś inaczej bez odbiornika ani nas nie namierzył, ani słuchać a nie mógł, a tak kiedy masz statek, a to on za ciebie i słucha i prosto ci w uszy sączy, a czy nie tak?!

Wzruszyłem ramionami.

– Ja nie kłamię, towarzyszu fanatyku Certarionie – zwróciłem się z miną niewiniątka w kierunku starca.

– Coś mi mówi, że to nowy wybieg Płaszczek – odezwał się milczący dotąd czarnobrewy osobnik wyglądający, jakby wampiry przed chwilą wyssały z niego całą krew.

– Nie sądźmy pochopnie – skontrował go natychmiast taki sam, lecz jasnowłosy wymoczek siedzący po przeciwnej ręce Nadzorcy. – Trzeba zrobić testy!

– Spokój. Spokój. – Starzec wyciągnął przed siebie ręce, nakazując im gestem ciszę. – Testy? Zastanowimy się. Możemy

to odłożyć do jutra. Zwłaszcza że zupa się dogotowuje, a głód mi doskwiera.

– A racja – gorliwie przytaknął Pinus. – A mnie też głodno, a zupa czeka, aha?!

Pomruki aprobaty dobieły się z krtani pozostałych suchotniczych asystentów.

– Wezwać Reia Łapsa! – Rei Furr Łaps zjawił się w pół sekundy, a tak się spieszył, że w drodze wycierał usta rękawem, a z ust nie zdążył nawet wyjąć rurki.

– Przepraszam, bracie fanatyku, że ci przerwałem posiłek – odezwał się Nadzorca. – Ale tyś go przywiódł, ty się nim musisz zająć. Jutro podejmiemy dalsze kroki. Teraz weź go i zamknij w oddzielnym areszcie! – Rei Furr wyprężył się służbiście i zaraz popchnął mnie karabinem ku jednej z chatek. Szedłem ze zwieszoną głową. Głodno mi było i zimno. Sprawa zdawała się być przegrana. Wpadłem w sidła opryszków, którzy działali na czyjeś zlecenie, a całe to pismo i redakcja to był tylko kamuflaż i trik, co mnie miał za zadanie w pułapkę zwabić.

– Coś skapcianiałeś, rybo – odezwał się Rei Łaps, gdyśmy weszli w cień chatki.

– Głodny jestem i spać mi się chce – powiedziałem

– Spać? Kpisz sobie! Przecież wy możecie bez snu całe życie przebąblować – obruszył się Łaps. Ale wyczułem w tym oburzeniu nutę szyderstwa.

– Żarty na bok! – wkurzyłem się. – Nie wiesz, że się nie kopie leżącego?! Jestem człowiekiem, rozumiesz?! Przestańcie robić ze mnie wariata i wreszcie skończcie z tą zgrywą. Powiedzcie, czego chcecie, albo od razu dajcie mi kulkę w łeb i po krzyku! Przynajmniej może się dowiem, kim naprawdę jest ten facet, kim ty jesteś, kto mnie oszwabił?! Nie uważasz, że tego wymaga

podstawowa uczciwość, żeby wyjaśnić skazańcowi przed egzekucją, kto go wykończył?!

– Aleś nerwowy. Coś się tak uparł?! Przecież mówiłem. To jest Główny Nadzorca i Rada Nadzorcza. Oni kierują całą Ligą Przystosowania i Kolonizacji za Wszelką Cenę. Wioska nazywa się Zielone Sioło i jest jedyną ludzką osadą na całej planecie. Ja jestem zwykłym szeregowcem i przez ciebie, ścierwo, nie dostąpiłem dziś zaszczytu Przeobrażenia!!! – zamachnął się, a usta znów wykrzywiły mu się w koszmarnym grymasie. Odruchowo zasłoniłem głowę rękami, ale się powstrzymał i jął otwierać kłódkę z drzwi.

– Zaraz, zaraz! – wyszeptalem oszołomiony. – Więc jestem w rękach Elpikowców?!

– Zgadza się.

– A co Liga Przystosowania ma wspólnego z magazynem „Świat Fantastyczny”?! Wynajęli was, żeby mnie zamordować?

– „Świat Fantastyczny”? Pierwsze słyszę. Nasza gazeta nazywa się „Wielki Przemienieniec”.

– Więc to nie jest stolica Chchlor? – teraz dotarło do mnie, że nazwał osadę Zielonym Siołem.

– Zamknij dziób, cherlawy potomku płetwala i płotki! – rozsierdził się nagle Rei. – Żartów mu się zachciewa! Ryba przebrzydła. A już nawet myślałem, żeś może człowiek, już prawie dałem temu wiarę!!! Ma rację towarzysz fanatyk Certarion, z rybami jak ze śmierdzącym jajem, lepiej obchodzić z daleka, a jak co, od razu w łeb, byle w dyskusję się nie wdać, bo zaraz cię skołują! Właż do środka!!! – brutalnie pchnął mnie w niski otwór i zatrzasnął drzwi plecione z liści. Na środku pomieszczenia o powierzchni nie większej niż pięć metrów kwadratowych, obramowanego ze wszystkich stron liściastymi

ścianami i takimż sufitem od góry, stał pień z łańcuchem. Tam też przykuł mnie włochaty Rei Furr Łaps. Próbowałem jeszcze nawiązać z nim rozmowę, by się chociaż dowiedzieć, czy to w rzeczy samej CO₂, czy też zdezelowany komputer „Panta Rhei” w ogóle wywiódł mnie na manowce. Jednak spojrzawszy sponad szramy tak groźnie, że zamilkłem czując, iż całość mych członków poważnie może być zagrożona. Po godzinie przyniósł mi miskę zupy i postawił na ziemi w milczeniu. Zjadłem ją z apetytem, chociaż pachniała jakoś słodko i odurzająco, i zaraz po niej zasnąłem.

Tak to, moi drodzy, znalazłem się nagle w sytuacji nie do pozazdroszczenia: na CO₂ z dwutlenkową atmosferą, pomiędzy Elpikowcami, przed którymi drżały handlowe karawele oraz pasażerskie transgalaktyki, którzy to Elpikowcy na dodatek ubrdali sobie, że jestem rybą (skąd? dlaczego? po co?!!!) i z obsesyjną konsekwencją przez najbliższe dni usiłowali mi tego dowieść. Kiedy zbudziłem się następnego słonecznego ranka, o dziwo wypoczęty i zadowolony, nawet nie przypuszczałem, jak straszliwe męczarnie zgotuje mi przewrotny los w tej ostatniej międzygwiazdnej ekskursji, w najdziwniejszej chyba misji, jakiej się podjąłem na koniec przebogatej kariery intuicjonała. Tego dnia nie działo się ze mną zupełnie nic, oczywiście nie licząc stanów wewnętrznych rozpacz, rozdarcia, osamotnienia, poczucia klęski oraz sromoty. Przez prześwity międzylistne mego więzienia mogłem obserwować poranny ruch na placu apelowym. Stwierdziłem, że kolonia jest wcale liczna, chyba dobrze ponad setka ludzi, zupełnie niewidocznych wczorajszej nocy. O świcie zebrali się wszyscy, gdy słońce było poniżej wierzchołków krzaczastych porostów, i po krótkiej wymianie zdań rozbiegli się we wszystkich możliwych

kierunkach. Być może na polowanie albo coś podobnego. Rei Furr wrzucił mi tylko miskę z kolejną porcją zupy i pognął za innymi, nie chcąc zamienić nawet słowa. Co było dalej, nie wiem, gdyż znów zasnąłem.

Obudziłem się, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, ale plac apelowy nadal był pusty i najmniejszego ruchu nie dostrzegłem przy innych chatach. Miałem więc nieco czasu na rozmyślenia. A było nad czym pomyśleć. Kto nie słyszał o Elpikowcach, ten nie potrafi zrozumieć strachu, jaki poczułem, gdym się dowiedział, że jestem zdany na ich łaskę.

Któż zresztą mógł o nich nie słyszeć, tylko chyba ktoś, kto w ogóle nie czytuje prasy, nie ogląda HV, nie odbiera przekazów enemo, ani nie ogląda filmów, nie bywa w realonie bądź na towarzyskich przyjęciach. Swego czasu nieustannie paplano na ich temat, słowem musiałyby taki ktoś być jakimś współczesnym Robinsonem, odludkiem i mizantropem. Można się było w każdym razie spodziewać po nich najgorszego, jako że Liga słynęła ze swego fanatyzmu. Niejeden raz i na niejednej planecie ludność w biegu historii wszechświata miała okazję przekonać się, do czego prowadzi fanatyzm i zaślepienie nierealizowalnym dogmatem lub gorzej, wymysłem pozbawionym jakiejkolwiek logicznej podstawy. Przeważnie owe dogmaty poparte były jedynie przemocą tyranów, bronią palną, torturami i kneblującą usta przeciwnikom propagandą. Z tego, com wiedział o ich naczelnej idei, a także historii, wynikało, że w tej chwili to dziwaczne „plemię”, musi liczyć co najmniej trzy miliardy istot rozsianych po najdziwaczniejszych zakątkach Galaktyki. Akcje bojowe tej grupy dotyczyły kiedyś wielu planet i prowadzone były z wielkim rozmachem. Plemię owo wywodziło się od okrutnych eksperymentów zapoczątkowanych

kilka wieków temu, gdy nikomu się nie śniło poza grupką niepoważnych fantastów, że możliwe będzie kiedykolwiek przystosowanie do egzystencji człowiekowatych, wielkich jałowych planet. W czasach, kiedy Liga się zawiązała, możliwości człowieka były w tej materii bardzo ograniczone. Dlatego też, co każdy dobrze wie z podstawowego kursu Historii Nowej, Nowszej i Najnowszej, kolonizowano głównie te planety, które nie wymagały przystosowania. Było ich pod dostatkiem i proces ten trwał całe wieki. Ale Elpikowcy nie mieli wcale na celu poszukiwania nowych, dogodnych do życia terenów. U sedna ich filozofii tkwiło przekonanie o wyższości człowieka ziemskiego nad wszelkim żywym galaktycznym stworzeniem. Kierowała też nimi chęć niepodzielnego zawładnięcia wszystkimi, nawet najbardziej niedostępnymi człowiekowatym, zakamarkami galaktyki. W pewnym momencie mieli oni olbrzymie poparcie, można powiedzieć, że byli modni, a liczba członków Ligi sięgała wtedy bilionów. Potem zaczęto się z niej masowo wypisywać. Po cóż miano się w bolesnych eksperymentach, niekiedy z wątplym skutkiem, wyzbywać ludzkiej powłoki, gdy można już było niemal każdy glob poddać żądanej obróbce i uzdatnić go do bytu najwygodniejszego. Wkrótce doszło też do ideologicznego rozłamu, który ostatecznie pogrzebał Ligę pod zwałami dobitnie wykazanego nonsensu i przyprószył kurzem zapomnienia. Skrzydło Umiarkowanych doszło do wniosku, że daleko idące przemiany fizjologiczne, które przy przystosowaniu „za wszelką cenę” są niezbędne, w gruncie rzeczy człowieka odczłowieczają. Tak więc naczelny cel: Wszechświat dla człowieka ziemskiego – nie będzie nigdy spełniony. Cóż bowiem z człowiekiem ma wspólnego metanidyczny pulsopław przysposobiony do nędznej półrozumnej wegetacji na zlodzonych planetach

o wielkich masach, czy projektowany (nigdy podobno nie zbudowany – nie przekształcony zgodnie z elpikowską nomenklaturą) falopylon – osobnik, co miał zasiedlać samą próżnię, przestrzeń międzyplanetarną. Umiarkowani zaprzestali więc swej działalności i rychło na placu boju pozostali jedynie ekstremiści, gotowi na wszystko i rzeczywiście za wszelką cenę.

Nie ulegało wątpliwości, że to w ich łapska (raczej w łapska Łapsa) się dostałem, bowiem innych już w galaktyce nie było. Teraz zrozumiałem wreszcie, dlaczego mogą oddychać powietrzem tutejszym i czemu tak bladozielonkawe mają oblicza. Tylko co oni tu, u diabła, robili i dlaczego uparcie kreowali mnie rybą albo płaszczakiem?! Czyżby z jakimiś rybami mieli spór? Albo to może rodzaj poniżającego zawołania, skierowanego do niewtajemniczonych? Pozostawało także otwartą kwestią, co w stosunku do mnie zamierzają. Śmierć nie byłaby wcale w tym przypadku najgorszym wyjściem. Znacznie gorsze mogłoby być przymusowe Wielkie Przeobrażenie w jakiegoś ćwierćświadomego mikroba, meduzę, albo!... albo w roślinę!!! Nie! To niemożliwe – włosy stanęły mi dęba, a ciało pokryło się gęsią skórką. Zerwałem się ze swego miejsca, zapominając o łańcuchu, który mnie samoczynnie na powrót przy pniaku osadził. – A jednak! Wreszcie w całej pełni pojąłem sens usłyszanej przypadkiem audycji i tego bełkotu o chlorofilach, i tych zachęt, którymi była najeżona. Porosty, porosty, porosty! Pułapka – oto co cisnęło mi się do mózgu. – Porosty!!! Jakiś okrutny przeciwnik wepchnął mnie z całą premedytacją w ich ręce, podstawiając fałszywy adres redakcji „Świata Fantastycznego” do centralnego rejestru czasopism. Ten ktoś posunął się jeszcze dalej, wykazując przy tym niemały spryt! Nie ulegało mej wątpliwości, iż cykl artykułów w tym ohydny

miesięczniku miał być jedynie zapłonem, zapalnikiem, który mnie, znanego w galaktyce z aktywności, do działania podpali, a wtedy już sprawa będzie prosta – dotrę na CO₂ i sam się wpakuję w ręce bestii, co mnie zabiją bądź raz na zawsze przedzierzną w monstrum niemające w ludzkim świecie prawa głosu i niemogące w żadnym wypadku liczyć na jakikolwiek posłuch! Tak. Wtedy dopiero dobiorą się do mnie naprawdę. Będą mnie lżyć bezpiecznie, zakłamywać wszelkie fakty, wcisną mi w usta każdą ośmieszającą bzdurę lub kłamstwo. Zaczną masowo produkować spreparowane filmiki, w których przyznam się do oszustw podatkowych, morderstw i rozbojów albo potwierdzę bełkotliwymi wypowiedziami wrodzony imbecylyzm. Nie będę też przeczył swym rzekomym zboczeniom seksualnym i innym dewiacjom. Kto wie, czy w końcu nie ogłoszą nawet z ekranu w głównym wydaniu holowizyjnego dziennika, iż popełniam samobójstwo z rozpaczy nad sobą, nad swoimi czynami, nad złem, jakie światu swoim bezrozumnym, niecnym postępowaniem uczyniłem. Teraz, przejrzawszy na moment, nie mogąc galaktyce na oczy się ze wstydu pokazywać, strzelam sobie w łeb! O tak, wtedy mogliby wszystko! A po parunastu latach już nikt by nie pamiętał, jak to było naprawdę. Zostałoby tylko co na wierzchu, czyli ich kłamstwa niezaprzeczone, a więc tak zwana prawda obiektywna. – O nie! – cały zatrząsnę się z wściekłości. – Nie dopuszczę do tego!!! Muszę znaleźć sposób, by nawet z za grobu nieść świadectwo i bronić dobrego imienia Ziemi, w końcu pramatki nas wszystkich zasiedlających obficie te miliony światów! Tylko jak tego dokonać?

Biedziłem się nad tym problemem do samej wieczornej zupy i nic wymyślić nie mogłem. Bładolicy mieszkańcy Zielonego Siola zjawili się grubo po zmierzchu. Umordowani, wściekli, klnący

w głos i pod nosem, rzucali się w poprzek piaszczystego placu. Milczeli. Ja też milczałem. Milczałem i myślałem. Myślałem i milczałem. A jednak miałem powody do satysfakcji! Mój sen właściwie można było uznać za jasnowidczy wyczyn. – Nie na darmo mówią, iż dopiero starość przynosi prawdziwy rozkwit naszych zdolności. Intuicjonizm i jasnowidzenie bardzo są w zasadzie pokrewne. Jednakże do tej pory, w całej swej długiej praktyce, nie przekroczyłem ani razu tej wąskiej linii granicznej, która je dzieliła. Tym razem po raz pierwszy przewidziałem Coś nie dysponując Niczym. Było tak, mimo że istota mojej zdolności (i zawodu) polega na wnioskowaniu i logicznej analizie z „niewystarczających”, a nie z „żadnych” danych. Po godzinie Rei Furr wstawił mi następną miskę zupy i rzucił kąśliwie, że jutro mi nogi za przeproszeniem z tyłka Główny Nadzorca powyrywa, bo cały dzień rakiety szukali i nie znaleźli. Cóż, uśmiechnąłem się w duchu (choć śmiech to był pusty i goryczą zaprawiony jak odbicie z chorego żołądka), drugi punkt dla mnie. Choć w niewoli, to jednak zwyciężam. I ten omen, jak i fakt, że moja „Panta Rhei” nietknięta nad planetą ciągle i ciągle w przestworzach „płynie”, natchnęły mnie otuchą. Jakoś zaraz potem znów mnie zaćmiło, zupa była tym razem wyjątkowo słodka i pachnąca, i zapadłem w sen bez snów, w sen jak krater, jak głąz, co ci przygniata piersi swym bezkształtem.

Obudziłem się następnego ranka z głową jak bania, kluciem w oczach i lewym boku, rwaniem w szczęce i ręce, bólem żołądka oraz biegunką. Zaraz też wywleczono mnie z aresztanckiego szałas i postawiono przed wściekłym obliczem Nadzorcy.

– Otóż wzywam cię, nędzny Płaszczaku! – zaskrzeczał rozsierdzony staruch. – Wzywam po raz ostatni! Zrzuć swój

fantomatyczny uniform! Więcej szans nie będzie! Nie znamy litości dla nędznej galaktycznej zwierzyny! – po czym dodał nieco spokojniej i z cicha. – Jak sam się przyznasz, to ci wybaczymy i puścimy cię wolno. Będziesz dla nas w odmętach rzek pracował. Jeżeli zaś nie, nie licz na nic! Masz dziesięć sekund do namysłu.

Po tych jego słowach zapadło napięte milczenie. Otaczał mnie tłum przerażających, mniej lub bardziej zdeformowanych postaci, który dyszał ciężko i chrapał nieprzyjemnie, i świdrował mnie swymi oczami wyzierającymi spod fałdzistych powiek umieszczonych w maskaronskich twarzach. Zrobiło mi się bardzo nieswojo i przez ułamek, jedno mgnienie, miałem nawet ochotę krzyknąć: – Tak, jestem rybą! Tylko, na miłość boską, dajcie mi święty spokój! – ale opamiętałem się zaraz. Słowo Elpikowca tyle jest warte, co funt psich kłaków, a może nawet mniej. Czas minął.

– Dobrze – odezwał się, tłumiąc jawną złość, przez zaciśnięte wargi Główny Nadzorca Certarion i swoim zwyczajem pokiwał siwą głową. – Zatem, towarzyszu fanatyku Pinusie, bierzcie go na testy.

– A z miłą, aa chęcią – podchwycił tamten i zatarł ręce.

Gdybym wiedział wcześniej, na czym te testy (cóż za przemily eufemizm) mają polegać, zapewne nie byłbym aż tak odważny. Cóż, stało się i tak widać być musiało. Pinus i dwóch strażników poprowadzili mnie przodem przez zarośla, a za nami cała hałastra kuśtykająca, chrzęszcząca, rozsapana. Prowadzili mnie tedy, kręcąc się i klucząc i specjalnie myląc trasę, jak zwykle bez sensu, bo od razu zauważyłem polanę z urzniętym u nasady pniem porostu, co broczył lepłą wydzieliną. Widać taki tu nawyk, dążność do utajniania, tajność i wyniosłość. Otóż

krążąc, klucząc, brodząc w uschłych mackach po półgodzinie znaleźliśmy się nad brzegiem rzeki. Wciąż jeszcze nie przypuszczałem, na czym może polegać pierwsza próba, mimo że już zrodziły się we mnie podejrzenia. Tłumek Elpikowców, co sunął za nami niczym wrogie cienie, teraz ustawił się równym półkolem obok przezroczystego walca z pokrywą, co stał na kamiennym podwyższeniu przypominającym jako żywo hiperantyczne ofiarne ołtarze z południowej Europy i Egiptu. Doprowadzono mnie tam, a po chwili z przerażeniem zauważyłem, że na dno naczynia wlewa się woda. Spojrzałem na brzeg rzeki i łatwo przekonałem się, iż wychodzi tam z urwistej skarpy rura, którą pompowano właśnie wodę. Rzeka zrobiła na mnie wrażenie nadspodziewanie wielkiej, szeroko rozlanej, tak że z trudem można było drugi brzeg zauważyć. Ale to spostrzegłem tylko kątem oka, pochłonięty ceremoniałem związanym z moim pławieniem, które jak słusznie przypuszczałem, zaraz nastąpi. Strażnicy ustawili się po dwóch stronach naczynia, towarzysz fanatyk Pinus wszedł na podium. Pomamrotał chwilę pod nosem, po czym dał znak i pokrywę zdjęto. Pinus wsypał do wody jakiś proszek, który ją zabarwił na zielono (dopiero później się dowiedziałem, iż jest to proszek tlenotwórczy). Znów wymamrotał zakłęcie, uczynił znak jakiś szamański i wskazał palcem wprost na mnie. Cofnąłem się odruchowo o krok, ale już mnie pochwycono w ramiona, a cały tłum, nimem się obejrzał, jął obdzierać mnie z ubrania. Zdarto ze mnie wszystko i odłączono mój cudowny plecak-płuco, tak że dech natychmiast straciłem, poczerwieniałem, zsiniałem, zacharczałem, i mgła czerwono-czarna spłynęła mi przed oczy. Przez tę mgłę zauważyłem jeszcze, iż pośród wrzawy i dzikich okrzyków niesiony jestem do walca, potem zaś poczułem

chłodne objęcia wody, i bulgot kesonowy dotarł jak przez watę do mych uszu. Dostrzegłem, że pokrywa się nade mną zatrzasnęła. Dalej nic już nie pamiętam poza rozpaczliwymi wierzgnięciami i ciemnością.

Kiedy się obudziłem, Rei Furr, jak mi się zdawało, całował mnie w usta. Z obrzydzeniem go odepchnąłem i wydałem okrzyk, który miał wyrażać me największe oburzenie oraz dezaprobatę dla tej napaści. Rei Łaps roześmiał się tylko, jeżeli grymas jego przekłutych ust i bulgot wydobywający się ze ściśniętej krtani można nazwać śmiechem, i poklepał mnie po boku.

– Twardy jesteś, Płaszczaku – powiedział chrapliwie, a w głosie jego odkryłem nutkę podziwu i sympatii. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Teraz dopiero przypomniałem sobie, co się stało, i doszedłem do wniosku, że gest Rei Furra nie był niczym lubieżnym, a jedynie zapewne koniecznym przy pierwszej pomocy oraz sztucznym oddychaniu.

– Co się stało? – zapytałem słabo. – Jestem na tamtym świecie?

– Pinus z Certarionem nie posiadali się z wściekłości. Mówią, żeś jakimś nowym modelem rybiego szpiega, co ma nas omamić i zwieść na manowce. Fakt. Jeszczem nie widział rybiego pomiotu, co by w pławieniu swej rybiości nie ujawnił! To było dobre!!!

Nie wydało mi się, aby Rei był zawiedziony przebiegiem eksperymentu, wręcz odwrotnie – zdawało się, że jest zadowolony, iż Nadzorcy oraz jego pomocnikom się nie powiodło.

– I co jeszcze mówią?

– Że ci twojej rybiości dowiodą.

– A nie przyszło im przypadkiem do głowy, że mogę nie być rybą, tylko człowiekiem?

– Nie.

– A szkoda – wyszeptałem zmęczonym głosem. – Przecież to ich powinno było przekonać?

– O nie. Jesteś po prostu bardzo sprytną rybą. Rybą w dwójnasób. Rybą do potęgi. Jutro poddadzą cię nowym testom, wcale nie łatwiejszym.

– A ty jak myślisz, Rei?

– Ja nie jestem od myślenia – nagle zrobił się czujny, łypnął na mnie spode łba i odwrócił się plecami.

– Jestem człowiekiem! Czyż naprawdę tak trudno jest uwierzyć w oczywistość?!

– Czasami istotnie szukamy odpowiedzi w zbyt odległych rejonach, jak mi się zdaje – powiedział olbrzym zasępionym głosem.

– Czasami? Czyż ludzkość już wielokrotnie nie zatonąła w bagnistych meandrach swych teorii? Wciąż oczywiste zdaje się najmniej prawdopodobne. A pokrętny rozwój nauki, co kiedyś odrzucała intuicję i wszystko, co nienamacalne, usiłowała poddawać empirycznej weryfikacji, czyż nie jest dowodem na konstrukcyjne błędy naszego mózgu?!

– Dziwnie mi mówisz jak na Płaszczaka... – przerwał, podsunął się bliżej i wpatrzył się w mą twarz, jakby usiłował odkryć, czy pory skóry są prawdziwe, czy fałszywe. Wreszcie wyszeptał:

– Powiedz, czyś ty naprawdę człowiekiem?! Czy mnie nie okłamujesz? – i wpatrzył mi się przenikliwie w oczy.

– Jestem człowiekiem. Pochodzę z Metropolii. Powiem ci całą prawdę, niech się dzieje, co chce. Nazywam się Jan San

i przybyłem, by się rozprawić z szajką potwarców, co moje nazwisko i honor Ziemi opluwają, rzucając oszczercze kalumnie.

– Jan San? Ten intuicjonał?

– Ten sam.

– I mam ci wierzyć?

– Musisz. Błagam cię!

Rei Furr pokiwał z zadziwieniem głową i postawił talerz ciepłej zupy.

– Co ty jeszcze nawymyślasz, biedna rybo, żeby się z matni ocalić? – zawarczał z odcieniem litości i westchnął.

– Nic nie wymyślam! Jestem Jan San, na Święty Krzyż Południa!!!

Chwilę milczał, jakby coś ważył w myślach, wreszcie rzekł:

– Ja cię nie zdradzę, ale nawet jeśli jesteś Janem San, to lepiej nikomu o tym nie mów. To tylko pogorszy twoją sytuację.

– Pogorszy?!!! – wykrzyknąłem zdumiony.

– Czyż to nie Jan San zdemaskował Pendrala GX-81?

– Tego robota z Vaggi? Owszem. Zdemaskowałem go. Co to ma jednak wspólnego z Ligą Przystosowania i Kolonizacji za Wszelką Cenę???

– Wyobrażałeś sobie, że ten automat miał tak wybujałe własne potrzeby, iż niemal zrujnował vaggerańską ekonomikę?

– Neeee?! – palnąłem się w czoło w przebłysku olśnienia. – Więc kradł na zlecenie Ligi?!

– Otóż to. Jeśli się przyznasz, kim jesteś naprawdę, to nie pożyczysz dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, a tak nie wiadomo. Może ci dadzą spokój.

– O Boże! – wydyszałem i osunąłem się bezwładnie na prycę.

– Lepiej zostań rybą, Płaszczaku. Głupią legendę ci tam w waszym kontrwywiadzie wymyślili. Teraz jedz. Zupa

przywróci ci siły.

Dziś z perspektywy czasu mogę powiedzieć, iż był to moment decydujący dla losów całego mego przedsięwzięcia. Oto między mną a jednym z oprawców zrodziła się nić sympatii, która miała się w przyszłości umacniać i w końcu przerodzić w mocną linię porozumienia. Choć Rei Furr jeszcze mi wtedy nie uwierzył, to jednak mnie nie zdradził, dając dowód, iż Elpikowcy znajdują się na krawędzi kolejnego poważnego rozłamu.

Nie będę opisywał straszliwych męczarni, jakie przyszło mi znieść przy próbie ognia. Ani też jakim cudem przeżyłem karmienie papką ze specjalnego rodzaju liści rosnących gdzieś na północy planety, a będących równie śmiertelną trucizną dla ryb jak dla wszystkiego, co żywe bardziej od granitowego głazu. Wspomnę tu tylko, bo wypada oddać sprawiedliwość Reiwowi Furr, że gdyby nie on i dostarczone przez niego korzenie ziela odtruwającego, z pewnością nie przetrwałbym tej ostatniej próby.

Moi oprawcy musieli jednak po tych zwyczajowych torturach ustąpić i, acz z niechęcią, stwierdzić, że jednak chyba jestem czymś innym. Nie chcieli dopuścić, by mnie uznano za człowieka, lecz nie sposób było utrzymać tezy, że jest nadzwyczajnym Płaszczakiem, co się zupełnie nie jak Płaszczak manifestuje. Tylko Pinus upierał się wciąż jeszcze niepokieszony i niewyżyty w swych sadystycznych ciągotach, że jednak rybą być muszę, bo na CO₂ przecie poza nimi, Elpikowcami oraz Płaszczakami, nikogo innego nie ma. Dowód z pławienia uznawał za niepewny, a inne także za wątpliwe, jako że tak jak ryba ukazałem się na łódzie znienacka, i gdyby mnie nie pojmano, jak one zapewne zapadałbym z nagłą w czeluście rzek, albo głębie jeziora. Nie znalazł on mimo wszystko wystarczająco silnej grupy

popleczników. Już oddychałem z nadzieją, gdyż przekonany byłem, że oto najcięższe doświadczenie mam za sobą, gdy się okazało, iż wcale nie dano za wygraną. Mój chwilowy tryumf, co naraził na szwank autorytet Głównego Nadzorcy towarzysza fanatyka Certariona i całej Rady Nadzorczej, tylko miał pogorszyć mą sytuację. Miał wystawić mnie na nowe zmagania z własną słabością, o wiele liczniejszym przeciwnikiem, w którego władzy pozostawałem, oraz z umęczonym ciałem i skatowaną duszą.

Takoż któregoś wieczora, gdym leczył ostatnie oparzenia, a gawędził o tym i o owym z Reiem Furr, sondując możliwość namówienia go na wspólną z opresji ucieczkę, niespodziewanie zjawiał się rzeczony Pinus. Zakomunikował mi, że jutro pokażą mym oczom tereny Wielkiego Przeobrażenia, gdzie dokonują się Wielkie Przemiany. Rei Furr zbladł tylko i nie mógł wydobyć z siebie słowa. Rankiem w asyście całej wioski wyruszyliśmy na północ. To naprawdę straszne, do czego może człowieka doprowadzić fanatyzm i ślepa wiara w ideę, co żadnym sposobem urzeczywistniona być nie może. Elpikowcy z CO₂ po dzień dzisiejszy pozostali dla mnie najpotworniejszym przykładem tego okrutnie wyniszczającego procesu, jakim jest potrzeba dania dowodu sobie oraz całemu światu na wyższość obranej doktryny.

Poletko ludzkie, które ujrzałem, odcisnęło się tak w mej pamięci, a wykrzywione, spłaszczone, łypiące pojedynczymi oczami, sapiące półustami, nadstawiające swe powyżerane przez owady ćwierćusy, wyciągające ku nam w gestach rozpachy swe łapko-macko-liścioręce, postacie Elpikowców tak mną wstrząsnęły, że od tamtego czasu co noc nawiedzają mnie we śnie. Bywa też, że nieraz jakiś obraz koszmary stanie mi na

jawie jako żywy przed oczami. Szliśmy w ukośnych promieniach słońca pomiędzy równymi szeregami porostowatych potworków wrosniętych w ziemię. Za nami ciągnął się ich błagalny jęk, czasem znaczący, częściej nieartykułowany jak szelest suchych liści, szum wiatru w gołych konarach, skarga jakowaś, wycie nieludzkie. Większość przemienionych, co dotychczas nastawiali swe płaskie wieloczęściowe ciała ku słońcu, zapewne rozgrzewając zmarznięte po nocy twarze i członki zielone, rozpostarte niczym szmaty na rusztowaniach szkieletów, oplecione nitkami nerwów po wierzchu – większość z nich, gdyśmy przechodzili obok, nachylała się nad nami. Starali się ku nam przybliżyć, dotknąć nas, coś szepnąć wprost do ucha. Byli spragnieni bliższego kontaktu, jakiegokolwiek oznaki ciepła, może pieśczości miłosnej, której wspomnienie telepało się na dnie ich zredukowanej jaźni. Byli spragnieni jakiegokolwiek ludzkiego odruchu, dotknięcia, których to rzeczy przez fanatyczny eksperyment raz do końca świata ich pozbawiono. Zmuszono ich do zapuszczenia korzeni na zawsze w jednym miejscu, o piętnaście metrów równo oddalonym od otaczających sąsiadów. Zauważyłem, że te ich niezdarne manewry i pohukiwania nasilają się, gdy zbliża się któryś z członków Rady Nadzorczej. Certarion oraz jego przyboczni starali się iść środkiem wyznaczonej ścieżki, starannie unikając dotknięć porostowych macek. Nabrałem podejrzeń, iż nie wszystkie z obserwowanych przeze mnie zachowań porosto-ludzi mają znaczenie pokojowe. Równe szeregi, poprzedzielane pasami wolnej przestrzeni, ciągnęły się aż po horyzont.

– Ilu ich jest? – wyrwało mi się, gdym ogarnął wielkość tego ogrodu potworności i sromoty rodzaju ludzkiego.

– Dwanaście tysięcy – odpowiedział jeden z asystentów

Certariona z odcieniem dumy w głosie.

Istotnie, była to jedna z tych rzeczy, którymi człowiek powinien się szcycić na równi z krwawymi wojennymi rzeziami, bestialstwem totalizmów i bombą wodorową.

Spacerowaliśmy między owymi ohydnyimi tworamii (mówię to z całą odpowiedzialnością, a widziałem niejedno w Galaktyce) długie przedpołudnie. Na razie nie bardzo rozumiałem, dlaczegoż to pokazuje mi się owo cudo elpikowskiej myśli i doktryny, ale nikt mi nic nie mówił. Gawędzono o jakichś bzdurach, ba, nawet dowcipkowano i śmiano się pośród tego krzaczastego oceanu nieszczęścia i bólu. Rei Furr posuwał się u mego boku. Co chwilę rzucałem na niego okiem. Po jego minie sądzić można było, że nie jest zachwycony tym, co widzi. Choć na zaczepki opowiadał ze śmiechem i wygłaszał rubaszne żarty, to gdy tylko milkł, zaraz robił się szary na twarzy. Bez jednej przerwy ocierał też pot, co stale mu na czoło występował.

Patrzyłem na niego z pewnym zadziwieniem, bo miałem go dotąd za głupca, za ledwo co poziom małą wąskonosych przekraczającego goryla, co tylko umie bić, jeść i spać, i nic go więcej nie obchodzi. Tak wstrząsnąć coś może tylko człowiekiem naprawdę wrażliwym. Już i ja, choć po każdej rundzie siłą się od wymiotów musiałem powstrzymywać, mniejsze chyba przeżywałem katusze. A patrzyłem przecie po raz pierwszy, a więc bardziej byłem narażonym na wstrząs niż on, co nie raz, nie dwa tu zapewne bywał.

Kto wie – pomyślałem – czy to nie fakt, iż wczoraj on sam stał o krok od owego wątpliwego zaszczytu, jakim było Przeobrażenie, tak piorunująco na niego podziałał.

W końcu towarzyszom fanatykom znudziło się już pokazywanie mi coraz to nowych okazów w ich kosmicznym

zwierzyńcu (lepiej pasowałoby tu ogrodzie botanicznym), który szumnie nazywali Terenem Wielkiego Przeobrażenia Ludzkości w Ponadludzką, i ruszyliśmy w drogę powrotną do Zielonego Siola.

Podczas powrotnej marszruty zachodziłem w głowę, co też mają na myśli Certarion z Pinusem i czemu ten cały pokaz ma służyć. Ma mnie przestraszyć czy zaimponować? Manifestacją przemocy i siły jest tylko, czy też pokazaniem wspaniałomyślniej łaski i zaszczytem? Rychło Certarion rozwiązał me wątpliwości. Zaraz po południowej zupce wezwano mnie przed oblicze Nadzorczej Rady.

– Widziałeś, przybyszu, naszą nową Ponadludzką Społeczność – zaczął staruch, gdyśmy już naokoło ogniska we właściwym porządku stanęli. – I pewnie zastanawiasz się, po co ci ją ukazaliśmy?

– Istotnie – powiedziałem z zapalem. – Zupełnie tego nie pojmuję.

– Otóż, chcemy ci uczynić pewną propozycję. Nie gorączkuj się i dobrze zastanów, nim odpowiesz – pokiwał głową swoim obyczajem. – Będziesz miał czas aż do wieczora. Chcemy ci zaś zaproponować, byś do nas przystał. Zaimponowała nam twoja odwaga i wytrzymałość. Masz szansę natychmiastowego uzyskania członkostwa w naszej Lidze.

Zdębiałem. Jestem uratowany? Nie. To musi być podstęp! Ostrożność wrodzona podsunęła mi zapytania, z którymi się do Certariona zwróciłem.

– Czy tylko te dwie cechy zdecydowały, że wydałem się wam godny współudziału w tym szczytnym przedsięwzięciu?

– Prawdę mówiąc nie. – Główny Nadzorca poskrobał się po głowie. – Imponują nam także twoje zdolności

przystosowawcze. Jesteś obdarzony, przybyszu, szczególną mimikrą.

– I to ma dla was takie wielkie znaczenie? A co będzie dalej? Co będę robił w waszej Lidze? Jakie będzie moje miejsce?

– Zaraz się dowiesz – staruch rzucił pytające spojrzenie na przybocznych, a gdy ci wyrazili dla jego zamysłu aprobatę, kiwnąwszy głowami, jego bezzębne usta rozeszły się w niemiłym uśmiechu. – Twoim miejscem będzie teren Przeobrażenia. Postanowiliśmy dać ci ostatnią szansę i jutro, jeśli wyrazisz dobrowolnie zgodę, bo taki jest nieprzekraczalny punkt naszego regulaminu, poddany zostaniesz Wielkiej Przemianie połączonej z Przeistoczeniem i Przeobrażeniem. Dokona się ono w samo południe, z zachowaniem całego najświętszego ceremoniału PPP i wielką Pompą. Teraz już wiesz. Zastanów się.

Pinus zachichotał, a mnie zrobiło się zimno i strużki potu spłynęły po plecach. Gdybym miał jeszcze włosy, to zapewne stanęłyby mi dęba. Musiałem sobie przysłonić ręką usta, bo bałem się, że mi wypadną rozdziawione sztuczne szczęki.

– Nie! – wrzasnąłem pospiesznie, a z tego pośpiechu mój głos w grobowej ciszy, co zapadła, wybrzmiał przerażającym falsetem. – Nie! Nigdy! Przenigdy!

– A przemyśl to sobie, kochaneczku – powiedział przymilnie fałszywy Pinus.

– Nie! Mowy nie ma! Nie zmusicie mnie do wyrażenia zgody przekupstwem ani torturami! Ta wasza plantacja to najpotężniejsza ohyda, jaka istnieje pod wszystkimi słońcami Galaktyki! To policzek dla ludzkości! Hańba!!! Nędza i upadek, i...!!! – tu zamilkłem, bo staruch dał strażnikom znak i zakneblowali mi usta.

– Jest to, przybyszu, propozycja nie do odrzucenia! –

zagrzmiał Certarion. – Powiedziałem: Masz czas do zmroku! Jeżeli odpowiesz „nie” – zostaniesz jutro o świcie stracony! Tylko poddanie się Wielkiej Przemianie mogłoby stanowić dowód, iż jesteś człowiekiem. Skoro poddać się nie chcesz, to znaczy, że boisz się przy operacji Przekształcenia stracić życie. Skoro tak, to nie jesteś człowiekiem, bo ludzie bez trudu taką operację znoszą. A skoro tak, to zostaniesz rozstrzelany, boś szpieg! Czyż to nie logiczne?!

Musiałem w duchu przyznać, iż był to majstersztyk logicznego rozumowania równie absurdalny jak cała sytuacja.

– A odprowadzić! – zakomenderował Pinus. Staruch zaś pokiwał głową, jakby chciał się w swych słowach upewnić.

– Nigdy! – krzychałem, gdy tylko Rei Furr nieopatrznie wyjął mi knebel. – Nigdy!!! Rozumiecie?! Niedoczekanie wasze! Nie zgadzam się!

– A uważaj! – dobiegł mnie podniesiony głos Pinusa, nim zatrzasnęły się liściane drzwi mojego więzienia. – Bo właściwie, a możemy cię już teraz, a skazać za bluźnierstwa coś je, a przed chwilą, aaa wykrzyczał! Radzę ci skorzystaj, a z aktu łaski, aaa?! – Rei Furr zakotwiczył mnie przy pieńku i poszedł sobie. Naszły mnie najczarniejsze myśli, Tak dobrze zapowiadała się ta misja: i moja „Panta Rhei” ciągle płynęła na orbicie, i lądownik stał pod postacią pagórka ledwie kilka kilometrów stąd, i pięć tysięcy lunów zawarte w kontrakcie, i... i taki koniec!? Co teraz, co? Śmierć? Okaleczenie? Jakiż tu wybór? Czy owady ceońskie będą wyżerać mi liście, czy też w grobie toczyć me martwe ciało – doprawdy żadna różnica. Nie uśmiechało mi się ni jedno, ni drugie. Miałby się powieść ukrytym wrogom ich przewrotny plan?! Potwarz i oszczerstwo pozostałyby nie ukarane?! Niestety, wszystko wskazywało, że tak się stanie. Po raz pierwszy od z

górami stu lat chyba zachciało mi się płakać. Załkałem nad swym losem. Łzy polały mi się ciurkiem i nawet nie próbowałem nad nimi panować. Jakież los bywa okrutny, a natura rzeczy przewrotna i zmienna. Mam skonać tutaj na peryferiach Galaktyki i jutro przedzierać się w roślinę, by pędzić nędzną wegetację na jałowych piaskach CO₂. A oni, podstępni oszuści i kłamcy, śmieją się pewnie gdzieś tam daleko i zacierają z uciechy rączki. I to wszystko właśnie teraz, gdy po wielu latach służby dla Metropolii właściwie już wzułem ciepłe bambosze, by wnukom prawić przy kominku o swych przygodach i potyczkach?! Rozpacz. Ściskająca obręczą żelazną rozpacz – to było wszystko, co w tamtej chwili czułem. I w takim stanie ducha zastał mnie Rei Furr, kiedy powrócił z kubkiem gorącego napoju.

– Wierzę ci – powiedział, gdy zobaczył, jak zalewam się gorzkimi łzami. Chlipnąłem tylko nieco głośniej.

– Cóż mi z tego?

– Ryby nie płaczą. Uspokój się – odstawił kubek na bok i zbliżył się do mnie.

– Co teraz mam począć? – wydukałem przez ściśnięte gardło.

– I naprawdę jesteś Janem San? – Przytaknąłem. Najpierw się rozweselił, potem zasepił. Usiadł ciężko na pieńku. Dłuższą chwilę myślał. – I mnie się to wszystko nie podoba – powiedział wreszcie z westchnieniem.

– Więc czemu nie uciekasz? Dlaczegoś do nich przystał?!

– Jestem z nimi od urodzenia. Moi rodzice byli Elpikowcami i ich rodzice także, pradziadowie również. To już tradycja rodzinna.

– Bardzo to głupia tradycja – powiedziałem, nie bacząc, iż mogę go urazić.

– Oj, głupia. Prawda – westchnął znowu ciężko. – Ale nie czas jej zmieniać.

– Nigdy nie jest za późno – powiedziałem i ugryzłem się w język. – No, czasami – dodałem – rzeczywiście tak bywa, że późno.

– Mój ojciec i matka są tutaj. Pewnie, że mógłbym uciec już dawno, ale ich przecież nie zostawię. Rosną, tam, na terenach wielkiego Przeobrażenia. Nawet przechodziliśmy dzisiaj koło nich. Kto ich będzie podlewał, gdy ucieknę? Kto im w nocy pozbiera łaskotliwe świerszcze z liści, kto odpędzi od delikatnych korzonków robactwo? Kto im wreszcie glebę nawiezie?!!!

– To wielkie nieszczęście – powiedziałem.

– Tak, przyjacielu. I dlatego zamierzałem im dotrzymać towarzystwa. Jest tam w ich pobliżu jedno wolne miejsce... Zwolniło się, hm... po sąsiadce z dawnych lat. Właśnie wczoraj, gdy cię spotkałem, szedłem do laboratoriów, by się poddać Przemianie.

– Dlaczego oni się na to zgodzili, przecież to dobrowolne?!

– Dobrowolne?! Dobre sobie. Każdy ma tu mniej więcej taki sam wolny wybór jak ty.

– Paskudna sytuacja.

– Paskudna – zawtórował mi Rei.

– Nie powinieneś rozpaczać. O ile gorsze jest moje położenie – powiedziałem, żeby odwrócić jakoś uwagę od jego zmartwień.

– Nie rozpaczam – westchnął Rei Furr. – Gdybym cię nie spotkał, nie uświadomiłbym sobie w całej pełni bezsensu i okrucieństwa, jakim są eksperymenty. Byłeś impulsem, który spowodował, że już nic nie może pozostać tak samo. Nigdy dotąd nie widziałem po prostu prawdziwego człowieka, całego, zdrowego, nie przekształconego nawet w ułamku. To piękne.

Tak. Zrozumiałem i nie spocznę, póki nie wyzwolę rodziców i sam siebie z tego więzienia!

– Dziękuję ci, ale mnie to w niczym nie pomoże – wyszeptałem zrozpaczony.

– Prawda.

– Przed tobą życie. Na pewno zdążysz. Ale ja? Ja już nie zdążę donikąd. Jestem stary... Żebym choć mógł przedłużyć swe życie o jeden dzień. Kto wie, czy nie przyszłoby mi wtedy do głowy jakieś rozwiązanie?

– Tak. Ja muszę zdążyć! Muszę i zdążę, rozumiesz?! – wysapał przez zasznurowane usta Rei i wczepił się w klapy mojego kombinezonu.

– Zdążysz na pewno – poklepałem go po plecach. Prawdę mówiąc chciało mi się tylko wyc. Wyc, kopać i wierzgać, zupełnie jak małemu dziecku, któremu zabrano ulubioną zabawkę, tylko że tą zabawką miało być w tym wypadku moje życie.

– Wiem – powiedział Rei nagle i wyprostował się jak struna na całą wysokość. Omal nie uderzył w skośny dach. – Wiem! Masz tylko jedno wyjście!

– Wyjście? Jedno?... Ciekawe jakie? – powiedziałem bez entuzjazmu, bo nie wierzyłem już w żadne wyjście, a w każdym razie na pewno nie w wyjście z życiem. Są tacy, którzy twierdzą, że z każdej sytuacji są co najmniej dwa wyjścia, ale nie jestem pewien, czy należy im wierzyć.

– Musisz poddać się Przemianie! – powiedział tryumfalnie Rei, obniżając się na powrót ku mnie z dziwnym błyskiem w oku. – Poddasz się, a ja cię ocalę, kiedy tu wrócę, by dokonać zemsty!

– Co?! – przez moment nie potrafiłem zebrać myśli. Dziwiło mnie, że taki jest swym pomysłem podekscytowany. – Nie. Nie, nie mój drogi, to nie ma sensu. Cóż mi z tego, że mnie wykopiesz

z jednej działki na drugą, że mnie przesadzisz do swojego ogródka i nawet codziennie będziesz zasilał mieszanką nawozów azotowych, żeby mi było dobrze. Czyż to przestanie być wegetacją? Choćby i luksusową? Nie... nie i nie. Powiedziałem, że się nie poddam i nie poddam się, jakem Jan San!

– Jesteś pewien, że postępujesz właściwie? – zmartwił się.

– Jestem pewien – rzekłem z mocą. – A poza tym... poza tym i tak bym nie doczekał zapewne twojego powrotu. Prędeży pożarłyby mniej owady i nostalgia.

– Szkoda – westchnął po raz kolejny tego wieczora Rei Furr i przysiadł obok mnie na pieńku. Objęliśmy się ramionami jak dwaj bracia, towarzysze niedoli skazani na marny los. Ładnie by wyglądało, gdyby nas tak któryś z tych fanatyków teraz podejrzwał. Od razu pewnie poddaliby i Reia Furr Wielkiej Przemianie i posadzili nas obok siebie, na specjalnej grządce w piętnastometrowym, zgodnie z przepisami, odstępie.

– Wobec tego, mój przyjacielu z Metropolii – odezwał się smętnie po długim milczeniu zbuntowany Elpikowiec Rei Furr Łaps. – Nie pozostaje nam nic innego jak tylko się pożegnać. Jutro zaprowadzą cię pod mur. Jest tu taki. Zbudowali go specjalnie na podobne okazje zaraz za wioską. O świcie, nim wzejdzie słońce, pognają cię tam w asyście całej kolonii, pozwolą ci łyknąć szklaneczkę szesnastki, pozwolą ci też zgłosić ostatnie życzenie, potem je spełnią, potem zawiążą ci ręce, potem przywiążą do słupa, potem obnażą pierś, potem założą przepaskę na oczy i...

– Poczekaj chwileczkę – nagle coś mi zaświtało. Nie potrafiłem określić co, ale chodziło o jego ostatnie słowa. – Mówisz zwiążą ręce, zasłonią oczy, i dadzą szklaneczkę szesnastki, i pozwolą wypowiedzieć ostatnie życzenie, i speł... ależ tak! – nagle

olśnienie przeszło mój umysł niczym błyskawica. – Ostatnie życzenie!

– A jakże – Rei Furr patrzył przed siebie. Nie dostrzegał mego podniecenia, oglądając już oczami wyobraźni jutrzejszą scenę. – Ostatnie życzenie to święty zwyczaj. Szanowany bezwzględnie, ale jeśli łudzisz się, że spełnią jakieś życzenie sprzeczne z ideą egzekucji, to się mylisz. Życzenie nie może zmienić wyroku, więc wolności na przykład nie otrzymasz, możesz być pewien.

– To wiem, nie o to chodzi. Coś takiego nawet nie przyszłoby mi do głowy, ale!... – zerwałem się z ziemi, a łańcuch osadził mnie z powrotem przy pniaku. Czyżbym znalazł owo drugie wyjście? – Nie jest tak źle, przyjacielu! – walnąłem Reia Furr z całej siły w plecy. – Nie pogrzebią mnie jeszcze! W każdym razie nie jutro!

To był wspaniały widok. Do końca życia będę pamiętał ich głupie miny. Chytraść, która nagle zabłysła w ich kaprawych spojrzeń i przeradzała się w zawód nie pozbawiony jednak pewnej nadziei. Tak.

Genialne pomysły są zawsze najprostsze, nasze okrężne, meandryczne umysłowości przyzwyczajone do nieustannego krążenia i węszenia, niepotrzebnego komplikowania, tylko z rzadka wpadają na tak oczywiste tropy. Kiedy mnie postawili pod ścianą i pluton egzekucyjny ładował już naboje, i kiedy wypilem już pokrzepiający łyk szesnastki, nadszedł czas i wreszcie padło owo sakramentalne pytanie o ostatnie życzenie. Powiedziałem wtedy:

– Tak, wielce szanowni towarzysze fanatycy, mam jedno życzenie i ufam, że je spełnicie zgodnie z niepisanym prawem.

– Mów – powiedział Nadzorca, kiwając głową jak zwykle dobrotliwie. – Jeśli tylko nie będzie się ono sprzeciwiać

wyroкови...

– Nie będzie na pewno – przerwałem mu pewny siebie.

– Słuchamy.

– Czy zanim zginę, mógłbym spisać swą ostatnią wolę, słowem testament?

– Hm, testament? – Certarion popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Testament chyba nie sprzeciwia się wyrokowi? Mam wielki majątek, około miliona transsolarów, lecz rozproszony jest w różnych częściach Galaktyki. Cały ten majątek chciałbym zapisać waszej Lidze, wyjąwszy kilkanaście tysięcy transsolarów dla wnuków i kuzynostwa.

– A co za dziwna a zmiana aaa frontu? – zgryźliwie zauważył Pinus. – Nie słuchaj go a Certarionie. Każ wykonać a wyrok!

– Pinusie! – zaskrzeczał ze złością Główny Nadzorca. – Zapominasz się! Czy poza tym nie wiesz, w jakiej sytuacji finansowej jest nasza Wspólnota? Nie widzę nic niezgodnego z prawem w ostatnim życzeniu skazańca! – i zaraz zwrócił się do mnie. – Jeżeli liczysz na przemycenie za naszym pośrednictwem jakichś obciążających faktów w tych majątkowych papierach, to uprzedzam cię, że wszystko sprawdzimy. Po drugie i tak nie dożyjesz wyniku swej intrygi, jako że natychmiast po zakończeniu pisania i tak zostaniesz stracony!

– Rozumiem – pochyliłem pokornie głowę.

– Zatem twoja prośba będzie spełniona. Możesz pisać. Ile ci to zajmie, godzinę, trzy? Czego ci potrzeba?

– Nie potrzebuję wiele – powiedziałem z chytrym uśmiechem. – Chciałbym, byście mi dostarczyli zapas piór i atramentu oraz sześćset stron kancelaryjnego papieru. Wystarczy mi także parę tygodni spokoju.

– Co?!!! – staruch poderwał się z fotela. Cała Rada również zerwała się na równe nogi. – Sześćset stron i parę tygodni?!!!

– A nie mówiłem, aaa? – jąkał się Pinus, a z ust tłumu wyrwał się mimowolny okrzyk zdumienia.

– Tak, towarzyszu fanatyku Główny Nadzorco Certarionie – powiedziałem spokojnie. – Jak już powiedziałem, choć niepozornie wyglądam, to jednak jestem człowiekiem majątnym. Mój majątek jest poważnie rozproszony. Obejmuje ruchomości i nieruchomości, włości, papiery wartościowe, kamienie szlachetne, drogocenne maści, sześć ton kamfory na frachtowcu w Bajliz i tym podobne. Nie mówiąc już o dłużnikach, wekslach i tak dalej. Nie chciałbym niczego w tak ważnym dokumencie przeoczyć. Czy zatem dostanę to, o co proszę?!

– Będziesz miał, czego żądasz!!! – Certarion zacisnął usta, poczerwieniał i rzuciwszy kapelusz w piach ruszył w kierunku wioski. Pinus pobiegł za nim uczepiony jego ramienia i wykrzykiwał:

– A nie mówiłem, nie mówiłem, Certarionie? A ten głupi, a przepis, a dawno już, aaa trzeba, a było zlikwidować!

– Milcz! – osadził go wściekły Nadzorca. – Bo zaraz sam staniesz pod murem!

Pinus zamilkł, a tłumek Elpikowców wył, pluł i gwizdał, tupał nogami, rzucał za nimi drobne kamyczki, tak był niezadowolony, gdy strażnik na powrót mnie rozwiązał.

*

Tak oto na razie udało mi się wybrnąć szczęśliwie z opresji. Siedzę znów w mym więzieniu. Rei Furr przyniesie mi zaraz zupę. Wieczorami będziemy mogli niejedną jeszcze raz

pogawędzić, choć wydawało się to zaledwie godzinę temu zupełnie nierealne. Certarion myśli, że napiszę testament, tymczasem pomiędzy wersami tego dla pozoru tylko spisywanego wykazu nie istniejących dóbr, atramentem sympatycznym z soku cebuli, zamierzam opisać całe swoje życie, wydarzenie po wydarzeniu. Tekst niniejszy przy pomocy Rei Furra i „Panta Rhei” przemycę na Metropolię, by niósł świadectwo prawdzie i zdemaskował podstępność złoczyńców, którzy usiłowali mnie (i nadal usiłują) zgładzić rękami Elpikowców z CO₂.

Właśnie przyniesiono inkaust oraz papier, i zaostrzone srebrzyste pióra vagmańskiego leminga. Tedy siadam, nie pozostało bowiem nic innego jak tylko pisać, pisać i pisać jak najdłużej. Umoczyłem więc pióro i jako pierwsze postawiłem na białej karcie formatu A4 te oto dziejowe słowa:

Ostatnia noc niewidzialnych

01.

– Właśnie dojeżdżamy – powiedział Matson, skubiąc nerwowo wąsa swym odwiecznym zwyczajem.

– Już? – wyrwało mi się, zanim pomyślałem, że powinienem raczej panować nad językiem.

– Za zakrętem będzie początek muru. Niech pan zwróci uwagę, warto. – Spojrzał na mnie z ukosa, nie odwracając głowy, co wywołało na jego twarzy charakterystyczny grymas. Matson nie lubił mnie i byłem chyba ostatnim człowiekiem na Ziemi, który spodziewał się zatrudnienia w Elektrołu. Pochyliłem się niżej, tam gdzie gruba szyba przechodziła z gruzłowatej szorstkości w niemal niewidoczną gładź. Zza zakrętu wyłonił się krwawoczerwony w słońcu monolit muru.

– Siedemdziesiąt metrów wysokości – w głosie szefa kadr koncernu bioelektronicznego wyczułem starannie skrywany zachwyt.

– Robi fatalne wrażenie – wymamrotałem, gdy nasz strad brał kolejny zakręt. – Koszmarne.

Matson nie odezwał się. Patrzył wprost przed siebie, jakby zajęty już czym innym. Z trudem łapał powietrze. Był otyły i dziwiłem się, dlaczego nie poddaje się korekturze. I na dodatek te wąsy. Moda rodem z archaiku. Olbrzymie, zwisające niczym dwie wielkie, czarne flagi żałobne. W ogóle de mode. Musiał być

stary, choć na oko dałbym mu najwyżej siedemdziesiątkę. Tłustą, niezdrową siedemdziesiątkę. Coś mnie od tego człowieka odpychało, a mur wydawał się nie mieć końca.

– Jak to u was wygląda? – zapytałem, opadając na poduszki. W oczach Matsona zagościł na moment ogień rozbawienia.

– Jak? – wzruszył ramionami. – Tak, jak wszędzie.

Sceptycznie skrzywiłem usta.

– Nie wierzę – powiedziałem.

– A czego się pan spodziewał?

– Bo ja wiem?

– Więszego luksusu, jakichś supernowości technicznych, których nie zna jeszcze świat? – uśmiechnął się ironicznie. – Jest normalnie, jak wszędzie. To znaczy optymalnie.

– Tak, tak – rzuciłem z roztargnieniem. – To tylko takie naiwne wyobrażenia o wielkim koncernie wszechgalaktycznym doby III Hiperglobalizacji.

Myślałem już o tej swojej sprawie. Mur migający czerwienią nienaganną, bez skazy, bardzo źle na mnie wpłynął. Nie przygnębiająco, ale czułem się zmęczony jego monotonią.

– Kiedyż on się skończy? – westchnąłem do siebie.

Usiłowałem za wszelką cenę wybić się z nastroju, który, na dobrą sprawę, towarzyszył mi już bardzo długo. Ostatnio, to znaczy jakieś dwa lata temu, miałem naprawdę paskudną wpadkę. Nie była to otwarta kompromitacja, ale nie udało mi się wtedy do końca rozwiązać zadania. Nie ruszałem wtedy ze sprawą z miejsca mimo całych tygodni koncentracji. Jak będzie tym razem? To było właśnie zmartwienie, od którego nie potrafiłem się uwolnić. Oczywiście wciąż jeszcze, jak mi się zdawało, stanowiło to tylko moją tajemnicę. Nie wiedziała nawet Agra. Ale jeżeli to jeszcze raz się powtórzy...

– Za pięć minut – odparł Matson, wyciągając ze swej czarnej teczki plik folii, hologramy robione, jak oceniłem na pierwszy rzut oka, w podczerwieni. – Może skrócimy sobie czas – zaproponował. – Przez teren Elektrolu będziemy jechać jeszcze dobrych kilkanaście minut.

– Chce pan, żebym zaczął pracować nim przejechałem przez bramę? – roześmiałem się sztucznie. – Niech pan da – dodałem szybko, i niemal mu je wyrwałem, chcąc pokryć zmieszanie.

Nie wyszło to dobrze. Byłem napięty, żeby nie powiedzieć zdenerwowany. Przyjrzał mi się uważnie, ale udałem, że tego nie widzę.

Strad miękko wszedł w tunel wjazdowy. Wjechaliśmy w czarną czeluść. Dopiero po chwili zamajaczył w głębi jasny wylot. Po kilku sekundach byliśmy już po drugiej stronie, która od tamtej nie różniła się niczym, poza tym, że należała do firmy, a od świata oddzielał ją czerwony mur. Kiedy przecinaliśmy olbrzymią bramę, przypominającą łuk tryumfalny, przestrzeń rozpałała się na różowo i zaraz potem zgasła tak, że niebo wydawało mi się przez ułamek prawie czarne.

– Fotozawór – stwierdził uspokajająco Matson.

– A jednak coś nowego – patrzyłem niespokojnie po klombach.

– Nic specjalnego – podkreślił węża. – Zupełnie nic.

Wóz toczył się teraz alejką między szpalerami cyprysów w jakimś koszmarnie archaicznym stylu, który swoją cukierkowatością przyprawiał o mdłości. Między drzewami migały od czasu do czasu białe budynki o równie starej, jak mi się zdawało, architekturze. Spojrzałem uważnie na klisze. Najpierw nie zobaczyłem zupełnie nic. Dopiero pod światło, wcale w naszym pojeździe nie nadzwyczajne, ujrzałem minimalnie jaśniejszą od tła, wężykowatą linię, układającą się

w kształt ludzkiej sylwetki. Przedstawiała kogoś pochylonego dynamicznie do przodu. Fotograf uchwycił moment skoku przez przeszkodę, której na zdjęciu nie było.

– Coś jednak jest – powiedziałem.

– Phi – Matson wydał grube wargi. Wąsy stanęły nad nimi dęba.

– To więcej, niż widziałem gdziekolwiek – upierałem się.

– Zgoda – odparł zniecierpliwiony. – Niestety to nie może mieć większego znaczenia. Nie nazwałbym tego w żadnym wypadku sukcesem.

– A ja tak – spojrzałem na jego profil, ostro rysujący się w blasku zachodzącego słońca.

– Pan wie – odezwał się z westchnieniem – że nie o to nam chodzi. Do totalnej metody, do jakiegoś środka, który wyzwoli nas wszystkich, jest tak daleko, że nawet nie śmiem spojrzeć w przyszłość. To zaledwie pierwszy krok. Co ja mówię, pierwszy centymetr na długim dystansie. Całe lata.

Strad przyhamował przed wielkim budynkiem z czterema alabastrowymi kolumnami.

– Tam na nas czekają – powiedział Matson, wysiadając. Wsiadłem również.

– Kto wie – nawiązałem do przerwane go tematu, ale on przygotowywał się właśnie do frontalnego ataku roboreporterów, których sam tutaj sprowadził kilka godzin temu.

– Będą reporterzy – nachylił się konfidencjonalnie i wziął mnie za łokieć. – Niech pan za dużo nie mówi. To znaczy dużo tak, ale wie pan...

– Rozumiem – potwierdziłem.

– Właśnie – uśmiechnął się szeroko i schował folie do teczki.

„Cóż on sobie myśli, ten Matson, że jestem niespełna rozumu, czy co?”.

– Trudno – westchnąłem i ruszyliśmy w kierunku tych kolumnienek.

02.

Agra ułożyła się wygodnie, czekając, aż obraz się wyostrzy i nabierze koloru. Złotozielony szlafrok w rybie ogony chłodził ją przyjemnie, łuski falowały na całej jego powierzchni. W głębi mieszkania słychać było krzątającą się Dagnes. Mimo niedawno zamontowanych czuwaczy i grubych krat w oknach nie potrafiła sama przebywać w mieszkaniu. Kiedy Jan wyjeżdżał na jakiś kolejny seans, a czasem trwało to i kilka tygodni, sprowadzała siostrę. Dagnes lubiła towarzyszyć Agrze, jak każda kobieta, która rzadko ma okazję wykazać się swoją przydatnością. Było to zajęcie w pewnym sensie użyteczne, bowiem przywracało siostrze równowagę duchową. Jak wiadomo, o takie zajęcie jest dzisiaj szalenie trudno.

– Chciałabyś się czegoś napić? – dobiegł Agrę melodyjny głos siostry.

– Owszem – mruknęła, wpatrując się w gmach położony mniej więcej piętnaście metrów od niej. – Daj mi 37. I pospiesz się, bo Elektrol jest już na ekranie.

– Idę.

Dagnes postawiła szklaneczki na stoliku i zapadła się w puch. Za oknami zmierzch nabierał fioletowych odcieni. Na placyku przed głównym budynkiem Elektrolu, rozświetlonym sztucznym blaskiem, zahamował właśnie luksusowy pojazd, z którego wysiadł dyrektor Halsmid. Teraz kobiety znalazły się w sali

konferencyjnej, przepojonej zapachem róż i mięty, i ujrzały Jana siedzącego za stołem o grubym, ciemnym blacie. Agra od razu poznała, że jej mąż jest trochę zdenerwowany, zaniepokoiła się tym. Wymieniły z Dagnes znaczące spojrzenia. Obie od jakiegoś czasu podejrzewały, że jego „fala” opada, choć jedna wpadka mogła nic nie oznaczać.

– Jaki cel pan sobie stawia? – rozpoczął zadawanie pytań młody czekoladowczarny roboreporter.

Jan uśmiechnął się, ale w duchu chyba przeklinał, przeczuwając półgodzinny seans równie beznadziejnych pytań.

– Oczywiście rozwiązanie problemu – odpowiedział szybko, zanim ktokolwiek z obecnych mógłby rozpoznać jego myśli z grymasu ust.

– Czy będzie to próba ustalenia struktury, znalezienia jakichś wywoływaczy, rozpuszczalnika czy może środka totalnego? – pytała zielonowłosa piękność w pawiej sukni.

– Może to być każdy z wymienionych przez panią celów. – Jan już odwrócił głowę w stronę kolejnego pytającego.

– Czy nie myśli pan, iż lepiej byłoby się skupić na jednym z tych problemów? Słyszałem, że już sama struktura jest bardzo skomplikowana, kamuflowana, wielowarstwowa o długich łańcuchach.

– To, co pan mówi o strukturze, jest prawdą. Inaczej nie byłbym tutaj potrzebny. – Uśmiezek pobłażania wykwitł na bladej twarzy Jana i natychmiast zgasł. – Poza tym podpisałem kontrakt i tylko to mnie interesuje co do czego się umówiliśmy. A to jest jakakolwiek forma skutecznego rozwiązania problemu. Jakakolwiek – dodał z naciskiem.

– Czy to znaczy, że Elektrol nie podporządkuje się zarządzeniu Rady Planet?

Jan zeszywniał.

– Nie rozumiem – powiedział. – Chyba nawet najpoważniejsze ponadplanetarne koncerty działają w ramach prawa. Nie podejmujemy tutaj działań ani decyzji wkraczających w kompetencje RP. Nie wydaje mi się też, aby ta firma posiadała moc zamknięcia granic celnych, ani nie słyszałem, żeby Rada Ziemi zamierzała podjąć takie kroki. A więc nic, co tutaj robimy, nie będzie sprzeczne z postanowieniami Rady Planet.

Rozległ się szmer aprobaty i nawet nieliczne ciche śmiechy.

– Czy uważa pan, że warto poświęcać tyle sił i środków antyoptolowi, z którym jako tako sobie radzimy za pomocą istniejących już systemów?

Jan chwilę milczał, usiłując wypatrzeć tego człowieka, był bowiem przekonany, że to jakiś obcy reporter. Tylko obcy mógł zadać tak bezsensowne pytanie.

– Czy mógłbym pana zobaczyć? – odezwał się wreszcie, nie mogąc zidentyfikować mówiącego.

Zaległa cisza.

– W porządku – powiedział Jan, dając jednocześnie ledwo zauważalny znak Matsonowi. – Wydawało mi się, że nikt z tutaj obecnych nie ma wątpliwości co do tego, że antyoptol i jego swobodne stosowanie na Ziemi jest zjawiskiem szkodliwym i dezorganizującym. Jeżeli jednak ktokolwiek ma jakieś wątpliwości, to spieszę je rozwiązać.

Matson zniknął w wyjściowym otworze.

– Nie wiem, do czego zmierza Rada Planet – kontynuował Jan – ale ogłędnie muszę stwierdzić, z czym chyba wszyscy się zgodzicie, że nie rozumie naszej sytuacji. Tłumaczą nam, że antyoptol gdzie indziej jest powszechnie używany i nie przynosi żadnych szkód...

Sala rozbrzysła nagle różowo i wszyscy dziennikarze poruszyli się niespokojnie. Niektórzy wstali z miejsc.

- Co to było?! – krzyknął ktoś.
- Co tu się dzieje?! – odezwał się drugi.
- Żądamy wyjaśnień!!!

Sala rozbrzmiała gwarem. Jan uniósł się z fotela i Agra z zadowoleniem stwierdziła, że ma przystojnego męża.

– Chwileczkę! – usiłował przekrzyczeć wrzawę, która się rozpętała. W tej chwili Matson przeniknął do wnętrza. Jan rzucił w jego stronę niespokojne spojrzenie, ale tamten tylko wzruszył ramionami.

– Proszę o spokój!!! – krzyknął Jan do tłumu wymachującego rękami. – Zgoda, zaraz wszystko wyjaśnimy!

Gwar przycichł.

– Przed chwilą był na sali reporter, którego nie zaprosiliśmy. Chciałem go zobaczyć, ale gdy zadałem pytanie, dyskretnie opuścił nasze towarzystwo. Jak się tutaj dostał bez zaproszenia?!

Przez moment trwała cisza.

– Teraz już chyba nikt nie ma wątpliwości, czy słusznie wydajemy transsolary na walkę z tym zjawiskiem.

Nieśmiałe początkowo brawa przerodziły się w owację. Na tym konferencję zakończono. Dagnes wyłączyła HV.

– Widziałaś? – powiedziała, wracając na swoje posłanie. – Nawet tam nie potrafią zabezpieczyć się przed nimi.

– Niepotrzebnie się denerwujesz – Agra była w zbyt dobrym nastroju, aby się przejąć tym incydemtem. – Przecież on nie chciał niczego złego. Nic się nie stało.

Pociągnęła łyk płynu.

– Ale mogło – zapaliła się Dagnes. – Gdyby tylko ten ktoś zechciał. Oni byli bezbronni, nie zdążyliby nawet kiwnąć

palcem!

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Była starsza od swej siostry o dwa lata. Gdyby nie jej długie kruczoczarne włosy, nie można by ich było odróżnić. Różniły je za to wyraźnie charaktery.

– Przesadzasz – zaoponowała Agra, zanurzając dłonie w poskręcanych tuż przy skórze głowy drucikach.

– Nie przesadzam i dobrze o tym wiesz. Wystarczy spojrzeć w okno!

– Dlaczego w okno? – młodsza siostra otworzyła szerzej niebieskie oczy.

– Na te kraty!

03.

Zlustrowałem pokój, który miał stać się na dłuższy czas moim mieszkaniem, i wyciągnąłem się na posłaniu. To pomieszczenie nie różniło się od innych cel, w których dotychczas przebywałem. Zapaliłem ręcznie małe światło przy łóżku i przyszła mi na myśl Agra. Zawsze się o nią trochę niepokoiłem. Kto wie, czy jedną z przeszkód w mojej koncentracji nie było ostatnio uczucie, jakie mnie z nią łączyło. Zeszłym razem, było to w okolicach Nowej Gwinei wśród bajecznego krajobrazu tropików, pracowałem dla Biooceantransmutator i ciągle wracałem myślami do Eur. Chyba stopień zaangażowania w związek z Agrą przekroczył tę cieniutką barierę, która do wtedy, mimo że żyliśmy ze sobą kilka ładnych lat, nie została pokonana.

Odpędziłem tę myśl i podniósłszy się gwałtownie, wyszedłem przed dom. Muru nie było widać z tarasu, ale mój teren od reszty posiadłości Elektrolu dzieliło coś na kształt nasypu, imitującego

wzniesienie. Od razu czuło się w tym sztuczność. Zbocze porastały krzewy i małe drzewka, równo jak w parku. Nieudolna imitacja. Denerwujące. Usiadłem na schodkach, wpatrzony w ledwo widoczny w świetle księżyca i lampki przy moim łóżku strumyczek fontanny. Cykały świerszcze i woda delikatnie szemrała, spadając w kamienną misę. Myśli tłoczyły mi się w głowie i przemykały jak iskry. Zamknąłem oczy. Zdawałem sobie sprawę, że postępuję nielogicznie. Jeśli czegoś nie zmienię, to tym razem zblamuję się na całej linii. Ale nie mogłem tego opanować. Tam, gdzieś za drzwiami, Matson i cała ekipa kończyli przygotowania, sprawdzali pomieszczenia, dociągali łącza. Przez cały czas miałem mieć kontakt z laboratorium, a poza tym pełna izolacja zgodnie z przepisami, z zasadami tej trudnej sztuki, uprawianie której mogło doprowadzić mnie do sławy, a mój organizm w szybkim tempie do ruiny.

Poczułem, że ściskam skronie aż do bólu. Nie. Tak nie można. Jeżeli nie opanuję galopady myśli, naprawdę nic z tego nie będzie. Przez moment wahiałem się, czy nie poprosić Matsona o rozmowę, czy też będzie to zbyt dużym przyznaniem się do niemocy. W końcu jednak się zdecydowałem. Ruszyłem ku drzwiom.

Coś powstrzymało mnie przed zbyt gwałtownym wyjściem z pokoju. Uchyliłem drzwi bezszelestnie i zamarłem. Tuż obok usłyszałem głos Matsona. Rozmawiał szeptem z kimś, kogo głosu nie znałem. Im dłużej wsłuchiwałem się w rozmowę, tym mocniej jeżyły się włosy na mojej głowie.

– Daj mi spokój – mówił cicho Matson. – Prosiłem, żebyś na terenie firmy nie kontaktował się ze mną. A już zwłaszcza tutaj.

– Niepokoiłiśmy się – odpowiedział głos – czy wszystko

pójdzie zgodnie z ustaleniami.

– Teraz jesteście już zadowoleni?

– Nie bardzo.

– Jak to? – oburzył się Matson.

– Widzisz, to jest całkiem niezły intuicjonał. Proxixar uważa, że można było wybrać lepiej. Liczył na ciebie, na twoje stanowisko w Elektroli i twoje wpływy – głos był coraz bardziej podniecony.

– I bardzo dobrze. Powiedz mu, żeby spał spokojnie. Ten intuicjonał nie jest w stanie rozwiązać tej sprawy. Z pewnością nie potrafi wymyślić żadnego rozpuszczalnika, a tym bardziej środka uniwersalnego.

– Skąd ta pewność, Matson? – głos pobrzmiewał groźniejszymi nutami. – Proxixar jest bardzo dobrego zdania o Janie San. Rozwiązał kilka poważnych zadań, i to w dwóch wypadkach przy poziomie danych znacznie poniżej minimum dla planetarnego komputapleksu.

– Proxixar ma niedokładne informacje. Czy on sobie wyobraża, że mogłem zatrudnić byle jakiego intuicjonała bez zwracania na siebie uwagi? Niech się cieszy, że w ogóle znalazłem takiego, którego energia jest w odpływie.

– Pamiętaj – odparł głos – że odpowiadasz przed Proxixarem. Jeżeli się pomyliłeś, to marnie skończysz.

– Nie musisz mnie straszyć. Powtarzam, niech śpi spokojnie. A teraz idź i połóż sobie trzy warstwy, bo fotozawór mógłby cię wyłapać.

Po tych słowach usłyszałem charakterystyczny syk płynu, wydobywającego się z butelki pod ciśnieniem. Cofnąłem się więc pospiesznie i delikatnie zamknąłem drzwi. Na palcach podszedłem do łóżka i rzuciłem się na nie, nie mogąc pozbierać

myśli. Więc to tak?! – zdumiałem się. Moja tajemnica nie była wcale tylko moją, prywatną własnością! Wiedzieli o mnie wszystko. Działo się tutaj coś bardzo dziwnego. Usiadłem na łóżku po turecku, złożyłem dłonie jak do modlitwy i usiłowałem się skupić. Nie jest ze mną tak źle – pomyślałem – jak ci się wydaje, Matson! Wyczułem przecież intuicyjnie, że coś się dzieje za drzwiami. Nie jest tak źle, jeszcze wytnę ci kawał. Zatrudnił mnie, parszywiec, bo mu się zdaje, że jestem już zerem. Skąd miał tak dokładne informacje? O mojej klęsce w Biooceantransmutator wiedziało dużo osób, ale to, że raz się nie udało, przecież nie oznacza jeszcze, że czyjaś fala opada. Postanowiłem się skupić. Za wszelką cenę, natychmiast. Wpatrzyłem się w jeden punkt obrany na przeciwległej ścianie i skoncentrowałem się starą metodą hinduskich jogów, od której wiele lat temu rozpoczynałem wędrówkę po długiej i wyboistej drodze zawodu intuicjonała.

Niestety, kiedy o świcie wytrącił mnie z transu sygnał połączenia, nie mogłem się pochwalić niczym, poza ścierpniętą nogą i bolącym pośladkiem. Cóż, znaleźć totalną metodę na antyoptol to nie to samo, co wyczuć czyjaś obecność za drzwiami. Cały połamany odebrałem połączenie. Na ekranie ukazał się Matson.

04.

Zacząło się wszystko bardzo niepozornie. Zdarzyło się to kilka lat temu na pewnym przyjęciu. Być może cała sprawa uszłaby uwagi, gdyby nie dotyczyła metropolitalnej śmietanki towarzyskiej. Trójkąty małżeńskie setkami tysięcy tworzą się w końcu i rozpadają każdego dnia na świecie.

No ale tutaj chodziło o naprawdę najwyższe sfery. W czasie tego przyjęcia po raz pierwszy zastosowano antyoptol, a nazwiska trojga znanych do tej pory z zupełnie innej strony ludzi przeszły do almanachów Antyoptolizmu i od tego czasu długo nie schodziły z czołówek Godziny Roboreporterów w ogólnometropolitalnej sieci HV-Mnemonet. Ludźmi tymi byli Greiana Kort, Teis Kort i Rei Seian. To właśnie Rei Seian był twórcą wynalazku, który przedstawił kilkakrotnie dyrekcji swojej firmy do realizacji. Firma miała wyłączność na jego wynalazki, ponieważ po to go zatrudniła, żeby wynajdywał dla niej wciąż nowe obiekty dla nienasyconych konsumentów nowości. Ale tego akurat odkrycia realizować nie zamierzała. Rei spędził lato owego roku na Proximie, a przyjęcie, o którym mowa, odbyło się zaraz po jego powrocie.

– Jak się bawisz? – zapytał wtedy Greiany Kort, widząc, że stoi oparta o barierkę i bezmyślnie spogląda w dół, na salę pełną ludzi.

Podobała mu się od dawna. Do tego była żoną Teisa Korta, człowieka, któremu Rei przypisywał wiele win, a największą w sprawie odrzucenia realizacji antyoptolu. Seian miał ochotę na żonę Korta od jakiegoś czasu. Do niedawna ciągle nie wiedział, co chciałby osiągnąć, odbierając Teisowi Greianę – zemstę czy czyste zaspokojenie własnego pożądanego. A może jedno i drugie? Wahał się długo, ale teraz już nie.

– Nie bawię się w ogóle – odpowiedziała z uśmiechem, który Rei uznał za zachętę.

– To niebywałe – rzekł. – Piękna kobieta sterczy samotna jak palec pośród tłumu gości. Na nic nie masz ochoty?

– Zgadłeś – spojrzała ponownie w dół, przykrywając oczy długimi czerwonymi rzęsami.

Znała Reia przelotnie ze swoich wizyt w biurze męża i nie robił na niej zbyt dobrego wrażenia. Dzisiaj czuła się mocno sfrustrowana gwałtowną sprzeczką z Teisem. Niebawem, ale ten facet, który sypiał na milionach transsolarów był skąpcem. Wypomniął jej przy obiedzie zakup nowego maidersa – co prawda strad miał klamki wysadzone procjońskimi brylancikami i kosztował fortunę, ale to nie powód, żeby zaraz zepsuć komuś posiłek.... Obraziła się na męża i przyszła tutaj sama. Teraz więc uznała, że towarzystwo Reia, choć może nudne, to po pierwsze lepsze niż niczyje, a po drugie będzie dla Teisa prztyczkiem w nos.

– Wiesz, że cię nie lubię? – odezwała się jednak zaczepnie.

– To czemu ze mną rozmawiasz? – zapytał, opierając się obok niej tak, że ich biodra się zetknęły.

– Bo to jedyne lekarstwo na nudę. Kiedy wszystko ma się bez trudności tak jak ja, przyjaciół, przedmioty, wybitnego mężczyznę u boku, podróże i diabli wiedzą co jeszcze, to rozmowa z kimś takim, jak ty, kiedy trzeba się przemóc i zrobić jakiś wysiłek, jest doskonałą odtrutką. Sam przyznasz.

Miała czarujący, cyniczny uśmiezek na tych swoich karminowych, wilgotnych wargach.

– Tak – westchnął Rei przez zaciśnięte zęby i postarał się przywołać na swą twarz jakąś życzliwą maskę, bo w głębi duszy poczuł się dotknięty. Ta kobieta umiała dopiec do żywego.

– Wobec tego mam szczęście, że udało mi się trafić na taki twój dzień. Długo na to czekałem. Widzę, że jesteś dzisiaj znudzona swym cudownym mężem.

Chciał się jakoś zrewanżować, ale od razu poczuł, że mu nie wyszło.

– Owszem – odparła. – Popatrz tylko.

Wyciągnęła rękę w kierunku środka sali, gdzie najnowszy automat skonstruowany w firmie, połykał ogień i fikał koziółki.

– Czym on się zajmuje? Jak można swój talent poświęcać takim bzdurom? On jest żenująco niepoważny. Przecież to nie jest nawet robot, zwyczajny automat do sztuczek – zakończyła.

Automat o sześciu włochatych nogach i pysku prążkowanym jak tygrys podskakiwał wśród okrzyków i pisków gości rozbawionych tym niespotykanym widowiskiem.

– Ja nie zajmuję się niczym innym – wtrącił Rei.

– Toteż ciebie nie znoszę, a jego toleruję, bo przecież sama go sobie wybrałam – przerwała, odgarniając z twarzy włosy. – Wiesz co? – powiedziała nagle zupełnie innym tonem. – Nasza rozmowa zaczyna być nudna. Porwij mnie! Urowadź stąd. Chcę być porwana przez kogoś, kogo nie cierpię!

Miała teraz w oczach taki blask, a policzki zaróżowione rumieńcem, że Rei wreszcie się zdecydował.

– Zgoda – powiedział, wyciągając z kieszeni niewielką buteleczkę. – Uciekniemy tak, że nikt tego nie zauważy.

– Ostrzegam cię, że mam strażnika, który czuwa nade mną nawet teraz.

Rei roześmiał się.

– Mam nadzieję, że cię strach nie obleciał. Czy on od razu zażąda rozwodu? Nie przejmuj się swoim strażnikiem.

Spojrzał w dół, gdzie kłębił się kolorowy tłum. Pod sufit buchnęła muzyka i oślepiający fajerwerk załśnił w lustrach sklepienia. Popchnął delikatnie Greianę ku drzwiom najbliższego pokoju, który mieścił się na galeryjce. Za nimi natychmiast podążył jej stroptyk o wyłupiastym, teleskopowym oku, zdobiącym krzywą twarz. Stroptyk zatrzymał się grzecznie pod drzwiami pomieszczenia, do którego weszli, gdyż doskonale

wiedział z programu, że nie było tam innego wyjścia.

A jednak Greiana Kort i Rei Seian zniknęli z przyjęcia i co gorsze nie potrafiono ich odnaleźć przez następny tydzień. Teis znalazł strażnika pod drzwiami i od niego dowiedział się, że żona jest wewnątrz z jakimś mężczyzną. Kiedy jednak wszedł do środka, nie zastał nikogo. Natychmiast zawiadomił gospodarza przyjęcia, a ten Oddziały, i tak rozpętała się cała historia.

Po dziesięciu dniach bezowocnych poszukiwań Greiana Kort znalazła się... sama, oświadczając, że przez cały czas była bezprawnie więziona przez Reia Seiana w jego mieszkaniu, o trzy przecznice od swojego domu, a o sto zaledwie metrów od komisariatu Oddziałów, który stanowił centrum akcji poszukiwawczej.

Natychmiast posłano po Seiana i przystąpiono do pilnego notowania zeznań pani Kort. Niestety, już pierwsze zdania Greiany sprawiły, że komendant zaczął wątpić, czy miało miejsce uprowadzenie. Przecież ofiara zaproponowała pierwsza dokonanie tego czynu. Gdy Greiana Kort przystąpiła do opisywania sposobu, w jaki ją porwano, komendant przerwał przesłuchanie. Sprawa nie miała dalszych konsekwencji prawnych, ale zanim się rozwiązała, narobiła sporo szumu. Teleprasa i holowizja, a także kosmonet i realon prześcigały się w relacjach o nowym wynalazku, który może uczynić człowieka niewidzialnym, o talencie Rei Seiana i jego konfliktach z zarządem firmy. Także o tym, że Proxigral wyprodukował to, czego Ziemianie nie chcieli, w ciągu jednego miesiąca. Taki był początek. Nikt jeszcze nie spodziewał się wtedy klęski, która już nadchodziła.

05.

– Proszę cię, zostańmy w domu – powiedziała Dagnes, zawiązując czerwoną kokardę na przedramieniu. – Jan byłby zły, gdyby się dowiedział, że ci na to pozwoliłam.

Agra kończyła makijaż, przeciągając od kącika oka ku wargom secesyjną kreskę. Z zadowoleniem przyjrzała się sobie, po czym, potrząsając głową dla nadania włosom lekkiego bezładu, weszła do pokoju.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – odezwała się znowu Dagnes.

– Nie nudź, siostró. – Agra podała swej opiekunce etolę z puszystego futra proximańskiego lokisa, z którą tamta nigdy się nie rozstawała. – Przecież jeszcze nie jest tak późno, a poza tym wiesz, jak mi zależy na tym występie.

– Jan nie pochwała ani twoich zajęć, ani towarzystwa, w jakim ostatnio znajdujesz upodobanie.

– Jan, Jan, Jan. Jana całymi tygodniami nie ma w domu! Przecież muszę coś zrobić! Całe szczęście, że udało mi się dostać miejsce w tym zespole, chociaż przyznaję, że oni momentami robią wrażenie kompletnie zbzikowanych. Chodź już.

Ciemność ogrodu rozświetlał tylko księżyc, kładąc siny blask na liściach krzewów. Ruszyły alejką ku furtce. Agra przodem, pobłyskując to przymykającymi się, to szeroko otwierającymi oczami, które patrzyły na księżyc z desena sukni, Dagnes za nią, zatopiona w puszystym kołnierzu lokisa i wyrzutach sumienia. Noce były od pewnego czasu niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnych kobiet. Gdyby któryś z dawnych socjologów zastanawiał się nad perspektywami rozwoju społeczeństwa przyszłości, nawet w najczarniejszych prognozach nie przypuściłby, do jakiej degeneracji może doprowadzić jeden głupi wynalazek.

– Może skorzystamy z windy? – zaproponowała Dagnes, czepiając się ostatniej szansy na uspokojenie sumienia.

– Nie ma mowy. Spójrz, jaki cudowny księżyc – odpowiedziała beztroska i lekkomyślna jak zawsze Agra. – Przejdziemy się.

Dagnes westchnęła i ruszyła śladem młodszej siostry z miną cierpiętника na pięknej, delikatnej twarzy. Szły przez mało uczęszczaną dzielnicę do równie mało uczęszczanego teatryku eksperymentalnego, który zaoferował Agrze etat dwa miesiące temu. Na widowni tego sanktuarium sztuki zasiadało raz na tydzień, przeważnie w soboty, około dziesięciu osób, co kładło każdy spektakl.

– Jak może funkcjonować teatr, którego jedynym założeniem jest współpraca z widownią, bez tej widowni? – dopytywał się ciągle szef artystyczny, Gene, który jednocześnie był autorem wszystkich grywanych tutaj sztuk. – Wszystkiemu winne jest rozleniwienie umysłowe, do którego doprowadziła masowa holowizja, stereon, real i mnemoteletechnika.

Gene nie całkiem miał rację, bowiem wiele „żywych” teatrów, opartych na tych samych zasadach, radziło sobie całkiem nieźle.

Zbliżały się właśnie do pasa, kiedy Dagnes usłyszała za swoimi plecami jakby skrzypnięcie buta. Przystanęła i odwróciła się gwałtownie. W perspektywie ulicy ujrzała tylko kilka osób, i to stojących daleko, wpatrzonych w ścianę ulicznego akwarium.

– Pospiesz się – usłyszała głos Agry odjeżdżającej pasem i czym prędzej zrobiła krok na ruchomy chodnik. Agra odjechała już dobre dwadzieścia metrów, a Dagnes po raz drugi poczuła ukłucie strachu w okolicy serca, gdy pas koło niej delikatnie zawibrował, jakby ktoś na niego wszedł.

Opuściły pas w pobliżu małej kawiarenki Tort, gdzie Agra

miała zwyczaj wypijać przed spektaklem 37 00 02 i zjadać wiśniowy tort – 370 002 200.

Nie uszły jednak dziesięciu kroków i Dagnes nie zdążyła podzielić się z siostrą swoimi obawami, gdy poczuła mocne klepnięcie w pośladek.

Krzyknęła, nie tyle zdziwiona czy przestraszona, ile wściekła i na oślep strzeliła w przestrzeń zerwaną z szyi etolą. Ku jej zdumieniu futro zatoczywszy regularny łuk pacnęło głośno sztucznym lokisowym pyszczkiem w jakąś przeszkodę, usłyszała basowy pomruk, jakieś przekleństwo, po czym etola szarpnięta przez niewidzialnego napastnika wymknęła się jej z rąk i pomykając w przestrzeni, oddalała się od niej energicznie.

– Poczekaj chwilę! – krzyknęła Dagnes do osłupiałej Agry i rzuciła się w pogoń. Udało się jej znacznie zbliżyć do wlokącego się po chodniku pierzastego ogona. Sterowała tak, by nadepnąć na wijący się koniuszek futra. Nagle etola znieruchomiała, zawieszona nienaturalnie w powietrzu. W tym samym momencie Dagnes usłyszała przeraźliwy krzyk Agry, który umilkł równie raptownie, jak nastąpił. Złapała futro i obróciła się ku siostrze. Chciała ruszyć na pomoc, ale czyjeś silne dłonie chwyciły ją wpół.

– Trzymaj się, Agra! – wrzasnęła, szamocząc się z sapiącym, niewidzialnym ciałem, ale Agra nagle poczęła od swych górnych partii rozpływać się w powietrzu, a wściekle walcząca Dagnes, krzycząc i kopiąc patrzyła bezsilnie, jak siostra znika powoli, aż przestały nawet istnieć jej granatowe sandały. Wtedy udało jej się wyrwać z uwięzi rękę i walnęła nią z całej siły w przestrzeń. Cios był tak mocny, że antyoptol odpadł w miejscu uderzenia z twarzy przeciwnika. Oczy Dagnes rozszerzyło przerażenie i zdumienie, gdy ujrzała, że to Proximańczyk. Napastnik zamarł,

odepchnął ją i zaczął uciekać. Ruszyła ku miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała Agra, lecz usłyszała tylko charakterystyczny szum stradu, równie niewidzialnego jak i wszyscy napastnicy. Przez dobrą chwilę stała samotnie na środku chodnika, trzymając w dłoni postrzępione futro i nie mogąc pozbierać myśli. Agra została porwana!? Usiadła na płytach i rozryczała się, co przyniosło jej natychmiastową ulgę. Dopiero teraz jakiś mężczyzna wysunął się zza panoramicznej szyby Tortu i przystanął nad nią.

– Co jest, dziecinko? – zaintonował, chwiejąc się.

Wypił widocznie za dużo trunku z numerem 16 jako podstawą i wraz z promilami we krwi wzrosły jego opiekuńcze instynkty.

– Pomóc, malutka?

– Nie trzeba – odpowiedziała twardo i podniósłszy się z ziemi ruszyła, zupełnie już opanowana, ku najbliższemu komisariatowi Oddziałów.

06.

Agra siedziała całkiem sztywna pomiędzy przytłaczającymi ją z obu boków ciałami. Od czasu do czasu czuła szarpnięcia z lewej strony, które boleśnie wykręcały jej nadgarstek, i słyszała głośne oddechy. Wolała się nie ruszać i nic nie mówić, mimo że okulary, które napastnik wcisnął jej na twarz w czasie napadu, wrywały jej włosy sprężystą opaską okalającą głowę. Patrzyła uważnie na okolicę, którą jechali, i z każdą chwilą wzrastało w niej przerażenie. Oto ominęli centrum smukłych igłowców, błyszczących niczym kolorowe fontanny, i wjechali na ślimacznice, prowadzącą do głównego korytarza

komunikacyjnego. Miasto zostawało coraz bardziej w dole, a właściwie jego zerowy poziom. Po chwili zza obudowanego dźwiękochłonym zakrętu wyłonił się kontur Pałacu Sztuk. Podjeżdżając bliżej widzieli, jak zmieniały się konfiguracje jego ścian, prostokąty rozpadały się na inne figury i rozbiegały na boki. To, co zdawało się być przednią ścianą pałacu, okazało się tylko jakimś wykuszem, i gdy przejeżdżali tuż obok, mogli zobaczyć przez pleksiton stradostrady, że całość pałacu jest olbrzymia, a to, co widzieli przed chwilą, było tylko jego szczytem. Nagle budowla zajarzyła się zielono, a strad wszedł w zakręt. Agra usiłowała wypatrzeć pod jezdnią jakieś cyfry, które pozwoliłyby jej się zorientować, na który poziom zmierzają, ale byli już zbyt blisko kolektora i dziesiątki nitek komunikacyjnych plątały się ze sobą, wyginały, niknęły i pojawiały ponownie, lecz już w innej barwie, jeżeli w tym czasie straciły swoje pierwszeństwo. Strad równo sunął wąską, fioletową odnogą, ciągle wznoszącą się w górę. Agrze zdawało się, że to poziom dwunasty, ale musiała się gdzieś w tym wszystkim pogubić, bowiem pojazd po chwili płaskiej jazdy znów zadarł maskę ku górze. Teraz poruszali się bardzo wolno, przy samej krawędzi prawego pasa. Zbliżali się do gigantycznego skrzyżowania i natłok pojazdów mógł stać się niebezpieczny dla niewidzialnych uciekinierów. Na szczęście dotychczas obyło się bez najechania, strad, który sunął za nimi – całkowicie i dobrze widzialny, a biorący udział w akcji, skutecznie blokował inne pojazdy. Agra pomyślała, że tamten jest z nimi w zмовie, ale nie zdążyła dostrzec jego numerów, gdyż siedzący po prawej stronie napastnik szarpnął ją i odezwał się grubym głosem:

– Gdzie się rozglądasz, ślicznotko? – Zarechotał nieprzyjemnie i dodał: – Nic ci to nie pomoże.

Zadrzała, uświadomiwszy sobie, że przecież nie może jej widzieć. Człowiek po lewej stronie poruszył się niespokojnie i poczuła jego dłoń na swojej piersi. Szarpnęła się do tyłu i krzyknęła.

– Co się tam dzieje, na Peruna! – ryknął kierowca.

– Nic takiego – odpowiedział pospiesznie ten z lewej. – Tej pani jest chyba zimno, a poza tym jest przewrażliwiona.

Poczuła znów dłonie tego samego mężczyzny na ramionach, lecz tym razem tylko przykryły ją czymś grubym i ciepłym.

– Uważaj, Olg. Jesteś znany ze swoich ciągot, ale tym razem się opanuj, bo z Malindangiem nie ma żartów. To nie żadne ćwiczenia, tylko prawdziwa akcja.

– Słusznie – poparł kierowcę ten z prawej. – Malindang potrafi być twardy.

Nie wiadomo dlaczego, Agra była przekonana, że człowiek, który się odezwał, musi być zwalisty i ciężki, lecz takiego nie wzięliby chyba do akcji.

– Nic nie było – zachnął się Olg. – Chciałem tylko zobaczyć, czemu tak się trzęsie jak liść.

Kolor jezdni i pleksitonowych band zmienił się na zielony i teraz ruszyli jak z kopyta. Agra wreszcie poznała okolicę. To był najwyższy poziom, transkrajowa stradostrada północna, a więc zmierzali w stronę morza, a przede wszystkim poza miasto na dużą odległość. W desce rozdzielczej zaskrzypiał nagle głos:

– Evert, Jonski... Evert, Jonski... 616, zgłoś się – rozległo się.

Kierowca uruchomił namiar.

– Evert. Wszystko zgodnie z planem. Uspokój nadpułkownika. Brygada spisała się dobrze, nawet Olg. Wieziemy towar na wybrzeże.

– W porządku. Wasze zadanie kończy się w porcie. Przy

jachtowym cumuje „Gwiazda”. Program na Born, tam ją przejmą. Skończyłem.

– W porządku.

Kierowca wyłączył namiar.

– Całe szczęście, że nie miewam choroby morskiej – wyszeptała Agra i pomyślała, że jej porywacze są dziwnie nieostrożni. Operowali nazwiskami i imionami, mówili o brygadzie i nadpułkowniku, zupełnie się nie kryjąc.

– Dlaczego nie polecimy kopterem? – zapytała.

– Oho – ucieszył się Olg – panienka wraca do siebie.

– Kopter, moje dziecko – powiedział człowiek z prawej, który przypuszczalnie nazywał się Jonski – może stać się czymś w rodzaju latającej trumny, kiedy się go pociągnie antyoptolem. Ani się obejrzysz, jak coś ci urwie ogon albo śmigło i koniec. Tutaj przynajmniej tyły mamy zabezpieczone. A teraz zdrzemnij się, malutka, bo czekają cię jeszcze liczne emocje.

Chciała zapytać, o co im chodzi, w jakim celu ją porwali, ale zrezygnowała. Porwania zdarzały się teraz częściej niż kiedykolwiek. Porwania, napady, kradzieże. Takie naiwne pytanie straciło sens. Przykryła się lepiej kocem i przymknęła oczy. Nie potrafiłaby usnąć za nic w świecie.

07.

Od podsłuchania tamtej rozmowy cały czas byłem napięty jak struna i wściekły. Muszę przyznać, że mimo przykrego wrażenia, jakie pozostawiła pierwsza noc koncentracji, zaczynało mi jakby iść lepiej. Gdy rankiem ujrzałem twarz Matsona, załała mnie fala gorąca, ale powstrzymałem się i rozmawialiśmy bardzo uprzejmie. Miła pogawędka, tylko we mnie czaiła się na dnie

duży żądza mordy. Udowodnię temu pasibrzuchowi – myślałem – jak bardzo się pomylił. Zażądałem natychmiast wszystkich schematów, rozkładów mikroskopowych, tabel i wykresów odchylenia pod wpływem różnych rozpuszczalników. Właśnie mi to wszystko dostarczyli. Dopiero co ucichł syk pneumo, z którego pojemnika wywalił się cały stos kasetonów, lowidów, płytek, dysków i paluchów pamięci, filmów i papierów. Wsypałem to do dołka doku i włączyłem rzutnik. Kazałem puścić, nie wybierając kolejności, porządku ani nawet programu. Przez ekran wstępny popłynęły dane wymieszane jak groch z kapustą. Zatrzymałem aparat, kiedy w przestrzeni pokazała się molekularna struktura związku. Łańcuch był kłębowiskiem kolorowych węży. – Spryciarze – powiedziałem sam do siebie. – Tak skomplikować głupią farbę. Na dobrą sprawę żadnego połączenia nie można było odrzucić jako nieprawdziwe. Wzór robił wrażenie zaprogramowanego przez komputer, ale komputery jak na razie nie potrafiły znaleźć żadnej generalnej zasady, na której oparty był ten związek. Kamuflaż był posunięty do ostatecznych granic. Wszyscy już doszli do wniosku, że komponował ten łańcuch wirtuoz. Nie sam mózg mnemoniczny, nie sam człowiek, lecz złożony z nich obu diabelski duet – hybryda. Stąd wziął się pomysł, aby do współpracy z cyberintelektem i sztabem specjalistów wprząc intuicjonala. Pomysł był może dobry, ale kiedy patrzyłem na różnobarwne zwoje struktury, traciłem nadzieję, że uda mi się to kłębowisko przeniknąć i wybrać z zapisów ten fragment, zapewne króciutki i prosty, który jest prawdziwym, czynnym antyoptolem. Nacisnąłem guzik łączności.

– Matson – powiedziałem specjalnym, bezbarwnym tonem. – Chyba coś mam. Przyślijcie mi kilkanaście puszek antyoptolu

i kilka różnych rozpuszczalników.

– Dobrze – odparł tamten bez entuzjazmu i wyłączył się. Oczywiście nie miałem nic, zupełnie nic, ale musiałem coś zrobić, żeby z bezczelnej twarzy Matsona zetrzeć ten uśmiezek politowania, który widziałem u niego dziś rano. A zresztą może mi się tylko zdawało. Matson chyba zawsze głupio się uśmiechał. Puszki walnęły z trzaskiem o pojemnik pneumo. Wziąłem w dłoń najmniejszą z nich i powędrowałem do ogrodu. Zaprogramowałem w podajniku mieszankę 37, 56 i 12. Słońce stało wysoko. Wziąłem szklankę z musującym napojem, uwielbiam musujące, i usiadłem na schodkach, potrząsając puszką. Postawiłem ją przed sobą i przyglądałem się uważnie. – Co w tobie jest? – myślałem. – Powiedz, puszczo. Zdradź tajemnicę. Co to jest? W tej sekundzie usłyszałem skrzyknięcie na zwirowanej ścieżce i ktoś potrącił krzaki. Bezszelestnie posypały się płatki rododendronu. Zerwałem się jak oparzony. Ktoś pomalowany antyoptolem sunął ku mnie... Czyżby Matson zaniepokoił się i przysłał jakiegoś najemnika, żeby pozbawił mnie życia? Rozgorączkowany, drżącymi rękami porwałem aerozolowy rozpuszczalnik Yarokega, który ujawniał zarys postaci na 4–5 sekund jak dowiodły doświadczenia, i dzierząc go niczym gaśnicę ruszyłem z powrotem do ogrodu. Znalazłem się tam w chwili, gdy pozostawiona przeze mnie szklanka uniosła się z betonu. Wymierzyłem w tamtym kierunku i nacisnąłem spust. Gruba szpryca trafiła na przeszkodę. Usłyszałem pisk kobiety, co tak mnie zbiło z tropu, że przestałem na nią pryskać. Ujrzałem na moment bezbarwny, półprzejrzysty zarys dłoni i kawałek smukłej talii, po czym obraz zniknął jeszcze szybciej, niż się pojawił.

– Kim pani jest! – wrzasnąłem, przyskakując do tego miejsca

i łapiąc za punkt, gdzie przed chwilą widziałem mglisty kontur. Trzymałem dłoń ciepłą i drobną.

– Przestań mnie szarpać – usłyszałem głos. – Jestem Dagnes. Za dziesięć minut antyoptol się rozpadnie, musisz poczekać.

– Co? – wymamrotałem cicho, jakby uszło ze mnie powietrze. – Co ty tu robisz?! Dlaczego zakradłaś się w przebraniu, no, jako niewidzialna, na ten teren?! Wiesz przecież, że tego nie wolno robić!

– Wiem, ale kiedy poprosiłam o widzenie z tobą, to mi nie pozwolili. Ten gruby Matson stwierdził, że podpisałeś umowę na trzy tygodnie i nie można ci przeszkadzać, bo firma mogłaby ponieść wielkie straty.

– Zaraz, zaraz, Dagnes – przerwałem jej. – Ale czy coś się stało? – Straciłem zupełnie panowanie nad sobą.

– Owszem – powiedziała Dagnes, stopniowo ukazując się moim oczom. Antyoptol tracił swoje właściwości i rozpadał się w ułamkach sekund. – Porwano Agrę. Przepraszam, że jej nie upilnowałam – dodała po chwili cichym szeptem.

Musiałem się na niej oprzeć, bo nogi mi zrobiły się miękkie jak z waty.

– Porwali ją! – powiedziałem przez zaciśnięte gardło. – Ale dlaczego?

08.

Dagnes opuściła komisariat Oddziałów z mieszanymi uczuciami. Podmajor robił wrażenie półgłówka, którego na dodatek cała sprawa nie interesuje. Po kilka razy kazał sobie powtarzać nazwisko ofiary i jej własne personalia, po czym stwierdził, że oczywiście zrobią wszystko co w ich mocy, ale żeby zbytnio

na cuda nie liczyć, bo takich spraw mają dziennie całe setki, i że trzeba mieć cierpliwość.

– Niech mi pan przyrzeknie – prosiła Dagnes, czarując go składanymi w serduszko czerwonymi ustami. – Niech pan przyrzeknie, że zajmie się tą sprawą osobiście.

Jednak podmajor, człowiek skądinąd młody i przystojny, nie okazał się czuły na jej wdzięki.

– Doceniam pani troskę o siostrę – powiedział urzędowym tonem. – Ale zechce mi pani nie zajmować więcej czasu, bo czekają na mnie inni poszkodowani. Sprawa pójdzie normalnym, to znaczy automatycznym trybem.

– Przez androidy?! Ależ to niemożliwe! – krzyknęła Dagnes. – Pan nie wie, kim ona jest! Podejrzewam, że to porwanie ma związek z Elektrolem i tym, że mąż Agry jest tam teraz zatrudniony jako intuicjonał. Jeden z porywaczy był Proximańczykiem. Niech pan będzie tak dobry. Proszę nie lekceważyć tej sprawy – dodała, wyciągając przed siebie smukłą, napiętą łydkę.

– Droga pani – westchnął nieprzystępny funkcjonariusz. – Jej lokator działa w Centrum Wiedzy i Życia i nie wykazuje najmniejszych wahań. Zresztą nie wyobraża sobie pani chyba, że coś zagraża jej zdrowiu?! Takich przypadków, żeby ktoś naprawdę komuś wyrządził krzywdę fizyczną, nie było od jakichś... 300 lat. Jak będę coś wiedział, to przyjdę do pani osobiście, dobrze?

Kiwnęła głową.

– To świetnie – ucieszył się. – A teraz do widzenia.

Tak więc komisariat opuściła z uczuciem, że ją spuszczone po brzytwie. Tak głęboko wątpiła w skuteczność Oddziałów, że niemal natychmiast podjęła decyzję, żeby zawiadomić Jana. Gdy

rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że jest środek nocy, opanowało ją coś w rodzaju paniki. Żałowała, że nie poprosiła podmajora o podwiezienie do domu przez robotaxi. Nie miała daleko, więc vind nie wchodził w grę, ani nic innego. Znowu musiała jechać pasem przez puste ulice. Na półkilometrowym odcinku można człowieka porwać tysiąc razy, czyli co pół centymetra. Ścisnęła mocniej torebkę i zgrabnie wskoczyła na ruchomy chodnik. Tym razem nie ugiął się podwójnie, ale mimo to lekko drżała. Wyobrażenia podsuwała jej okropne obrazy, a świeże wspomnienie porwania także nie uspokajało. Przypominały się jej ogłoszenia w HV, zamieszczane przez tak zwaną Organizację. Ta anonimowa, prawdopodobnie bardzo liczna grupa, na tępienie której Oddziały nie traciły swego cennego czasu, była postrachem najbogatszych osiedli mieszkaniowych. Co tydzień pojawiała się ich aktualna lista rankingowa. Rabowali na ulicach, w domach prywatnych, w biurach i nawet na komisariatach Oddziałów. Ich działalność ze społecznego punktu widzenia nie była szkodliwa, bowiem to, co ukradli, dało się zazwyczaj w ciągu kilku minut odtworzyć w najbliższym plastykonie. Jednak czasem ktoś był przywiązany do posiadanej rzeczy albo potrzebował jej natychmiast i w specyficznych okolicznościach mogło to zjawisko być groźne. Na liście rankingowej zeszłego tygodnia pojawił się człowiek o pseudonimie Gras. Zakasował konkurencję zupełnie, zdobywając mikroprocesorowy komputer wielkości trzy metry na dwa i wynosząc go z budynku Brygad Bezpieczeństwa. Wyceniono ten wyczyn na 280 transsolarów, co oznaczało wysokie miejsce na liście.

Dagnes bardzo łatwo przywiązywała się do rzeczy, a torebka, którą przyciskała do piersi, była jej droższa od wszystkich futer, jakie podarował jej Jan. Na szczęście droga minęła bez przygód. Jednak dopiero, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi willi Jana, którą natychmiast rozjaśniło czerwone, nocne światło, mogła pozbierać myśli.

Natychmiast połączyła się z Elektrolem. Przywitał ją otyły mężczyzna o przenikliwych oczach.

– Matson – powiedział, kłaniając się nisko.

– Dagnes Merial – przedstawiła się. – Czy mogę mówić z Janem San?

– Niestety, to niemożliwe. Od dwudziestu czterech godzin pracuje – powiedział z przepaszającym uśmiechem.

– To bardzo ważne – upierała się Dagnes. – Porwano jego żonę, on musi się o tym natychmiast dowiedzieć.

Zauważyła na twarzy Matsona wielkie zdziwienie, ale dyrektor kadr opanował je szybko.

– Niestety – powiedział smutno. – Nawet nie będę mógł przekazać mu tej wiadomości. Takie są przepisy. Zna je pani?

– Owszem, ale to jest „wypadek nadzwyczajny” – Dagnes nerwowo odgarnęła kosmyk włosów, który jej spadł na oko.

– Tak... W nadzwyczajnym wypadku można zerwać umowę. Kosztuje to... – pogrzebał w papierach. – Tysiąc transsolarów w wypadku tej umowy. Czy zrobimy to na pani odpowiedzialność? – uśmiechnął się słodko.

Co za przebiegły typ, podsumowała go w myśli Dagnes i głośno powiedziała:

– W takim razie przepraszam.

Uśmiechnęła się najmilej jak mogła i wcisnęła klawisz, przerywający połączenie. Przygotowała sobie swój ulubiony cocktail 37 90 02 i usiadła, żeby spokojnie pomyśleć. Musi się dostać na teren Elektrołu i zawiadomić Jana. Była przekonana, że on natychmiast coś wymyśli. Tylko on, nikt inny, bo przecież nie Oddziały, których to wszystko w ogóle nie obchodzi. I wtedy po raz drugi tej nocy pomyślała o Organizacji, stowarzyszającej ludzi co prawda strasznych, bo postrzelonych i obdarzonych wrodzonym cynizmem, ale jednak niewątpliwie sprytnych. Kto,

jak nie oni, pomoże się jej dostać na teren Elektrolu tak, by nie została zauważona? Może też sama powiadomić Jana. Pociągnęła duży łyk napoju, bardzo z siebie zadowolona. Znów uruchomiła wizjofon.

09.

Matson nerwowo wciskał cyfry na klawiaturze. Obiecał sobie co prawda, że nie opuści terenu firmy, póki Jan San nie zakończy pracy, ale sytuacja bardzo się zmieniła.

Szef kadr Elektrolu z trudem mieścił się w standardowym foteliku, jakimi umeblowano wszystkie pomieszczenia hotelu Wisła. To miasto męczyło go jeszcze bardziej niż inne. Klimat latem i zimą był tu fatalny, zwłaszcza dla otyłych, jak on, lecz nie mógł się poddać korekturze z powodów, o których wiedziało tylko kilka osób. One jednak były daleko i Matson miał świadomość tego oddalenia i misji, którą musi spełnić. „Dosyć – pomyślał. – Trzeba wziąć się w garść”.

Po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz wcisnął kod i czekał. Ekran pulsował zielonkawo, linia była zajęta. Sytuacja przybrała niepokojący obrót i Matson nie bardzo potrafił sobie wyjaśnić, co się stało. Musiał połączyć się z Proxixarem, chociaż bardzo obawiał się dekonspiracji. Tylko Proxixar mógł mu wyjaśnić sens i cel ostatnich zdarzeń. Wstał i ocierając spocone czoło, maszerował od ściany do ściany. Ciągle nie mógł się przyzwycząić do tych zamkniętych pomieszczeń. Ściany przytłaczały go, powodując złudzenie braku powietrza. Sam już nie wiedział, czy poci się z duchoty, panującej powszechnie na Ziemi, czy też ze strachu przed tymi klatkami pomieszczeń, w których musiał przebywać. Znów usiadł

i włączył aparat. Zdenerwowanie narastało. Tym razem jednak przez ekran przebiegł rząd rubinowych pasów i pojawił się na nim pokój hotelowy, jak dwie krople wody podobny do tego, w którym siedział Matson. W takim samym foteliku spoczywał srebrzystowłosy Proxixar. Na widok Matsona zerwał się z wyrazem zaskoczenia w oczach.

– Co się stało? – niemal krzyknął. – Przecież wiesz, że jestem tutaj jako zwyczajny turysta i nie powinieneś się ze mną kontaktować!

– Tak, wiem – Matson potarł czoło nerwowym ruchem. – Ale to zupełnie nowy aparat, nowa karta, nowy numer, sieć kosmonetu i do tego ma wszystkie zabezpieczenia. Chciałbym się dowiedzieć od ciebie, co się zmieniło, że porwaliście żonę tego intuicjonała? Tego nie było w planie. Mówiłem, że go mam pod kontrolą. Przecież to bez sensu. Przestaliście mi ufać?

– Co? O czym ty mówisz? Jaką żonę? W ogóle nic nie wiem o jej istnieniu. – Proxixar zbladł tak, że jego skóra stała się niemal różowa.

Matson zorientował się, że jego dowódca jest bardzo zdenerwowany.

– Więc to nie wy? – spytał ze zdumieniem.

– Kto ci to powiedział? Skąd wiesz, że ją porwano? – Proxixar mówił przez ściągnięte wargi.

– Rozmawiałem z jej siostrą, Dagnes. Chciała natychmiast zawiadomić intuicjonała.

– Tylko tyle? – zacisnął pięści dowódca. – Zachowujesz się jak nowicjusz, Matson. Jeżeli to prowokacja, to będziesz się miał z pyszna.

– Nikt za mną nie szedł, jestem poza zasięgiem ich sieci...

– A wączacze, a pikery? Przecież wiesz, że oni mają

te diabelskie urządzenia zainstalowane prawie we wszystkich miejscach publicznych. Twoje feromony zapachowe są pewnie już w którymś łączu i w segregacji centralnej, a robopodsłuchiwacze w drodze albo za ścianą.

– W tym hotelu nie ma wachacza – zapewniał szybko Matson.
– Kobieta była autentycznie przerażona. Myślę, że to nie prowokacja. Zresztą, skąd by się mogli domyślić?

– Być może masz rację, ale... – odpowiedział z namysłem Proxixar. – Możesz być pewny, że to nie nasza robota. Może to jakaś ich wewnętrzna opozycja lub ktoś taki. Wracaj na swoje miejsce i nie waż się więcej ze mną kontaktować. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Dowódca przerwał połączenie, a Matson z westchnieniem opadł na fotelik, który pod jego ciężarem zazgrzytał, jakby go ktoś mordował. „Jest źle – pomyślał – ktoś się wtrącił i może wszystko popsuć”. Siedział jeszcze przez chwilę, myśląc o swojej ciężkiej misji i Proxigralu, który tę pracę mu zlecił, a właściwie nie osobiście jemu, ale Agencji Proxistara. Miał tego dosyć. Chciał czym prędzej opuścić klatkę pokoju, bo znów nadchodziła klaustrofobiczna fala. Zdecydowanym ruchem wyciągnął zza pazuchy spray i nałożywszy okulary, począł systematycznie pokrywać się farbą, która uchroni go przed wzrokiem ewentualnych szpicli na okres około dwóch godzin, po czym w sekundę rozpadnie się bez śladu.

10.

Kiedy Dagnes w całości ukazała się moim oczom, a ja ochłonąłem na tyle, że nie musiałem się już na niej wspierać, pomyślałem, że nie pozostało mi nic innego, jak się wycofać. Nie wątpiłem, że

o to chodziło napastnikom, zwłaszcza gdy Dagnes zrelacjonowała mi przebieg zajścia. Wśród porywaczy był Proximańczyk, więc całą sprawę z pewnością sprytnie rozegrał Proxigral. Nie wystarczyło im, że wzięli intuicjonała na „opadającej fali”, ale chcieli się jeszcze dodatkowo zabezpieczyć. Nawet nie muszą przysyłać mi kartki ze swymi żądaniami, wypisanymi punkt po punkcie. Ich postępowanie przemawiało jasno na temat charakteru owych warunków. Szklany gmach złudzeń, że jeszcze uda mi się odrodzić i pokrzyżować tej bandzie plany, runął w jednej sekundzie na wieść o porwaniu Agry. Wiedziałem, jak trudno będzie mi odnaleźć ten zagadkowy rytm, falę, która od wieków pozwala takim jak ja dostrzec właściwe nitki i poruszać nimi tak, by wszystko znalazło się na swoim miejscu. Nikogo nie kochałem tak jak jej i dlatego mogę stwierdzić, że moja wewnętrzna struktura zatrzęsała się w tym momencie po raz drugi, i to nieporównanie potężniej niż wtedy, gdy Matson uświadomił mi, jakim beznadziejnym jestem teraz intuicjonałem.

– To już koniec, Dagnes – szepnąłem, przyciągając ją do siebie.
– Ja będę zrujnowany, ale Agra wolna.

Dagnes popatrzyła na mnie tymi swoimi szczerymi, szerokimi oczami, które oczarowały mnie dawno temu, kiedy jeszcze nie znałem jej siostry, ale potem władzę nade mną przekazały innym, bez porównania bardziej błyszczącym i kochanym.

– Nie jestem pewna – powiedziała ostrożnie – czy to jest właściwa decyzja. Chyba powinieneś się zastanowić.

– Nie, moja droga – westchnąłem – nie muszę się zastanawiać. Jestem bezsilny. Bezsilny i wściekły. To nie są warunki do koncentracji, więc z wynalazku nici, a poza tym nie widzę innego wyjścia. Kto ma uwolnić Agrę, Oddziały, BB?

Zamilkliśmy oboje, wpatrzeni w trawiastą skarpe ogrodu.

Zapach rododendronów pomieszał się ze słońcem i świeżym powietrzem w najwspanialszy cocktail, jaki sobie można wyobrazić, lecz mnie ten cocktail zupełnie nie cieszył. Pierwsza odezwała się Dagnes.

– Jesteś przekonany, że te przeszkody nie mogą stać się budulcem twojej koncentracji? – zapytała.

– Co? Jak? – ocknąłem się z czarnych myśli. – Aha... gniew, frustracja, poczucie bezsilności...

Zamyśliłem się, kręcąc jednocześnie przecząco głową.

– Wiesz... – powiedziałem po chwili, wyłamując nerwowo palce, intuicjonał Kerynski odkrył metodę skutecznego, prostego pozbywania się odpadów atomowych, bazując na takich właśnie emocjach. Tak samo Adamson, Fluje ze swoimi punktami stykowymi galaktyki, Kolew i Robotycki, Zaleski, Maniewicz, i wielu innych... Było kilkadziesiąt wybitnych intuicjonałów, którzy dążyli do celu na przekór faktom. Dopiero w trudnych, niesprzyjających warunkach wszystko w nich układało się w harmonijną całość. Potrafi to także Eon Kicz i Steph Cschoroty. Niektórzy posuwali się do prowokacji, byle tylko wzbudzić w sobie negatywne emocje. Ale ja...?

– Dlaczego by nie ty?

– Ja nigdy tego nie próbowałem... Na pewno jednak nie mogę bazować na tym, na czym opierałem się do tej pory. Brak konfliktu, pogoda ducha i tego typu emocje najwyraźniej mi już nie służą.

– Chyba nawet wiem, od kiedy – stwierdziła, przypatrując mi się z czułością, jakiej się po niej nie spodziewałem.

– Zaraz, zaraz – spojrzałem na nią uważnie. – Do czego pijesz?

– Zacząłeś się bać, Jan. Prawda?

– Nie denerwuj mnie! – wrzasnąłem, sam zaskoczony swoim

tonem i zerwałem się ze schodków.

– Proszę cię – Dagnes krążyła za mną jak cień po ciasnym pokoju. – Zostaw sprawę Agry Oddziałom, tylko skłoń ich, żeby się nią zajęli poważnie.

– Żartujesz chyba. Mam poświęcić Agrę?

– Nic jej się nie stanie. Ten nadpułkownik czy podkapitan powiedział, że fizycznie nic jej nie grozi. – Dagnes siadła na kanapie i podwinęła pod siebie szczupłe nogi. – Jeżeli to porwanie ma zmusić ciebie do zaprzestania pracy nad antyoptolem, to już nic więcej nie mogą zrobić, poza tym, że cię nastraszyli.

– Nie mogą zrobić. Dobre sobie! – Patrzyłem na nią z coraz większym niedowierzaniem. – Czy ty oszalałaś, o co ci chodzi? Przecież będą na pewno dręczyć ją psychicznie. Lokator w Centrum Wiedzy i Życia nic nie wykaże, bo zawsze będą pod progiem czułości, ale zrobią swoje...

Oto najbliższa mi poza Agrą osoba nagle zaczęła działać przeciw swojej siostrze, a mojej żonie. Starła się namówić mnie do kontynuacji pracy, mimo że tamtej groziło to olbrzymim niebezpieczeństwem... No, powiedzmy dyskomfortem.

– Wiesz co? – powiedziałem z wyrzutem. – Nie spodziewałem się, że potrafisz być taka okrutna i podła.

Nie poruszyła się, zwinięta jak drapieżny kot w tym swoim rogu kanapy. Przez chwilę panowało pełne napięcia milczenie. Nagle roześmiała się. Śmiała się jak opętana, a mnie ten śmiech coraz bardziej denerwował. W końcu rozwścieczył mnie i przypadłem do niej ogarnięty furją. Potrząsałem nią jak sflaczałym workiem, chciałem wytrzepać z niej ten śmiech, zagłuszyć jego dźwięk, rozerwać ją na strzępy, a ona ciągle się śmiała. Teraz to był już tylko histeryczny spazm, wariacki,

nieopanowany chichot i w tym momencie zrozumiałem. Coś się we mnie przemieniło. Usiadłem obok niej i ukryłem głowę w dłoniach. Wiedziałem już, że to strach o Agrę jest przeszkodą. Rzeczywiście strach i nic więcej. Zrozumiałem to w ułamku sekundy. Przecież wszystko zależy ode mnie, od tego, jak rozegram z przeciwnikiem tę partię. Oni nie mogą posunąć się zbyt daleko, to groziło wielką, międzyplanetarną aferą. Alarm w CWiŻu uruchomiłby roboty Kordonu, Kordon otoczyłby ich w parę chwil, i znalazłby i ją i ich w pięć... no może w pięćdziesiąt minut, a potem... To już szkoda gadać co potem. Żeby skutecznie zniknąć z Systemu musieliby ją i siebie rozczipować. A gdyby ruszyli choć jeden czip mieliby na głowie już cały System Strażniczy Ziemi. To porwanie było rzeczywiście wszystkim, czym mogli mi grozić. Chcieli mnie zdenerwować i wybić z uderzenia. Jeszcze jeden sposób, żeby się zabezpieczyć przed moją mocą, przed moim chi. Dagnes wreszcie zamilkła.

– Dziękuję ci, kochana – powiedziałem do niej, dyszącej i wyczerpanej, spoglądającej na mnie niepewnie.

– Za co? – szepnęła, nie rozumiejąc nawet, co zrobiła.

– Nieważne. Teraz muszę się połączyć z dyrektorem Elektrolu. Matson pewnie zrobi wszystko, żebym tego połączenia nie dostał. Matson jest jedynym człowiekiem, z którym mam tutaj bezpośredni kontakt.

Na moment zawahałem się, obmyślając wyjście z sytuacji, ale jeszcze nie zdążyłem się dobrze skupić, gdy rozwiązanie nadeszło samo.

– Wiem – skoczyłem w górę, jak dzieciak, który wymyślił dobry kawał. – Ty mi pomożesz, Dagnes.

Podbiegłem do niej i w nerwowym pośpiechu, jakbym nagle się zorientował, że ktoś może ją tutaj zobaczyć, zacząłem wciskać

jej na twarz okulary, chroniące oczy przed antyoptolem. Usiłowała jeszcze o coś zapytać, lecz zrezygnowała, niknąc powoli pod warstwą farby wyrzucanej z pojemnika.

– Jak ty się właściwie tutaj dostałaś? – zainteresowałem się ponieważ.

– Przy pomocy Organizacji. Jeden z aktorów w tym zwariowanym teatrze Agry wspominał kiedyś, że zna człowieka, który namiętnie uprawia złodziejski hazard. Przypomniałam sobie o tym i nawiązałam z nim kontakt. Sam Gras zajął się moją sprawą i dzięki niemu tu jestem.

– As? – zapytałem, przypatrując się z oddalenia, czy coś czasem nie prześwieca spod farby. – Co za As?

– Gras – sprostowała. – Hazardzista, który wyniósł trzystukilowy komputer procechronowy z gmachu BB.

– Doskonale – powiedziałem, zadowolony ze swej roboty.

– Że zadaję się ze złodziejami?

Oczami wyobraźni widziałem jej groźnie wyduńczone wargi i zmarszczone pod antyoptolem czoło.

– Nie, jasne, że nie – odparłem szybko. – Mam nadzieję, że ten Gras zapewnił ci powrót.

– Gras! Oczywiście. Przez cały czas czuwa tuż za murem. To naprawdę wielki spryciarz. Co robisz? – zaprotestowała, widząc że zabieram się po raz trzeci do powlekania jej farbą.

– Musisz być bardzo dobrze pomalowana z uwagi na fotozawory. Trasę powrotną pokonasz drogą oficjalną. Zaraz ci wytłumaczę.

– A potem?

– W mieście musisz stanąć na głowie i spowodować, żeby skontaktował się ze mną Halsmid. Dyrektor Elektrolu. Choćbyś miała go do tego zmusić siłą. Ja oczywiście też będę się starał

o połączenie, ale wiem, że Matson do tego nie dopuści. Namów na współpracę tego Asa.

– Grasa – sprostowała z westchnieniem po raz kolejny i wyszliśmy do ogrodu.

Uścisnąłem ją na pożegnanie i wróciłem do siebie. Położyłem się na kanapie z uczuciem ulgi. Miałem znów spokojny oddech i oczy nie biegały mi jak rannemu zającowi. Stłumiłem strach o Agrę. Zdawałem sobie sprawę, że najważniejsze jednak wciąż jeszcze przede mną. Brakowało mi pomysłu na ten antyoptol. Muszę – przekonywałem siebie półgłosem. – Muszę koniecznie, żeby nie powtórzyło się to wszystko, co działo się od kilku już lat. Początkowe zamieszanie było straszne, ale teraz działy się równie smutne rzeczy. Zabawy przerodziły się w zwykłą żądę sukcesu i coraz częściej dominowała ta najpaskudniejsza z żądz – chęć posiadania, posiadania nieskrępowanego niczym, posiadania za wszelką cenę i bez oglądania się na innych. Antyoptol wyzwolił przycichłe od dziesiątków lat instynkty i dowiódł, jak zgubny może być dla społeczności Ziemi każdy brak równowagi. Osłabiona czujność, brak przygotowania do walki z Niewidzialnymi i nieumiejętność powstrzymania napływającej z Proximy fali antyoptolu wstrząsnęła spokojną i, jak się zdawało, niepodważalną stabilizacją Metropolii. Muszę – wymamrotałem raz jeszcze, nim zmorzył mnie sen.

11.

Niewiele mieli czasu mieszkańcy Ziemi, by ochłonąć po aferze Rei Seiana. Ledwo teleprasa umilkła na ten temat, wypłynął nowy skandal. W czasie spektaklu w Teatrze Muzycznym przy Różanej, zbudowanym na cześć zespołu The Rolling Stones, jakiś ukryty pod płaszczykiem niewidzialności dowcipniś zerwał koncert najmodniejszej ostatnio grupy muzyki poważnej Dzikie

Psy, która po mistrzowsku prezentowała tak stare i cenione dzieła jak „Satisfaction” Micka Jaggera czy „Time”, wykonywane w dawnych czasach przez grupę Pink Floyd. Bezczelny ten typ przez cały koncert zagłuszał czyste i harmonijne dźwięki gitar i perkusji strasznym wyciem syreny alarmowej, które rozlegało się z coraz to innej strony, ku oburzeniu pełnej sali widzów. Próby pojmania przenoszącego się z miejsca na miejsce niewidzialnego człowieka nie przyniosły skutku i koncert Dzikich Psów musiano przerwać. Tego samego dnia holoprasa doniosła o wydarzeniu w N-Jorku. Niewidzialny osobnik przedostał się tam do zajezdni wirobusów i wszystkim powykręcał rozruszniki, przez co komunikacja wirobusowa była zawieszona, a jej zadania musiały przejąć rasty i ixary, w których panował niewyobrażalny ścisk i tłok. Było kilku poturbowanych, liczne grono niezadowolonych i wykupiony cały zapas uspokajaczy z ulicznych automedolo przez podenerwowanych. Oddziały bezradnie załamywały ręce i miało im się to zdarzać coraz częściej. Ustalono, że środek przywożony jest całkowicie legalnie przez proximańskie frachtowce i sprzedawany w proximańskich domach handlowych, otwartych kilkanaście lat temu w ramach współpracy. Najprostszym wyjściem byłoby zamknięcie dla proximańskiej żeglugi granic celnych, jednakże granice te dopiero co zostały otwarte po licznych perturbacjach. Pozostawało zastanowić się nad innymi możliwościami przeciwdziałania. Po tygodniu kawały podobne do tego z Warszawy czy n-jorskiego teatru można było liczyć na setki. Utworzono specjalną Komisję do Spraw Antyoptolu i przekazano sprawę BB oraz Astropolowi. Tymczasem wydarzenia przeszły w nową fazę. Pojawiły się pierwsze przypadki uprowadzeń. W mężczyznach odżyły lubieżne instynkty i kobietom zdarzały

się też wypadki napaści erotycznych. Co prawda nie przekraczające granic dopuszczalnych obyczajowo, no ale wiadomo, że normy są od dawna tak rozlazłe, że niejedno da się tam wcisnąć jako coś zwyczajnego. Najmniej groźne było zjawisko masowych kradzieży, uprawianych dla zaspokojenia wysublimowanego instynktu zdobywczego i manii polowania. Najwięcej zmartwień przysparzały jednak uprowadzenia i szantaże. W sytuacji, kiedy w każdej chwili niewidzialny człowiek mógł wejść do każdego pomieszczenia, prywatnego czy służbowego, prowadzenie poufnych rozmów, czy zachowanie tajnych danych firmowych albo osobowych okazywało się trudniejsze niż kiedyś lot na Księżyc. Potem zdobywca intymnej informacji usiłował zmusić szantażowanego do uległości w taki czy inny sposób. Najczęściej chodziło o załatwienie jakiejś pracy. O pracę, jak wiemy, nie jest w naszych czasach łatwo. Inne szantaże miały różny wymiar, począwszy od zarezerwowania miejsca na atrakcyjnym transgalaktyku przez zapewnienie kilku minut na antenie HV, w dobrym programie, czy w realu, albo w transmisji mnemo, po udziały w firmach i wynalazkach, albo transfery walorów finansowych.

Rejestr żądań szantażystów był z każdym dniem dłuższy, a nie wszystkie ofiary miały ochotę zwracać się o pomoc do Oddziałów. Zwłaszcza, jeżeli zebrane nielegalną drogą materiały mogły zaszkodzić ich dalszej karierze. To samo dotyczyło porwań. Tą metodą usuwano niewygodne osoby poza nurt wydarzeń lub z pola walki o posadę, z konkurencyjnej instytucji lub z własnej rodziny. Niedługo potem antyoptol znalazł niestety jeszcze jedno zastosowanie. Tym razem chodziło o kradzieże nie przedmiotów, a myśli. Myśl twórcza wielu naukowców i artystów padała w tych dniach łupem

bezwzględnych złodziejasków, którzy w dodatku niszczyli wszelką dokumentację i każdy najdrobniejszy ślad, po czym podawali owe pomysły i rozwiązania jako swoje. Ofiarom, nie dysponującym żadnymi dowodami autorstwa, bardzo trudno było się obronić.

Wreszcie padł oficjalnie zgłoszony przez konserwatywnych polityków pomysł wyłączenia Klauzuli Tajności Czipów Wiedzy i Życia. O!!! To już zaczynało grozić demokracji, bo kto to widział, żeby dawać wgląd organom władzy w to, co i gdzie kto robi, gdzie przebywa, dokąd zmierza. Bez sądu, bez procesu – takie dane, na wyciągnięcie ręki?! To pachniało wręcz możliwością jakiegoś totalizmu. Ten numer nie przeszedł i zamiary czipów pozostały tajne, dostępne jedynie dla Kordonu, i tylko w momencie zagrożenia zdrowia bądź życia jednostki.

Ciężkie to były dni i wiele się zmieniło od spokojnych, przedantyoptycznych czasów na naszej planecie. Komisja do Spraw Antyoptyki przemianowała się rychło na Komisję do Spraw Bezwzględnej Walki z Antyoptyką i zatrudniła najtęższe głowy, aby ten problem rozwikłać. Wielkim ciosem była wiadomość, że Rei Seian zbiegł i w przyspieszonym trybie otrzymał obywatelstwo proximańskie. Wraz z Seianem zniknęła dokumentacja jego wynalazku, przez jakieś niedopatrzenie nie zabezpieczona.

– Dokumentacja? – zachichotali pewni siebie chemicy. – Na co nam dokumentacja? Weźmiemy farbę pod elektronowe mikroskopy, prześwietlimy, rozbierzemy na atomy aż do dna i zaraz będziemy wszystko wiedzieć. Nasze proceptronowe hiperinteligentne mózgi XXVIII Generacji rozprawią się z tym w mgnieniu oka.

I tutaj czekała członków wymienionej Komisji druga bardzo

przykra niespodzianka. Antyoptol okazał się związkiem bardzo skomplikowanym. W strukturze jego łańcuchów badawcze zespoły pogubiły się do cna i niejeden naukowiec połamał sobie na niej zęby.

I tak to wyglądało do dzisiaj. Antyoptol jak był, tak jest, Komisja przestała głosić buńczuczne hasła, a sprawę przekazano dyplomatom i postawiono ją na forum Rady Planet. Ziemia od tamtych czasów zmieniła się nie do poznania. W większości miejsc publicznych pojawiły się wachacze, które choćby w minimalnym stopniu mogły się przyczynić do wykrycia niewidzialnych sprawców jakiegoś kawału czy kradzieży. Wprowadzono obowiązkową rejestrację papilarną i zapachową wszystkich mieszkańców planety, a każdy turysta musiał przejść przez skomplikowane badania, określające składowe jego zapachu. Błyskawicznie rozwinęła się kulejąca do tej pory feromonologia. W oknach pojawiły się kraty, do kas wróciły sejfy o grubych, stalowych ścianach i systemy alarmowe wyczulone na drgania. Antyoptol skutecznie eliminował wszelkie urządzenia operujące w podczerwieni. Jednym słowem, zupełnie jak w średniowieczu. Za to o pracę było łatwiej, ponieważ Oddziały zgłaszały stale rosnące zapotrzebowanie na żywych, prawdziwych ludzi.

Oto w jakiej sytuacji zostałem przez Elektrol, któremu powierzono rozwiązanie zagadki antyoptycznej farby, zwerbowany i zatrudniony jako intuicjonał. Gdy Matson zjawił się w moim domu, myślałem, że to sen. Nie byłem jakimś wybijającym się intuicjonałem, a moja kariera w tym zawodzie dopiero się rozpoczynała. Teraz już wiedziałem, dlaczego wybrał właśnie mnie, i nie dziwiłem się temu. Jednak z całym przekonaniem wierzyłem, że stać mnie na pokrzyżowanie

planów grupy Matsona. Byłem pewny, że to wywiad gospodarczy Proximy usiłuje nie dopuścić mnie do pracy, ocenia bowiem, że jednak mogę być groźny. Przyrzekłem sobie, że okażę się groźny rzeczywiście.

12.

Leżałem właśnie wygodnie wyciągnięty z rękami pod głową na mojej miękkiej kanapie i przypatrywałem się szeregowi pojemników z antyoptolowym aerozolem, gdy odezwał się sygnał połączenia. Nie wstając, włączyłem obraz i dźwięk, jeszcze nie całkiem oderwawszy się od rozmyślań nad kolorowymi etykietami metalowych puszek.

– Dzień dobry – usłyszałem przyjemny, matowy głos. Przeniosłem wzrok na ekran. W ciemnozielonym gabinecie siedział główny dyrektor Elektrolu, Halsmid. Był to zgrzybiały starzec o trzęsących się dłoniach i włosach zupełnie już siwiuteńkich, jednak głos miał silny i młody.

– Widzę, że całkiem dobrze się panu pracuje – powiedział.

– Nieźle – odrzekłem, przeciągając się, aż trzeszczało mi w kościach. – Właściwie to mało powiedziane. Nabieram sił do decydującego szturmu.

– Widzę – uśmiechnął się, rozciągając pomarszczoną twarz. – Rozmawiałem z niejaką Dagnes Merial, która wręcz zmusiła mnie do skontaktowania się z panem. Przedstawiła się jako siostra pańskiej żony.

– Tak. Ja też się z nią widziałem i muszę panu powiedzieć, że jej wizyta zakłóciła nieco rytm mojej pracy. Uśmiechnąłem się również i dodałem: – Cieszę się, że udało jej się namówić pana na rozmowę ze mną, bo w przeciwnym wypadku mój rytm

uległby prawdopodobnie jeszcze głębszemu zachwianiu.

– Może przejdziemy do rzeczy – zaproponował Halsmid. – Czy coś pana szczególnie zaniepokoiło, do tego stopnia, że naruszył pan przepisy? Ta pańska znajoma mówiła mi coś niecoś, ale tak mętnie, że sam nie wiem, co o tym sądzić. Twierdziła, że pan wszystko wyjaśni, i groziła, że jeżeli się z panem nie skontaktuję, to będzie pan sabotował naszą współpracę.

– Chyba ją pan źle zrozumiał – powiedziałem miękko. – Nie mógłbym tego robić, bo sabotażem można nazwać tylko działanie umyślne, a ja po prostu nie mogę się skupić, odkąd Dagnes przyniosła mi tę okropną wiadomość o porwaniu mojej żony.

– Rzeczywiście – powiedział z namysłem, bawiąc się jakimś wiecznopisem. – Sprawdziłem tę wiadomość i muszę przyznać, że jestem bardzo zaskoczony. Jak na razie Oddziały nie wpadły na najmniejszy trop.

– O ile wiem – stwierdziłem, siadając po turecku i podpierając brodę dłonią – poszukiwania są prowadzone zwykłym trybem, przy pomocy robotów. To znaczy, że jeżeli ona pojawi się w jakimkolwiek miejscu, gdzie są zainstalowane końcówki automatyczne – na przykład obiektywy lub wążacze – zostanie uruchomiony sygnał alarmowy dla najbliższego komisariatu i wtedy roboty wchodzą do akcji.

– Właśnie tak to wygląda.

– Ale obaj wiemy doskonale – powiedziałem z naciskiem – że w porwaniu brał udział Proximańczyk i że moja żona znajduje się najprawdopodobniej w miejscu, gdzie nie ma urządzeń śledzących, i że może tam przebywać miesiącami.

– Czego pan oczekuje ode mnie? – zapytał Halsmid i odłożył wiecznopis na biurko.

Nie odpowiedziałem od razu. Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju. Dyrektor czekał cierpliwie. W końcu zatrzymałem się tuż przed obiektywem.

– Czy wie pan – powiedziałem – że miałem już zamiar zapłacić wam za zerwanie umowy i zrzec się pracy nad antyoptolem?

– Hm... – zastanowił się. – Oczywiście może to pan zrobić, choć byłoby to dość kosztowne przedsięwzięcie.

– Chciałem to zrobić bez względu na koszty – rzuciłem twardo.

– Ale zmienił pan zamiar? – przerwał i nerwowo poprawił się w fotelu. – Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Zaraz wyjaśnię – rzekłem. – Otóż postanowiłem kontynuować pracę, bo mam podstawy, by sądzić, że uda mi się rozwiązać ten problem. Jedna tylko rzecz mi w tym przeszkadza.

– Rozumiem. Świadomość, że pana żonie grozi niebezpieczeństwo. Taak... – powiedział, przeciągając głoski.

Wstał i teraz ja obserwowałem, jak on się przechadza.

– Jednym słowem, uważa pan – kontynuował – że konieczna jest moja interwencja w Radzie Ziemi i że Rada powinna zwrócić uwagę opinii publicznej na fakt owego porwania, słowem rozesłać holoportrety pańskiej żony po wszystkich zakątkach planety.

– Owszem – przytaknąłem energicznie. – Ale to sprawa drugorzędna.

– Cóż jeszcze? – zatrzymał się, marszcząc brwi.

– Trzeba podjąć energiczne działania dla jej znalezienia, czyli przejść na tryb „ludzki”.

– Ach, tak – uśmiechnął się. – To drobiazg... chociaż kosztowny. Nic nie jest tak drogie jak praca człowieka. Ale zaraz porozumiem się z nadpułkownikiem Malindangiem, który

kieruje specjalnymi jednostkami BB. Zapewniam pana, że on stanie na głowie, aby pańską Agrę odnaleźć. Czy to już wszystko?

– Nie. Musi mi pan osobiście zaręczyć, że Malindang powoła ekipę z najlepszych śledczych na kontynencie Euaz.

– Zgoda. Ręczę – wysapał po chwili. – Okay?!

– Tak – powiedziałem, czując, że mogę mu chyba zaufać.

– Jest pan uspokojony?

Ponownie potwierdziłem.

– Więc teraz do roboty. – Jego twarz rozpromieniła się optymistycznie. – Trzymam pana za słowo.

– Będę się starał – odrzekłem i połączenie zostało przerwane.

Najgorsze było to, że mimo gorących zapewnień ciągle nie widziałem wyjścia z sytuacji. Połączyłem się z Matsonem.

– Czy możecie mi przysłać magnepter i kasetony z muzyką trąbową? – zapytałem grubasa.

Zrobił wielkie oczy, na ile pozwalały mu na to okalające je fałdy tłuszczu.

– Co? – spytał głupio.

– Nie słyszał pan? – rzuciłem drwiąco. – Mam ochotę wypocząć, a wypoczywam najlepiej przy muzyce trąbowej. Czy to nie jasne?... Aha i jeszcze lowid z partią solową z Jeziora Łabędziego, tego baletu, no wie pan, Czajkowski, wersja z czerwca 1985 n.e. z Mosk.

– No tak... – bąknął Matson. – Oczywiście, że przyślemy, ale lowid z 1985 n.e., z Mosk czyli Moskwy? Chyba wtedy nie było lowidów?

– Kolego Matson, przecież wiem, że nie było. Ten balet zlowidowano po Wielkiej Katastrofie Ekologicznej, z wykopek archeologicznych.

– Rozumiem, okay – rzekł zasępio i wyłączył się.

13.

Gdy-Sop-Gda, Gdysopgda, czyli Trójmiasto – gdy dojechali do portu w Gdy, z nieodłącznym szarym stradem za plecami, Agra poczuła, że również na nogach zaciskają jej obręcze. Wynieśli ją na nabrzeże i po chwiejnym trapie przetransportowali na pokład niewielkiego światłojachtu. Uwolniono ją wewnątrz przytulnej kabiny. Zauważyła, że bulaje są zakratowane. Z westchnieniem ulgi ujrzała swoje ciało, powracające do normalnego stanu widzialności. Suknia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Mrugające figlarnie wielkie oczy znieruchomiały, porażone widać jakimś związkim, zawartym w farbie. Napastnicy nadal pozostawali niewidoczni. Widocznie użyli antyopotolu długookresowego – forte, jaki od niedawna sprzedawały domy handlowe Proxigralu. Mogła więc tylko słyszeć ich kroki.

– Pospiesz się, Evert – dobiegł ją głos tego, którego uważała za Jonskiego.

– Kończę nastawiać program – padła odpowiedź ze sterówki.

– Teraz, moja droga – powiedział Jonski – popłyniesz grzecznie na Born. My się zwijamy.

– Przyjemnej podróży – usłyszała jeszcze głos Olga, nim zatrasnęły się za nim drzwi.

Przez zakratowaną szybę oglądała wyjście światłojachtu z portu. Minął wpierw olbrzymie zbiornikowce przyłączone do rur z gigantycznej rafinerii syntetycznych paliw płynnych, ciągnącej się skomplikowanymi meandrami bloków technologicznych przez cały Hel, a tutaj mającej swe

przepompownie. Potem przepłynął wzdłuż najeżonych dźwigami bocznic przeładunkowych towarowego pneumatycznego transportu. Ciągnęło się to z dziesięć kilometrów, aż wreszcie Agra zauważyła wynurzające się na pół widnokręgu, jak jakieś masywne obłe góry, doki stoczni remontowej gigantów głębokomorskich. Dziób światłowozu uniósł się wtedy lekko nad wodę, przestało kołysać i łódź sunęła dalej, nabierając już jednostajnego przyspieszenia, aż wreszcie wypełzła oznaczonym napowietrznymi bojami świetlikami torem na rozchwiane pełne morze. Brzeg i zatoka zlały się teraz szybko w świetliste pasmo, a wkrótce znikły zupełnie. Dopiero teraz silniki ruszyły pełną mocą. Światłowoz sunął z dużą prędkością wprost w rozedrgane falami morze ku czarnej ciemności.

Born okazał się być jej stacją docelową, a nie miejscem przesiadki, jak sobie wyobrażała. Łódź przycumowała do niewysokiego, drewnianego pomostu na terenie prywatnej posesji. Tak się przynajmniej Agrze przez moment zdawało. Na brzegu czekała ładna, młoda kobieta. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyła. Dopiero, gdy tamta weszła na pokład i otworzyła drzwi kabiny, Agra przestała się cieszyć. Na ramieniu kobiety widniał wytatuowany czerwony kolisty emblemat z napisem „Android technatom”.

– Witamy – powiedziała androidka.

– Czy to już koniec mojej podróży? – spytała Agra, szykując się do wyjścia.

– Tak – odparła tamta. – Będziemy tu razem czekać na dalsze rozkazy.

– Razem?

– Właśnie. Poza mną nie ma na terenie Ośrodka nikogo. Zostałam przydzielona pani do towarzystwa – uśmiechnęła się przemilo. Agra doskonale zdawała sobie sprawę, że ten uśmiech

jest efektem ścisłego programu, który zakodowano w pamięci tej lalki i każda próba wymknięcia się spod jej kontroli zostanie przez nią potraktowana z całą brutalnością typową dla androidów strażniczych. Byłoby idiotyzmem posądzać ją o sympatię do czegoś lub kogokolwiek. Westchnęła ciężko i wyszła na pokład. Powietrze pachniało tą cudowną świeżością, którą jeszcze można odnaleźć w niektórych zakątkach naszej kochanej planety, zwłaszcza z dala od wielkich miast i wielkich kontynentów. Zaczerpnęła go pełną pierśią i zaraz poczuła się lepiej.

– Doskonałe tutaj powietrze, prawda? – stwierdziła sztuczna kobieta.

Agrze popsuło to nastrój, więc zapominając o sytuacji, w jakiej się znalazła, rzuciła ostro:

– Jakie masz funkcje?!

– Jestem pani ochroną, towarzystwem, służącą, kucharką. Jednym słowem, wszystkim. – Znow uśmiechnęła się pełnymi, czerwonymi wargami. Miała oczy granatowe jak niebo, oglądane z czerwonego pokoju ich, Agry i Jana, willi, tuż po zachodzie.

– Czyli aniołem stróżem – powiedziała Agra na przekór sobie chłodno.

– Nie rozumiem – oczy androidki zmieniły barwę na niebieską i rozszerzyło je zdziwienie. – Co to jest anioł stróż? Jestem zwykłym serwantem.

– Nieważne, to pojęcie z takiej dawnej religii. Nie funkcjonuje, mit, legenda, zabobon – machnęła ręką Agra. Już widzę jakim „zwykłym” – pomyślała.

– Poprowadzę panią – androidka wysunęła się naprzód i obie zeszły na piaszczystą plażę, nad którą wznosiła się wysoka skarpa.

– Całkiem tu ładnie – wymamrotała do siebie Agra, a głośno zapytała:

– Jak masz na imię?

– Andes 616.

– No dobra. Będę ci mówić Andes. To powinno wystarczyć.

Wspinały się mozolnie na szczyt skarpy, za którym ciągnął się zagajnik owocowych drzew. Tam krył się budynek główny Bałtyjskiego Ośrodka Brygady Bezpieczeństwa. Miał on chwilowo stanowić jej dom.

14.

Tym razem sygnał połączenia wyrwał mnie ze snu, a śniły mi się rzeczy przedziwne. Był to sen zupełnie na temat, jak zaprogramowany. Przez kilka sekund, zanim nie powtórzył się natarczywy sygnał, błąkały mi się po mózgu jakieś asocjacje, których jednak nie potrafiłem do końca pojąć. Było w tych majaczeniach coś na temat trąb, które lśniły w słońcu, wydobywał się z nich dźwięk typowy dla fanfar, choć wyglądały jak gigantyczne, zamocowane na murach jakiejś twierdzy tuby. Te mury były zbudowane z puszek po antyoptolu. Sygnał się powtórzył i obraz przysł jak bańka.

– Światło! – zawołałem i cały pokój błysnął nagle przerażająco, białym blaskiem.

– Nie tak! – wrzasnąłem wściekły i wcisnąłem klawisz połączenia wifonu. Lampy przygasły nerwowo, jakby spłoszone moim gniewem. Byłem wściekły, bo wciąż nic nie widziałem na ekranie, tylko pulsujące, czerwone obręcze.

– Tu Halsmid – usłyszałem i zerwałem się z posłania, trąc oczy grzbietem dłoni.

– To pan – wymruczałem nieprzytomnie. Wreszcie go dojrzałem. – Czy coś się stało?

– I owszem – odparł Halsmid, bawiąc się swym nieodłącznym zielonym wiecznopisem.

Wyglądał dzisiaj jeszcze starzej, niż ostatnio, może z powodu nocnej pory, a może przez upiorne, fioletowe oświetlenie swojego gabinetu.

– Jest tutaj ze mną nadpułkownik Malindang – dodał.

– Znaleźliście coś? – zapytałem trochę ucieszony, bardziej jednak niepewny, gdyż intuicja podpowiadała mi coś innego.

– Niestety nie – odpowiedział nadpułkownik, zaskakująco młody, jak na taką szyszkę, i cały lśniący złotymi epoletami.

Co za dziwna tendencja do operetkowości – pomyślałem o tym mundurze, choć właściwie mógłbym to powiedzieć o całej dzisiejszej modzie.

– Więc? – spytałem wyczekująco.

– Oni nas znaleźli.

– Co to znaczy? – zdziwiłem się.

– Na razie zażądali okupu. Nagraną na mnemopliku wiadomość otrzymał dyrektor Halsmid w dzisiejszej poczcie.

– Jakiej wysokości ten okup? – wyrwało mi się, nim pomyślałem, że coś tu nie gra.

– Dziesięć tysięcy transsolarów – poinformował mnie uprzejmie dyrektor.

– Chwileczkę – powstrzymałem go gestem wyciągniętej dłoni, choć wcale nie miał zamiaru nic dodawać. – Przecież to się nie trzyma kupy! – skończyłem, wrzeszcząc.

– To jeszcze nie wszystko – wtrącił się nadpułkownik. – Wyznaczyli datę i miejsce złożenia okupu, jak również osobę, która ten okup ma dostarczyć.

– Osobę? – zdziwiłem się. – To jakaś banda pomyślców.
Na co im okup?

Wciąż nie rozumiałem sensu tego dziwaczного żądania.

– Tą osobą ma być pan – dokończył niemal wesoło Malindang
– i dlatego musieliśmy się z panem połączyć.

– Coo?! – wrzasnąłem ponownie. – Ja?!!!

Teraz dopiero to do mnie dotarło. Pewnie zamierzają porwać
mnie, a Agrę odstawić i nie o okup im chodzi, tylko o moją skórę.
Sprytnie pomyślane. Stuprocentowa gwarancja przerwania
pracy nad wynalazkiem.

– Sprytnie pomyślane – oznajmiłem głośno, opadając
na kanapę. – Co teraz zrobić?

– Mamy rozwiązanie. Podstawimy pańskiego sobowtóra –
androida. Chcieliśmy pana uprzedzić, że przyjdą nasi ludzie
zdjąć z pana miarę. Zgoda? – Halsmid uśmiechnął się dobrotliwie
i dodał: – Niech się pan nie przejmuj. Pańskiej żonie nic nie grozi,
chodzi im o pana. Przejadą się na tym. Rada Ziemi wszczęła już
kroki, nawet proximańska prasa została zobowiązana
do zamieszczenia informacji o tym porwaniu.

– Rozumiem – powiedziałem z namysłem. – To było proste,
ale... – Przerwałem, bo przypomniałem sobie, że takie oszustwo
bardzo łatwo wykryją nasi przeciwnicy. Przecież Matson jest
jednym z nich. Zrozumiałem, że muszę im to powiedzieć,
bo wszystko popsują i pułapka okaże się niewypałem.

– Czy panowie wiedzą, że Matson jest prawdopodobnie
zamieszany w ten spisek? – zapytałem powoli. Przez moment
panowała cisza. Pierwszy odezwał się Halsmid.

– To niewiarygodne – powiedział. – Przecież Matson jest
naszym najbardziej zasłużonym pracownikiem.

– Hm... – chrząknął Malindang. – Czy to możliwe, żeby brał

udział w spisku, skoro sam wybrał właśnie pana na intuicjonala, choć miał możliwość wziąć kogoś znacznie słabszego?

– Nic panowie nie rozumieją – wściekłem się. – Czy to możliwe, żebyście go o nic nie podejrzewali?! Sam słyszałem jego rozmowę z jakimś człowiekiem, którego niestety nie widziałem, ale była tam mowa o Proxixarze, czy kimś takim!

– O Proxixarze? – zdziwił się ponownie Halsmid.

– Pewnie chodzi o Agencję Proxistara – wyjaśnił nadpułkownik. – To najbardziej popularne biuro na Proximie, zajmujące się różnego rodzaju delikatnymi misjami. Posiada kilka doskonale wyszkolonych oddziałów ludzi.

– Szpiegów? – wyraził się staroświecko Halsmid.

– Można to tak nazwać – nadpułkownik kwaśno się uśmiechnął. – No dobrze – zwrócił się teraz do mnie. – Weźmiemy pańskie słowa pod uwagę, choć nie przypuszczam, aby Matson wplątał się w coś takiego. Ostrożność jednak nie zaszkodzi.

– Postaramy się zorganizować wszystko tak, by Matson się nie zorientował – włączył się Halsmid. – Jeszcze dziś wyślę go do Mosk. Załatwi dostawę e-podprzewodników dla Elektrolu. Termin złożenia okupu wyznaczono na pojutrze, Matson zaś nie powinien wrócić wcześniej niż za trzy dni.

– Doskonale – powiedział nadpułkownik. – Niech więc pan czeka na naszych ludzi, którzy przyjdą pana obmierzyć.

– To się nie uda. Androida czuć plastikiem na tysiąc kilometrów – powiedziałem, ale już się wyłączyli. Zresztą czy wysłuchaliby mnie, skoro nawet nie mogli uwierzyć w to, co powiedziałem o Matsonie?

Puściłem mój magnepter na pełny regulator. Szósta symfonia Gartela i Monsiriego na kompleks stu trąb rozległa się mocnym

akordem, aż zatrzęsł się sufit, a stojące obok aparatu buteleczki z antyoptolem pospadały na podłogę. Przykręciłem gałkę i w cichym, stonowanym dźwięku trąb począłem znów intensywnie myśleć, co mógł oznaczać mój dziwny sen.

15.

Jak doszło do tego, że proximańska Konferencja Rady Planet nie przyniosła spodziewanych efektów, to znaczy klauzuli zakazującej przywożenia na Ziemię nieszczęsnej farby? To bardzo proste. Byłem wtedy wysłannikiem jednego z euazyjskich dzienników, bo od czasu do czasu lubię także coś napisać. Wszyscy przecież wiedzą, że zajęcie intuicjonała składa się z rzadkich chwil aktywności, czyli zatrudnienia przez jakąś firmę w celu rozwiązania problemu, i z bardzo długich, czasem nawet i wieloletnich okresów bezczynności. Dobremu intuicjonałowi nietrudno jest utrzymać należyty standard życia – mam na myśli wyższy od przeciętnego – nawet jeżeli pracuje raz w roku. Ale takiemu, jakim ja byłem cztery lata temu, nie udałooby się to w żaden sposób. Tak więc znalazłem się w L Leah Innteah, pełniącym od niedawna rolę tamtejszej stolicy, tak jak u nas Geopolis, założone w geometrycznym środku pomiędzy Euazem a Afrem – czyli Białym i Czarnym Lądem. L Leah Innteah również powstało w środku, tyle że jedyne proximańskiego kontynentu, zwanego po prostu Kontynentem. Dzięki temu udało się Proximańczykom uniknąć tych wszystkich sporów i awantur, które towarzyszyły wyznaczaniu ziemskiej stolicy, i nikt tam nie miał powodu obrażać się jak Amerykanie.

Samo miasto mogłoby się podobać, baniasto-kopulaste, pączkujące budowlami wyrastającymi jedna z drugiej i na

drugiej, gdzie się tylko dało. Zaskakujące wrażenie sprawiał brak jakichkolwiek dróg czy chodników. Proximańscy postawili się i doprowadzili instytucję zwaną vind, a u nas używaną jedynie do dalekich podróży, i to nie zawsze, do absurdu. Inaczej nie można było się po prostu po Lleah Innteah poruszać. Muszę powiedzieć, że początkowo miałem z tym spore kłopoty, gdyż nie znałem języka interpoxilingla i wszystkie kody na tablicach rozdzielczych vindu były dla mnie zagadką. Ale wróćmy do głównego tematu. Dlaczego nie powiodła się misja delegacji ziemskiej? Zawiniło nasze społeczeństwo, ale nie tym, że do tego wynalazku nie dorosło. Tym, że to ono właśnie ów antyoptol wydało na świat.

Obrady toczyły się w wielkim hotelu Prolong, który rzeczywiście był najdłuższym bąblem w stolicy. Obradowano za pomocą sieci holo i mnemo, tak że każdy z uczestników mógł pozostać w swoim apartamencie. Obserwatorzy obrad posiadali w swoich pokojach jedynie jednostronne końcówki odbiorcze, natomiast uczestnicy z prawem głosu również końcówkę zwrotną. Kolejność udzielania głosu regulował komputer na podstawie kolejności zgłoszeń. Po wystąpieniu delegata Ziemi wszystkie światelka na tablicy akcesu do tematu pogasły i zostało ich dosłownie kilkanaście. Sprawę potraktowano zatem jak lokalny spór metropolitalno-proximański, bez znaczenia, bo przecież antyoptol znany i używany był wszędzie. Jednak wszędzie indziej niż u nas używano go bez porównania mądrzej i nigdzie nie spowodował takiego zamieszania, jak na naszej rodzinnej planecie. Prośbę Metropolii oddalono, a motywacja tego była prosta. Przewodniczący powiedział:

– Nie wiem, jak tę prośbę mam potraktować. Rozumiem całe zamieszanie, jakie sami sprowadziliście sobie na głowę, ale

to przecież tylko wasza wewnętrzna sprawa. To Ziemia wydała ten wynalazek, za co zresztą jesteśmy jej bardzo wdzięczni. Wiele planet stara się teraz o licencję na antyoptol. Nie chciałbym twierdzić, że kierujecie się zawiedzionymi ambicjami lub że postępowaniem waszym rządzi zwykła zazdrość. Podpisaliście Kartę Planet, a teraz żądacie do niej poprawki. Czy nie dlatego, że dziś Proximańczycy czerpią ogromne zyski z wynalazku, który wy pochopnie odrzuciliście? Dlaczego inni mają ponosić konsekwencje waszych wewnętrznych problemów, waszej niedorosłości i braku zdyscyplinowania w społeczeństwie. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście poradzili sobie sami, stosując na przykład ostre kary za używanie tego środka. Jednak żądaniu, które stawia pod znakiem zapytania równość wszystkich stowarzyszonych w handlu międzyplanetarnym stron, musimy zdecydowanie odmówić w interesie ogólnej współpracy.

I to było właściwie wszystko. Nie zdążyłem nawet wziąć udziału w widowisku elektrooptycznym, do którego zachęcały wszystkie foldery, choć może i lepiej się stało, bo słyszałem na temat tej rozrywki różne zdania. Kogoś podobno nieźle kopnęło na skutek przebicia w instalacji.

O embargu nie mogło więc być mowy. Należało rozglądnąć się za wewnętrznymi środkami, aby zaradzić złu. Tak zresztą należało postępować od początku, a nie od razu zwracać się do najwyższego trybunału. Swoją drogą ten, co wymyślił takie rozwiązanie, powinien niewąsko odpokutować za to, że na długi czas staliśmy się tematem głupich żartów całej międzyplanetarnej medialnej zgrai.

Czuwacze, kraty w oknach, obiektywy lustrujące pomieszczenia i ulice, wążacze wreszcie, to były efekty

późniejszych wysiłków, mających na celu opanowanie tego zjawiska. Zaostrzono kary, ale główny problem ciągle czekał na rozwiązanie. O zakupie licencji na antyoptol nie mogło być mowy, a prace nad rozszyfrowaniem związku niestety nie posuwały się naprzód. Szukano totalnego środka, który powodowałby natychmiastowy rozpad farby, lub choćby rozpuszczalnika, który byłby lepszy od rozpuszczalnika Yarokega. Ziemia jak zwykle oscylowała między dumą a krnąbrnością własnych obywateli, między anarchiczną wolnością i brakiem zdecydowania a niewolą i terrorem ze strony niesubordynowanych obywateli, którzy co prawda nieliczni, ale jednak używali wynalazku zdecydowanie wbrew prawu i zdrowemu rozsądkowi.

Chodziło zatem o środek przeciw farbie – bezpieczny i łatwy w powszechnym zastosowaniu. I wciąż tego środka nie było.

Teraz ja stałem na szczycie piramidy, we mnie pokładano wszystkie nadzieje. Co z tego, skoro byłem na opadającej fali? Czy uda mi się dokonać tego, co nie udało się wielu innym doskonałym intuicjonanom, sztabom naukowców, wielkim korporacjom, komputerom i diabli wiedzą jeszcze komu? Dzisiaj zaczynałem wierzyć, że dopnę celu, choć zupełnie nie wiedziałem jak. Kilka dni temu uznałbym to za niemożliwe. Propozycję przyjąłem przecież właściwie tylko ze względów finansowych, które nawet w przypadku przegranej były bardzo korzystne.

Całe przedpołudnie krążyłem po ogrodzie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Przyglądałem się płątkom różaneczników, które pachniały aż do bólu głowy, przysiadłem na kępach trawy i z twarzą wystawioną do słońca usiłowałem się skupić. Ciągle nic z tego nie wychodziło. Więc wracałem do pokoju, nastawiałem

na pełny głos różne kasetony, ale nie odpowiadały mi dzisiaj ani fanfary, ani rozległe koncerty puzonowe, ani w ogóle nic. Wściekły wyłączyłem magnepter i wracałem do ogrodu, po raz nie wiadomo który stwierdzając, że już nie mogę znieść zapachu różaneczników. Nie dość, że mdlący i słodki, to jeszcze na dodatek był nachalny i wszechobecny. Koło południa połączył się ze mną Halsmid. Przedstawił mi moją kopię. Idealny Jan San Bis, którego nie można było ode mnie odróżnić. Nawet pieczęć „Androidtechnatom” zrobili mu podobno na rzepce kolanowej, pod skórą. Poza fizycznym podobieństwem android nie przypominał mnie w niczym. Najbardziej rozzłościł mnie swoją tępą pyszałkowatością.

– Wbudujcie mu jakąś przystawkę ograniczającą zarozumialstwo, bo gotów wszystko popsuć – powiedziałem złośliwie do Halsmida.

– Jest zaprogramowany na sto dwa – odparł niezrażony moim tonem dyrektor.

– Wolałbym, żeby był zaprogramowany na 99 – rzuciłem mu kwaśno.

Byłem zły, że nie będę mógł wziąć udziału w akcji, a nie chciałem sam prosić o pozwolenie uczestnictwa choćby za pomocą wizji albo mnemotransu, chociaż miałem na to ogromną ochotę. Z kłopotu wybawił mnie Malindang, który pojawił się w trakcie dokonywanego przez nas przeglądu Jana San rodem z automatycznej taśmy.

– Mam dla pana propozycję – rzucił od wejścia, zmierzając energicznym krokiem ku środkowi zielonego gabinetu dyrektora.

– No – mruknąłem niezadowolony. – Ciekawe, co pan wymyśli, żeby zburzyć moje plany.

Nadpułkownik zmierzwił króciutkie na kilka milimetrów włosy o kolorze tak łudząco podobnym do koloru skóry, że

można było je zobaczyć jedynie, gdy stały nastroszone, i zatrzymał się w pół kroku, jakbym go trafił kulą prosto w serce. Po chwili powiedział:

– Oczywiście, jeżeliby to miało zburzyć pańskie plany, to natychmiast wycofuję moją propozycję.

– Niech pan mówi – machnąłem ręką ze zniecierpliwieniem.

– Czy on jest w złej kondycji? – odezwał się nagle mój pleksitonowy sobowtór.

Malindang i Halsmid spojrzeli z rozbawieniem na swoje dzieło, mnie zaś aż zatrzęsło w środku. Nie cierpię przemądrzałych kopii, nawet najdoskonalszych.

– Weźcie stąd to pudło, bo działa mi na nerwy – rzuciłem niechętnie.

– Tylko nie pudło – rzucił się Jan San Bis i poczerwieniał ze złości.

Na szczęście Halsmid go wyprowadził, ale wcale nie pomogło mi to w uspokojeniu się.

– Wracając do sprawy – rzekł Malindang, rozsiadłszy się wygodnie. – Czy chciałby pan uczestniczyć poprzez nasz kanał wizyjny w całej akcji?

Może innym razem podskoczyłbym pod sufit z radości, ale byłem rozdrażniony przedłużającą się niemożliwością koncentracji, więc powiedziałem tylko:

– I owszem. Czy jeszcze jestem panom potrzebny?

– Nie, to już wszystko. – Malindang uważnie lustrował moją twarz i przez sekundę miałem wrażenie, jakby usiłował odkryć we mnie jakąś zagadkę.

Wyłączyłem wizofon, holo, realon, magnepter i procekronowy złom o mocy trylionów trylionów terabajtów, i wyszedłem do ogrodu. Może nadpułkownik szukał po prostu

przyczyny mego złego nastroju? Mniejsza z tym.

Wiadomość, że będę brał udział w akcji jako obserwator, ucieszyła mnie jednak i poczułem się raźniej.

Miało się to rozpocząć o dwudziestą. O siedemnastej zjadłem więc obiad, wybrałem zestaw z wybieracza. Mniej więcej w połowie talerza wpadła mi do ogórkowej zupy mucha, więc wściekły kazałem sobie podać następną porcję. Tępy automat podał mi nowy talerz pełen zupy i w efekcie nie miałem już ochoty na drugie danie. Nietknięty kotlet i frytki wsunąłem do pochłaniacza. Ten nie mruknął nawet protestacyjnie, choć miał prawo zwrócić cały zestaw.

Najgorszą zmorą mojego życia są pochłaniacze. Ten, kto je wymyślił i tak perfidnie zaprogramował, nie powinien zaznać spokoju do końca swoich dni. Problem polega na tym, że nie znoszę podniszczonych przedmiotów i podgrzewanych pokarmów. Jemy więc na przykład z Agrą obiad, a ja nie mam ochoty na zupę. Wstawiam więc talerz do pochłaniacza, a ten bezczelnie wypycha to wszystko na zewnątrz i mówi: „Substancja nie zanieczyszczona. Skład według receptury. Nadaje się do spożycia”. I tyle. Można się z tym durnym urządzeniem bawić w przepychankę albo pokornie odstawić zupę na bok i odgrzać na kolację. Można było jak szczeniak zabawić się w psucie – na przykład wsypać do zupy garść ziemi z ogródka. Wtedy brał bez protestu, ale za dorosły byłem na te gierki. Można też poczekać, aż się żarcie zepsuje, wtedy to pudło przyjmuje je z otwartymi rękami. W szkolnym internacie rozprawialiśmy się z pochłaniaczami bez zbytnich skrupułów. Nie miałem ochoty na jabłko, choć na przykład dopiero raz je ugryzłem, to smarowałem je pastą do butów, miałem dość skarpetek, choć były całe, to ciąłem je na makaron i po krzyku.

Na szczęście tutejszy pochłaniacz był bardziej tolerancyjny niż mój domowy. Wcisnąłem numery mojego ulubionego, alkoholizowanego cocktailu 37 65 12 i podążyłem ponownie na werandę.

16.

Ani się obejrzałem, jak minął cały dzień, a ja nawet na sekundę nie skupiłem się na właściwej sprawie. Pod zachód rododendrony ziały kondensatem zapachu i doprowadziły mnie do ostatecznej pasji. Zerwałem się z betonu i natychmiast połączyłem się z Matsonem, to znaczy właściwie z człowiekiem, który go zastępował, a był całkowitym Matsona przeciwieństwem. Wysoki, chudy jak szczapa, o przezroczystej i cienkiej niczym bibułka skórze. Ciągle nie mogłem zapamiętać jego nazwiska.

– Panie... ten... tego... – plątałem się. – Nieważne – ryknąłem wreszcie z determinacją. – Niech no mi tutaj przyślą zaraz piłę.

– Piłę? – zapytał, ale w jego głosie nie było zdziwienia, raczej prośba o potwierdzenie.

– Właśnie piłę, człowieka piłę, albo rybę piłę – potwierdziłem skwapliwie.

– Do metali czy do drewna? – spytał beznamiętnie.

– Obojętne – odkrzyknąłem, żeby już mieć to za sobą, i wyłączyłem się, po czym natychmiast połączyłem się ponownie i sprostowałem: – Do drewna.

Człowiek piła nadszedł po dziesięciu minutach, które wydawały mi się godzinami przez narastający ból głowy i coraz mocniejszy odór rododendronów. Przechodząc koło magnepтеру, trzasnąłem weń pięścią. Rozległy się dźwięki skoczego marsza,

a ja ochoczo przystąpiłem do cięcia. Z pasją i zaciętością godną wyższego celu rzuciłem się na te biedne krzewy i krążąc po ogrodzie z człowiekiem piłą, wyszukiwałem wszystkie nienawistne mi rośliny, po czym rwaliśmy je z korzeniami, Piła wycinał w pień, a ja zwałłem na stertę po przeciwległej stronie ogrodu. Z tego wszystkiego przegapiłem początek akcji i dopiero Malindang, uporczywie naciskając sygnał połączenia, wyrwał mnie z zapamiętania.

– Co się tam wyprawia? – powiedział, patrząc na mnie wielkimi oczami.

– Nic specjalnego – odrzekłem, wyłączając muzykę.

– Ma pan krew na rękach.

Spojrzałem na swoje dłonie. Rzeczywiście, lewa była nieźle podrapana. Widać któryś krzak zemścił się na mnie.

– Niech się pan nie obawia – powiedziałem, oblizując zadraśnięcia. – To moja własna krew albo krew rododendronów.

Chciał coś jeszcze dodać, ale dał spokój i zajął się pulpitem rozdzielczym.

– Wchodzi pan na wizję Jana San Bis. Obraz jedynie jego oczami.

– Lepsze to niż nic – pocieszyłem go, pociągając łyk 37 65 12.

Jan San Bis wysiadł z długiej, czarnej limuzyny dyrektora Elektrolu przed zachodnim wejściem. Strad pokołował na parking, jednak nikt więcej nie opuszczał jego wnętrza. Sobowtór zmierzył badawczo szklistą elewację o barwach oscylujących w pobliżu zieleni. Pałac Sztuk na szóstym poziomie tak właśnie wyglądał. Patrząc od jego podnóża, zwłaszcza po stronie zachodniej, miało się wrażenie, że gigantyczna budowla cała jest zielona. Było to złudzenie, spowodowane powyginanymi płaszczyznami filtracyjnymi. J. S. Bis skierował się do szerokich drzwi, kurczowo ściskając w ręku walizeczkę

wypchaną transsolarami.

O dwudziestej rozpoczynało się tutaj kilkanaście spektakli, ale nawet gdyby pora była inna, tłum ludzi wcale nie byłby mniejszy. Na lśniących glazurą posadzkach rozsiadły się dziesiątki postaci, ubranych przeważnie dziwacznie, aby choć strojem skupić na sobie uwagę przechodzących. Połykacz ognia zionął pod sufit kilkunastometrowym płomieniem, wybałuszał oczy, syczał i marszczył się, ale nikt na niego nie patrzył. Obok trójka tancerzy wyginała się w takt skocznej melodii, płynącej z magnepterów o kształtach bransolet, które opinały im ręce i nogi. J. S. Bis mijał to wszystko, usiłując trafić do korytarza 616 na oznaczoną porę. Gdzieś zbiegały się większe grupki gapiów, zwłaszcza przy tych, którzy odgadywali myśli lub czarowali widzów magią. Największym jednak powodzeniem cieszył się automat produkcji zapewne Robogrału Reina Korta. Dokonywał on istnych cudów, stale przekształcając się na przykład w kulkę wielkości piłki tenisowej, która odbijając się coraz wyżej, wędrowała pod sufit i tam przemieniała w ogromną czaszę, powoli opadającą na posadzkę. Gdy już na niej spoczęła, powstawał z Ziemi przerażający Gigant-As o stalowych pięściach, którymi wymachiwał tłumowi przed nosem, wzbudzając chichoty i okrzyki przestachu. Słowem małpiarnia, jak za czasów dżungli i boru. Obok wejścia do korytarza android zauważył zagęszczenie, zaciekawiony przystanął, zapominając o terminie, który przed chwilą kazał mu się przepychać przez tłumek. Pod ścianą spoczywała piątka Degeneratów, którą ludzie obserwowali z dużym zaciekawieniem. Trzech mężczyzn i dwie kobiety, ubranych w białe koszule i granatowe garnitury, z dziwacznie wymodelowanymi fryzurami, w nie spotykanych od dziesiątków lat spodniach z kantami, grzało się przy rozpalonym na podłodze ognisku i beczelnie pociągało

papierosy, nie zwracając uwagi na nikogo. Wzrok sobowtóra przykuła kobieta ubrana w marynarkę i krawat w paski. Miała nieprzytomne od narkotyku oczy i po każdym zaciągnięciu się kaszłała długo i głęboko. Jan Bis miał przykre wrażenie, że kobieta zaraz wypluje na posadzkę kawałek płuc, nie mógł jednak oderwać od niej oczu. Było coś magnetycznego w widoku tych ludzi, którzy zupełnie serio postanowili czym prędzej umrzeć i oddawali się powolnemu samobójstwu na oczach tłumu. Alarmowy brzęczyk, który odezwał się w czasie androida, przypomniał mu o właściwej misji. J. S. Bis wszedł w korytarz o rubinowych, półprzejrzystych ścianach. Dźwiękochłonna kurtyna przy wejściu sprawiała, że panowała tutaj zupełna cisza, zmacona jedynie cichymi westchnieniami. Ludzie stali w dwóch rzędach przy jednej i drugiej ścianie z oczami przytkniętymi do wizjerów, przez które, po wrzuceniu żetonu, można było wejrzeć do mieszkań kontraktorów, zobaczyć szczegóły z prywatności, których normalnie nigdy się nie ogląda. Słowem, wszyscy ci ludzie oddawali się właśnie namiętnie podglądaniu bliźnich – aktorów kontraktowych odgrywających życie prywatne, którą to czynność umożliwiało im przedsiębiorstwo rozrywkowe. Byłem zdania, że oni nie są całkiem normalni, chociaż od czasu do czasu sam spoglądałem przez lunetę z okna ciemnego pokoju na mieszkania odległego igłowca. Uważałem jednak, że publiczne podglądanie to już przesada, mogli to zrobić przez sieć, albo mnemotronicznie – nie musieli się z tym afiszować grupowo – ekshibicjoniści.

Jan San Bis szybko przemierzył ów korytarz, minął salę akwariów i wszedł na widownię teatru Brat Bratek. Przedstawienie było w pełnym toku, salka jednak świeciła pustkami. Usiadł w umówionym rzędzie i postawił nesoser

na kolanach. Minęła długa chwila, zanim poczuł, że dwóch ludzi usiadło po obu jego bokach. Nie widział ich. Wąchacz zamontowany w nozdrzach androida skrzętnie wwąchiwał się w nowe otoczenie. Akcja potoczyła się błyskawicznie. J. S. Bis nie zdążył nawet krzyknąć, gdy zakneblowano go i pokryto antyoptolem. Obserwujący salę funkcjonariusze zauważyli jedynie unoszący się w powietrze neseser, który znikł we wnętrzu większej, niewidzialnej walizki. Rzucili się do sygnałów alarmowych. Zamknięto wejścia i zapłonęło światło. Nigdzie jednak nie było ani widać, ani słyszać przeciwników. Ja tymczasem przez kamerę mego sobowtóra widziałem, że zbliża się on do sceny, i ze zdziwieniem stwierdziłem, że niewidzialni wloką go za kulisy. Przeszli kilkanaście kroków między dekoracjami i wepchnęli androida do zupełnie ciemnej komórki z rekwizytami. Zatrzasnęły się drzwi i zapadła absolutna ciemność.

Czekałem cierpliwie, że może jeszcze coś się stanie, czy nie otworzą się drzwi. Przecież Malindang był ze mną na wizji i powinien tam skierować swoich ludzi. Jednak obraz nie pojawił się już więcej i zostałem wyłączony z toku wypadków. Usiłowałem połączyć się z Halsmidem albo nadpułkownikiem, ale obydwa numery nie odpowiadały. Nie pozostawało mi nic innego, jak zdać się na ich relację z dalszego przebiegu akcji, i musiałem na to poczekać. Położyłem się, włączynywszy wcześniej magnepter, i czekałem łamiąc palce ze zdenerwowania. Wydawało mi się, że sobowtór nie doprowadzi Malindanga do kryjówki przestępców i Agra nadal pozostanie w niewoli. Pocięszał mnie fakt, że na pewno Oddziały mają już analizę zapachową napastników i przynajmniej ich nazwiska czy adresy zostaną zidentyfikowane. Z drugiej strony musiały to być płotki,

a dotarcie do mocodawców w sytuacji, gdy płotki umknęły, nie będzie łatwe.

17.

Matson był bardzo zdenerwowany. Nie ustawał w swym marszu wzdłuż ściany hotelowego pokoju. To, co zrobił, było ciężkim wykroczeniem.

– Czy musiałeś mnie odwoływać w trybie alarmowym? – rzucił do kręcącego się na obrotowym krześle Proxixara.

– Śmieszne pytanie – odpowiedział Proxixar, przyglądając się koniuszkom swoich palców. – Ktoś strasznie pomieszał nam szyki i to nie jacyś gówniarze.

Matson rzucił okiem na szefa, ale nie zatrzymał się. Dręczył go problem, na który nie mógł znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Był spalony i oznaczało to koniec misji.

– To były tylko dwa dni – powiedział na pół z żalem, na pół z wyrzutem.

– Rozumiem cię – westchnął szef. – Ale wierz mi, że nie miałem innego wyjścia. Kiedy doniesiono mi o tym całym zamieszaniu, okupie i porwaniu intuicjonała, postanowiłem cię odwołać. Teraz musimy czym prędzej opuścić Ziemię, zanim nas obydwu aresztują. Tak. Misja się nie powiodła.

Proxixar wstał, podszedł do automatu z napojami, po czym dodał:

– Można powiedzieć, że nie przysporzy nam to reklamy na Proximie.

– Chyba jednak nie wszystko stracone? – spytał Matson z nadzieją w głosie.

– Napijesz się? – spytał szef.

Matson potakująco skinął głową. Proxixar bez wahania wcisnął szesnastkę, to im było teraz najbardziej potrzebne. Rozluźniająco-wzmacniający trunek.

– Może spróbujemy przeanalizować fakty? – kontynuował Matson.

– To bez sensu – rzucił niechętnie Proxixar. – W każdym razie dalszy tok wydarzeń nie zależy już od nas.

– Ale skoro intuicjonała porwano?

Stary Proximańczyk uśmiechnął się gorzko.

– Naiwny jesteś – stwierdził. – Myślę, że Jan San spokojnie siedzi sobie w celi twórczej Elektrołu i kombinuje, jak by tu sobie poradzić z problemem.

– Chyba to racja – Matson pociągnął duży łyk płynu, nie przerywając marszu. – Ktoś nas rozszyfrował i będziemy mieli nie lada kłopoty.

– Słuszne rozumowanie. Dlatego kazałem ci wracać z Mosk bez względu na okoliczności. Mamy zarezerwowane dwa oddzielne miejsca na jutrzejszy lot z Trytona. Wirobus odchodzi z dworca w War około północy. Myślę, że nie zdążą nas złapać, nawet jeżeli przez cały czas domyślali się, o co chodzi.

Proxixar wyciągnął z niewielkiej teczki plik folii i wręczył je Matsonowi.

– To są twoje nowe papiery. Nazywasz się teraz Ueron Epiro. A to charakteryzacja – podał Matsonowi sztuczną brodę i resztę zestawu.

– Taak – westchnienie Matsona zabrzmiało jak wystrzał. – W końcu możemy jednak mieć nadzieję. Ten intuicjonał jest bardzo kiepski. Zresztą tylu ich już próbowało i nic nie znaleźli. Dlaczego by jemu miało się udać?

– Do tej pory sprawa znajdowała się w naszych rękach

i dobieraliśmy intuicjonatów. Byłem spokojny, ale teraz...? Teraz może być różnie. Ten intuicjonat jest z pewnością wściekły, rozhuśtane nastroje, złość... Wiesz, jak to może na niego wpłynąć. Może się stać nieobliczalny.

– Ale jest słaby. Co z tego, że nieobliczalny, jeżeli nie stanie mu zdolności.

– Nie opowiadaj. Gdyby był naprawdę słaby, nie mogliby go zatrudnić. Nawet ty nie mógłbyś tego zrobić. – Proxixar nagle przerwał, odstawił szklanekę i zdecydował. – Zbieramy się i to jest pewne. Na razie to wszystko. Zobaczymy się dopiero na Trytonie.

– Tak jest – Matson skrętnie pozbierał papiery, przymierzył nową brodę i zabrał się za zestaw linii papilarnych dłoni. – Dawno nie bawiłem się w taką maskaradę. Czy nie lepiej się uniewidzialnić?

– A wachacze? Jak byś się przedarł przez ich kordon? Wiesz przecież, że przed odlotem spędzimy godzinę w izolatkach. Twój zapach jest zarejestrowany pod nowym nazwiskiem.

– Wiem – zaśmiał się Matson. – Żartuję tylko. Przez śluzy nie przejdzie nawet nie zarejestrowana mysz, a co dopiero taki grubas jak ja.

Poklepał się po brzuchu. Nastrój mu się nieco poprawił, chociaż niepokój i przygniatające poczucie porażki nie ustępowały. Z drugiej strony cieszył się, że powraca na swoją rodzinną planetę i nie będzie musiał dłużej znosić tych zamkniętych, przytłaczających przestrzeni, których naprawdę miał już dość. Nie wiedział jeszcze, jak bardzo się myli.

18.

– I co było dalej? – pytałem z niecierpliwością, wciąż nie mogąc

wydobyć interesujących mnie szczegółów z mało rozmownego Halsmida. Siedział naprzeciw mnie, pomarszczony i białowłosy, i zdawał się myśleć zupełnie o czym innym.

– Dalej? A... dalej, oczywiście – odezwał się, jakbym go wyrwał z innego wymiaru. – Muszę powiedzieć, że posunęli się za daleko. Nie przypuszczałem, że go zabiją. Tak, zabiją. To jest właściwe słowo, bo przecież nie wiedzieli, że jest sztuczny.

– Może wiedzieli? – zastanawiałem się. – Może był jakiś przeciek...

Sam w to nie bardzo wierzyłem, ale starałem się za wszelką cenę odpędzić od siebie myśl, że nasz wspólny przeciwnik zdolny jest do popełnienia największej zbrodni.

– Może Matson? – zaryzykowałem.

– Matson? – przez chwilę milczał, kiwając głową. – Matson gdzieś przepadł. Sam nie wiem, co o tym sądzić. Najlepiej byłoby zapytać o to nadpułkownika Malindanga, ale on także jest nieuchwytny. Osobiście prowadzi poszukiwania tych dwóch z teatru Bratek. Zwyczajni aktorzy, kto by to pomyślał...

– Nie zwyczajni, na pewno nie byli zwykłymi aktorami – przerwałem. – Raczej zostali podstawieni i to dawno temu.

Podniosłem się z miejsca. Musiałem sobie nalać szesnastki. Nogi się pode mną uginały. Jakie straszne niebezpieczeństwo grozi Agrze i jak ja lekkomyślnie ją na to naraziłem. Gdybym mógł przypuszczać choć przez chwilę, że posuną się aż do morderstwa, nie wahałbym się i już dawno by mnie tu nie było. Schowałem twarz w dłoniach i tak trwałem przez jakiś czas.

– No cóż – usłyszałem głos Halsmida i usłyszałem, że wstaje. – Muszę już iść. Decyzja należy do pana. Chyba poczeka pan na wiadomości od nadpułkownika?

– Tak, oczywiście – przytaknąłem czym prędzej, bo chciałem już być sam.

Nie powiedział nic więcej, i byłem mu za to wdzięczny. Pociągnąłem łyk napoju i poczułem się trochę lepiej, jeżeli w takiej sytuacji można w ogóle poczuć się lepiej. Dręczył mnie niepokój i miałem wrażenie klęski. Wypiłem jeszcze jeden łyk i popadłem w dziwny stan odrętwienia, pół snu, pół jawy. Pokój i znajdujące się w nim przedmioty stały się obce i odrealnione. Nie miałem ochoty poruszyć nawet palcem w bucie. Tak chyba wygląda depresja – skonstatowałem w pewnej chwili. – Depresja? No a cóż innego mi pozostało? Poddać się i wywiesić białą chorągiew. Zresztą i tak przecież nie miałem recepty na ten cholerny antyoptol, więc po co to wszystko przedłużać, narażać ją i siebie. Zwłaszcza Agrę, która pewnie w ogóle nie ma pojęcia, dlaczego ją to spotyka. Matson zniknął, tamci z teatru także się urwali... Zaraz, zaraz... Nagle zacząłem jakby sprawniej myśleć. Jakieś fakty przemknęły mi w króciutkim błysku pod sklepieniem czaszki i znikły.

Wstałem gwałtownie i powędrowałem znów do automatu, aby napełnić kolejną szklankę. Przeżyłem coś w rodzaju króciutkiego olśnienia. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, co odkryłem, ale w miarę jak kolejne, nasuwające mi się pytania otrzymywały negatywne odpowiedzi, coraz szybciej przemierzałem pokój, aż wypadłem na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. To było zupełnie niesamowite.

– Zadziwiające – mówiłem na głos do samego siebie. – Nieprawdopodobne. Jak ja mogłem nie wpaść na taką prostą rzecz. Jakim sposobem mogło zależeć Matsonowi i jego ludziom na mojej śmierci, skoro przecież nie znalazłem recepty. Wybrali mnie z tłumu intuicjonistów, analizując dokładnie mój

psychogram. Wiedzieli, że jestem słaby, i wiedzieli też, że nie posuwam się naprzód. Pewnie za dwa tygodnie skończyłby się mój czas i mogliby podstawić następnego, odpowiednio wybranego intuicjonała. Przecież takie właśnie działanie, ciche i pewne, stanowiło dla nich najlepszą gwarancję utrzymania tajemnicy antyoptolu. Oni tego nie zrobili. Porwania dokonał ktoś inny. Komu mogło zależeć na dalszym rozpowszechnianiu antyoptolu?

Nie mogłem rozgryźć tej zagadki. Wszystkie odpowiedzi wydawały mi się śmieszne i absurdalne. Organizacja? Nie liczyła się zupełnie, nie była przecież organizacją sensu stricto. To był luźny związek, w którym bohater zeszłego tygodnia mógł zmienić zamiary i wycofać się, przestać zabawiać się kosztem bliźnich, a więc przestać być członkiem Organizacji. Szaleniec, który chce sięgnąć po władzę, bogactwa czy cokolwiek? Takich jednak nie zatrudniał Elektrol, którego pracowników raz na tydzień poddawano psychogramowi i rejestrowano najmniejsze odchylenia. Jeżeli nie pracował w Elektrolu ani w Radzie Ziemi, to nie mógł posiadać wiadomości na tyle dokładnych, by wiedzieć wszystko o mnie i mojej rodzinie, o miejscach i terminie oraz szczegółach akcji, o powiązaniach pracowników firmy...

Zaczynała mnie boleć głowa. Stanowczo powinienem przestać myśleć. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk szesnastki i patrząc na zrujnowany ogród, poddałem się nadchodzącej znów fali zniechęcenia.

19.

Agra wyciągnęła długie nogi i wystawiła twarz do słońca.

Przełączana przez nią przed chwilą książka szeleściła zasypywanymi piaskiem kartkami. Mieli tutaj wszystko, czego dusza zapagnie. Luksusowy ośrodek – nawet książki sprzed Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej i to z XIX wieku.

Szare fale z monotonnym łoskotem rozbijały się o pobliską skałę, a nad białymi grzebieniami uwijało się stado mew. Można było pomyśleć, że w tym rozpędzonym, zatłoczonym setkami budowli, przedmiotów, ulic i problemów świecie nie ma lepszego miejsca na odpoczynek. Jednak Agra miała już zdecydowanie dość monotonii i spokoju. Marzyła o tym, żeby nareszcie coś się wydarzyło, coś, co wyzwoliłoby ją z napiętego oczekiwania, obojętne w jaką stronę miałyby się potoczyć wypadki. Androidka okazała się całkiem niezłą towarzyszką, choć repertuar tematów, jakie mogły poruszać, nie zadowalał Agry. Konstruktorzy woleli widocznie na wszelki wypadek nie ryzykować ze zbyt wielką ilością informacji i w rezultacie już po pierwszym wieczorze, kiedy Agra nie mogła długo zasnąć i rozmawiała z Andes prawie przez pół nocy, poznała wszystkie tematy, jakie wolno było androidce poruszać.

Teraz leżała swobodnie wyciągnięta na piasku, w słońcu i bezruchu, lecz wewnątrz czuła narastający niepokój i z trudem powstrzymywała się, by nie wstać i nie pobiec gdzieś prosto przed siebie. Uniosła głowę, przestraszona wrzaskiem mew, który wzmógł się nagle. Gdzieś w zakamarkach wyobraźni wylągl się jej szalony obraz, że oto ze wzburzonych fal u jej stóp wylania się kadłub niewidzialnej łodzi podwodnej, na której pokładzie czeka na nią Jan. Mewy zrywają się z grzywaczy, zaniepokojone wirami, powstałym wokół kopułki wynurzającej się łodzi, i z krzykiem odlatują ku domowi za skałą, jej więzieniu. Niestety nic się nie działo i stado mew znów opadło

na przelewające się w dole morze. Agra poczuła, że nie wytrzyma już dłużej, że musi coś zrobić. Zerwała się i bez zastanowienia skierowała ku wodzie. Biegła ile sił, grzęznąc w piasku, potykając się i przewracając. Chciało się jej płakać i śmiać naraz. Dopadła morza, które tutaj było dla niej murem strażniczym, gorszym niż każdy inny, bo nie do pokonania przez jej słabe ciało. Wpadła w fale z wściekłością i żądzą zemsty. Walila w powierzchnię wody rękami, nogami, całą sobą, lecz morze przyjmowało ją łagodnie i obojętnie. Otaczało jej ciało chłodem i słoną miękkością, szumiało nadal monotonicznie i rytmicznie. Po chwili takiej walki zmęczyła się i uspokoiła. Popływała jeszcze z godzinę, może dłużej, i wyszła na twarde piasek.

Ze zdziwieniem dostrzegła Andes siedzącą w miejscu, gdzie pozostawiła książkę, nie odezwała się do niej jednak. Zdjęła kostium i dokładnie wykręciła. Podniosła tomik, wytrzepała go z piasku i ruszyła ku czerniejącej bryle domu.

– Pani jest bardzo zgrabna – odezwała się androidka, podążając za Agrą.

Agra milczała i zastanawiała się, czy Andes długo siedziała na brzegu. Miała wrażenie, że nie może tutaj zrobić ani jednego samodzielnego kroku.

– Pływam też nieźle, prawda? – zapytała nagle i odwróciła się, patrząc w oczy Andes. Androidka przystanęła, ale z jej twarzy nawet na sekundę nie spęłzył miły uśmiech.

– O tak – odparła. – Pływa pani bardzo dobrze.

Agra roześmiała się na cały głos.

– Z czego się pani śmieje? – zapytała Andes.

– Przez chwilę wzięłam cię za człowieka, kochana – odpowiedziała Agra, nie mogąc się uspokoić. – Przyznasz, że

to śmieszne. Chciałam cię podejść, rozumiesz?

– Nie – elektroleksitonowa kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

– Noo... – zastanowiła się Agra. – Chciałam się od ciebie czegoś dowiedzieć, nie pytając wprost. Z drugiej strony wiem przecież, że jeżeli czegoś nie wolno ci powiedzieć, to nie powiesz tak czy siak.

– Teraz wolno mi mówić wszystko. Wszystko, o czym wiem, oczywiście – stwierdziła niespodziewanie androidka.

Agra przystanęła niezdecydowana i zaskoczona.

– To nieważne – powiedziała wreszcie i dodała: – Weźmiesz mnie na plecy? Jestem zmęczona.

Andes wzięła ją na ręce i zaniósła przez taras do sypialni, gdzie leżały już przygotowane suche ubrania.

*

Kiedy androidka zapinała zamek przy mieniącej się złoto sukni, którą Agra nie wiadomo dla kogo włożyła, ta zapytała nagle:

– Czy nie bałaś się tam, na plaży, że ja... ucieknę? Że odpłynę?

– Nie – odparła Andes bez wahania. – Z wyspy nie można uciec.

– No dobrze – nie dawała za wygraną Agra. – Ale gdybym mimo wszystko popłynęła?

– To by nie trwało długo.

– Nie rozumiem. Czy mówisz o tym, że mogłabym utonąć?

– Do tego nie mogłabym dopuścić.

Agra zamilkła, zastanawiając się nad usłyszaną odpowiedzią. Wreszcie zapytała:

– Ale przecież byłabym daleko? Masz tutaj jakiś środek transportu? Przecież Łódź natychmiast powróciła do Gdy.

– Mam – odpowiedziała z pewnym wahaniem Andes. – Mogę to pani powiedzieć. Nie otrzymałam zakazu informowania pani o tym.

– Co to za pojazd?

– Kopter.

– Kopter? – zdumiała się Agra. – A gdzie on jest?

Przez cały czas pobytu na terenie Ośrodka nie podejrzewała nawet przez moment, że gdzieś tutaj może być kopter.

– Tego nie mogę powiedzieć. Będzie pani musiała zapytać o to kogoś innego.

– Innego? – krzyknęła Agra. – A kogóż ja mam zapytać, skoro jesteśmy tu same?

– Na kolacji będziemy mieć gości – odparła spokojnie Andes. – Zapowiedzieli swój przylot na dziewiętnastą. To oznacza, że będzie pani mogła sama pytać, o co pani zechce. Może to jest nasz ostatni dzień na wyspie.

– Kto ma przylecieć?

– Nadpułkownik Malindang zapowiedział się osobiście.

– Kto to jest, możesz mi powiedzieć?

– Dzisiaj już mogę. To szef Brygad Bezpieczeństwa.

– Więc to Oddziały Specjalne mnie porwały?

– Tak.

Agra była zdumiona i wstrząśnięta.

– To przecież niemożliwe? Po co mieliby to robić? Przecież ja nie jestem nikim ważnym.

– Chodziło o pani męża. Więcej nic nie wiem. Nadpułkownik lepiej to pani wyjaśni.

Agra miała wrażenie, jakby cały świat, w jakim dotąd żyła,

zawalił się w gruzy. Oddziały, które uprowadzają i więżą niewinnych ludzi, zamiast ich bronić, to było coś, w co zupełnie nie mogła uwierzyć i nie uwierzyłaby, gdyby nie fakt, że przydarzyło się to jej samej.

– Niemożliwe – powtórzyła, chociaż już wiedziała, że prawdziwe ponad wszelką wątpliwość.

20.

A więc to tak. Jak ja mogłem błędzić tyle czasu i nie widzieć najprostszyc rzeczy, które się same narzucały. Teraz wreszcie przejrzałem. Spadło to na mnie nagle i może przesadzę twierdząc, że było wielkim olśnieniem, ale przecież jakże często przechodzimy obojętnie obok faktów znajdujących się w zasięgu ręki. Teraz miałem pewność.

Od momentu, kiedy to stwierdziłem, nie mogłem sobie zupełnie znaleźć miejsca. Nie pomagała mi nawet szesnastka, musująca jak zwykle w szklaneczce. Gorączkowo poszukiwałem wyjścia. Musiałem sprostać siłom, z którymi nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie chciałbym się mierzyć. Nie jestem tchórzem, ale w mojej sytuacji każdego obleciałby strach. Miałem do czynienia ze spiskiem na najwyższym szczeblu, któremu przewodził Szef Oddziałów Specjalnych, nadpułkownik Malindang. O co im chodziło? Tego nie potrafiłem się domyślić, ale byłem przekonany, że mam rację. Tylko Malindangowi mogło wszystko powieść się tak gładko, bowiem tylko on miał dostęp do każdej informacji, ludzi i sprzętu i był poza wszelkimi podejrzeniami, bo przecież sprawdzaniem wszelkich podejrzeń kierował on sam i jego świat.

– To straszne – wyrwało mi się wbrew woli. – Jakże mi się

z nim mierzyć? A Halsmid? Czy Halsmid także brał w tym udział?
Miałem wrażenie, że nie, ale nie mogłem tego wykluczyć.

Zapadał zmrok. Przyczajone w trawie pod progiem mojego tarasu zgrzytały koniki polne. Zawzięcie tarły nóżkami o odwłoki, napełniając ciepłe, ciemniejące powietrze nieustannym jazgotem. Ładna cela twórcza – pomyślałem. – Nie ma co, dobrali ją dla mnie z przemyślnością, której można pozazdrościć. Najpierw rododendrony, teraz pasikoniki. Zerwałem się z fotela i wybiegłem przed dom. Słońce już zaszło i niebo na zachodzie wyglądało jak krwawy ochłap, zamglony i rozedrgany. A może to pulsowało mi w skroniach? Szybko policzyłem w pamięci daty. Był nów. Na księżyc nie ma co liczyć. Bardzo lubiłem księżyc. Jego blask nieraz mi pomagał.

– Dosyć – warknąłem do siebie. – Skup się, ty idioto. Księżyc, niebo, rododendrony, świerszcze. Trzeba koniecznie coś wymyślić. To jest warunek twojego dalszego szczęścia, warunek konieczny, bez którego nie wydobędziesz Agry i pozwolisz wygrać Malindangowi.

Wycofałem się pospiesznie z tarasu i dokładnie zamknąłem za sobą drzwi.

– Zgasić – powiedziałem do automatów. – Zgasić całkiem i pozamykać wszystkie okna.

Lampy najpierw przygasły, a potem wyłączyły się całkowicie, okna zasunęły się szczelnie z cichym sykiem. Przestały wreszcie dopływać do mnie wszystkie te dźwięki i zapachy z zewnątrz. Trochę mnie to uspokoiło. Zamówiłem napój 128. Niewielu z was zapewne wie o istnieniu tego numeru w standardowych wybieraczach. Mogę wam wyjaśnić, że jest to płyn zwany dawniej mlekiem krowim, z niewielkim dodatkiem bromu. Swego czasu szeroko rozpowszechniona, żółtawobiała gęsta ciecz, która niestety w wydaniu wybieracza nie jest ani tak gęsta,

ani tak żółtawa, jak dawniej. Automat pomęczył się chwilę, zanim przypomniał mu się program z nie używaną od dawna recepturą, po czym postawił przede mną coś spienionego i prawie przejrzystego. Kazałem mu powtórzyć, bo jakość tego dzieła była fatalna, co sam zresztą przyznał. Męczył się tak z siedem razy, a kiedy ósma szklanka wyszła mu jeszcze gorsza od poprzednich, walnąłem w niego pięścią, tak, że tylko zamrugały kolorowe ledy.

– Zgłoszę ten incydent do Związku Zawodowego Podajników Płynów – wysyczał złośliwie. – Beknie pan niezłą grzywnę za znęcanie się.

– Idź, bo jak cię! – zamachnąłem się i wydawało mi się, że podajnik zmałał ze strachu, ale to przecież było niemożliwe.

Nawet to pudło było przeciwko mnie. Dałem sobie z nim spokój. Postanowiłem na nic nie zwracać uwagi. Wyłączyłem wszystkie kanały łączności, żeby mi znowu ktoś nie wszedł w paradę. Wyciągnąłem się na łóżku, policzyłem spokojnie do pięciuset i przeszło mi.

Rozbiegane myśli przycichły, zacząłem znów logicznie i chłodno analizować. O co może chodzić Malindangowi? Bez wątplenia jest to jakaś rozgrywka o władzę. Może nadpułkownik chce jeszcze pogłębić panujący chaos? Chociaż nieporządek nie był już tak wielki, jak kilka lat temu. W końcu te wszystkie kraty, wachacze, sejfy i fotokomórki robiły swoje, choć były niewygodne w użyciu. Dużo dogodniejsze warunki do przejęcia władzy miałyby Malindang właśnie kilka lat wstecz. To nie o to chodzi. Poskrobałem się po głowie. – Mam – podskoczyłem nagle, aż jęknęły resory materaca. Chyba tylko jedna przyczyna mogła wywołać tak gwałtowną jego reakcję. On nie jest jeszcze gotowy. Zapewne chce przejąć władzę przy pomocy przygotowanej przez

siebie armii niewidzialnych. Ta armia pomoże mu usunąć członków Rady Ziemi. Porwie ich tak, jak zrobił to z Agrą i pewnie niedługo będzie chciał zrobić ze mną. Agra na pewno jest w jego rękach. Rada Ziemi...

Tam właśnie muszę dotrzeć. Za wszelką cenę, jak najszybciej. Ostrzec ich i prosić o pomoc w uwolnieniu Agry. Tylko Rada Ziemi może tego dokonać. Muszę uciekać. Koniecznie. Tylko jak? Mój wzrok z trudem rozróżnił w ciemnościach półkę z milczącym magnepterem. Obok niego stały rzędem puszek z antyoptolem. Właśnie.

– Światło! – wrzasnąłem. – Otworzyć okna i balkon.

Rozkaz został wykonany, lampy zapłonęły posłusznie, rozsunięły się szklane płaszczyzny. Przypadłem do puszek, patrząc z tkliwością na wrogię do tej pory pojemniki, wypełnione cudownym, uniewidzialniającym płynem. Naraz zatrzymałem się, przypomniawszy sobie coś jeszcze. Trzeba włączyć do sieci wszystkie urządzenia, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Przecież oni mają tam jakieś kontrolki działania komunikacji. Niemal łamiąc wtyczki, wcisnąłem je w kontakty. Na czoło wystąpiły mi krople potu. Zanim przystąpię do pokrywania się farbą, muszę się upewnić, czy nic nie zauważyli. Wcisnąłem klawisz połączenia. Natychmiast pojawiła się chuda gęba człowieka, który zastępował Matsona.

– Słucham – powiedział gotów do każdej usługi.

– Przesyłam wam wszystkie materiały, które mi były potrzebne. Nie będę już z nich korzystał.

– W porządku – twarz tamtego nie zdradzała żadnych emocji.

– Czy to wszystko?

– Tak.

Wyłączył się nie czekając, aż zrobię to pierwszy. A więc

do dzieła. Wpakowałem wszystko do pojemnika pneumo i posłałem. Urządzenie syknęło i zapaliło zielony czujnik pomyślnego wykonania. Złapałem za pierwszą z brzegu puszkę z farbą i wstrząsnąłem jej zawartością, po czym kierując wylot dyszy na dłoń, nacisnąłem spust. Trysnęła wąska strużka białawej cieczy i okleiła mi palce, grzbiet dłoni i mankiet koszuli. Przerwałem na moment, by się upewnić, czy wszystko w porządku, czekałem, aż biaława farba zacznie się zestalać, twardnieć i znikać. Czekałem dobrą chwilę, ale nic takiego nie nastąpiło. Z niedowierzaniem przyjrzałem się etykietce. Była w porządku: Antyoptol, znak jakości, dopisek Extra, znak firmy Proxigral – gruby napis boldem – forte. Jeszcze raz powtórzyłem czynność, natryskując tym razem drugą rękę i znowu odczekałem pięć minut bez żadnego efektu. Czuję, jak brwi mi się same unoszą ze zdziwienia. Rzuciłem się do półki i wziąłem następną puszkę.... To samo. Trzecia?! Też.

Próbowałem teraz wszystkich puszek po kolei, jak opętany sikając farbą gdzie popadło i ciskając na podłogę kolejne puste pojemniki. Ani jeden nie nadawał się do użytku. Opadłem na fotel, patrząc na dywan usłany puszkami po antyoptolu.

Co się dzieje? Spojrzałem na ekran, była druga w nocy. Straciłem szansę ucieczki. Będę musiał czekać do jutra. Gdybym teraz zażądał nowego antyoptolu, mogliby zacząć coś podejrzewać. Pytaliby się, po co, przecież dostarczyli mi dwadzieścia butelek. Dwadzieścia butelek. I wszystkie nieczynne. Jak to się stało? Może zostałem oszukany? Nie, przecież za pomocą jednej z nich uniewidzialniłem Dagnes. Zapewne więc wszystkie były sprawne. Przecież wtedy też wziąłem pierwszą z brzegu. Co prawda z pojemnika pneumo wyskakiwały w określonej kolejności, ale potem ustawiłem je jak

popadło. Taką ewentualność musiałem więc wykluczyć. Wynikało z tego, że proces rozkładu farby dokonał się tu, w tym pomieszczeniu, w trakcie tych czterech dni, gdy puszki spokojnie stały na półce, a ja głowiłem się, jak im zaszkodzić.

Odezwał się sygnał połączenia. Początkowo chciałem go zignorować, ale postanowiłem nie wzbudzać podejrzeń. Wydawało mi się, że już chyba wiem, co jest przyczyną degeneracji antyoptolu... Nie byłem jeszcze pewien, ale...

– Słucham – rzuciłem niedbale w kierunku zaszuszonej twarzy, która ukazała się na ekranie.

– Ma pan gości – oznajmił mój łącznik i opiekun.

– O tej porze?

– Chcą się z panem koniecznie widzieć. Będą za piętnaście minut.

– Niech mi pan powie, kto to taki?

Chudy uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, gdy przejął po Matsonie obowiązek opiekowania się mną.

– Przedstawiciel Rady Ziemi, dyrektor Halsmid, nadpułkownik Malindang, pani Dagnes Merial i pańska żona Agra San.

– Co? – zbaraniałem. – Agra?

Szczapowata twarz, najsympatyczniejsza w tej chwili na świecie, rozciągnęła się w szerokim uśmiechu i znikła z ekranu.

21.

– Pan reprezentuje Radę Ziemi – rzuciłem się na jedyne go nieznanego mi w całym towarzystwie człowieka, kiedy już wycalowałem Agrę i Dagnes.

– Tak – odparł stary człowiek w granatowym swetrze.

Miał długie, siwe włosy i brodę, nadającą mu wygląd patriarchy.

– Niech pan natychmiast rozkaże, żeby aresztowano tego człowieka – wycelowałem palcem w Malindanga, który uśmiechnął się, jakby moje wystąpienie szczerze go bawiło.

– Z czego się pan śmieje? – warknąłem do niego, czując, że moja dotychczasowa interpretacja wypadków nie jest chyba zbyt właściwa.

– Czuję, że będziemy musieli naszemu wspaniałemu intuicjonalemu wyjaśnić wszystko po kolei – powiedział nadpułkownik, obciągając czerwoną bluzę munduru ze złotymi naszywkami.

– Co wyjaśnić? – zaprotestowałem, tym razem już słabo. – To pan uprowadził moją żonę. Nie tak?

– I owszem – zgodził się Malindang. – Ale sytuacja nie wygląda naprawdę tak czarno, jak pan sobie wyobraża.

– Co pan może, nadpułkowniku, wiedzieć na temat moich wyobrażeń? – zachnąłem się, chcąc kontynuować natarcie, ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Tyle wiem, ile, zakładając pańskie logiczne rozumowanie, da się wywnioskować z informacji, którymi pan dysponował.

– A skąd pan wie, jakimi ja dysponowałem informacjami? – rozzłościłem się ostatecznie.

– Kochanie – wtrąciła się nagle Agra – pozwól panu nadpułkownikowi to wyjaśnić, a poza tym może być nam pozwolił usiąść.

Tak mnie tym zbiła z pantałyku, że zapomniałem, o co mi w ogóle szło.

– Proszę – wyciągnąłem dłoń ku kanapie i fotelom. Malindang

od razu zaczął swoją opowieść.

– Czy nie zainteresowało pana – zwrócił się do mnie – skąd się tutaj wzięliśmy i po co zwaliliśmy się całą watahą do pańskiej samotni, nie licząc się wcale z konsekwencjami takiego faktu dla dalszej pana pracy nad antyoptolem.

– Oczywiście, że mnie to interesuje – odparłem obrażony. – Nie mam pojęcia, po co przyszliście, i coraz mniej z tego rozumiem. Początkowo myślałem, że to odnalezienie Agry było powodem waszego zjawienia się, ale to przecież pan ją więził, więc równie dobrze mógł pan ją przyprowadzić i za miesiąc.

Agra siedziała obok mnie, przytulona do mego ramienia i nareszcie czułem wewnętrzny spokój, tak mi ostatnio potrzebny.

– Właśnie. Więc zdradzę panu właściwy powód – zrobił pauzę dla zwiększenia efektu, jakbym jeszcze nie dość miał mocnych wrażeń – przyszliśmy, ponieważ wiemy, że dokonał pan wreszcie tego odkrycia, czyli że pańska misja dobiegła końca.

– Chwileczkę – przerwałem – jakiego odkrycia? Co znaczy „wiemy”?

– Niech się pan uspokoi – odezwał się pieszczotliwie Halsmid. – Dokonał pan naprawdę wielkiej rzeczy. Antyoptol przestanie być zmorą. Prawda?

Czekał na potwierdzenie z oczami utkwionymi w mojej twarzy.

– Spokojnie – uspokajałem sam siebie. – To znaczy, że byłem bez przerwy obserwowany? Czy tak?

– Tak – odparł bez zmrużenia oka Malindang. – Również wtedy, gdy podsłuchiwał pan rozmowę Matsona.

– Ha. Więc wiedzieliście o Matsonie od samego początku?

– Owszem, ale niech się pan nie łudzi, że Matson zdradził się

dopiero pod pańskimi drzwiami. To byłaby zbyt wielka nieostrożność nawet dla początkującego agenta wywiadu przemysłowego, a co dopiero dla Matsona, który spędził w tej roli na Ziemi ładnych kilkanaście lat. Wtedy, kiedy pan go rzekomo słyszał i widział, w ogóle go tutaj nie było. To nasze fantomaty urządziły to przedstawienie realonowe.

– Jak to? – oniemiałem. – Więc co ja słyszałem?

– Tę rozmowę nagraliśmy sami. To znaczy zmontowaliśmy ją z oryginalnych fragmentów różnych rozmów, głos Matsona, a ten drugi został dograny we właściwy sposób. Jak w realu, najnormalniej w świecie – reżyseria dźwięku i rzeczywistego obrazu.

– Więc to wy puściliście mi to wszystko – stwierdziłem. – Ale po co?

– Otóż to – nadpułkownik był z siebie coraz bardziej zadowolony, natomiast ja czułem, że wychodzę na wariata.

– Tak nie dojdziemy do niczego – wtrącił się przedstawiciel Rady Ziemi. – Niechże mu pan wyjaśni wszystko po kolei, bo stracimy resztę nocy, nie dowiedziawszy się nawet, na czym polega odkrycie, którego dokonał.

– Tak jest – nadpułkownik wyprężył się odruchowo, pozostając jednak w pozycji siedzącej. – Od dawna wiemy, że Ziemia jest obiektem penetracji prowadzonej przez wywiady gospodarcze innych planet. Antyoptol nie jest pierwszym wynalazkiem, który na skutek działania owych wywiadów zniknął z Ziemi. Tamte były może mniej ważne, mniej doniosłe i dlatego niektóre nawet uszły naszej uwagi. Matson, jak już wspomniałem, działał tutaj wiele lat wraz z doskonale zakonspirowaną siatką proximańską. Na jego trop wpadliśmy dużo wcześniej, ale nie mogliśmy nic zrobić, gdyż nie mieliśmy

przeciw niemu żadnych dowodów.

– Rozumiem – przerwałem mu. – Chcieliście upiec dwie pieczenie...

– Niech pan słucha spokojnie – skarcił mnie ten z Rady. Zamknąłem się, a Malindang z zadowoleniem kontynuował:

– Słusznie pan zauważył. Upiekliśmy dwie przy jednym ogniu. Pozwoliliśmy Matsonowi wynająć pana jako intuicjonała, choć po wnikliwej analizie stwierdziliśmy to, o czym Matson doskonale wiedział. Że jest pan na „opadającej fali” i w takim stanie ducha nie zdziała pan wiele albo zgoła nic. Zezwoliliśmy na to i jednocześnie poprosiliśmy o pomoc i współpracę obecnego tu profesora Grigusa, który, jak pan zapewne pamięta, przez całe lata kierował Instytutem Psychologii i Parapsychologii w Par. Takie pułapki zakładaliśmy już tysiąc razy bezskutecznie, ale tym razem wreszcie się udało.

– Ach, to pan jest profesorem Grigusem – nie opanowałem się i przerwałem znowu, ale tym razem patriarcha mnie nie skarcił, a nawet się uśmiechnął.

– Profesor – kontynuował Malindang – jest autorem eksperymentu, któremu został pan poddany w celu wyrwania pana z niekorzystnego układu, powodującego zanik pańskich zdolności. Analiza wykazała, że należy pana przeorientować z dynamiki harmoniczej na dysharmoniczną.

Przerwał i spojrzał na mnie, żeby sprawdzić, czy chwytam.

– Tak, tak, rozumiem – machnąłem ręką z rezygnacją. – Etap pierwszy to było zdenerwowanie mnie rozmową na mój temat, z której dowiedziałem się, jakim jestem marnym intuicjonałem. Drugi to porwanie mojej żony. Chociaż... – przerwałem i po chwili zastanowienia dokończyłem. – Musicie panowie przyznać, że ten drugi etap był ryzykowny?

– Nie tak bardzo – odezwał się Grigus. – Ryzyko wynosiło tylko 10%, a poza tym innego wyjścia nie znaleźliśmy. Tylko taki krok mógł pana generalnie rozstroić.

– To znaczy rozwścieczyć – poprawiłem go, bo nie cierpię, gdy się mnie traktuje jak królika doświadczalnego.

– Jak pan woli – zgodził się łaskawie. – Rozwścieczyć albo załamać. Ryzyko załamania było jednak niewielkie, bo wciągnęliśmy do spisku siostrę pańskiej żony, Dagnes Merial.

Spojrzałem na nią zły jak diabli. Grigus dostrzegł to.

– Niech jej pan nie piorunuje wzrokiem – powiedział. – Ona była nieświadoma roli, jaką gra. Na posterunku Oddziałów nasz człowiek potraktował ją chłodno, a Matson też nie lepiej, więc co mogła zrobić? Jak pan widzi, kierowanie ludźmi za pomocą, że tak powiem... delikatnych wskazówek, nie jest takie trudne.

– Właśnie – warknąłem, bo dotyczyło to również mnie.

– Ja byłem autorem drugiej części planu – wtrącił się Malindang. – Porwanie pana żony i potem, w etapie trzecim, żądanie okupu miało wprowadzić Matsona w panikę, co też się stało. Usiłował uciec wraz ze swoim szefem, zacierając dane w ewidencji zapachów, a raczej przepisując je pod nowe personalia. Na szczęście mieliśmy ich dane sprzed tej całej operacji i aresztowaliśmy obu na kosmodromie trytońskim. Myślę, że szybko zaczną mówić, bo jak wiem, nie lubią zamkniętych pomieszczeń, a innymi w naszym areszcie nie dysponujemy.

– Więc to tak – powiedziałem.

– Niech się pan nie gniewa – zaśmiał się nadpułkownik. – Ale przecież dokonaliśmy tego, o co szło. Osiągnęliśmy oba cele. Matson i Proxixar za kratkami, a my mamy antyoptol.

– Rzeczywiście – mruknąłem. – Tylko że nie dzięki pana

cudownemu planowi.

Teraz oni zrobili wielkie oczy. W głębi duszy poczułem satysfakcję, choć prawdę mówiąc, dosyć mierną.

– Jak to? – zapytał Halsmid przestraszonym głosem. – Ale wynalazek jest?

– Jest – uspokoilem go. – Tylko że ja już nie jestem intuicjonałem. Nie wymyśliłem go. Wynalazku dokonał przypadek.

– Przypadek? – zapytał Halsmid niemal mistycznym szeptem. – Jaki?

– Piękna noc – powiedziałem i podszedłem do okna.

Otworło się bezszelestnie, wpuszczając ciepłe powietrze i skrzypienie świerszczy. Postanowiłem się na nich trochę odegrać za tę całą maskaradę, za to, że podglądali mnie, kiedy wściekły oblewałem się zepsutą farbą, za te zszarpane nerwy i za nadwerężony ciężkim wysiłkiem umysł.

– Niech pan powie, co to jest? – dopytywał się nieśmiało Halsmid.

– To jest ostatnia noc Niewidzialnych – rzuciłem w czerni ogrodu. – I ostatnia noc intuicjonała Jana San.

– Niechże się pan z nami nie drażni – zdenerwował się staruszek Grigus, który to wszystko tak sprytnie obmyślił.

– Chodź tutaj, Agra – powiedziałem do żony, jakbym go w ogóle nie słyszał.

Właśnie wschodził księżyc. Musiałem się oczywiście pomylić co do nowiu.

– Przytul się do mnie – szepnąłem jej na ucho. – Będziemy teraz dużo podróżować.

Objęła mnie ciepłym ramieniem, tak miękkim i gładkim, jakiego nie ma żadna inna kobieta na świecie.

- Ile wynosi honorarium? – zapytałem przez ramię.
- Przecież pan wie – odezwał się obrażony Halsmid. – Dwadzieścia tysięcy lunów.
- Słyszysz, kochanie? – zwróciłem się do Agry.
- Zdradzi nam pan wreszcie tę tajemnicę, czy nie?! – krzyknął Halsmid, najwyraźniej doprowadzony do ostateczności.
- Malindang natomiast, zrywając się z fotela, warknął do mnie:
- Dość tego, San, niech pan nie przeciąga struny.
- Panowie – odwróciłem się do nich z miną sfinksa. – Spokojnie. Tajemnica jest bardzo prosta i bynajmniej nie tajemnicza.
- Gadaj pan! – krzyknęli wszyscy trzej prawie chórem.
- Wystarczy codziennie nadawać w publikatorach na fali ogólnoziemskiej kilkanaście taktów mojej ulubionej symfonii Gartela i Monsiriego na Kompleks Stu Tręb. Amplituda ich drgań rozprawi się z antyoptolem w ułamku sekundy.

Zielona planeta CO₂ – więzienie

Dlaczego zacząłem od tej właśnie historii? Jak się okazało, nie była to wcale moja ostatnia praca, wręcz przeciwnie, była jedną z pierwszych. Doprawdy nie widzę w niej nic szczególnego, co by usprawiedliwiało wysunięcie jej na pierwszy plan.

Myślę, że powinienem wprowadzić w swe postępowanie nieco więcej ładu. Czasami mam okropne trudności z ustaleniem hierarchii. Nie wiem, co ważne, a co nie. Często to, co miałem za nieważne, okazuje się punktem szczytowym, innym razem rzecz czy zdarzenie, do którego przywiązuję wielką wagę, jest po prostu niewypałem. Cóż, tak właśnie zacząłem. Od środka, bez zastanowienia się, pokierowany pierwszym impulsem. Dla mnie jest to normalne, jako że jestem zmuszony na co dzień obcować ze swoją psychiką. Zdaję sobie jednak sprawę, że dla innych może być męczące. Może się tworzyć wrażenie jakiegoś bezsensownego miotania się, bez ładu i bez kształtu. Zachodzi słońce i będę musiał poprosić Reia o nowy kaganek na noc. Pół butelki inkaustu i sześć piór już zużytych, a Centarion wykazuje pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Mam wrażenie, że powinienem się bardziej skoncentrować i pospieszyć. Powinienem być mniej szczegółowy, bo przecież nie wiadomo, kiedy oni wreszcie stracą cierpliwość. Mija właśnie tydzień od chwili, gdy stałem pod murem, o krok od zupełnie innego świata z odmiennymi całkowicie kłopotami i radościami. Wydaje mi się, że od tamtego czasu minął wiek, a to tylko tydzień. Wiem,

co powinienem, wiem jednocześnie, że nic w tym względzie nie uda mi się zmienić. Tutejsze powietrze widać nie służy lepszej koncentracji, a może przez te piekielne zupki, po których człowiek zapada w sen kamienny i budzi się otepiały. Postaram się jednak być nieco bardziej systematycznym. Tak. Od czego by tu więc zacząć ponownie? Od mojej największej przygody? Nie. To będzie grozić spadającym napięciem. Niektórzy twierdzą, że najlepiej jest zaczynać od początku, tylko co nim jest? Moment mojego narodzenia, poczęcia, data ślubu rodziców, bez którego przecież by mnie nie było, czy może zacząć od ich narodzin? Nie wiem. Naprawdę trudno się zdecydować. Zaczniemy więc po prostu od mojej pierwszej pracy, tej całkiem pierwszej, dziewiczej, z jej pierwszym honorarium, pierwszymi kłopotami i niepewnościami, pierwszą jakże rozkoszną chwilą tryumfu. Tylko muszę zaostrzyć nowe pióro, bo nic gorszego nie ma nad manuskrypt nabazgrany tęym piórem bez śladu polotu i dowcipu... O, już... jest... jeszcze troszkę... gotowe. Zatem zaczynamy.

Bunt w Parku Chimer

Obudziłem się z potwornym bólem głowy i kompletnie bez poczucia humoru. Przez kilkanaście sekund nie potrafiłem sobie uświadomić, gdzie się znajduję i jakie wydarzenia spowodowały, że jestem właśnie tutaj. Gdy otworzyłem oczy, odkryłem standardowe pomieszczenie z niebieskimi ścianami opalizującymi charakterystycznie dla tych nowoczesnych farb, które zmieniają barwy zależnie od pory dnia, a nawet nastroju czy temperatury. Wyposażenie pokoju również standardowe, typowe dla ziemskich hoteli, a więc chwała Przypadkowi, jestem w jakimś pensjonacie. Żółte kotary przepuszczały pierwsze promyki słońca, a może ostatnie.

– Która godzina? – zapytałem inforu.

– Dziewiętnasta – odpowiedział grzecznie.

Skoro tak, to raczej miałem do czynienia ze światłem zachodu. Czyżbym przespał cały dzień? Mgliście przypominałem sobie salę cocktailową jakiegoś złocistoszafirowego hotelu z jego mirażowym podjazdem i otoczeniem z fałszywych realonowych palm, jakiś tłum, wśród którego kręcili się również Abnegaci, jakąś muzykę i całe morze numeru 16, a także kruczowłosą kobietę, zaraz, zaraz, jak ona miała na imię?... Aria czy jakoś tak? W każdym razie była nudna i kłótniwa, mimo że obiecująco zgrabna. Uniosłem się z poduszki. Poduszka? Otóż to, poduszka wypełniona sztucznym puchem, ostatni krzyk żurnali wyposażenia wnętrza. Hotel niezłej kategorii! Kto mnie tutaj ulokował? W skroniach łomotało mi tysiąc parowych młotów,

kiedy dowlokłem się do łazienki, żeby wziąć odświeżający prysznic. Bicze wodne przeważnie przywracały mnie do stanu jakiej takiej równowagi po nieprzemyślanych eskapadach. Jednak tym razem ból głowy pod ich wpływem wcale nie ustąpił. Wycierając się grubym ręcznikiem, który znalazłem w podajniku, patrzyłem przez okno. Odsunąłem je własnoręcznie, co spotkało się z krótkim oporem ze strony, widać nie przyzwyczajonego do takich działań, okna. Stanowczo ludzkość schodzi na psy – pomyślałem. – Skoro tak rzadko używamy swoich kończyn do jakichkolwiek czynności poza przyciskaniem guzików, że już nawet automaty o tym zapominają. Przez moment patrzyłem zupełnie tępo w krajobraz, aż do chwili, gdy dotarło do mnie, iż jest to pejzaż dziwny. Jako intuicjonał sam nie bardzo wiedząc kiedy, spostrzegam pewne szczegóły, które sumując się w szarych komórkach, po przekroczeniu pewnego progu pojawiają się nagle w świadomości. Coś w tym pejzażu nie grało. Nieszczęście intuicjonałów polega jednak na tym, że nie są w stanie świadomie odszukać ani też sprowokować pojawienia się kolejnego, rozszyfrowującego sygnału z głębi mózgu. Przeszedłem więc nad tym do porządku dziennego. Cóż tam pejzaż! Jakieś wierzby na oszronionych pagórkach porośniętych krótką szczecinką trawy. Rzuciłem ręcznik na oparcie fotela i stanąłem przed lustrem, przybierając nienaganną postawę i bardzo mądry wyraz twarzy. Nie byłem jeszcze stary, wręcz odwrotnie – stałem na progu zawodowego życia. Trzy tygodnie temu skończyłem z wynikiem zadowolającym ostatni, szósty fakultet w Akademii Psionicznej. Czułem się z tego powodu dumny i szczęśliwy. Kolejne, bolesne łupnięcie w głowie spowodowało, że moja twarz utraciła na moment swój mądro-

przebiegły wygląd. Ból uparcie przeciwdziałał wysiłkom przywrócenia sobie dobrego samopoczucia. Potarłem skronie i skierowałem się do podajnika.

– Boli mnie głowa – powiedziałem do pudła, podajniki nigdy nie cieszyły się moim zaufaniem, tak samo jak i pochłaniacze.

– Fenacetyna 0,5 – odezwał się skrzekliwie automat. – Należy popić.

Wziąłem pastylkę i szklanę źródlanej wody, numer 5 na klawiaturze, i znów zatrzymałem się przy oknie. Za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć finału wczorajszego wieczoru. Pamiętałem wydarzenia poprzedzające zabawę w hotelu, ale samej zabawy prawie w ogóle. Jakieś reminiscencje. Popołudniem, późnym – można to dodać dla ścisłości – napastował mnie agent któregoś z ogrodów zoologicznych z propozycją pracy na etacie intuicjonała. Odpowiedziałem mu fonicznie, w formie niezbyt grzecznej, że nie interesuje mnie przewidywanie, którego dnia ulubiona słonica dyrektora będzie miała period albo czy para tygrysów zagryzie tuzin syjamskich kotów, które wpuszczono do tej samej klatki z braku miejsca. Nie czekając na jego reakcję, wyłączyłem się. On jednak połączył się ponownie, przerywając mi zawiłą czynność puszenia bufiastych rękawów przy najnowszej mojej koszuli.

– Proszę pana – powiedziałem wtedy. – Nie mam czasu. Jestem umówiony w hotelu Parias, razem z przyjaciółmi... Właśnie, Parias, ale koło tego hotelu nie ma przecież realonowych palm, nie ma również mirażowego podjazdu.

– To nie jest zwykły park... – zaczął mój rozmówca o siwych, poskręcanych tuż przy czaszce włosach i czekoladowej skórze.

– Nie obchodzi mnie – przerwałem mu naprawdę niegrzecznie, bo już byłem nieco spóźniony – czy jest zwyczajny,

czy też wasze małpy i hipopotamy chodzą na głowach albo recytują wiersze klasyków. Niech mi pan wierzy, że nie mam zamiaru w najbliższym czasie pracować w Zoo, choćby mi oferowano stanowisko koordynatora karmicieli albo jakieś równie ważne! – i wyłączyłem się ponownie. Napompowałem lewy rękaw, który mienił się teraz rubinowo, przechodząc w miły dla oka kolor pomarańczowy zgodnie z rytmem tętnicy, wokół której się opinał na przegubie. Zapiąłem drugi rękaw, który według kodu powinien się mienić na niebiesko i zielono, i włączyłem pompkę, gdy natarczywy sygnał fonu odezwał się znów. Podszedłem, bo myślałem, że to może Eon... – aha! Eon! Byłem wczoraj z Eonem Kiczem i nie wyobrażam sobie, żeby mógł mnie zostawić samego w niewyraźnej sytuacji, a że była niewyraźna, nie ulegało dla mnie wątpliwości, bo przecież nie bez powodu pojawiły się w mym umyśle te pamięciowe dziury. Eon musiał być gdzieś blisko. Wracając do tamtej sprawy, dzwonił jeszcze raz ten agent ubrany jak papuga w jakąś kraciastą koszulę, której kratka nie ustawała w pędzie przekształceń, aż bolały od tego oczy.

– Uprzedzam pana – zaczął ostro – że traci pan niepowtarzalną szansę! Czy proponowano już panu jakąkolwiek pracę?!

– Skończyłem ostatni wydział dopiero dwa lata temu, a przymusowe wakacje przed trzema tygodniami – odpowiedziałem wściekły. – Nic dziwnego, że jeszcze nikt o mnie nie pytał! Zresztą to nie pański interes, czy będę pracował, czy nie!

– Pewnie, pewnie, tylko że wie pan, jak ciężko o zajęcie, a miał pan nie najlepszą średnią!

– Nie najlepszą? – podskoczyłem do ekranu czerwony niemal

jak moje rękawy. – 8,5 to jest źle?! Pan jest nienormalny i zawraca mi głowę! Żegnaj! – wrzasnąłem, łapiąc za wyłącznik.

– Chwileczkę, chwileczkę – zaoponował agent, machając rękami, jakbym go miał zamiar wyprawić na tamten świat. – Pan dobrze wie, że 8,5 nie jest żadną gwarancją, ponieważ przyrost absolwentów w tym sezonie...

– ...Daj mi pan święty spokój. Lepiej niech mi pan powie, gdzie sprzedają takie koszule jak ta, która mieni mi się przed oczami tak, że dostaję zawrotu głowy.

– U Willensa.

– Bardzo dziękuję. Będę wiedział, jakie sklepy omijać. A teraz powodzenia! – uniosłem rękę do klawisza.

– Uprzedzam, że nie ustąpię, jeszcze się zoba... – dobiegło mnie, nim rozpędzony wifon przestał przekazywać informacje... Ta koszula! Zdaje się, że gdzieś ją widziałem później? W jakiś sposób kojarzyła mi się z tym hotelem. Ale również Eon musiał tam być?! Drugi rękaw koszuli robił się niestety także czerwono-pomarańczowy, choć kod wskazywał inaczej. Zawsze człowieka gdzieś ktoś oszwabi. Jednokolorowe są już niemodne... Zaraz, zaraz, a gdzie moja koszula? – spojrzałem po sobie.

Miałem tylko slipki! Najwyższy czas dowiedzieć się chyba, gdzie jestem, bo ten pejzaż za oknem mógłby należeć z powodzeniem do każdego zakątka strefy umiarkowanej. Ból głowy niestety nie przechodził mimo pastylki. Może by tak łyćzek czegoś mocniejszego? – pomyślałem, a głośno zapytałem:

– Gdzie jestem?

– W pokoju gościnnym pierwszej klasy – odpowiedział infor. Nacisnąłem kolejno: klawisz „A”, cyfry „1” oraz „2” – standardowa dwunastka o miłym półwytrawnym smaku. Co za durne urządzenie z tego inforu! 11 32 28.

– Tyle wiem i bez twojej przemądrzałości! Pytam, w jakim miejscu na świecie, w Euaz, na Malajach czy w Alas?! – Zdenerwował mnie kretyn. Na dodatek podajnik chyba się zaciął, bo ani kropla płynu nie wyciekła do szklanki ze smukłego dzióbka.

– Jesteśmy w tunelu QcLX 6498. Dokładnie szósta godzina podróży.

Zamarłem. Rozejrzałem się po pokoju zupełnie bezradny, jakby mi nagle Ziemia odfrunęła spod stóp. Musiałem usiąść. Tak było istotnie, Ziemia została gdzieś daleko w dole i z tyłu, a ja zeglowałem sobie spokojnie w błogim śnie po wszechświecie!

– Proszę mnie uszczypnąć – odezwałem się. – Czy śnię?

– Nie rozumiem – włączył się infor naburmuszony. – Proszę o jaśniejsze sformułowanie polece...

– ...Zamknij się, pleksitonowy idioto!!! – przerwałem mu. – To był dowcip!

– Rozumiem – odpowiedział cicho jakby zawstydzony, a może obrażony, sam nie wiem.

– A dokąd lecimy? – zapytałem, wstając z posłania i podchodząc ponownie do okna.

– Transgalaktyk „Rubikon”, na którego jest pan pokładzie, ma następującą trasę: Maskria – Telmity – Przystań Trzech Ognia – Fourmaltidion. Pan ma kartę wykupioną do Maskrii.

Zamyśliłem się. Maskria, Maskria. Coś słyszałem o tym miejscu. Nawet pamiętam, że na planecie jest tylko jeden kontynent oblany wszechoceanem, poza tym... poza tym zupełnie nic. Wierzba zatrzepotała witekami i teraz dopiero zrozumiałem, co mnie zaniepokoiło w tym pejzażu. Ruch gałązek był nienaturalnie symetryczny, po prostu sztuczny, jakby nie wiatr je poruszał, a ukryta dmuchawa. To samo było z resztą

widoku za oknem, łącznie z promieniem zachodzącego żółto słońca. Usiadłem na łóżku, rozglądając się za spodniami i koszulą, ale nie zauważyłem ich w zasięgu wzroku.

– Gdzie moje ubranie?

– Włożył pan wczoraj wieczorem do pochłaniacza.

– No tak – westchnąłem ciężko – to już ostatni raz. Obiecuję sobie, że nigdy więcej nie zrobię podobnego głupstwa. Byłem sam?

– Z panem Eonem Kiczem. Pokój gościnny numer 13 456.

– Więc jednak jest! – ucieszyłem się jak dziecko. Któż może mi to wszystko wyjaśnić lepiej niż on. – Skombinuj mi jakieś odpowiednie ubranie. Niech będzie w odcieniu fioletowym.

– To nie będzie odpowiednie...

– Powtarzam: w odcieniu fioletowym, przekłeta maszyno!

Przynieśli mi je po trzech minutach. Para przemiłych androidów, którzy mieli tę zaletę, że nie dziwili się niczemu.

Eon Kicz to mój najserdeczniejszy przyjaciel. Chyba mogę tak o nim powiedzieć, skoro niemal w jednej ławce przesiedzieliśmy trzy fakultety. Nasze specjalności pokrywały się idealnie, ale, co ważniejsze, posiadaliśmy również wspólne zainteresowania. Oprócz pięknych dziewcząt, za którymi lataliśmy wtedy jak opętani, i nadmiernego pociągu do drobnych nałogów (szczególnie dwunastki), bawiły nas problemy związane z zastosowaniem intuicji jako metody badania sprawności urządzeń technicznych w przemyśle, i jak każdego młodego człowieka kusiły przygody. Niestety, o pracę zgodną z zainteresowaniem nie jest w dzisiejszych czasach wcale łatwo, a tylko ciekawa praca, najlepiej w przestrzeni, może przynieść przygody, sławę i pieniądze. Trzy rzeczy, o jakich marzą wszyscy absolwenci wszelkich uczelni jak świat długi i szeroki.

Z Eonem nie rozstawaliśmy się ostatnimi czasy niemal na minutę, zwłaszcza od egzaminu końcowego. Wcześniej różnie bywało, raz się kłóciliśmy, raz byliśmy razem, ale wspólne przeżycia związane z egzaminem złączyły nas mocnymi więzami. W czasie dwuletnich obowiązkowych wakacji, po otrzymaniu dyplomu Akademii, przemierzyliśmy tylko we dwóch kawał Metropolii, cały Układ Solarny i jeszcze zahaczyliśmy o Syriusza. Nie wątpię, że w sytuacji, gdy straciłem poczucie rzeczywistości, Eon zadba o wszystko i nie zostawi mnie na pastwę losu. Zwłaszcza że zawsze miał mocniejszą głowę ode mnie i wcale mu nie szkodziły różne innoplanetarne domieszki, które ostatnio były w modzie. Nie podejrzewałem go jednak o taką niefrasobliwość. Nikt inny nie mógł mnie tutaj zapakować. Lubilem co prawda zaskoczenia, ale tym razem przeholował. Będę mu musiał powiedzieć parę słów do słuchu. Wywozić mnie na jakąś tam Maskrę to naprawdę przesada. Wybaczyłbym mu bez zmrużenia powieki każdy zakątek Ziemi, z Luną od biedy, ale centrum Galaktyki, co najmniej tydzień podróży i Bóg wie ile transsolarów, tego za wiele, to się domaga energicznego protestu!

Maszerowałem, głośno tupiąc podkówkami na obcasach i szpicach modnych mokasynów, w które obuły mnie androidy. Tylko ciągle zsuwały mi się długie aż do samych nogawek hajdawerów getry w niebieskie paski. Na moment przystanąłem w okrągłym holu, gdzie zbiegały się korytarze tego pokładu, by dyskretnie poprawić podwiązki i przejrzeć się jeszcze raz w lustrze. Nie znoszę, gdy coś jest nie w porządku. Wszyscy się wtedy na ciebie gapią i nie wiesz, czyś taki piękny, czy im się coś stało. Hormony rozhułane przez jakiś erotykon biją im do mózgów czy co?! Nie, to muszka przekrzywiona, guzik ci odpadł od rozporka, szelki się poplątały, a na kołnierzyku śnieżnobiałym

czarna smuga smarowidła. Tym razem wszystko było w porządku. Błyszcząca fioletowa koszula, z fantazyjnym kołnierzem i swobodnie zwisającym przez prawe ramię liliowym szalem z batystu, robiła dobre wrażenie. Koronkowy czepek z wstążką miał może zbyt jaskraworóżowy odcień, ale od biedy mógłby ujść, tylko te getry. Rozejrzałem się w lewo – nikogo, w prawo – rzęście oświetlony rząd luster lśnił kryształowo wzdłuż całej ściany, zaraz obok dwa czerwone pochłaniacze o zaciśniętych metalowych szczękach i kabina wizofonu. W kabinie stała dziewczyna. Cholera! Na ogonie zielonej sukni, którą przytrzasnęła nieopatrznie drzwiami, bajkowe pyski krasnoludków wywaliły z ust czerwone jęzory i skurczyły spazmatycznie nozdrza, jakby za chwilę się miały całkiem udusić przez to odcięcie od reszty trenu. Jak można tak się znęcać nad własną suknią?! – pomyślałem oburzony. – Czy ona nie czuje, że jej krasnoludki zaraz wyzioną ducha?! Twarze miały blade, szare i gdyby im wbudowano głos, to pewnie teraz charczałyby nieprzyjemnie lub darły się wniebogłose. Zrezygnowałem z poprawiania podwiązek i podszedłem bliżej, żeby ją uprzedzić. W tym momencie obróciła się tak, iż dojrzałem jej profil. Poznałem od razu. Jak niepyszny wycofałem się czym prędzej na paluszkach i szybko wtopiłem się w korytarz, który miał mnie doprowadzić do Eona. Pal licha krasnoludki, to tylko w końcu suknia, a ja nie miałem ochoty rozmawiać właśnie z tą dziewczyną, której widok sprawił, że pewne klapki zaskoczyły w mym mózgu na właściwe miejsce, przywracając pamięć. To była owa Aria czy Aira, i już w tej chwili, choć jeszcze nie zdążyłem dotrzeć do pokoju mojego przyjaciela, przypomniałem sobie tamten hotel. Sam gmach, podjazd, realonowe palmy i bananowce, mimo że naokoło padał gęsty śnieg, sala balowa, wirujący podest naszego stolika unoszący się kilka metrów nad parkietem, na którym tańczyły tysiące par. Konwenthotel. Monach – pomyślałem. Przypomniałem sobie również, że był tam ten murzyński naganiacz i że tej dziewczynie zrobiłem... – zadrzałem. – Czyżby?! Nie!!! Nie powinienem jej spotkać, nie wolno mi jej spotkać, to był tylko żart! Skąd ona się tu wzięła?!

Chciałem jej zrobić na złość, bo była zarozumiała i wydawało jej się, że zjadła wszystkie rozumy świata. Na dodatek była niedotykalna, więc wziąłem ją na tête-à-tête do gabinetu, a ona wtedy, że bez ślubu takich rzeczy... i ja wtedy... Nie, nie, ślubu nie wzięliśmy, na pewno nie, ale czy jej przypadkiem tego nie obiecałem?! Strach mnie obleciał, bo nie znoszę przemądrzalskich jak ona i takich, co zadzierają nosa, udają aniołki albo alabastrowe posągi, a są zwyczajnymi ladacznicami! Po wtóre nie znoszę łamać przyrzeczeń. Słowo to dla mnie rzecz święta. Jeżeli jej więc obiecałem, żeby dopiąć swego, to...!! Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Jak najszybciej do Eona, może on mi rozjaśni w głowie. Cóż tam się jeszcze w ogóle zdarzyło?!

Zaczynałem wątpić, czy Eon, znając nasze podyplomowe zapasy gotówki, nawet w największym imieninowym zamroczeniu podjąłby decyzję o locie do centrum Galaktyki. Jak się dobrze zastanowić, to nie byłem pewien, czy całe pieniądze, a przecież wydaliśmy już na wakacje lwią część, wystarczyłyby na jeden bilet do Maskrii, i to w jedną tylko stronę! Nie na darmo jestem intuicjonalem. Czuję instynktownie, że Murzyn maczał w tym palce, ale przecież nie uprowadził nas, musiałem wyrazić zgodę. Za nic nie mogłem sobie tego przypomnieć. Potoki dwunastki wlewały się w nasze gardła, błyskały fajerwerki, była tam jeszcze druga dziewczyna z króciutkimi kręconymi włosami tuż przy skórze, kelnerzy podlatywali z potrawami, Murzyn paplał bez sensu, pary wirowały w jedną, nasz podest w drugą, sypały się girlandy i olbrzymie, topniejące na dłoni płatki czegoś czerwonego...

Minęła mnie nagle rozbawiona para, bardzo dziwacznie ubrana i agresywna. Chłopak mnie potrącił, dziewczyna zerwała mi czepek z głowy i podrzuciła pod sufit. To mnie wyrwało z rozmyślań i poirytowało dodatkowo. – Cóż oni tutaj robią?! Kto ich w ogóle wpuścił?! Byłem pewien, że byli ubrani w szare,

płócienne koszule. Dobrze sobie. Abnegaci podróżują po Galaktyce, phi! Moim oczom ukazał się właściwy numer i nie pukając zwyczajowo, ani tym bardziej nie używając inforu, by mnie zapowiedział, pchnąłem drzwi do wewnątrz. Eon w obcisłym dresie w białe i czerwone gwiazdy siedział w fotelu i coś tam czytał, sprawozdania lub jakieś umowy, sądząc po kolorze folii. Był tak skupiony, że w pierwszej chwili mnie nie zauważył.

– A, to ty? – powiedział, nie odrywając prawie oczu od rzędu cyfr. – Co się stało, że wpadasz jak bomba do mojej cichej przystani? Wreszcie się zbudziłeś? Myślałem już, że to nigdy nie nastąpi.

– Posłuchaj, czy ty coś z tego wszystkiego rozumiesz, bo ja zupełnie nic?! – wyrzuciłem z siebie, zawisając nad nim jak drapieżny ptak.

– Masz zamiar wydziobać mi wątrobę czy tylko lewe oko? – zapytał swobodny i spokojny. – Czego nie pojmujesz? Lecimy sobie powolutku, żadnymi tam superdetonerstykowcami, tylko porządnym, komfortowym, nadświetlnym tunelowcem, same luksusy, żadnej awarii. No, może nieco archaiczny jest ten środek transportu, ale za to na pewno przyjemniejszy, więc? – odłożył folie na róg stolika.

– Zrozum – złapałem go za przegub. – Chyba zrobiłem jakieś głupstwo, a nic nie pamiętam!

– Jak to nic? – zamrugał oczami.

– Zupełnie nic. Od spotkania z tobą w Pariasie kompletnie urwał mi się film.

– Wypiłeś z tym facetem tyle dwunastki, że...

– ...Z jakim facetem?! – krzyknąłem.

– Z tym, w takiej kolorowej koszuli w oszalałą kratkę.

Nazywał się Atser.

– W kolorowej koszuli?... Czarnoskóry, dosyć stary?...

– Właśnie. Jednak coś tam pamiętasz. Właśnie o nim mówię. A dziewczyny pamiętasz? Jedna kruczowłosa, zwariowana, tajemnicza, a druga taka milutka z fryzurą neonegro.

– Tak, tylko że jedna była napuszczona, niedostępna i zarozumiała, a druga milcząca i blada, a nie milutka.

– Myślałem, że tamta ci się podoba, skoro wziąłeś ją do gabinetu.

– Więc jednak ją wziąłem?!!!

– Nie denerwuj się – powiedział. Musiałem wyglądać jak upiór, bo poderwał się przestraszony i zaczął mnie sadzać na otomanie.

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Siadaj – przyciągnął mnie do barłogu, który zajmował pół pokoju, i pchnął. Zapadłem się po sam czubek nosa w puch. Zacząłem rozpaczliwie wiosłować rękami, żeby wydostać się na powierzchnię, gdy nagle poduszki wypchnęły mnie same, twardniejąc pod moim ciałem.

– Czyś ty zwariował?! – wrzasnąłem.

– Co? – oderwał dłoń od regulatora, który mnie wyciągnął z otchłani. – Zapomniałem po prostu przestawić.

– Sypiasz w czymś takim?

– Przecież musi się rozprężyć zgodnie z instrukcją. Tam wisi – wskazał wzrokiem ścianę nad łóżkiem. – Ostatni krzyk mody i technologii, nie mam takiego w domu. Wiesz, że ono potrafi zaśpiewać, jak je ładnie poprosić? Zna 6 milionów kawałków z całej Drogi Mlecznej.

– Ja też nie mam. I nie chcę mieć. – Eon wrócił na fotel i zaszeleścił folią. Znow zagiębił się w czytaniu. Chwilę trwało milczenie. Nie przerywałem mu, bo miałem nadzieję, że sam się

ocknie i przystąpi do wyjaśnień, ale jemu się nie spieszyło. Cała złość mi właściwie już przeszła, tylko chciałem wiedzieć, co narozrabiałem, po co tam lecimy, i czym prędzej wypełnić luki w pamięci.

– Dobrze zorganizowane, prawda? – odezwał się wreszcie.

– Co?

– Cała ta historia – odpowiedział lakonicznie. – Czuję, że coś tu nie gra.

– Jaka historia, człowieku?! – zerwałem się ponownie z posłania. – Mówżeż wreszcie po ludzku. Wylądowaliśmy w Konwenthotelu razem z Murzynem naganiaczem i tymi dziewczynami, zdaje się, że to siostry, tyle pamiętam, i co dalej?

– Właśnie o tym mówię. Podpisaliśmy umowę. Transplanetyk na Plutona w pięć minut i prosto na pokład. Po sześciu dniach podróży już mamy zaczynać pracę. Musiało im się diabelnie spieszyć, skoro rzucili się na zwyczajnych żółtodziobów i zorganizowali tak sprawnie wyjazd.

– Wyjazd? To mi wygląda na porwanie.

– Ten facet znalazł nas na sali balowej, truł, truł i zgodziliśmy się, żeby się wreszcie odczepił. Zdaje się, że miałem nieźle w czubie.

– Zgodziliśmy się?! Ja się na nic nie godziłem!

– No, no, spokojnie, stary. Jeżeli ktoś się godził, to przede wszystkim ty. Ja go chciałem spławić.

– Co ty mi wmawiasz, że ja nas wpakowałem w tę sprawę?!

– Owszem. Tylko że niczego nie wmawiam. Chciałeś się dowiedzieć, co było potem, więc ci mówię!

– Dobra – zrezygnowałem nagle z tego niepotrzebnego przekomarzania, bo cóż ma za sens upieranie się przy czymś, czego w ząb człowiek nie pamięta. – Mniejsza z tym. Powiedz

mi lepiej, co było z tą dziewczyną. Czy jej przypadkiem nie obiecywałem małżeństwa?!

– Co mnie obchodzi dziewczyna. – Eon zerwał się z fotela. – Zabrałeś ją, przeleciałeś, wróciliście obłąpani, zadowoleni, uśmiechnięci, cóż ja mogę więcej wiedzieć! Mnie chodzi o umowę!

– Umowę? – westchnąłem. Czułem się, jakby mi ktoś przywalił w łeb obuchem.

– Coś ty taki blady? – zaniepokoił się. – Czekał, dam ci szklaneczkę piątki.

– Nie trzeba. Mów – podszedłem automatycznym krokiem do podajnika i nacisnąłem numer 96. – Proszki od bólu głowy, a potem 5.

– Umowa opiewa na stanowiska intuicjonistów regularnych – zaczął Eon. Zgryzłem proszek i popiłem łykiem wody, co przyniosło mi lekką ulgę.

– Dla ciebie w Parku Chimer na Maskrii, dla mnie w Ogrodzie Przygód na Telmity.

Zakręciło mi się w głowie i musiałem czym prędzej usiąść na kanapie. Wiadomość była dosyć szokująca.

– Mam nadzieję, że nie na dwa lata?! – przestraszyła mnie perspektywa dwóch lat na jakiejś tam Maskrii, można umrzeć z nudów. Zwykle umowy podpisywano albo na zadanie, albo na dwa czy pięć lat!

– Nie. Na pół roku. I to mnie bardzo dziwi.

– A mnie nie – odetchnąłem z ulgą. – Cieszę się, że nie popełniliśmy jakiegoś większego głupstwa. Park Chimer. Byłem tam na wycieczce jeszcze ze szkołą fundamentalną, miałem chyba pięć lat. To olbrzymi i dziwaczny ogród zoologiczny. Tylko co tam może mieć do roboty intuicjonista?

– Otóż to – Eon podrapał się po łysej czaszce. – Ale najdziwniejszy jest ten okres. Normalnie dają ci albo zadanie, albo co najmniej dwuletni kontrakt. Na dodatek termin biegnie już od podpisania papierów, czyli od wczoraj, a nie od rozpoczęcia pracy. Odpada więc tydzień podróży i nie ma żadnego okresu stażu.

– Faktycznie nieco dziwaczne, ale tym bym się tak nie przejmował.

– Co prawda napadli nas ostro, ten Murzyn byt uparty. Jak on się nazywał Aster, Astor? A może zrobili nas na szaro z forszą?

– Co?! – zaniepokoiłem się nagle.

– Nie. Chociaż tutaj też coś mi nie gra. Naprawdę nie wiem, po co podpisałem te wszystkie papiery. Źle mi było na Metropolii?! Że też zawsze musisz mnie do czegoś głupiego podkusić?!

– Ja, ciebie?! Nic nie pamiętam. Nie przejmuj się tak, bo stracisz apetyt! A propos. Strasznie jestem głodny, a ty? – ani się obejrzałem, jak z roli oskarżyciela przemieniłem się w oskarżonego, z roli pocieszanego w pocieszyciela, z ataku przeszedłem do defensywy. Z nim zawsze było to samo. Robił coś, potem mu się nie udawało, potem mówił, że ja go namówiłem, i musiałem go pocieszać. Czyż to możliwe, żebym coś podpisał i w ogóle, ale to w ogóle nic nie pamiętał?... Chyba możliwe. Autometry znajdują podobne przypadki. Nigdy więcej alkoholu, nigdy więcej picia, nigdy więcej wódki i likierów! Nigdy! Przenigdy! Nigdy więcej wina, piwa, rumu, nalewek i nigdy więcej podpisywania żadnych papierów w tym stanie. Eon siedział z folią w dłoni markotny i sfrustrowany.

– Głowa do góry, człowieku! – zawołałem sztucznie wesoło.

– Szybko się oswajasz.

– To zarzut? W tym wieku człowiek szybko się oswaja z dużo gorszymi rzeczami. Pół roku. Jakoś to będzie! Chodź, pójdziemy do restauracji.

– Lepiej zjeść tutaj – zaproponował gwałtownie.

– W tej samotni? Chodź, rozejrzemy się po statku. Nie podróżowałem jeszcze tak nowoczesnym transgalaktykiem.

– A w ogóle jakimś podróżowałeś?

– Prawdę mówiąc, nie.

Ruszyliśmy do wyjścia.

– Rubikon odbywa trzeci rejs. – Eon nałożył na głowę czarny melonik i owinął się pasiastym biało-czarnym szalem.

– Skąd to wiesz?

– Z inforu – zatrzasnął drzwi za sobą i ruszyliśmy korytarzem.

– Całe szczęście, że w przestrzeni nie podają dwunastki – powiedziałem, bo mnie niespodziewanie łupnęło w mózgu.

– Myślę, że ten problem mamy z głowy. Zużyliśmy wczoraj półroczny przydział.

– Co? Chyba wszyscy musieli pić na nasz koszt?

– Owszem. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Dajże spokój? Ty zawsze musisz przesadzać. Nigdy ci się nie zdarzyło postawić komuś drinka? Nie mam pojęcia, jak temu facetowi udało się mnie namówić, ale skoro już to zrobił, to nie mam zamiaru tego dalej wałkować – dochodziliśmy do hallu, w którym przebiegał pion wind.

– Za to ja wiem, jak cię namówił.

– Tak? – zatrzymaliśmy się przed drzwiami.

– Zaproponował za te pół roku po pięćdziesiąt transsolarów na łebka.

– Straszne pieniądze! – popatrzyłem na Eona badawczo. – Masz jeszcze dużo takich rewelacji za pazuchą?

Wzruszył ramionami.

W duchu przyznawałem mu rację, ale nie odzywałem się, bo w pewnym sensie czułem się winny temu wszystkiemu. Poza tym zbyt byłem głodny, skołowany i podekscytowany, żeby objąć wydarzenia w pełni i przypatrzeć się im z należytą wnikliwością. Wejście do windy rozsunęło się bezszelestnie. Wewnątrz... stała ona. Z trudem udało mi się powstrzymać grymas niezadowolenia. Chyba nawet nie udało mi się to tak całkowicie, skoro powiedziała:

– Widzę, że miałbyś ochotę mnie nie poznać?

Była w tej samej sukni co godzinę temu i krasnoludki całkiem zsiniały na trenie. Zimne trupki – pomyślałem. – Musiała gadać przez ten fon ładny kawałek czasu.

– Ależ skąd – zaprzeczyłem niezbyt żywo ani żwawo, ani z należytym zapałem.

– A pan? Jak pan się czuje, Eon? – zwróciła się do mego przyjaciela z uśmiechem realonowej gwiazdy.

– Do... dobrze – wydukał. Zachowywał się jakoś dziwnie. Przesępował z nogi na nogę, patrzył w sufit. Nigdy nie był nieśmiały z kobietami. Nieźle go trzepnął ten kontrakt.

– Panowie na kolację?

– Tak, ale chcielibyśmy omówić pewne sprawy, więc jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, to... może spotkamy się...

– A kto panu powiedział, że w ogóle mam się z nim ochotę spotkać?!

Winda dojechała wreszcie do poziomu restauracyjnego.

– Więc nie ma pani? – ucieszyłem się w duchu. Zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem od góry do dołu.

– Nie mam, ale nie zawsze możemy robić to, na co mamy ochotę – wyduła pogardliwie wargi i wyszła z windy, nie

zaszczywszy nas już żadnym spojrzeniem.

– Obraziła się – powiedziałem do Eona, gdy odeszła kilkanaście kroków. – Ale co ona miała na myśli?!

– Jakby się komuś tak śmiała gęba jak tobie, kiedy ci mówiła, że być może nie ma ochoty cię zobaczyć, co było oczywistą kokieterią, to mógłby sobie pomyśleć tylko jedno.

– Co?

– Że naprawdę nie masz ochoty go widzieć.

– Coś kręcisz mętnie – siedliśmy do stolika i wzięliśmy kartę dań.

Przez cały czas kolacji siedziała w loży obok, a mój wzrok zupełnie wbrew woli uciekał stale w stronę jej nienagannie białej szyi i opadających łagodną falą na plecy kruczych loków.

Nie wiedziałem, co o niej sądzić. Przez pierwsze trzy dni unikałem jej w każdym razie, ale i ona nie paliła się do ponownego nawiązania znajomości. Było to bardzo sztuczne, zważywszy, że przecież nic takiego się między nami nie wydarzyło, a nie byliśmy sobie obcy. Z jednej strony nie miałem podstaw, by po jednym wieczorze spędzonym w Konwenthotelu zapalać do niej aż taką niechęcią. Z drugiej, nawet jeżeli składałem jakąś obietnicę, to przecież nikt dzisiaj (poza mną zdaje się) nie traktuje podobnych przyrzeczeń poważnie. To nie archaiczny okres wczesnohistoryczny, gdy seks otaczała aura niedomówień i ścisłych rygorów. Gdybym na przykład chciał, bez trudu na podstawie jej zdjęcia, które dałby mi każdy infor, mógłbym zamówić jej idealną androidyczną kopię i wyczyniać z nią, co by mi się żywnie podobało. Takie postępowanie było jednak poniżej godności normalnego, dorosłego mężczyzny, robiłem to, owszem, jeszcze w liceum, ale potem nigdy. Niewątpliwie z jednej strony podniecała mnie, pożądałem jej,

chciałem z nią przebywać, a z drugiej odstręczała wyniosłością, chłodem i kto wie, czy nie tą obietnicą niefortunną, którą sam jej bez przymusu złożyłem. Próbowałem wprząc Eona w rozwiązanie moich z nią problemów, ale on był zdania, że kategorycznie należy jej unikać, żeby nie psuć sobie humoru. Ilekroć się pojawiała przypadkiem na naszej drodze, Eon ciągnął mnie gdzie indziej, byle dalej od jej „kuszącego ciała”, jak się sam wyraził, i „tajemniczej duszy”.

Byłem mu bardzo wdzięczny, iż tak troszczy się o moje samopoczucie, ale czasami nocą nachodził mnie obraz jej niebieskich oczu i wilgotnych, czerwonych ust. Ciekawiło mnie także, dlaczego ona podróżuje tym samym statkiem, dokąd leci i czy to ma jakiś związek z nami, czy nie.

Tymczasem spędzaliśmy z Eonem czas na nudnych spektaklach okrętowego teatru. Aktorzy grali tu mierni, a i sztuki były nie najwyższych lotów, chociaż teatr było nie było międzygwiazdny, podniebny, cha, cha, cha! Od czasu do czasu gościliśmy także w salonie fantomatyki, ale najwięcej naszej energii pochłaniała gra w krong. Każda partia, mimo że trwa po kilkanaście godzin, potrafi człowieka tak wciągnąć, że zapomina się o całym świecie. Niestety, zawsze przegrywałem z Eonem. I to najczęściej wysoko. W krongu intuicja nie przydawała się na nic. Co innego, gdybym był jasnowidzem! Tak więc unikałem tej Airy czy Arii skutecznie i nawet nie interesowałem się, jak jej naprawdę na imię, tylko wciąż stało mi w pamięci to jej wystudiowane wzruszenie ramion i wysmukła szyja. Towarzystwo wyłącznie drugiego mężczyzny, co by tu nie mówić, jeśli się ma dwadzieścia parę lat i jest się w normie, a poza tym nie ma żadnych zobowiązań, nie jest tym najciekawszym, co można sobie wyobrazić.

– Uważaj, jak grasz?! – zdenerwował się Eon. – Jeżeli to zrobisz, to znów przegrałeś!

– Tak? – jego uwaga wyrwała mnie z zamyślenia. Mimo wszystko wydawało mi się, że Eon zachowuje się w stosunku do mnie nieco zaskakująco, odmiennie w każdym razie niż dawniej. – Dlaczego?!

– Dlaczego?! – obruszył się. – Cały ciąg bić! Naganiaczem przenoszę tego egzekutora do przytrzymania. Biję kołakiem twojego skoczka – awans, bicie tegoż egzekutora, którego trzymam bazyliżkiem – awans, potem towarzysze, więc dalszy awans i już mam pierwszego kronga, a ty co?!

– Tylko nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz? – rzeczywiście wściekał się z byle powodu, był milkliwy i bez humoru. – Wciąż umowa leży ci na wątrobie?

– Ale skąd! – zaprzeczył zbyt gwałtownie. – Tak się po prostu nie gra.

– A niech cię! – jednym ruchem przewróciłem swoje figury. – Nudny ten krong jak flaki z olejem. Pójdę się lepiej zabawić w jakimś stereonie. – To było właśnie to. Nie miałem pretensji, że się wścieka czy nie ma humoru, tylko że nie jest szczery. Dawniej tego nie wyczuwałem.

– Jak chcesz, ale tak się nie przegrywa! 25:0 przez dyskwalifikację, a było tylko 7:4.

– I tak bym nie odrobił. Nie nudź... – zamyśliłem się. Zmiana w zachowaniu Eona niepokoiła mnie i nie mogłem jej zrzucać wyłącznie na karb przygnębienia. Było coś jeszcze. Bardzo niechętnie ruszał się z pokoju, przesiadywał tam niemal bez przerwy, on, który nie potrafił się opanować nie tak jeszcze dawno, by nie zajrzeć w każdy zakamarek księżycowej fabryki fantomatycznej „Realthings”, która produkowała te wszystkie nie istniejące, a widzialne drobiażdżki typu fałszywe drzwi, dodatkowy piąty as do każdej talii albo palmy, ba, całe lasy

i nawet makiety trójwymiarowych miast.

– Może byśmy poszli na jakiś bal? – zapytałem, bo zaczynało mi być rzeczywiście nudno. – Z pewnością jakiś jest w którejś z tych stu sal restauracyjnych.

– Idź sam. Ja wolę studiować problemy krongowe. To dobra zaprawa, jeżeli ma się przed sobą trudne życiowe sprawy do rozwikłania. Tobie zresztą też nie radziłbym się włóczyć bezmyślnie, bo jeszcze wpadniesz na nią.

– Wpadnę, wpadnę. Coś ty taki troskliwy?!

– Ja? Skądże! – zaperzył się. – Chciałem tylko dla ciebie dobrze, ale to wyłącznie twoja sprawa. Nie interesuje mnie.

– Dobra, dobra. Nie obrażaj się – powiedziałem tonem polubownym. – Lepiej mi przypomnij, jak ona miała na imię. Akria, Aria, Andria, Allara, albo coś podobnego?

– To tamta, ta druga, która została na Plutonie.

– Jak to druga? Chyba wiem, z kim poszedłem do gabinetu, nie?

– Więc twierdzisz, że byłeś w gabinecie z tą z kręconymi włosami?!

– Nie. Byłem z tą, która z nami leci i ona ma na imię Adria.

– Adria – przedrzeźnił mnie i westchnął. – A przypadkiem nie Daggess?

– Daggess?! Daggess!!! Tak. Rzecz jasna Daggess! – rozjaśniło mi się wreszcie w pamięci. – To co, idziesz ze mną?

– Nie – odpowiedział, nie podnosząc nawet głowy znad kolistej planszy.

– To studuj, studuj. Może wymyślisz, jak jednym skoczkiem w jednym ruchu wziąć do niewoli wszystkie przeciwne figury?

Parsknął pogardliwie.

– Jak już wymyślisz, to mi zakomunikuj. Tylko podobna

sztuczka mogłaby nas wyplątać z tej afery!

Trzasnąłem drzwiami.

Nie bardzo wiedziałem, co dalej począć. Zacząłem się błąkać po pokładzie. Nie potrafiłem wymyślić żadnego pretekstu, żeby ją zaczepić, zgrabnie poderwać jeszcze raz tak, by moje przewiny zostały wymazane z pamięci. Łaziłem po wszystkich dwudziestu czterech pokładach dostępnych podróżnym, niby bez celu, ale w głębi liczyłem chyba, że ją przypadkiem spotkam. Niestety, nie było jej widać, zupełnie jakby się zapadła pod ziemię.

Mijałem kolorowe grupki, znów natknąłem się na Abnegatów, przyglądałem się przez barwne szyby wnętrzom kawiarń, otarłem się o dyskotekę – same aerorokowe i cosmodeliczne kawałki, zajrzałem przez lufcik do wideoteki z archaikami, ale dawali tam dyski z muzą konkretną i poważną – punkjazz i reggae. Zatrzymałem się w drzwiach salonu masażu, salonu gier losowych, sportowych, hazardowych, nigdzie nie wchodziłem, wszystko wydawało mi się mało ciekawe i nudne. Zajrzałem też do wielkiej sali stereonu, ale seans był właśnie w połowie i karminowowłosa dama gigantycznych rozmiarów, wydając przeciągłe ochy oraz achy, poddawała swe obnażone ciało pieszczotom równie gigantycznego Chińczyka, który w podnieceniu nie potrafił sobie poradzić ze swym zakrzywionym samurajskim mieczem. Tylko mnie to dodatkowo podrażniło. Nie ma rady – pomyślałem. – Muszę ją odnaleźć i nie bawiąc się w zawilności, błagać o łaskę! Zaraz też zerwałem się z fotela i pomknąłem do najbliższego inforu ścigany spazmami pani z ekranu.

– Chciałem się dowiedzieć, gdzie w tej chwili znajduje się... – zatkało mnie, właśnie, kto? Degas, Dogos? Czy to na pewno dobre imię? A nazwisko?

– Słucham, słucham, służę każdą informacją – piszczał rozkosznie infor – proszę o szczegółowe dane.

– Ma na imię Daggess lub Dag-gess, albo Degass, Deges, Dde, Ass, D’Eggas, jakoś tak! – wyrzuciłem z siebie.

Nie zdążyłem jeszcze wypowiedzieć do końca pytania, gdy infor już kłaniał się nisko i zmartwionym głosem paplał: Bardzo mi przykro, strasznie mi przykro, osoby o takim imieniu nie ma na pokładzie.

– Jak to nie ma?! – krzyknąłem. Przechodząca obok para spojrzała na mnie jak na wariata.

– Mógłbym wymienić tylko podobne... – zaczął.

– Właśnie o to mi chodzi! – jakże te prymitywy elektroniczno-mnemoniczne ze świadomością w kryształkach procechronowych i pseudoneuronach działają mi na nerwy.

– W takim razie są następujące panie: Dagas, Daggis, Daggos, Da Gos, Da Ggus, Degis, Deggguuus, Diiiges, Digas, Digiss, Dd Igis, Diggos, Digus, Dogos, Doas, Doges, Dugys, Dygus, Dagnes, Dabnes, Dobbes, Dintes, Dutessa...

– Długo tak możesz?!

– Dedbabnes, Daigaes, Doigness...

– Przestań!!! – ryknąłem.

– Nie rozumiem – speszył się automat. – Czy nie wykonuję pańskiego polecenia?

– W porządku. Skończ już! Dużo jest tych pań?

– 643 – odpowiedział chłodno i rzeczowo. Spociłem się. W ten sposób nic nie osiągnę.

– Wymień wszystkie te, które mają od dwudziestu do czterdziestu lat, kruczoczarne włosy i pochodzą z Metropolii, podaj mi ich pokoje i gdzie się znajdują w tej chwili.

Po kilku sekundach szedłem już korytarzem drugiego

poziomu z karteczką, na której figurowało zaledwie sześć nazwisk. Pozostałe, które mieściły się w przedziale, ale miały imiona na przykład Danuta, Deborah, Donata, Daria i tym podobne, mogłem od razu wykreślić.

Była trzecia z kolei na mojej liście: Dagnes Merial, pokój 6852 klasa Lux, w chwili bieżącej w ogrodzie poziomym trzynastego. Miałem ją. Wyglądało to na dziecinnie proste, tyle tylko, że trzynasty poziom był cały jednym wielkim ogrodem. Na dodatek na pokładach zapadł już zmrok, więc świeciły się tylko przyćmione światła i blady księżyc rzucał swe promienie na splątane krzewy pistacji, miotlaste żarnowce i inne tajemnicze rośliny zebrane z setki chyba planet. Na żadnej z głównych alei jej nie znalazłem. Nie było jej również w bocznych alejkach, tak że zdeprymowany musiałem prosić infor o dokładniejsze określenie. Okazało się, że Dagnes siedzi przy plejadyjskim baobabie na samym krańcu poziomym. Był to niewielki zaułek z małą fontanną spadającą do kamiennej misy. Ucieszyłem się nawet zmrokiem i księżycem, cóż za romantyczne miejsce, wymarzone do moich celów. Stąd brał początek pokładowy strumyczek. Wkoło żywej duszy. Podszedłem na palcach i usiadłem na brzeżku ławki zupełnie bezszelestnie. Nie zauważyła mnie, tak była wpatrzona w drzewo rosnące obok fontanny, zapewne tenże baobab z Plejad. Miał wielkie, dłoniaste liście pociągnięte czymś na kształt niebieskiego zamszu. Nagle dziewczyna poruszyła się niespokojnie i powiedziała:

– Zdawało mi się, że jest wystarczająco dużo miejsca w tym ogrodzie. Przeszkadza mi pan.

Jak ona to zrobiła? Jednak mnie zauważyła i nawet na mgnienie nie dała tego po sobie poznać, aż do chwili, w której

udało jej się mnie zaskoczyć!

– Bardzo?

– Dosyć – odpowiedziała tym swoim wyniosłym tonem. Głos miała lekko chropowaty, lecz miękki jak aksamit. Wydawało mi się, że się uśmiechała, wypowiadając to słowo, że jest lekko rozbawiona. Dobra nasza, do ataku!

– Lubi pani plejadyjskie baobaby?

– Skąd wiesz, że to baobab? I na dodatek plejadyjski? Interesujesz się kosmobotaniką?

– Kosmobotanika to moje hobby – oświadczyłem bez zmruczenia powieki. – A co jest twoim hobby? – starałem się nie wypuszczać inicjatywy ze swoich rąk.

– Moja specjalność. Kosmobotanika. Czy dlatego mnie szukałeś po wszystkich pokładach, żeby zadać to idiotyczne pytanie? – w jej głosie dało się wyczuć nutkę satysfakcji. Cios był istotnie celny, w tym złośliwym stylu, który mgliście zapamiętałem z Konwenthotelu. – Czemu zawdzięczam ten nagły przypływ pamięci? Czy tylko swoim wdziękiem?

– Zaciekawiasz mnie – mimo że trzymałem twarz, to najwyraźniej grunt osuwał mi się spod nóg. – Jesteś jasnowidzem? Skąd wiesz, że cię szukałem, może znalazłem się w tym zakątku przypadkiem?

– To żadna filozofia – powiedziała, po raz pierwszy odwracając się do mnie. – Spytałam inforu, czy mnie ktoś nie szukał?

Niedobrze. Przegrywam na całej linii – pomyślałem. – Ona jest w tym lepsza. Lepiej zmienić front.

– Szukałem cię, bo chciałem cię przeprosić. Zbyt wiele zaskoczeń przeżyłem tamtego dnia i miałem diabelskiego kaca. Naprawdę chciałem ci wtedy zaproponować spotkanie później...

– To znaczy w środku nocy – wpadła mi w słowo. – Zapewne w swoim łóżku?

– Tak. To znaczy nie. Oczywiście, że nie...

– Daj spokój. Przestań kręcić. Wyraźnie się ucieszyłeś, że się od ciebie odczepię. Odczepiłam się. W porządku. Tylko nie rozumiem, po co się do mnie znowu przyczepiasz?!

– Przyczepiam?! – byłem oburzony. – Przepraszam. To jakieś nieporozumienie. Chciałem cię tylko przeprosić za swoje zachowanie, które wynikało z pewnego rozdrażnienia i podenerwowania! To wszystko.

– Więc przeprosiłeś. Serdeczne dzięki. A teraz odczep się. Mam was po dziurki w nosie. Obydwu. I waszych problemów też!

Już zamierzałem wstać i odejść, gdy dotarł do mnie sens jej słów

– Was? – zapytałem zdumiony. – Jakich was?!

– Ciebie i Eona!

– Eona?! Zaraz! A co ciebie łączy z Eonem?

– Z Eonem?... – zmitygowała się. – Nie... nic... – była wyraźnie zmieszana.

Teraz już nie mogłem odejść. Tak mnie zaintrygowała i zaciekawiła, że pękłbym z tej ciekawości jak balon przepełniony helem; rozerwałoby mnie na strzępy.

– Nie wykręcaj się. Skoro powiedziałaś już tyle, to pozostaje ci tylko szczerść.

– Szczerść! Dobre sobie. Udajesz idiotę czy mnie masz za głupka?! Przecież dobrze wiesz, że to ja was zwerbowałam na Maskrię!

– Ty?!

Wstałem. Dobrze, że było ciemno, bo miałem co najmniej tak

głupią minę jak dowódca egipskiego pościgu, który zobaczył otwierające się przed Żydami odmęty Morza Czerwonego.

– Zdaje się, że palnęłam gafę – powiedziała beztrzesko, jakby nic specjalnego się nie stało. – Eon obiecywał, że ci wyjaśni! Naprawdę jesteście jak dzieci.

– Że mi wyjaśni?! Chwileczkę!... – usiłowałam gwałtownie poukładać sobie fakty w głowie. Nic mi się tu nie kleiło.

– Wydawało mi się – powiedziałem po chwili, i w moim głosie zapewne bez trudu można było odnaleźć nuty niepewności – że zatrudnił mnie ten czekoladowy najemnik! A Eon, cóż on z tym miał wspólnego? A ty? Twoja rola w tym zagadkowym uprowadzeniu dwóch absolwentów w kosmos jest dla mnie coraz bardziej tajemnicza! Kim ty właściwie jesteś, jakimś asem wywiadu militarnego czy gospodarczego, może fantomatyczną złudą, co ty tu właściwie na pokładzie robisz?!!!

– Uspokój się! Takie podniecenie bardzo szkodzi. Za trzy dni masz zacząć wykonywać zadanie! Zachowujesz się nieodpowiedzialnie! Swoją drogą powiem ja Tambollinowi, co myślę o takich misjach! Żeby przyzwoitą dziewczynę narażać na nachalność, niemal zgwałcenie i obraźliwe epitety byle półgłówka!

– Albo natychmiast mi powiesz całą prawdę, albo nie ręczę za siebie! – wrzasnąłem. – Dosyć tej maskarady!

– Maskarady?! To ty i twój przyjaciel urządacie jakieś dziwne harce. Jeżeli próbujecie jakichś oszukańczych sztuczek, co łatwo mogę sobie wyobrazić, bo przecież sama zostałam przez ciebie wystawiona do wiatru, i jeżeli wam się wydaje, że wykręcicie się, a właściwie, że ty się wykręcisz, bo o ciebie tu chodzi, jeżeli tak ci się wydaje, to wiedz, że kontrakt jest tak skonstruowany, że do końca życia nie wygrzebiesz się z długów! Żadnych matactw,

zgoda?! – wycelowała długi karminowy palec prosto w moją pierś.

– Spokojnie. Na razie trudno mi cokolwiek planować, bo zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi! Jedno jest dla mnie jasne, zostałem bezczelnie wykołowany, naciągnięty i uprowadzony! Mój przyjaciel, jak zrozumiałem od początku, brał udział w tym spisku, a ty pociągałaś za niewidzialne nitki, organizowałaś to wszystko.

– Przepraszam, nikogo nie uprowadziłam! Dobrowolnie podpisałeś umowę łącznie z oświadczeniem o dobrowolności złożenia tegoż podpisu. Eon powiedział nam, że ręczy za twoją zgodę i że przedstawi ci cały projekt ze szczegółami!

– Eon!!! – wywrzeszczałem. – Ha, dobre sobie! Niech no tylko dopadnę tego Kicza, tak mnie wpakował! Łotr! Łotr spod ciemnej gwiazdy!

– Musisz się uspokoić, bo gotów jesteś jeszcze zrobić jakieś głupstwo – powiedziała, kładąc ciepłą dłoń na mojej ręce.

– A ty?! – byłem zbyt wściekły, by panować nad językiem. – Co w końcu jest z tym twoim hobby i z tymi twoimi specjalnościami?! Trochę dziwne jak na kosmobiologa! Wiesz, kim jesteś? Zwykłym, parszywym naganiaczem!

– Nie musisz mnie obrażać – cofnęła rękę jak oparzona. – Gdybym wiedziała, że tak zostaną sprawy załatwione, to na pewno bym...

– Słodkie niewiniątko – przerwałem jej ostro. – Kto się bawi w naganiacza, musi być przygotowany na najgorsze! Wiesz, co mam ochotę teraz zrobić, zanim policzę się z Eonkiem?!!!

Liście baobabu zapłonęły nagle na niebiesko, jakby miały w środku mikroskopijne diody.

– Wcale nie chcę wiedzieć! – wstała. – Zepsułeś mi całą

obserwację! Przez twoje krzyki od razu nastąpił zapłon. Nie było wstępnej fazy żarzenia! Jesteś usatysfakcjonowany?

– Satysfakcja?! – podnieciłem się. – Wiesz, co zaraz zrobię? Spiorę cię na kwaśne jabłko! Za te knowania, za kłamstwa, za tę minę obrażonej księżniczki, pod którą kryje się prawdziwa twarz cynika! Wleję ci na tyłek, a nie jakieś tam żarzenia i zapłony, baobaby i podpisy!!!

– Zaraz zawołam straż! – krzyknęła Dagnes, gdy moja dłoń zacisnęła się jak kleszcze na jej łokciu.

– Straż?! To ja zawołam straż! – ryczałem jak ranne zwierzę. – W biały dzień ze środka Euazu, z centrum Metropolii człowieka porwać! Niezły początek jak na kosmobotanika z ogrodu zoologicznego! Jak tak dalej pójdzie, za rok, dwa będziesz naciągać System Bankowy Galaktyki na fałszywe czeki i wypłaty grubych sum w transsolarach!

– Puść mnie, to boli!

– A pewnie, że boli, do diabła! Mnie też boli, znacznie gorzej, bo głębiej! Pomyśleć, że szukałem cię po wszystkich poziomach tylko dlatego, żeby się z tobą przespać, ładna kobietka, myślałem sobie! A to żmija!

– Straż! Straż! – wołała Dagnes. Oczy miała szerokie z przerażenia, drżała na całym ciele i usiłowała ze wszystkich sił mi się wyrwać. Puściłem ją, bo pomyślałem, właściwie dotarło do mnie, że przesadzam i chyba naprawdę ją wystraszyłem. Upadła siłą rozpędu na klomb u stóp drzewa, które zareagowało nadzwyczaj gwałtownie i niespodziewanie. Obwisłe gałęzie naprężyły się niczym struny, a same czubki skierowały się wijącymi ruchami ku dziewczynie. Jednocześnie liście zmieniły kolor z niebieskiego na upiornie żółty. Zrobiłem instynktownie dwa kroki ku niej, najbliższe gałęzie ustawiły się sztorcem

w kierunku mojej piersi. Dopiero teraz zauważyłem, że te czubki gałęzi są wyostrzone jak igły.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła mnie Dagnes. – On jest tylko zadowolony! Mógłbyś go rozdrażnić.

Zatrzymałem się. Drzewo wyglądało jak usadowiony na grubym pniaku monstrualnych rozmiarów pajak, który szykuje się do skoku. Wszystkie jego kończyny skradały się jeszcze, ale lada chwila mogły błyskawicznym rzutem wykonać śmiertelne natarcie.

Ale baobab nie zrobił nic podobnego. Gałęzie zatrzymały się parę centymetrów od ciała znieruchomiałej Dagnes i rozpełzły się na swe właściwe pozycje, zmieniając kolor znów na niebieski. Dziewczyna wypęzła powoli spod drzewa. I dopiero wtedy, gdy otrzepywała suknię z liści, zjawił się android sunący przez wertepy i chaszczę niczym czołg.

– Co się dzieje? – stanął tak, że nie mogłem go ominąć.

– Zejdź mi z drogi, głupi androidzie! – wrzasnąłem.

– Pani wzywała pomocy.

– Teraz już mi nie jest potrzebna! Swoją drogą złożę skargę na Program tego poziomu. Baobab może przecież pożreć, kogo mu się żywnie spodoba, a tu ani ogrodzenia, ani tabliczki! A na was czeka się tyle czasu, że można by nie tylko umrzeć, ale i spokojnie się rozłożyć!

– Dział zażaleń czynny w poniedziałki od szesnastej do szesnastej trzydzieści – powiedział beznamiętnie strażnik i ukłoniwszy się nisko, zniknął bezszelestnie.

Nie oglądałem się na nią. Mogła mnie zadenuncjować, ale to jej sprawa. Teraz miałem w głowie jedno – dopaść Eona Kicza i połamać mu wszystkie gnaty. Wcisnąłem ręce w kieszenie i poszedłem do bloku wind. Teraz fakty zaczynały nareszcie

pasować i układały mi się w głowie w piękną, kolorową mozaikę, w której, co prawda, brakowało tu i ówdzie jakiegoś drobiazgu, ale z grubsza była już gotowa. Eon miał swoje powody, by mnie od Dagnes odciągać, kto wie, czy nawet nie sypiali razem przez ten cały czas, kiedy ja męczyłem się samotnie w swej kabinie. Także stan upojenia, w jakim przetransportowali mnie na pokład „Rubikonu”, nie miał nic wspólnego z patologiczną reakcją mego organizmu, jak się obawiałem. Bo każdy dzieciak wie, że nawet roczny obecny przydział szesnastki, dwunastki i wszelkich pośrednich numerów, w dawnych czasach dwóch przeciętnych obywateli w środkowej Europie potrafiło bez uszczerbku dla zdrowia skonsumować na jedno posiedzenie. Mój stan wtedy był efektem podstępnych działań Dagnes, Eona i Murzyna naganiacza.

Mozaika była kompletna, lecz nie wabiła oka miłą harmonią, raczej słała w mym kierunku wrogie, niepokojące błyski. Nacisnąłem guzik z numerem cztery. Winda zjechała bezszelestnie. – A ja myślałem, że on dba o moje samopoczucie!... Chociaż jest w tym trochę prawdy, moje samopoczucie po rozmowie z Dagnes Merial wybitnie się pogorszyło. W tym wypadku troska Eona nie okazała się całkowicie, że tak powiem, dogłębnie fałszywa. Ale ten kontrakt?! To już zupełne moralne dno! O, nie! Tego mu nie przepuszczę!!!! – Popędziłem jak wariat pod drzwi jego pokoju. Nacisnąłem klamkę. Nie ustąpiły. Nacisnąłem raz jeszcze. Nic! Naparłem barkiem z całą mocą.

– Pana Eona nie ma w domu! – powiedział zaniepokojony mymi poczynaniami infor. Kopnąłem w drzwi z rozmachem, aż zabolał mnie wielki palec.

– Tak się nie postępuje! – wybrzęczał natrętny infor. – Łamię pan zasady dobrego wychowania – mówił z wyraźną pretensją.

– Cicho bądź, do diabła! – krzyknąłem i zamilkł. Ale efekt jego interwencji był taki, że się ocknąłem. Co ja tutaj właściwie robię? Robię z siebie po prostu wariata!

– Sam wiem, co łamię – powiedziałem już zupełnie łagodnie, zdejmując mokasyn i masując obolałą nogę i prawie złamany palec. – Gdzie jest pan Kicz?

– U pani Dagnes Merial.

– Dawno?

– Od trzech minut.

Roześmiałem się. Musiała się z nim połączyć natychmiast, zanim jeszcze dopadłem windy. Uciekł. Schował się u niej. Przerażony Eonek wziął nogi za pas i z prędkością światła przemieścił się o sześć pokładów, żeby się schować za babską kiecą, zwyczajnie pod spódnicą, jak u mamy! Użyć własnego mnemokonukatora – mnemokomóry? Nie. Podbiegłem z butem w ręku parę kroków do kabin wifonowych. Pokład pusty. Która może być godzina? Połączyłem się z pokojem pani Merial. Odebrała sama. Nie zdążyła chyba jeszcze ochłonąć po przygodzie w parku, bo miała na twarzy wypieki. Wypieki mogły być jednak ubocznym produktem tysiąca innych sytuacji.

– Niech mu pani powie! – ryknąłem ponownie rozwścieczony widokiem jej niewinnych niebieskich ocząt. – Żeby nie wychylał nosa z kabiny! Do końca podróży! Do końca mojej podróży rzecz jasna, bo mu z niego zrobię marmoladę! – i zerwałem połączenie.

Powlokłem się do swojego pokoju, po drodze zzułem drugi but, żeby tak komicznie nie kuśtykać. Jak długi zwałem się na łóżko mimo natarczywego sygnału wywoływania mojej mnemokomóry. Skasowałem sygnał. I to raz na zawsze. Wepchnąłem go do kategorii niepożądanych i wrogich.

Palec był opuchnięty, ale jak się okazało, nie złamany.

Przemiały android w białym kitlu zrobił mi kompres i w piętnaście minut było po bólu. Zasnąłem.

Istotnie przez następne trzy dni Eon nie pokazywał się w publicznych miejscach. Parę razy usiłował się ze mną połączyć, mnemokomóra dawała znać zielonymi pikami i kasowała go do sektora wrogów. Nie odbierałem też wizyonów od nich obojga. Uczulił na mnie zamek w drzwiach swojej kabiny, tak że przestały mnie wpuszcząć, zwłaszcza gdy był wewnątrz. Ilekroć zapytałem inforu, gdzie się znajduje pan Kicz, odpowiadał mi, że u siebie albo u Dagnes Merial, a potem przestał w ogóle: – Ograniczenie dostępu. A więc nie myliłem się, tych dwoje uwiło sobie na pokładzie transgalaktycznego hotelu, mknącego przez wszechświat z nadświatłą prędkością, całkiem miłe gniazdko. Wyobraziłem sobie, jak Eon wymyka się po zapadnięciu zmroku ze swej kabiny na piętnastominutowy spacer i co parę chwil nerwowo wypytuje infor, czy mnie gdzieś w pobliżu przypadkiem nie ma, jak biegiem szusuje do windy, by jej dopaść, zanim skręcę mu kark, gdy go przypili i koniecznie musi zobaczyć się ze swoją Dagnes. Wyobraziłem sobie, jak starannie dobiera restaurację, w której będzie jadł obiad, i jak zmienia poziomy, kiedy do niej zmierza z pustym żołądkiem i obłędem w oku, byle nie wpaść w moje przyjacielskie objęcia. Zobaczyłem oczami wyobraźni jak konspiracyjnie odbierają tacę od serwanta przez wpółotwarte drzwi u Dagnes. Nie wierzyłem, że są w stanie poddać się ascetycznym sucharkom, zadowolić orzeszkami pinii, kadmi i oregami oraz innej suchej karmie z pokojowego podajnika. Pod wpływem tych obrazów uspokajałem się nieco i nawet momentami było mi go żal, ale zaraz mówiłem sobie: Dobrze mu tak, łotrowi, zachował się nieprzyzwoicie! Zupełnie jakby swój kręgosłup moralny oddał do bagażowni na przechowanie. Oczywiście, wiele razy rozmawialiśmy o przygodach astronautów w czarnych czeluściach kosmicznej pustki, o innych planetach, co toną w ogniu bądź mienią się tak cudnie, że

brylantowe broszki przy nich są jak polne kamienie utyłane w kurzu. O obcych cywilizacjach, które hipotetycznie istnieją, lecz wciąż jeszcze nie udowodniono, że stanowią niezaprzeczalną inteligencję, tak się bowiem od człowiekowatych różnią, iż nie wiadomo, co o tym myśleć. Rozmawialiśmy o nowych odkryciach, których bezlik do końca świata wciąż będzie czekał na odważnych młodzieńców żądnych sławy i czułości zastępów wielbicielek. Jednak ani przez chwilę poważnie nie zamierzałem się rozstać z moim ukochanym Euazem, do którego smutnych łąk i parkolasów iglastych oraz martwych jezior zdołałem się przywiązać, zupełnie serio, jak wierny pies. Czy choć przez chwilę ten mój niedorozwinięty kolega, ten pseudointuicjonał mógł przypuścić, że jest inaczej? Nie. Pomyśleć, że broniłem go przed docinkami niektórych mniej wybrednych uczestników zajęć na Akademii, którzy przezywali go Neonem z powodu błyszczącej, wygolonej na zero łepetyny. Dzisiaj widzę, że myśl zawarta w przezwisku miała sens głębszy, był to raczej ironiczny przyczynek do błyskotliwości Eonowej inteligencji. Nie przebaczę mu choćby nie wiem co!... W ciągu tych dni nie spotkałem również Dagnes Merial. Zachowałem się w stosunku do niej po grubiańsku, ale wcale nie zamierzałem przeproszać, bo przeświadczony byłem, że nasze rachunki teraz dopiero są mniej więcej wyrównane. Sama sobie była winna, nawet jeżeli wypełniała czyjeś polecenia.

Szóstego wieczoru transgalaktyk zmniejszył prędkość, wydobył się z tunelu i wszedł na podświetlną. Postanowiłem wyjść na taras widokowy. Do lądowania pozostało parę godzin. Podziwiałem przez niemal czterdzieści minut tutejsze niebo, w które wbijał się nasz statek i które było mi zupełnie obce. Bez trudu dostrzegalem coś takiego jak Droga Mleczna na przykład, lecz w niczym nie przypominała ona naszej Mlecznej Drogi, tak różny był ogląd z tego sektora Galaktyki. Przemykaliśmy więc pod Mleczną Drogą-Niedrogą ze zgęszczonymi w jej obrębie lokalnymi światami, a infor superinteligentnym barytonem

(niczym pełnotłusty snob erudyta) wykladał nazwy gwiazdozbiorów, które przy odrobinie wyobraźni udawało się wyróżnić z pustki i czerni, i które nic mi nie mówiły i równie dobrze mogłyby być szeregami niepoetycznych, bezpłciowych cyfr. Obok mnie stało parę osób zajętych tym samym co ja, czyli bezmyślnym gapieniem się. Z podajnika nareszcie ciekła dwunastka, ale ja nie miałem kredytu. Tuż przy mnie wsparł dłoń na balustradzie tykowaty jegomość, którego zagadnąłem i który ze swego kredytu poczęstował mnie kieliszkiem. Po pierwszych łykach 16 08 88 (dawniej to nazywało się rumjamaica) cały świat zaczął mi się wydawać z miejsca o wiele piękniejszy. Przypatrzyłem się bliżej jegomościowi. Był chudy, szczudłowaty. Miał końską twarz z przemiłym uśmiechem niedorajdy i za krótkie rękawy u marynarki w ciapki. Dziwne, że wciąż są tacy, co hołdują rodzinnym tradycjom, bo tylko z nie uszlachetnionego ziarna mógł się zrodzić w obecnych czasach tak niekształtny owoc, jak mój dobroczyńca. Większość korzysta z najlepszych bankowych depozytów genotypowych. Dziwnym trafem ci właśnie ludzie również niechętnie poddają się korekturze, pozostają przy swych pokracznych powłokach, tu za grubych, ówdzie za szczapowatych, miejscami wydłużonych, miejscami zaś przyplaszczonych, jakby je rozgniotła stutonowa prasa; i tym sposobem zaprzepaszczają kolejną szansę na przyzwoitość, na atrakcyjny wygląd i spokojny lot przez życie. Na dobitkę słyszałem ostatnio, że wiele kobiet leci na podobnych outsiderów. Cieszą się powodzeniem u perwersyjnie złąknionych brzydoty dziewczyn, które zanudziły się przy swych ekstrahipersamcach niczym nie ustępujących w przystojności gwiazdom ekranów, lecz takóŜ jak i one bez wyrazu słodkolukierkowatonijakich. Co do mnie, sam się zastanawiałem nad korektą, i to w tę drugą stronę, bo mnie rodzice uczynili nienagannie zbudowanym, przepięknym chłoptysiem na wzór jakiegoś tam aktora z archaiku, który się nazywał bodajŜe Simone Tem Plaire, tak że czasem swej przystojniaczkowej gęby w lustrze znieść nie mogłem. Dlatego teŜ tykowaty człowiek o końskim profilu i za długich rękach z miejsca zrobił na mnie

pozytywne wrażenie i rychło też tręciliśmy się szklaneczkami na cześć szczęśliwego zakończenia podróży. Dowiedziałem się przy okazji, że nosi on imię słynnego liryka hiperstarorzymskiego, Horacy, i nazywa się Ptyrl. Horacy Ptyrl, czego to ludzie nie wymyślą, jest technikiem paszowym, ma sześcioro dzieci –idealnych małych kopii z końskim zgryzem, i ciepłą żoneczkę, która nie może się zapewne na niego doczekać. Technik paszowy; wzbudziło to moje podejrzenia, gdyż słowo pasza lub karma i tym podobne mają coś wspólnego z ogrodem zoologicznym. Staliśmy jednak nadal bark w bark, gapiliśmy się w granatowy przestwór upstrzony nieregularnie białymi punktami przez tego najszaleńszego taszystę wszech czasów, jakim był Pan Nasz, Stwórca. Horacy Ptyrl żuł coś nieustannie z tępą obojętnością, co jeszcze bardziej upodobniało go do dawno wymarłego gatunku ssaków zwanego equus caballus, bez przerwy chrumkał, cwitkał i strzelał śliną, co nieco ostudziło mój entuzjazm dla jego osoby.

– Nikotynowe orzeszki z Gameronu – poinformował mnie, gdy dostrzegł, że przyglądam się natarczywie ruchom jego żuchwy. – Poczęstuje się pan?

– Nie, dziękuję! Nie używam używek.

– Nie używam używek? Dobre. Muszę zapamiętać – zaśmiał się grubo, a raczej zarżał i glamał dalej swoje orzeszki.

Staliśmy jeszcze chwilę i jeszcze, i jeszcze jedną małą chwilę; i to stanie nasze przedłużało się nad miarę, stanie stojące i milczące, stanie oboksobne i osobne, nie rozwijające się, raczej trwanie niż stanie, raczej oczekiwanie niż rozmowa, więc poszedłem do swojej kabiny i położyłem się.

Po raz tysięczny wertowałem plik zielonych folii, szukając jakiejś nieściskości w umowie. Najidealniej byłoby wywinąć się z kontraktu bez jego zrywania, nie tracąc ani transsolara, ale to nie wchodziło w rachubę. Umowę sporządził w końcu specjalistyczny komputer obsługiwany przez fachowca

od ubezpieczeń wielokierunkowych, którego zadaniem było przecież sparaliżować kontrahenta tak, żeby poruszał się jedną jedyną, wąsko wytyczoną ścieżką, o którą chodzi firmie. Życie nie jest lekkie. O nie, życie w ogóle nie jest lekkie. Jeżeli komuś się kiedyś wydawało, że kiedyś indziej, później, będzie trochę lżejsze, to lepiej, że nie doczekał dzisiejszych ciężkich czasów. Można było rozważyć również wyjście typu biernego oporu. Złośliwość czy nieczyste intencje są w tym wypadku trudne do udowodnienia. Po zastanowieniu zrezygnowałem chwilowo z tego wariantu. Zaczęło mnie przede wszystkim interesować, co też intuicjonalnie może mieć do roboty w Zoo i dlaczego Eon wepchnął mnie w to nieciekawe miejsce. Zapewne miał interes w podobnym rozwiązaniu, i to taki interes, który kazał mu poświęcić ewentualnie przyjaźń na rzecz płynących zeń korzyści. Cóż to była za przyjaźń, przyjaźń nieprawdziwa, fantomatyczna złuda, przyjaźń płytka, udająca ideał, któremu nie sięgała nawet do pięt, przyjaźń typowa dla naszych czasów, słowem przyjaźń przeciętna.

Więc o co ten krzyk?! Po prostu człowiekowi by się chciało od czasu do czasu czegoś więcej, przeważnie więcej, niż w ogóle może dostać. Tuż przed lądowaniem zacząłem nawet żałować swojej zapiekłej złości, bo mogłem spędzić owe ostatnie trzy dni o wiele milej, jeżeli już nie z przyjacielem, to przynajmniej z kobietą. Jeżeli nie z Dagnes, to z jakąkolwiek inną. Tymczasem ja przez cały ten okres gryzłem się i wściekałem, krążyłem po pokładach zły jak osa, a dni mijały i teraz trzeba się pożegnać z tym olbrzymim transgalaktykiem, dumnie ochrzczonym „Rubikonem”, który w gruncie rzeczy jest tylko pyłkiem, małym pyłkiem z Ziemi, która miliony podobnych pyłków rozrzuca po całym kosmosie, zapładniając go nieustannie

naszymi przywarami i cnotami, naszą głupotą i wzniosłymi stanami ducha. Nasunęło mi to skojarzenie dziwną myśl, a potem popłynął cały ciąg rozważań nad różnicami i podobieństwem między zapłodnieniem a zakażeniem, ale nie będę was nimi zanudzał.

Nie miałem bagażu, tylko cieniutką teczkę, w której robot umieścił moją umowę. Większość ludzi wysiadających tutaj nie miała również bagażu. A była ich tak wielka chmara, jakby cały transgalaktyk się ewakuował. Jak obwieszczały napisy informacyjne, większy bagaż powinien zostać oddany do depozytu, na planetę nie wolno przewozić tego i tamtego. Należy oddać także ozdoby i osobiste drobiazgi zrobione z tego i owego itp., itd. Stałem cierpliwie w kolejce, na ekranach nad naszymi głowami pokazywano przybijające promy. Wkrótce opadły na płaszczyzny wysięgników, podłączono tunele i otwarły się ciemne wrota, które rozświetlił czerwony blask. Wypatrywałem z niecierpliwością Eona. Ten głupek chyba za bardzo sobie wziął do serca moje ostrzeżenie. Nie mogłem też dojrzeć Dagnes. Za to tuż za moimi plecami stał technik paszowy, Horacy Ptyrl, z roześmianą gębą pełną orzeszków z Gameronu. Posuwaliśmy się krok za krokiem, co chwilę łapa kontrolera wyławiała z tłumu niesfornego turystę, który miał ze sobą coś, co powinien był zgodnie z zarządzeniami oddać, a technik szturchał mnie raz po raz w bok i powtarzał: Urlop urlopem, Gameron Gameronem, ale najlepiej w domu, najlepiej w domu. Urlop urlopem, Gameron... i tak dalej w koło, w koło, po każdym odłączeniu rury, zapaleniu światła, otwarciu bram, zamknięciu śluz, uruchomieniu przepustów, kontroli celnej, kontroli prawnej, kontroli bezpieczeństwa, kontroli biletów, kontroli wagi, szczepień, uff!! Już mi zabrakło tchu, a ledwie wymieniałem ułamek tego wszystkiego, co musiało być skontrolowane, nim wreszcie zatrzasnęły się za nami podwoje transplanetyku maskryjskiego. Gdyby nie komputery, pewnie

taka przesiadka musiałaby potrwać z miesiąc, a tak po marnych dwóch godzinach (w czasie których rozboleły mnie nogi, głowa, krzyż, serce, zachciało mi się pić, jeść, spać, kochać się, znów pić, sto razy umarłem z nudów wszechpotężnych) już startowaliśmy, wznosiliśmy się, lecieliśmy. Ostatnia nić, wiążąca mnie z rodzinną Metropolią, rwała się niczym pajęczyna, gdy z ekranu niknął zielony dysk „Rubikonu”. Dagnes dostrzegłem na pokładzie, gdyśmy już odbili. Siedziała kilka rzędów przede mną, czarując bliskich sąsiadów smukłymi nogami i zgrabną figurą ukrytą pod wyjątkowo skąpą sukienką najeżoną brązowymi kolcami. Przyglądałem się właśnie jej dumnie uniesionemu w górę podbródkowi, gdy android przyniósł mi wifon. Na ekranie widniała zaniepokojona gęba mojego cudownego przyjaciela Neona vel Eona Kicza. Mimo że już mu przebaczyłem, na widok niepewnego uśmiešku i idealnej gładzizny jego czaszki coś się zagotowało we mnie.

– Nie gniewaj się – zaczął idiotycznie – ale wiesz... – widać było, że język staje mu kołkiem.

– Wyjaśnij mi tylko, Eon – powiedziałem, siląc się na spokój. – Dlaczegoś mnie wkopał?! Nic więcej nie musisz mówić.

– Może nie byłem najuczciwszy...

– Z pewnością.

– Ale gdybym ci powiedział, o co chodzi, tobyś się zastanawiał miesiąc, jak to ty. Trzeba było brać szybko albo nie zawracać sobie głowy. Chcieli, żebym to ja pracował w parku na Maskrii. Kiedy się dowiedziałem, o co chodzi, doszedłem do wniosku, że tylko się skompromituję.

– Trzeba było od razu w ten sposób.

– Wiesz przecież – ciągnął niezrażony – że nie zaliczyłem końcowego egzaminu z intuicji. Wiesz, jaką mam przez to średnią...

– 6,9. Tylko powiedz mi, do czego zmierzasz?

– Powiedziałem im, że znajdę intuicjonała

ze współczynnikiem 7,5 albo nawet 8,0 lub wyższym, jeżeli jednocześnie podpiszą kontrakt ze mną na jakieś łatwiejsze zadanie. Jak ci się wydaje, czy z takim współczynnikiem miałem szansę na jakikolwiek kontrakt?

– Z 6,9? Chyba nie. Ale przecież bym ci pomógł. Ty wolałeś sprawę załatwić za moimi plecami. Teraz ja będę harował jak wół, a ty będziesz tam leżał do góry brzuchem i na dodatek bierzesz tyle transsolarów co i ja!

– Posłuchaj! – przerwał mi. – Nie chodzi wcale o pieniądze. Możesz je sobie zabrać! Wszystkie!

– Więc to ma być ten twój ruch skoczkiem, co?

– Zrozum, przecież zostałbym bez pracy!

– Bardzo pięknie – nadałem się jak bania. – Tylko w jaki sposób po całym twoim oszustwie, po tych słodkich minach, po fałszywych zabiegach, po uspokajających przemowach, po zwalaniu na mnie winy za podpisywanie kontraktów po pijanemu, po podstawieniu mi wreszcie Dagnes Merial do gabinetu, w jaki sposób mam uwierzyć, że tym razem mówisz prawdę!

– To chyba oczywiste, że nie mogłem mieć innych motywów?!

– Oczywiste?

– Sam powiedziałaś, że pomogłabyś mi.

– Tak. Gdybyś mnie poprosił – potwierdziłem z przekonaniem. – Ale teraz nie chcę cię znać! – i wyłączyłem się.

Na owej krótkiej, przyjacielskiej pogawędce niepostrzeżenie minął mi lot transplanetykiem. Nie zdążyłem jeszcze dobrze odetchnąć po naciśnięciu guzika przerywającego rozmowę, gdy już cumowały małe wahadłowce nadbalistyczne i rozległ się uprzejmy głos spikera: Witamy na Maskrii. Jesteście państwo w największym ze znanego nam Wszechświata Parku Dzikich

Zwierząt. Życzymy mocnych, lecz przyjemnych wrażeń. Gości prosimy do tunelu turystycznego. Przybywających pracowników obsługi do tunelu P.

Poczułem szarpnięcie, lekkie ukłucie w sercu i byliśmy na ziemi. Android uśmiechnięty szeroko, cały w uprzejmościach zaprowadził mnie do tunelu P.

W tamtym momencie nie wiedziałem jeszcze na szczęście, co przyjdzie mi przeżyć w tym koszmarnym parku. Gdybym wiedział, na przykład gdybym był jasnowidzem (mam chyba obsesję jasnowidzenia), o tak, gdybym był jasnowidzem, jasnowidzenie to wspaniała rzecz, tylko że w klasycznym sensie nie istnieje, a w nieklasycznym jest wcale nie zabawną ciężką orką, lecz gdybym... to na pewno bym się zaszył w najciemniejszym kącie „Rubikonu” tuż przed lądowaniem, tak żeby mnie nikt nawet przypadkiem nie odnalazł, i odleciałbym czym prędzej, gdzie pieprz rośnie, nie oglądając się na żadne kontrakty, karencje, likwidacje, kary umowne, kwarantanny itp.

Niestety nie wiedziałem. Więc z dobrą miną do złej gry, z szerokim uśmiechem zdobywcy świata zstąpiłem po czterech stopniach do tunelu. Czekał tam vind. Było nas, pracowników, tylko kilkunastu. Cała ta zgraja, która wsiadła z nami, musiała być gośćmi. Ścisnęliśmy się nieco, żeby zmieścić się na raz. Jak poinformował infor vindu, właśnie jest faza oszczędzania energii, co jeden przejazd, to nie dwa, trzy tysiące megawatów na każdy tysiąc kilometrów – tak więc ścisnęliśmy się, by oszczędzać razem z Programem Planetarnym. Z jednej strony miałem napierającego Hektora Ptryla, który wbijał we mnie dziwaczny, kwadratowy plecak, z drugiej strony zaś idealnie wpasowane w mój bok plecy Dagnes aż po okrągłe jądro, niezbyt szlachetne w nazwie, ale, zwłaszcza gdy damskie,

przemile w dotyku. Autopilot powiedział: Gotowe! – błysnął flesz i zaraz potem: – Dziękuję! – drzwi się otwarły i byliśmy w centrum kontynentu północnego, gdzie mieściła się baza i wszystkie urządzenia techniczne parku oraz niewielki skrawek terenu wielkości najwyżej powiatu, wydzielony na obszar mieszkalny dla obsługi. Powitanie na okrągłym placu przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Była elektroniczna orkiestra z puzonowym walcem, był lovid z występami baletu (nie, nie Czajkowski, niestety) i drobne upominki osobiście od Tambollina.

Tambollin okazał się przemiłym staruszkiem, zasuszonym niczym liść, o bystrym wejrzeniu, które przenikało człowieka na wskroś, i żywym, jowialnym usposobieniu. Przypominał tym nieco mojego profesora od paleoastronautyki Muskiego, tyle że był dużo niższy i nie taki groźny.

– Panna Merial zapewne poinformowała pana o celu pańskiej bytności tutaj – zaczął bez zbędnych wstępów, gdy tylko umilkły puzony i uciszyły się głosy kilkudziesięciu obecnych na powitaniu pracowników MASPAZ. – Jak również, mam nadzieję, zapoznała pana z problematyką i historią parku.

Nie zdążyłem wyrazić zdziwienia, gdy poczułem tęgiego, zapewne ostrzegawczego kuksańca, który wymierzyła mi Dagnes. A więc to tak?! – pomyślałem. – Boisz się swojego szefa, koteczku, świetnie – i natychmiast wypaliłem:

– Niestety, pani Merial była tak zaabsorbowana innymi sprawami w trakcie podróży, że widać zapomniała o tym drobiazgu.

Tambollin zmierzył ją pytającym spojrzeniem, w którym był raczej smutek, niż przygany.

– Panno Merial?! – powiedział błagalnie, jakby ją prosił,

by wydorowała i przestała wybijać z procy okna sąsiadom.

– Wyjaśnię wszystko szczegółowo w swoim raporcie – odpowiedziała chłodno. Wyniosła jak zwykle. Z sykliwym: Proszyszę – wręczyła mi tomiszcze grubości pięciuset stron lekko licząc i przeszyła mnie zabójczym spojrzeniem. – Ten drobiazg nie zajmie panu więcej niż jeden wieczór.

– Niech pan pozwoli do intendentury – włączył się tymczasem Tambollin. – Prezentację całej załogi przełożymy na jutro. Mamy tu jeszcze małą naradę produkcyjną i kilka ważnych spraw do załatwienia, które pana nie dotyczą. Jak pan widzi, mamy lokalny zmierzch. – W istocie słońce skryło się właśnie za horyzont. – Intendent pana zakwateruje.

Domek, który mi przydzielono, był zaprojektowany ze znanstwem. Spełniał dokładnie wszystkie warunki typowej celi potrzebnej do pracy intuicjonała; niemal podręcznikowo – i maksimum komfortu możliwego przy tym mariażu. Rzecz jasna nie był to komfort pełny ani nawet półpełny – chociażby, nie zainstalowano żadnego ogólnego inforu, a tylko specjalne łącze, namiastkę inforu, za którego pośrednictwem zamknięty intuicjonał mógł się porozumiewać ze światem, uzyskiwać wszelkie potrzebne informacje, lecz jednocześnie także zerwać jednostronnie łączność, gdyby zaistniała jego zdaniem konieczność absolutnej izolacji. Wymogi techniczne celu były bardzo srogie. Konieczne stawało się tłumienie wszelkich szumów, drgań, hałasu dźwiękowego i izolacji od różnych typów fal elektromagnetycznych, promieniowania podziemnego, niekorzystnej jonizacji, zakłóceń termicznych itp. Niezbędny był także harmonijnie skomponowany wewnętrzny wybieg. Rodzaj sporych rozmiarów ogrodu, najczęściej obwarowanego elektrycznymi barierami lub wałem ziemnym udającym wzniesienia. Tutaj nie zaistniała potrzeba robienia wybiegu, gdyż taras budynku wychodził na łagodny stok zalesiony aż po wąski

pas piaszczystej plaży. Także niezastąpione z życiowego punktu widzenia urządzenia jak: podajniki, pneumo, pochłaniacze, kilka innych robotów, musiały być skonstruowane specjalnie pod kątem izolacji od zewnątrz, bowiem najmniejsze przebicie, iskrzenia, wyładowanie energetyczne mogły zakłócić koncentrację, zdeformować fale „chi”. Poza całą domek składał się z czterech pomieszczeń: niewielkiej kuchni automatycznej (gdyby komuś przyszło do głowy sporządzić sobie menu spoza podajnika, co za absurd!) – zresztą i w kuchni zainstalowano, podobnie jak w celi osobną końcówkę podajnika; pokoju sypialni biblioteki ze stosami lektur (klasyka w skórze ze złotymi tytułami), kasetonów, płyt i lovidów do poduszki; małej sali gimnastycznej z dziesięciometrowym basenikiem oraz mikrośłońcami; a także czegoś w rodzaju living roomu przeznaczonego na dni, kiedy się nie pracuje, a wyłącznie wypoczywa bądź przyjmuje gości. Przez godzinę pozostałą do całkowitej ciemności przechadzałem się wśród dziwnych różowolistnych krzewów ogrodu, przeglądałem dostarczone przez intendenta rzeczy, obejrzałem prezent – jakiś koszmarny stwór kosmaty odłany z tworzywa, zapewne chluba Parku Chimer. Wreszcie postanowiłem zapoznać się z księgą, którą wręczyła mi Dagnes. Opracowanie było zaiste bardzo szczegółowe. Usiadłem pod pigwaniem; liście wydzielają miły słodkawy zapach, od czasu do czasu można stąd było rzucić dłuższe spojrzenie na wspaniały maskryjski pejzaż – a zwłaszcza buraczkowe morze; i zagłębiłem się w lekturze. Postanowiłem rozpocząć od rysu historycznego.

Ogród Zwierząt zwany skrótowo MASPAZ-em, a przez pracowników wyłącznie Parkiem Chimer, powstał ponad dwieście lat temu. Pomysł był to szaleńczy i zaiste na gigantyczną skalę. Na powierzchni całej planety nie znajdowało się nic innego jak tylko park. W specjalnym sektorze, zaplanowanym już w ówczesnych czasach, miały stanąć, i stanęły, hotele dla wycieczek oraz laboratoria. W innym sektorze, w którym się

właśnie teraz znajdowałem, rozpoczęto budowę osiedla dla pracowników. Ulegało ono wielokrotnym przeróbkom i przebudowom. Wtedy nie liczo się jeszcze aż z takimi możliwościami automatyzacji, robotyzacji i mnemonizacji, jakie przyniosły czasy późniejsze. Z początkowego miliona obsługujących skupionych w wielkim mieście, którego ruiny zachowano dla potomności jakieś sto kilometrów na północny zachód od obecnej stolicy New Maxmon City, w następnych etapach pozostawało najpierw dwieście tysięcy, potem czterdzieści tysięcy, aż wreszcie dzisiaj jest ich zaledwie stu dwudziestu. Tak, stu dwudziestu ludzi obsługuje całą planetę!!! Wszystkie urządzenia technologiczne, wszystkie linie produkcyjne, wszelkie Programy, cały ruch turystyczny. Dodatkowo czterdziestu z nich to tylko i wyłącznie administratorzy jak Tambollin, i tak zwana obsługa obsługi, czyli różnego autoramentu zaopatrzeniowcy, intendenci, służba porządkowa, organizatorzy rozrywek, technicy utrzymujący w używalności infrastrukturę potrzebną dla komfortu gości i obsługi.

Bezpośredni kontakt ze zwierzętami ma obecnie sześćdziesięciu ludzi i trzysta (tak, trzysta) milionów automatów: podajników, automedów, czyścicieli, mieszalników, nawadniarek, regulatorów, sprzątaczy, ogrodników itp.

Na pomysł zorganizowania parku wpadli dwaj zapaleńcy, którzy niejedno zrobili dla Naszej Galaktyki i na niejednej planecie można zobaczyć ich pomniki. Maskria nie nadawała się wtedy do niczego. Miała niezły klimat, ale jeszcze nie gotowy, należało go przyspieszyć i skorygować tak, by człekokształtni mogli czuć się tutaj dobrze. Przede wszystkim chodziło o temperaturę, skład powietrza, wodę, której w jednych miejscach nie było w ogóle, a w innych wiecznie zatapiała kontynenty. Należało także przytłumić nieco działalność wulkaniczną i ruchy tektoniczne rozbuchane eksperymentami

poprzednich właścicieli, spółki przemysłowej, która zamierzała eksploatować maskryjskie kopaliny. Owymi zapaleńcami, którzy podjęli się trudu przekształcenia planety dokładnie dwieście dwanaście lat temu, byli bracia Maxmon.

Nie należy się dziwić, że było ich stać na podjęcie się tak szalonej próby. Co prawda jeszcze dzisiaj nie zawsze udaje się terraformować planetę tak, by miała znośne warunki – najgorzej ciągle, gdy chodzi o siły magnetyczne i ciśnienia – a co dopiero dwieście lat temu, ale bracia Maxmon mieli wiele zapału, masę pieniędzy i najbardziej utalentowane umysły w Galaktyce do dyspozycji. Młodszy z nich, Vind Maxmon, jak wszyscy wiemy, był wynalazcą vindu, tego najcudowniejszego ze środków transportu wewnątrzplanetarnego, który jest nieco energochłonny, ale przez swą momentalność bardzo użyteczny. Toteż już w pierwszym tygodniu po ogłoszeniu patentu Vind Maxmon stał się transsolarowym multimiliarderem. Za to jego brat Jul, choć nie śmierdział groszem, posiadał niespożyte siły witalne i słynął już wówczas na całą okolicę z najdzikszych pomysłów we wszechświecie. Razem zajęli się przygotowaniem terenu i projektem parku dzikich zwierząt na nie notowaną dotychczas skalę. Postanowili sprowadzić zwierzęta ze wszystkich okolic Galaktyki, a nawet z innych galaktyk, jeżeli będzie to kiedykolwiek możliwe. Jako byli Metropolitanie szczególnie upodobali sobie mityczne ziemskie chimery, których spore stadko zamierzali tu hodować. Niestety, za ich czasów nie doszło do realizacji zamierzenia w jego pełnym kształcie. Dopiero trzydzieści lat temu, czyli w 1635 roku Najnowszej Ery, pojawiły się na bezludnych kontynentach Maskrii pierwsze cyklopy i pegazy oraz uwielbiane przez Maxmonów chimery, co stało się możliwe dzięki kolejnej rewolucji genetycznej. Już

za czasów braci Maxmon można było co prawda budować sztucznie zwierzęta czy rośliny, ale nigdy przeciw pierwszemu prawu genetyki, które mówiło: możliwe są wszelkie mutacje i kombinacje, lecz tylko w obrębie planu wymyślonego przez naturę – niemożliwe są konstrukcje, których zasada działania jest sprzeczna z kierunkiem ewolucji wszechświata. Było to prawo ujemnego dysonansu i dysharmonii molekularnej sformułowane bardzo dawno, dawno temu przez wielkiego Biobelosteina. Organizmy dysharmoniczne funkcjonowały bardzo krótko – od kilku minut do kilku dni – i wyrządzały potworne szkody; niszczyły ekosferę, odmienne gatunki fauny bądź flory, rozpylały wokół siebie jady trujące dla wszelkiego żywego stworzenia. Trzeba je było natychmiast unicestwiać, bowiem jako żywo przypominały raczej archaiczne bronie biologiczne niż coś, co powinno funkcjonalnością i pięknem artystycznym czarować. Złamanie tego prawa wydawało się przez wieki zupełnie niemożliwe, ale jak to zwykle bywa, i tę odwieczną zasadę udało się przekroczyć. Kolejna bariera, równie wielka jak niegdyś próg prędkości światła wyznaczony jako kres możliwości przez Einsteina, upadła z wielkim hukiem, w wielkim zgiełku, przy wtórze przewracających się na odwyrtkę całych gałęzi nauk i strzelaninie korków szampana (14 00 34 – najlepszy rocznik 1598 z Columbus). Skromne Zoo na jednej wyspie w ciągu dwóch wieków objęło wszystkie lądy i skupiono w nim setki tysięcy gatunków zwierząt, przyuczając je do życia w symbiozie bądź izolując je od zewnętrznych warunków w mikroekosystemach pod szklanymi kopułami. Jan ze zdumieniem doczytał się, jak olbrzymia jest przepustowość tego parku. Rocznie odwiedzało go pięćset pięćdziesiąt milionów ludzi, co oznaczało dzienną rotację około miliona trzystu

siedemdziesięciu pięciu tysięcy osób. Wydawało się to niewiarygodne, zwłaszcza w porównaniu z liczbą ludzi w obsłudze...

Jan przerwał. Było już niemal ciemno. Podniósł się, rozprostował kości, przeciągnął się i rozejrzał wkoło. Tuż za łukiem zatoki, na przeciwległym cyplu, dostrzegł maleńkie żółtawe światełka. Musiał tam stać drugi ukryty w krzewach domek. U podnóża na falach kołysała się rozświetlona barka. I to były wszystkie już ślady bytności istot żywych, jako tako cywilizowanych, w promieniu wielu zapewne kilometrów. W tej chwili dopiero Jan zdał sobie sprawę z okropieństwa swojego aktualnego położenia. Afera zapowiadała się paskudnie. To, czy problem, z którym przyjdzie mu się zmagać, będzie łatwy czy trudny, miało znaczenie drugorzędne. Ważniejsza była pustka, izolacja, pół roku w grupie stu dwudziestu, stale tych samych, osób. Perspektywa nie na żarty przerażająca. Na dodatek pewnie nie uświadczysz tu żadnej innej rozrywki poza e-rozrywką, stereonami i podobnymi bzdurami – na pewno nie ma realonu czy choćby głupiego semabiryntu, który Jan tak uwielbiał. Mało brakowało, żeby popadł w kompletną rozpacz, lecz na szczęście w samą porę przypomniał sobie, że nie jest już na statku i że limity od dziś go nie obowiązują. Wycisnąwszy na klawiaturze C 12 00 00, otrzymał półlitrową szklankę żółtego niskoprocentowego płynu z pszenicy z dodatkiem wyciągu z owoców chmielu, usiadł na miękkiej otomane, uspokoił się po pierwszym łyku i postanowił kontynuować zapoznanie się z parkiem poprzez lekturę...

Na Maskrii znajdował się nie jeden, lecz trzy kontynenty: Talbia, Konwir i Jul i wiele mniejszych wysp, których największe skupisko ciągnęło się wzdłuż wulkanicznego równika planety i zwane było Archipelagiem Galepichra. Na tych właśnie wyspach znajdowały się warsztaty Androidtechnatom (skrót – ATA) prowadzące na Maskrii eksperymentalną produkcję swych

zwierząt elektronicznych. Park prezentował okazy działami, które zależnie od epok, regionów i specyficznej budowy przedstawicieli fauny harmonijnie połączono między sobą. Miejscami rozdzielały dwa wrogie gatunki elektryczne pola, gdzie indziej znów znajdowały się (zwłaszcza na Talbii) całe sektory pod kloszami, gdzie sprokurowano wieczny mróz albo szczególnie wysokie ciśnienie, skomplikowane składy chemiczne atmosfer, podłoża i płynów, gdy okazy nie udało się przekształcić tak, by mógł koegzystować z innymi zwierzętami w warunkach tlenowych, albo z innych, genetycznych powodów. Czegóż tu nie sprowadzono. Jan z rosnącym zdumieniem przeglądał wykazy zwierząt poszczególnych planet i regionów Galaktyki – wydawało się, że cały zwierzęcy wszechświat ma tu reprezentantów. Poza zwykłymi, rzecz można potocznymi działami, które nie budzą większych emocji, uruchomiono takie atrakcje, jak sektor zwierząt kopalnych Ziemi i innych planet, działy zwierząt oryginalnych w warunkach oryginalnych i przystosowanych, działy nowych propozycji genetycznych, zwierzęta elektroniczne ATA, obszary zwierząt mitologicznych, zwierząt baśniowych, wreszcie na samym końcu na jednej z maleńkich wysepek Darwinii ulokowano dział zwierząt dzieł sztuki, które zostały zaprojektowane przez największych plastyków i wcielone w życie przez najzdolniejszych genotechników. Dalsza część książki nie przykuła już tak bardzo uwagi Jana. Była co prawda gęsto przetykana holonami i wykresami oraz opisami zwierząt, ale najeżona zestawieniami warunków ich naturalnego bytowania, porównaniami do sztucznych warunków tutejszych, z wyliczeniem odchyłeń w fizjologii i zachowaniu, przytoczeniem norm oraz tysiąca jeszcze bardziej nieładnych rzeczy, które mogą zainteresować wyłącznie specjalistów. Jedyne, co zauważył i odnotował nie bez satysfakcji, to to, że nie brakowało w Parku mamutów, wodnych nosorożców, diabłów tasmańskich, półciowców, gigantusów, lwów oceanicznych, gryfów, pegazów, jednorożców, żar-ptaków, centaurów ani nawet węży morskich. Cały ten przegląd przebarwnej menażerii genotworów, ssaków

i innych gadów wielu rodzajów tak Jana w końcu wyczerpał, że nawet dwunastka nie przynosiła upragnionego pobudzenia. Rzucił książkę zde gustowany i wyszedł z domu. Na niebo wypłynął buraczkowozłocisty księżyc. Było ciepło i cicho. Och, jak wspaniale byłoby się teraz wykąpać, odprężyć w letniej wodzie oceanu, odświeżyć umysł i ciało zac zadziałe od nadmiaru wchłoniętych informacji! – pomyślał. – A czemu by nie?

Nie zastanawiał się długo.

Gdy zbiegał w dół po ostrych białawych trawach, w głowie kłębiły mu się nazwy i obrazy. Jakies tupangi, igliczniki, szablozęby, kolągwy, tru-fruje, mątwiaki grzybogębne, szociaki, szcnotkowce, szcotrzyce, miotlaki, pędzlaki i grzebieniowce. Setki dziwadeł, których nie tylko że nie widział dotychczas na oczy, ale nawet o nich nie słyszał. Biegł ścieżką, z każdym krokiem wyrzucając z umysłu nazwy i symbole, dane i znaki. Kiedy mijał kępę rozkwitłych okazale soqqosów z zawiązkami orzechów, w krzewach coś zaszeleściło. W pierwszej chwili nieco się przestraszył, ale gdy jego ucha dobiegło grube przekleństwo, sapanie, odgłosy szamotaniny i łamanie z trzaskiem kruchych gałęzi, mógł mieć pewność, że nie ma do czynienia z żadną chimerą czy potworem, od widoku którego w parę sekund potrafi się zrobić człowiekowi niedobrze. Zza krzewu wyłonił się wkrótce Horacy Ptryl. W wielkiej sieci dźwigał kilkanaście ryb, a metalową maczetą wyrąbywał sobie drogę w soqqos i lasurisach pęczniejących granatowymi kiśćmi soczystych gronisk. Twarz i prawą rękę wzniesioną ponad głowę miał zbryzganą karminowym sokiem, tak iż żywcem przypominał jakiegoś metaarchaicznego wojownika w ogniu bitwy, który bez reszty pograżył się we krwi wrogów i otumanieniu prymitywnymi żądzami. Na widok Jana zatrzymał się i zrobił przeraźliwie głupią minę, po czym zarżał ze zmieszania. Maczeta jak miecz Damoklesa zawisała w pół drogi, tuż nad głową Jana.

– Widzę, że pan nad ocean? Lepiej się nie kąpać po zmroku. – Ptryl opuścił rękę i wsparł się na swym morderczym narzędziu.

– A ty znad oceanu?

– Tak. Ledwie przyjechałem, już mnie zapędzili do roboty. Dola technika jest ciężka.

– Niejeden by się z tobą zamienił, a może zaledwie konsumować i umierać z nudy.

– Zgoda. Tylko czasem mnie wkurza, że człowieka na tydzień zabraknie i od razu wszystko się wali – skarżył się Horacy. – Mówiłem im, żeby nie zapomnieli o latimeriach. Codziennie trzeba je odławiać, bo tak się mnożą, że już w morzach nie ma miejsca dla innej fauny. Ale do nich można płuca wygadać. Nie potrafią nawet zaprogramować automatu, żeby za nich odławiał. A kto jak nie Ptyrl nazbiera glonów dla pegazów?! Przez całe dziesięć dni karmili je zgniłym sianem! Skandal! A bauboazerie, a szakale jeziorne, hieny metamorficzne, biesy, chrumklaki Sprenglera?! Zwariować człowiekowi przyjdzie!

Jan z udanym współczuciem pokiwał głową i ruszył przed siebie. Problemy Horacego Ptyrla niewiele go obchodziły.

– Widać wszystko tu idzie na opak – powiedział jeszcze, żeby coś powiedzieć, bo nagłe przerwanie wywodów technika wydało mu się niegrzeczne.

– Żeby wszystko, to nie – rzucił za oddalającym się Janem Ptyrl z szerokim uśmiechem. – I nie wypływać za daleko, bo grasują te cholerne węże morskie, a wkoło barki zastawiłem sieci na latimerie!!!

– Będę uważał! – odkrzyknął Jan, staczając się po piaszczystym zboczu. Mknął ku plaży, nie oglądając się za siebie. Ptyrl zaś piął się pod górę, skręciwszy w lewo, znów zanurzony w gąszczu wrogich krzaków.

Jan zdjął kombinezon. Brak stroju kąpielowego nie przeszkadzał mu w najmniejszym stopniu. Wszechświat wszedł

w kolejną fazę rozwiązłości i poluzowania obyczajów w swej odwiecznej cyrkulacji między biegunami plus i minus. Zanurzył się w wodzie. Po prawej ręce dojrzał cień automatycznej barki połowowej, popłynął więc w przeciwnym kierunku. Ciecz nie przypominała ziemskiej wody, była zbyt lepka i cieplejsza niż być powinna przy tej temperaturze powietrza. Nie należy za dużo wymagać – pomyślał – i tak dobrze, że w ogóle da się pływać. Rzucił się do szaleńczego crawla. Płynął. Nareszcie płynął. Położył się na plecach. Woda miała taką gęstość, że w żaden sposób nie udałooby się w niej utopić. Odwrócił się i płynął dalej. Płynął i płynął. Nie myślał, tylko płynął. Płynięcie oczyściło wreszcie jego umysł. Ustało nie tylko myślenie, ale i emocje, pozostał mechaniczny, odmierzony ruch. Harmonijna koordynacja: oddech – ręce-nogi – oddech – ręce-nogi – oddech – ręce-nogi – itd. – itp. Po jakichś dwu kilometrach ponownie przewrócił się na plecy i patrzył w niebo, założywszy ręce pod głowę. Woda trzymała go jak dmuchany materac. Daleko majaczył brązowy brzeg i brunatny horyzont za cyplem, księżyc omżył fale złotym światłem, które w połączeniu z ich czerwienią dawało żywy jasnomiedziany kolor. Morze szumiało cicho, chlupotało odległym echem przyboju, gwiazdy sączyły błądy blask obcych gwiazdozbiorów, wyniosłe grzbiety uniosły się i zapadły pod Janem, kołysząc jak do snu.

Nagle za nim, tuż za plecami, najwyżej sto metrów, zakotłowało się gwałtownie. Poczul ruch wody. Owo coś wydobyło się na powierzchnię z parsknięciem i znów zanurzyło się, chlupnąwszy dwa razy. Jan przewrócił się natychmiast na brzuch. Serce podeszło mu do gardła. Czekal, co się wydarzy. Woda zawirowala znacznie bliżej. Na powierzchnię wypłynęła spieniona grzywa! Mój Boże! – Jan drzał ze strachu jak w febrze.

– Czyżby Ptryl nie żartował? Przez moment trwała cisza. Już zamierzał zawrócić i uciekać co sił w rękach i nogach, gdy bulgot rozległ się ponownie, tym razem z tyłu, od strony lądu. – A niech to! – zaklął pod nosem. – Odcina mi drogę? Lepiej było siedzieć w domu nad książką i otumaniać się w dalszym ciągu! Sytuacja stawała się nieprzyjemna. Zwierzę znowu zanurzyło się w odmęty. Jan czekał. Napięty do ostatecznych granic spodziewał się, iż lada chwila wzniesie się pod niebiosa na potężnym jak lokomotywa łbie węża i wykona śmiertelne salto z potrójną spiralą z tej piętnastometrowej żywej wieży. Nic takiego się nie stało. Ciche pluśnięcie powtórzyło się jeszcze dalej, a raczej bliżej, to znaczy bliżej brzegu, a dalej od niego. Ruszył ostrożnie w tamtym kierunku. Strach gdzieś się rozplynął, pojawiła się nieodparta ciekawość. Kawalek dalej na tle księżycy wyłoniła się całkiem wyraźnie z topieli smukła głowa, szyja, ramiona. – Syrena? – chyba wzrok go nie mylił. Kobieca sylwetka na wpół wychylona ponad fale. Odpoczęła sekundę i zanurzyła się z bulgotem. Zmierzała do brzegu nie opodal miejsca, w którym Jan zostawił ubranie. Jan płynął jej śladem. Nie spieszył się, by jej nie spłoszyć i nie zetknąć się z nią bezpośrednio, w końcu nie miał zielonego pojęcia o obyczajach syren. Jeszcze raz ujrzał jej kształtną sylwetkę leżącą w blasku złocistym na powierzchni morza, gdy odpoczywała przez chwilę, i potem ruszyli dalej w kierunku piaszczystej plaży. Po dalszych kilkuset metrach zrobiło się już tak płytko, że można było stanąć w wodzie po piersi. Jan zatrzymał się. Syrena także. Zacznie śpiewać? – Jan znał opowieść z Odysei, w końcu skończył historię i literaturę wczesnego plastiku w Cambridge i przestraszył się czaru, jaki może rzucić na mężczyznę syrenia pieśń. Nie śpiewała. Przez parę minut trwali oboje w bezruchu. Patrzyła chyba na brzeg.

Przyglądała się niedostępnym lasom i trawiastej skarpie. Co za poetyczny widok. Czyżby nagle zateśniła do świata, którego zupełnie nie zna? Czyżby przestały jej wystarczać podwodne pejzaże koralowe? Czyżby zapragnęła kontaktu z tymi tak podobnymi, a odmiennymi istotami, które czasami można było zapewne dojrzeć z oddali jako małe ruchome punkciki przemierzające plażę? Wydawało mu się, że interesują ją zwłaszcza płonące na zboczu światła dwóch domków. Przez ułamek sekundy wydawało mu się nawet, iż dostrzegł błysk w jej ciemnych oczach. Wiatr szarpnął chmurą. Chmura przysłoniła księżyc. Morze zapadło w szarość i... cały czar prysnął. To była tylko kobieta. Zwyczajna człowiekowata, pokraczna samica. Wychodziła ciężko z wody, chlupocząc, parskając, potykając się. Sunęła przez płyciznę niczym czołg. Najbardziej rozczarował go brak ogona. Zawód nie był jednak na tyle wielki, by Jan zrezygnował z dalszego śledzenia dziewczyny.

Wypełzył cicho na brzeg. W biegu porwał kombinezon i w biegu wciągnął go na siebie. Posuwał się jej śladem. Dziewczyna biegła chyba do tamtego drugiego domku, na cypel. Zdawało mu się, że jest naga. Tylko chwilami jej długie nogi lub plecy widoczne były między gałęziami krzewów. Przedzierał się za nią. Tam na falach był bliski zakochania, tak wydała mu się piękna jako syrena. Tutaj także poruszała się z dosyć dużym wdziękiem, mijała lekko przeszkody, na które on z chrzęstem wpadał – widać znała doskonale teren. Tak się dać oszukać! – przemknęło mu. – Na dodatek wystraszyć się! Wziąć za węża morskiego! Muszę koniecznie wiedzieć, kto to jest! – Brnął więc za nią, potykając się i kalecząc o krzewy. Ładnie by wyglądał, gdyby nie zdążył włożyć ubrania. Wreszcie dotarli do ogrodu porośniętego rzadkimi treangami i miotłami palm erbasate. Jeszcze ostatni raz mignęła mu w świetle lampy i zniknęła w wejściowych drzwiach. Jan przypadł do okna. Pokój urządzony z przepychem pałaców

maharadzów kremonskich rozpalili się pełnym blaskiem. Przed lustrem, bez jednej szmatki na alabastrowym cielem... kolejny szok... Dagnes Merial! Sam nie wiedział, dlaczego oblał się nagle rumieńcem. Zupełnie jakby go ktoś przyłapał na podglądaniu. Trwał z zapartym tchem, nie da się ukryć, śledząc jej miękkie ruchy. Przyozdabiała przed lustrem uszy wielkimi srebrzystymi kolczykami. Łuk szyi przechodził bez najmniejszego dysonansu w smukłe barki, dwie wspaniałe (nie za duże, nie za małe) piersi kładły się symetrycznie poniżej, gładki, płaski brzuch ozdabiał u samego dołu, między nogami, kędzierzawy słodki trójkąt z czarnych, lecz zapewne bosko miękkich drucików, całość wykańczały strzeliste nogi opalone na miedziany brąz. Jakże pasowała do maskryjskiego pejzażu, jak współgrała z jego kolorystyką. Więc Dagnes. – Wspaniała – wyszeptał mimowolnie i cofnął się o dwa kroki. – Czym tu się zachwycać?! – zganił się natychmiast w myślach. – Zwyczajna dziewczucha, złośliwy, kapryśny, podstępny kawał kuszącego mięsa! Nie. Nie kuszącego. Niczym się nie różni od innych rozebranych kobiet! Nie. Jednak się różni. Głupota tak się zachwycać czymś ciałem bez żadnego wglądu w psychikę, izolować je, wyrwać jak zdanie z akapitu! Dobre ciało. Tylko ciało. Pusta lalka. Manekin!!! – to ostatnie określenie szczególnie mu się spodobało. Powtórzył je więc do siebie jeszcze kilkakrotnie, nim się zorientował, że dziewczyna nie patrzy już w lustro, że jest zawinięta w złoty szal, że gapi się prosto w jego oczy i że przywołuje go wskazującym palcem.

Odskoczył!

Zrobiło mu się idiotycznie.

Wejść – Uciekać – Wejść – Uciec – Stać – Biec – Uciekać – Pukać – Pukać – Zwiewać – Czeakać – Iść do drzwi – Zniknąć w krzakach – Co robić?

Zapukał.

Otworzyła po krótkiej zwłoce, spowita swym atłasowym zawojem z falbanami.

– Ach, to pan?! – powiedziała, jakby go wcale przed chwilą nie widziała albo nie rozpoznała. – Proszę.

Wszedł.

– Przechodziłem przypadkiem i...

– Czy na pewno przypadkiem? – zaśmiała się.

– Tak. Prawdę mówiąc, nie... Byłem ciekaw, kto tutaj mieszka.

– Więc już pan wie.

– Tak. Dlaczego mówisz mi przez pan?

– Bo nie mam zwyczaju spoufalać się z obcymi, którzy na dodatek nie są dżentelmenami.

– Rozumiem. Masz na myśli to, że cię podglądałem?

– Nie. Mam na myśli historię z Tambollinem. Postąpiłeś nieuczciwie, ignorując mój znak.

– Znak? Znaczy się ten kuksaniec?

– Właśnie.

Jan zakreślił się nerwowo.

– Można usiąść?

Skinęła głową. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu.

– Ładnie pani mieszka – powiedział, gdy cisza zaczęła mu ciążyć.

– Dlaczego mówisz mi przez pani?

– Bo nie spoufalam się z oszustkami – wypalił z dziką satysfakcją. Nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

– Napijemy się czegoś? – zapytała, starannie owijając materiał wokół kolan.

– Proszę dwunastkę – Janowi wydało się, że przeżywa surrealistyczny sen. Co właściwie kazało mu gnać za nią tutaj i potem nie dość, że podglądać, to jeszcze niepokoić?

– Jest chyba późno – zauważył, popisując się superspostrzegawczością.

– Może zawrzemy chwilowy rozejm? – zaproponowała z olśniewającym uśmiechem. Manipulowała właśnie przy klawiaturze podajnika.

Przyjął propozycję pozornie bez entuzjazmu. Pociągnął spory łyk musującego płynu. Czuł miłe szczypanie w ustach i przełyku.

– Niech będzie.

– Zatem, co cię naprawdę do mnie sprowadza?

– Zdawało mi się, że widziałem syrenę w morzu. Czy są na Maskrii syreny?

– Poza jedną raczej nie ma – roześmiała się szczerze. Jan stwierdził, że ma ładny uśmiech.

– Może zatem z innej beczki. Tak naprawdę chodzi mi o to, że ciągle nie wiem, jaką rolę mi przydzielono w lokalnym maskryjskim, ogrodowozoologicznym dramacie – wychylił płyn do dna.

– Jeszcze jedną lampkę?

Potwierdził. Napełniła ją i przyniosła do stolika. Usiadła obok niego na tej samej sofie. Doleciał go zapach jej włosów, a świadomość, że jest tak blisko i pod warstewką atlasu nie ma zupełnie nic, tylko aksamitną skórę, podziałała na niego ekscytująco.

– Czy rzeczywiście taka bzdura – powiedziała dziwnym szeptem, jakby wczuwając się w jego nastrój – może być przyczyną wizyty młodego, silnego, pięknego mężczyzny u samotnej kobiety w środku nocy?

Nachyliła się nad nim.

– Wypijmy.

Trącili się szkłem. Patrzyła mu w oczy, jakby zapraszała do pocałunku. Zbliżył usta do jej twarzy i wtedy parsknęła niespodziewanym śmiechem. Odsunął się niemile zaskoczony.

– Próba udowodnienia przewagi? – Odstawił kieliszek i wstał.
– Więc to tak było w Konwenthotelu. Jesteś zdaje się lepszą specjalistką w dziedzinie podstępów niż cały sztab obronny Wielkiej Armady Wojennej.

– Przepraszam. Nie chciałam. Tylko miałeś taką głupią minę. Przysięgam ci, że tym razem nie zamierzałam niczego podstępnego.

Jan ruszył do drzwi.

– Nie bądź tak śmiertelnie poważny!

– Człowiek powinien jednak wyciągać wnioski z popełnionych raz błędów. – Nacisnął kłamkę.

Wzruszyła ramionami, po czym wstała z sofy i podeszła do suto zdobionego biurka.

Co za efekciarskie gusta! – pomyślał Jan.

– Chwileczkę – rzuciła w jego stronę. Wyjęła plik dokumentów. – Nie możesz odejść, nie spełniwszy celu wizyty – powiedziała ze zjadliwym uśmiechem.

Wyszarpnął gwałtownie dokumenty z jej dłoni i wybiegł. Czuł się ośmieszony. Czuł się pogwałcony. Czuł się jak szczur w potrzasku. Słowem: czuł się potrójnie fatalnie! Nie dosłyszał też, trzaskając drzwiami, jej cichego:

– Naprawdę nie chciałam. Przepraszam.

*

Dokumenty wrzucił do czytnika w łazience. Łazienka zawsze wydawała mu się najważniejszym miejscem do wysłuchiwania przydługich sprawozdań, w których sporo było lania wody. Specjalnie starał się nie skupiać na tekście, tylko puszczać

go mimo uszu, oczekując impulsu, który zwróci jego uwagę. Nie musiał czekać długo. Trzeci dokument okazał się pierwszym sprawozdaniem z dziwnego wydarzenia, do którego doszło w MASPAZ. Pegaz napadł na wycieczkę uczniów z pewnej szkoły fundamentalnej. Rozwścieczony bez żadnego widocznego powodu latający koń poturbował ciężko kilkanaście osób, wiele innych zaś równie ciężko przestraszył. Nie znaleziono żadnej uchwytnej przyczyny takiego zachowania się zwierzęcia. Jak wiadomo, obecnie pegazy są dosyć rozpowszechnione w Galaktyce i uchodzą za jedne z najłagodniejszych pseudossaków. Na Metropolii nie spotyka się ich zbyt wiele, co najwyżej jako wierzchowce na powietrznym torze wyścigowym w N-Jorku, a gdzieś tam używane bywają nawet do prac domowych. Cofnął odtwarzanie, żeby dokładnie zapamiętać okoliczności poprzedzające wypadek. Niestety, na pierwszy rzut oka nie znalazł niczego istotnego. Jeżeli coś się nawet wydarzyło, to w sposób doskonały umknęło uwadze wszelkich obserwatorów. Kolejny przypadek miał przebieg mniej drastyczny, gdyż nie zostali poszkodowani ludzie, ale z punktu widzenia dyrekcji ogrodu, kto wie, czy nie był on bardziej niepokojący. Popołudniem, trzeciego dnia miesiąca Salamandry, stado olbrzymich świń autlandzkich wtargnęło niespodziewanie na terytorium zajmowane przez gady epoki jurajskiej z Procjona IX. Było to o tyle dziwne, iż do tej pory mimo bliskiego sąsiedztwa żaden podobny przypadek się nie zdarzył. Terytoria zostały rozdzielone pasmem pigwangów, których woni nie znosiły ani jedne, ani drugie zwierzęta. Od biedy można by uznać, że olbrzymom autlandzkim zmienił się gust, gdyby nie fakt, iż przekroczyły także dodatkowe zabezpieczenia w postaci barier elektrycznych i natarły z dzikim wrzaskiem na sporych

rozmiarów procbrontozaura. Spłoszony gad, choć zapewne jednym machnięciem ogona mógł rozprawić się z całym stadem świń, ruszył do uciezki. W panice wpadł na tereny przeznaczone dla obsługi, gdzie usiłując się wydostać z labiryntu uliczek, zburzył szesnaście budynków i rozbił doszczętnie transformator zasilający w energię podkloszową kolonię phasanganskich megamultiwirusów. Nikt nie ucierpiał, ponieważ ludzie z obsługi znajdowali się w pracy, nikt z ludzi, bo całą kolonię szlag trafił przez nagły wzrost temperatury i spadek wilgotności. Wypadek szczególnie zdenerwował dyrektora Tambollina, bo kolonia megamultiwirusów, tworzących zielone deszcze w phasanganskich Zielonych Pasach, stanowiła wielkie osiągnięcie jego kadencji. Podobnych wypadków figurowało w dokumentach jeszcze pięć. Ostatni trzy tygodnie temu.

Jan zakręcił kurek, jak zwykle pokonując przy tym krótki opór przyzwyczajonego do samoczynnej regulacji urządzenia, i przeszedł do sypialni. Wystukał na klawiaturze bułkę z jajkiem ararga (126 38 55) i przełączył tutaj dalsze odczytywanie dokumentacji. Manipulując przyciskami podajnika, wydobył z niego dwie szklanki wcale udanego mleka i rozsiadłszy się wygodnie, przepijając kęsy zielonawej bułeczki obfitymi łykami nieco szarego w kolorze mleka, kontynuował przegląd. Nie znalazł w nim wiele ciekawego poza jednym zdaniem, które brzmiało mniej więcej tak: „Na skutek stwierdzenia braku jakichkolwiek logicznych powiązań między udokumentowanymi faktami, jak i ze względu na brak danych, które by mogły wskazać przyczynę wystąpienia wyżej wymienionych zjawisk, zwraca się uwagę, iż ma miejsce niewątpliwa konieczność powołania do rozwiązania problemu zawodowego intuicjonala, tym bardziej, iż zagadka musi być wyjaśniona przed przybyciem Wewnętrzgalaktycznego Gremium Kontrolnego w dwudziestym

ósmym dniu miesiąca Wieprza”. Oto informacja, której Jan nie znał i która rzucała ważne światło na wydarzenia związane z kontraktem. Trzydziesty piąty punkt kontraktu o premii za wykonanie zadania, która to premia, jak się okazało, stanowiła 90% całego honorarium, korelował z powyższą konkluzją zawartą w dokumentacji. Premia bowiem miała być wypłacona tylko w wypadku rozwiązania problemu przed 28 dniem Wieprza. Dwudziesty ósmy Wieprza? Jan natychmiast rzucił do inforu: – Jaki dziś mamy dzień lokalnego czasu?

– Dwudziesty czwarty.

– Miesiąc?

– Miesiąc Smoka.

– Jaka jest kolejność miesięcy w tym kalendarzu?

– Jest to kalendarz z Autlandu mający wiele wspólnych cech z kalendarzami tybetańskimi i chińskimi z epoki archaiku. Kalendarze te były używane również i w okresie wczesnohistorycznym...

– Skończ z tym wykładem! – wściekł się Jan. – Wymień kolejność miesięcy.

– Miesiące i lata noszą nazwy różnych zwierząt oraz żywiołów – kontynuował niezrażony infor. – Rok składa się z dwunastu miesięcy po trzydzieści dni. Dzień ma dwanaście stuminutowych godzin. Na końcu każdego roku jest kilkudniowy miesiąc wyrównawczy. Rok zaczyna się od miesiąca Wieprza, dalej mamy: Kota, Szczura, Ropuchę, Węża, Jaszczurkę, Stonogę, Salamandrę, Psa, Byka, Modliszkę, Smoka oraz miesiąc wyrównawczy Pchły.

– Czyli że zbliżamy się do końca roku?

– Za sześć dni skończy się miesiąc Smoka i rozpocznie czterodniowy tym razem miesiąc Pchły.

– Dziękuję.

Miał więc niewiele czasu. Oto na czym polegał haczyk. Aby

zarobić obiecywane luno, powinien rozwiązać zagadkę w trzydzieści osiem dni. Infor powiedział mu jeszcze, iż Gremium jest czymś w rodzaju rady nadzorczej parku i przede wszystkim od jego decyzji zależą kwestie finansowe oraz obsada kierowniczych stanowisk. Zażądał natychmiastowego połączenia z Tambollinem. Najwyraźniej dyrektor Parku Chimer stanowił motor całej akcji, on miał największy interes w szybkim rozwiązaniu kwestii psującej mu opinię i on zapewne był tym sknerą, który tak sprytnie skonstruował umowę. Okazało się, że zbudził Tambollina z głębokiego snu. W końcu był środek nocy. Odpowiedzi dyrektora, jeśli chodzi o sens, pozostawiały wiele do życzenia. Po półgodzinnym wałkowaniu udało się Janowi dowiedzieć czegoś, co go ponownie wyprowadziło z równowagi. Otóż Tambollin nie miał nic wspólnego ze specjalną klauzulą, którą wprowadziła panna Merial argumentując, że być może jemu finanse parku są obojętne, ale ona nie pozwoli na żadną rozrzutność, choćby to miało kogoś kosztować dyrektorski fotel. Przebiegła zmija! Jan przysiągł sobie, że się na niej zemści, że ją zniszczy i stłamsi. Załatwi raz na zawsze tę bezczelną, zadzierającą nosa babę, której się wydaje, że jest mądrzejsza od wszystkich! Doprowadzi ją do upadku, podepcze, wykorzysta, wysie niczym pijawka tralfamadorska i wyrzuci na śmietnik, podrze, wypali ogniami namiętności i zawiści, odepchnie wymiętą, zbezczeszczoną, pobitą!!!

Póki co, nasyciwszy się epitetami oraz obrazami mającej nastąpić zemsty, przeciągłym ziewnięciem, które uruchomiło automat, zgasił światło i zapadł w dwugodzinny, niespokojny sen. W nocy było mu gorąco i coś, czego nie potrafił zidentyfikować, brzęczało drażniąco pod łóżkiem. Jan przywiązywał wielką wagę do snów. Sen przeważnie coś

zapowiadał, uzewnętrzniał przyszłe zdarzenie albo wewnętrzne napięcia. Sen już według antycznego myśliciela Fromma stanowił coś w rodzaju odrębnego świata, w którym rozgrywało się drugie życie, w którym intuicja i głęboka nieświadomość przemawiają do nas, i który – jeśli zna się odpowiedni kod – łatwo jest przełożyć na język rzeczywistych symboli, obowiązujących także na jawie. We śnie tej nocy wielki wąż morski owijał się wokół Janowej szyi w barszczowatej kipieli, a żar-ptak przyświecał mu swym złocistym ogonem i krzychał raz po raz: Brawo! Przerobimy go na gulasz! Bij! Duś! Brawo! Na gulasz z nim! Duś... i tak w kółko. Obudził się zmęczony, z podkrążonymi oczami i przecuciem, że dzisiaj w MASPAZ zdarzy się na pewno coś złego, być może nawet strasznego.

Rzeczywiście. Intuicja nie mamiała go i tym razem. Ileż to wspaniałych sukcesów miał zawdzięczać później swym proroczym snom! Doprawdy tylko tępi, jednowymiarowi, skrajni racjoniści mogą się wciąż upierać przy twierdzeniach, że sny są pozbawione jakiegokolwiek wartości.

Właściwie powinien się był ucieszyć, ale biorąc pod uwagę specjalne punkty klauzuli kontraktu nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet sarkastycznego, ledwo słyszalnego chichotu. Nocne odkrycie zepchnęło resztki dobrego samopoczucia w zakamarki mózgu i sprawiło, że najśmieszniejsze dowcipy wydawały się najwyżej głupawe. Zachowywał się całe przedpołudnie jak zakneblowany. Dopiero lot z panną Tonsen rozwiązał mu nieco język i przywrócił niezły humor. Ale to nastąpiło później. Najpierw złożył przewidzianą planem wizytę w Centrum Obsługi, gdzie zapoznano go niemal z wszystkimi aktualnie przebywającymi na planecie pracownikami firmy MASPAZ. Od razu uwagę Jana zwrócił jeden z nich; ponury, ciemnowłosy drab – tak, miał wygląd draba, łotra, co uciekł katu spod szubienicy, nic dodać, nic ująć. Potężne bary, gruby czerwony kark, srebrzysty łańcuszek z mamutem

na przegubie, niskie czoło, wargi goryla oraz niepokojące mroczne wejrzenie spod krzaczastych brwi. Mógł mieć około setki i wydawało się, że w jego żyłach muszą płynąć spore domieszki obcej krwi. Tambollin przedstawił go jako człowieka do wszystkiego, który obecnie kieruje zespołami techników programatorów, przedtem był kontrolerem linii kasacyjnej w ATA, a sporadycznie służył także tutejszemu zarządowi parku jako domorosły intuicjonał – amator. Jan ukłonił mu się niżej niż pozostałym i od razu go nie polubił, zresztą wzajemnie. Kiedy patrzyło się na tego człowieka, mimowolnie po plecach przebiegał fizjologiczny dreszcz. Miało się wrażenie, że jest zdolny do wszystkiego, zwłaszcza w sensie negatywnym.

– Malaw Malwan – przedstawił się tamten zachrypniętym basem.

– Bardzo mi miło – Jan uśmiechnął się najszczerzej, jak tylko potrafił.

– Zobaczymy, zobaczymy – powiedział na to Malwan tonem pogroźki.

Dyrektor Tambollin pociągnął Jana czym prędzej dalej.

– Teraz przedstawię panu jego przewodniczkę. Doszedłem do wniosku, że powinien się pan tutaj przynajmniej pobieżnie rozejrzeć, zanim przystąpi do pracy. A propos, czy zapoznał się pan już z materiałami?

Jan twierdząco skinął głową.

– Aż za dobrze – powiedział. – Szkoda, iż nie wiedziałem, że tak mało mam czasu.

– Czy to by coś zmieniło? – staruszek uśmiechnął się chytrze.

– Nie podjąłbym się w ogóle takiego zadania.

– Właśnie – odparł z satysfakcją Tambollin. – Przekonywałem o tym od samego początku członków zarządu. Miałem jak widać rację. Przez tę klauzulę panny Merial nie było szansy, by zechciał tu przybyć jakiś porządny intuicjonał. Przedsięwzięcie musiało

się wydać zbyt ryzykowne dla kogoś z reputacją. W dodatku na peryferiach, w jakimś ogrodzie zoologicznym!

Janowi przypomniły się jego własne słowa, którymi zbywał Murzyna.

– Ryzyko utraty twarzy olbrzymie, a satysfakcja prawie żadna, ale obiecuję, że jeśli się panu uda, zrobimy wszystko, by ten wyczyn odpowiednio rozgłosić w galaktycznych mediach, moja w tym głowa!

– Nie może pan dać pieniędzy, to daje obietnice?

– Nie mam możliwości, by z góry przekonać, ale proszę się nie spieszyć z ferowaniem pochopnych wyroków, chociaż to przywilej młodości. Panno Tonsen?! – zawołał w kierunku grupki kobiet w białych kitlach, jakby uważał temat kontraktu za ostatecznie wyczerpany. – Pani pozwoli?!

Panna Tonsen okazała się być Murzynką. Zgrabną i szczupłą, i diabelnie, jak to się mówi, lekką w obyczaju.

– Zapoznam pana bardzo szybko i gruntownie ze wszystkimi atrakcjami – powiedziała, kładąc nacisk na słowo „wszystkimi” i puściła do Jana oko spod długich niebieskich rzęs.

– Wątpię, czy pani zdąży – odpowiedział Jan, zły na przebieg rozmowy z Tambollinem i całą tę idiotyczną sytuację. Klął w duchu zwłaszcza Neona Kicza oraz przebiegłą Dagnes. To im głównie zawdzięczał fakt, że wylądował na pustkowiu MASPAZ, chociaż oboje usiłowali się tego wyprzeć i pomniejszyć swe winy.

– Poddaje się pan? – otarła się o niego miękkim biodrem. Pokazała w uśmiechu rząd lśniących białą zębów, których nie powstydziliby się nawet pierwszorzędną gwiazda stereonowa.

– Nie. Nie o to chodzi – Jan czuł się nieco zakłopotany w towarzystwie pięknej kobiety. – Zdaje mi się, że jeszcze dzisiaj zdarzy się coś zaskakującego. Nie mam pojęcia, na czym będzie

to polegało, ale może pokrzyżować nasze plany.

– Niech pan się nie spieszy – powiedział Tambollin bez związku – ale też nie lekceważy terminu przybycia Gremium. Jakkolwiek będzie, rozreklamuję rozwiązanie zagadki naszego parku przez pana tak, że zagwarantuje to panu następne oferty.

– Bardzo pan miły, ale na razie wiele bym dał, by choć w przybliżeniu wyczuć, na czym owo zdarzenie może polegać.

– Zdarzenie? Jakie zdarzenie? – Tambollin myślał o czymś zupełnie innym.

– Nasz genialny gość ma jakieś przeczucia! – zaśmiał się konfidencjonalnie Malaw Malwan. – Na czym to – powiedział specjalnie głośno, by zwrócić uwagę stojących w pobliżu – na czym to mistrz opiera swoją wróżbę?

Rozległy się szepty i kilka pojedynczych chichotów.

Śmiejcie się! – pomyślał Jan nieco poirytowany. – Ale zobaczycie, że się nie mylę.

– Śnił mi się wąż morski oświetlony przez żar-ptaka – powiedział zupełnie poważnie.

Tym razem ktoś zaśmiał się całkiem głośno. Tambollin popatrzył na Jana dziwnie, jakby przepaszająco i ruszył do swego biura. Panna Tonsen uśmiechnęła się wyrozumiale. Widać i tutaj nie traktowano intuicjonistów z należytą wiarą i szacunkiem.

– Pan wyrokuję ze snów? – zapytała z nutką ironii Dagnes Merial.

– To genialne! – zaśmiał się złośliwie Malwan. – Ale chyba nieco archaiczne?

– A panu nic się nie śniło? – zwrócił się do niego niczym nie zbity z tropu Jan.

– Mnie nigdy się nic nie śni! – powiedział z dumą w głosie

drab i potoczył po zebranych wzrokiem, który miał oznaczać: popatrzcie, jak Malaw Malwan zaraz rozłoży tego zawodowca od siedmiu boleści.

– To wielka szkoda – powiedział spokojnie Jan – bo chociaż metoda jest archaiczna, to nieraz bywała skuteczna. Nie wątpię, iż wie pan, że pierwszym potwierdzonym i uznanym pośmiertnie honorowym intuicjonalem był Rene Deskartes z jego wyśnioną uniwersalną matematyką i zaczątkami geometrii analitycznej. A co pan powie o wyniku Alberta Kekxule, któremu się przyśniły pierścienie chemiczne pod postacią węży, kolistym ruchem łapiących się za własne ogony?! – Malwan poczerwieniał i zacisnął pięści.

– Więc co z pańskim węzem i żar-ptakiem? – zapytała panna Tonsen.

– Sądzę, że żar-ptaki nie towarzyszą zwykle węzom morskim, czyż nie tak?

– Owszem – powiedziała Dagnes Merial.

– Więc być może chodzi o to, że dziś zwierzęta znów wejdą sobie w paradę.

– Czy to nie zbyt daleko idące uogólnienie? Z logicznego punktu widzenia... – zaczęła Dagnes i nie skończyła, bowiem w tym momencie wydarzyło się owo coś, co dyskusji i prześmiewkom musiało położyć absolutny kres. Tambollin właśnie pojawił się przed budynkiem z zamiarem rozpędzenia całego towarzystwa do normalnych zajęć, gdy od horyzontu dało się słyszeć wysoki świst silników szybkiego ślizgowca i mały, czarny punkcik błyskawicznie przemienił się w wielką, lśniącą maszynę, która z hałasem wylądowała na placyku. Z jej wnętrza po krótkim szamotaniu z drzwiczkami wypadł przestraszony... Horacy Ptyrl.

– Katastrofa! Katastrofa!!! – krzyczał Ptryl, pędząc ku schodom i stojącemu na nich oniemiałemu Tambollinowi.

– Co się stało?! – nieliczne stadko pracowników rzuciło się za nim i otoczyło ciasnym kołem.

– Panie dyrektorze!... – wysapał technik, wypluwając jedną z tych ohydnych pastylek, które żuł nieustannie. – Dyrektorze!... One zaraz tu będą...! – próbował jeszcze coś z siebie wydusić, ale zabrakło mu tchu.

– Co?! Kto?! – Tambollin złapał go za klapy. – Mówże, człowieku! Co się stało?! – Dyrektor potrząsnął kilka razy technikiem Horacym Ptrylem, który był chyba bliski szoku.

– Pegazy! – wydusił z wysiłkiem. – Pegazy znowu opuściły swój teren!

– Opuściły?! – Tambollin obejrzał się za siebie, jakby w grubych murach laboratorium szukał oparcia. – A komputer kontrolny? Czemu nie podniósł jeszcze alarmu?!

Tambollin błyskawicznie zniknął wewnątrz budynku. Kilka osób poszło w jego ślady. Pozostali z napięciem wpatrywali się w oblicze technika, który opadł ciężko na schody i ocierał spocone czoło.

– To jeszcze nic – powiedział, patrząc przed siebie. – Zobaczyłem je w Parowie Blasków, jak przelatywały na północny wschód. Leciała wielka chmara, wyglądały jak szarańcza. Kiedy już myślałem, że mnie nie zauważyły, odłączyła się z końcówki klucza mniejsza grupka. Mniejsza, ale nie mała! Trzydzieści sztuk albo więcej. I wyobraźcie sobie, zaatakowały mój ślizgowiec!!!

– Zaatakowały?! – Dagnes wpatrywała się z napięciem w oczy Ptryla. – To niemożliwe!

– Ale najprawdziwsze! Musiałem trzykrotnie zmieniać

kierunek. Zalatywały mi drogę i próbowały staranować z lewego boku. Jeden nawet walnął kopytami w drzwiczki!

– Jak długo leciały za tobą? – zapytała Dagnes.

– Kilka kilometrów. Potem przyspieszyłem i zgubiłem je, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby lada chwila zjawily się tutaj. – Wszyscy odruchowo spojrzeli w kierunku, z którego przyleciał Ptyrl. Nie dostrzegli jednak ani śladu pegazów, nawet małej czarnej kropeczki, którą od biedy można by wziąć za cokolwiek latającego.

– Bzdury! – powiedział z pasją Malaw Malwan. – Lepiej zapytajcie go, ile wypił dwunastki!

Jan podszedł do ślizgowca i oglądał go dokładnie.

– Co?! – Horacy Ptyrl zerwał się na równe nogi. – Ja jestem pijany?!!!

– Uspokój się, Ptyrl – Dagnes Merial powstrzymywała rozjuszonego karmiciela pegazów rwącego się niemal do bójki. – Malaw chciał przez to powiedzieć, że nieco koloryzujesz. Troszkę przesadziłeś z tym atakiem, prawda?

– Ani trochę!

– To nie może być! – Dagnes najwyraźniej nie przyjmowała do wiadomości, że zaszło coś, co sprzeczne jest z jej podręcznikowym zasobem wiedzy, który przyswoiła sobie przecież z taką drobiazgowością i dokładnością.

– Raczej brałbym poważnie słowa Horacego – włączył się do dyskusji Jan. – Drzwiczki są pogniecione, a w jednym miejscu znalazłem wyraźny zarys końskiego kopyta.

Oczy zgromadzonych zwróciły się w jego stronę. Oczekiwali dalszych wyjaśnień, ale Jan nie miał nic więcej do powiedzenia. W drzwiach ukazał się tymczasem ponownie Tambollin.

– Nie ma żadnego alarmu! – zbulwersowany wymachiwał

rękami. – Ale widziano je. Leciały na północ. Piętnaście minut temu nad laboratorium ATA. Panno Tonsen, panno Merial, Ptryrl i panie San, proszę pozwolić! Trzeba natychmiast przedsięwziąć jakieś kroki!

Malaw Malwan zacisnął usta. Przez moment stał jeszcze, mając nadzieję, że szef sobie o nim przypomni, że nie wymienił jego nazwiska tylko przypadkiem, przez roztargnienie! Ale nie. Tamci zniknęli za drzwiami i wkrótce pozostał na placu sam. Ruszył w kierunku swojego kompleksu laboratoriów projektów genetycznych ATA, gdzie prawdę powiedziawszy był jedynym żywym pracownikiem pośród trzystu androidów. – Nie! Nie dopuści, by byle smarkacz zajmował jego miejsce! Nigdy! On, Malaw Malwan, jest tutaj niezastąpiony. Jako intuicjonał także! – Z wściekłością kopnął leżący przy ścieżce kamień, który potoczył się w dół między krzewami aromatycznych lasuris.

Grupa pegazów, której przybycia się spodziewano, nie przyleciała. Musiały zawrócić i prawdopodobnie dołączyły już dawno do głównego stada. Tajemnica braku alarmu wyjaśniła się wkrótce. Kontrolerzy kontrolerów wykryli uszkodzenie końcówki alarmująco-optycznej w sekcji pegazów, w pobliżu Parowu Blasków. Nie dało się wykluczyć zwykłego defektu, ale nie można było także wyeliminować podejrzenia o premedytację. W każdym razie sprawę trzeba było odłożyć i pilnie zająć się lokalizacją stada i zapędzeniem go na jego pastwiska. Natychmiast rozesłano trzech elektronicznych obserwatorów, którzy mieli przetrząsnąć dostępne i niedostępne okolice. Pegazy wymknęły się poza sieć zwyczajnych stacji penetrujących. Sonda elektroniczna pozostanie jednak zawsze sondą. Będzie przeczesywać kilometr po kilometrze ze zwykłą dla mechanizmów matematyczną precyzją i prędkiej czy później natknie się na ślad. Potem to już tylko kwestia czasu. Będzie tropić konsekwentnie stado i zlokalizuje je. Chyba że pegazy

wykazałyby się rozumnością i ukryły sprytnie lub zastawiły jakąś pułapkę, ale to nie wchodziło w grę, bowiem jak powszechnie wiadomo, latające konie są sto razy głupsze od zwykłych koni stąpających twardo po ziemi. Mimo wszystko mogło to potrwać dłuższy czas. Na Maskrii wciąż nie brakowało nie zagospodarowanych, zapuszczonych obszarów bagnistych i pustynnych, zlodowaciałych, skalistych i jakich tylko dusza może zapragnąć.

– Nic nie zastąpi w takim poszukiwaniu intuicji! – konkludował Tambollin. – Musimy działać błyskawicznie.

– Nie byłoby źle, gdyby się gdzieś zaszyły – stwierdziła Dagnes.

– Ale jeżeli wtargną na pastwiska arargów albo spotkają się gdzieś z pteranodonami, to może się skończyć rzezią!

– Panie San, przyszła chyba pańska kolej – Tambollin uruchomił już wielką realmapę, na której widniało rozmieszczenie poszczególnych hodowli.

– Wydawało mi się, że mam pracować nad wykryciem ogólniejszej prawidłowości i znaleźć przyczynę, a nie zajmować się drobiazgami! – poskrobałem się końcem wiecznopisu po czubku głowy.

Cóż oni sobie tutaj wyobrażają, że jestem jakimś prehistorycznym tropicielem śladów czy co?

– Jeżeli mam się zabawiać w podniebnego kowboja, to już w tej chwili możemy posiekać nasz kontrakt na makaron. Jedno albo drugie!

Tambollin zrobił zafrasowaną minę.

– Mógłby pan jednak... – zaczął zbity z pantałyku. – Przecież i tak miał pan zwiedzić...

– Nie mam żadnego obowiązku! – przerwałem ostro. – Powtarzam: Nie jestem starożytnym łowcą i... i nie mam ochoty iść na rękę komuś, kto mnie tutaj podstępnie ściągnął i zawarł

podstępną umowę, z nie mniej podstępnymi klauzulami!!!

– No tak! – odezwała się milcząca dotychczas Dagnes Merial. – Wiedziałam, że jemu będzie chodzić tylko i wyłącznie o pieniądze!

– Jeśli chodzi o pieniądze, to my... – zaczął Tambollin.

– Pieniądze? Owszem, a czemuż by nie?! Wy możecie sobie pracować dla idei. Mnie wasze idee nie obchodzą. Nawet więcej, nie zamierzam się identyfikować ani podpisywać pod ideami oszustów, bo są zapewne jak i oni sami idealnie oszukańcze!

– Ile pan chce? 100, 150? – zapytał drżącym głosem Tambollin.

– Jeżeli dojdzie teraz do katastrofy, to nasz kontrakt i tak nie ma większego znaczenia.

– 250 – powiedziałem, patrząc hardo w oczy Dagnes Merial.

– Nie damy tyle! – wypaliła bez zastanowienia.

– To tylko ćwierć transsolara – Tambollin spojrział z wyrzutem na nieprzejednaną opiekunkę swej kasy z ramienia Zarządu Parku.

– Zdzierstwo! – rzuciła we mnie.

– Sknerstwo – odbiłem ze spokojem i ruszyłem do wyjścia.

– Zgoda – skapitulowała Dagnes. Zatrzymałem się.

– Na piśmie.

– Drań.

– Oszustka.

– Drodzy państwo, drodzy państwo – Tambollin wpadł między nas jak sędzia na boksterskim ringu. – Nie czas na takie błahe kłótnie. Przygotujemy umowę. Panna Tonsen poprowadzi pana tak, jak to mieliśmy w pierwotnym planie.

Panna Tonsen roześmiała się zawadiacko.

– A jednak zdążymy, koteczku! – powiedziała, puszczając do mnie oko i rozebrała się z białego kitla. – Za pół godziny

na tyłach instytutu, przy moim zwiadowczym ślizgowcu! – rzuciła jeszcze od drzwi.

Czy wiecie, co to jest boks? Ja wiem. Dowiedziałem się tego w trakcie swych studiów nad historią cywilizacji w Pekinie. Wiem, więc wam powiem. Jest to taka diabelnie dowcipna gra. Dwóch facetów odcina się od świata za pomocą lin w małym kwadracie i każe im się bić nawzajem po pyskach. Ten jest lepszy, który dłużej ustoi na nogach. Był to kiedyś zaiste szatański sposób udowadniania swej intelektualnej wyższości. Obecnie podobno uprawiają jeszcze boks, i to nawet masowo, w tak zwanych Sektorach Wschodnich. Sektory Wschodnie są poważnie zapóźnione w rozwoju i niewiele mają wspólnego z cywilizowanym światem. Jednak obecnie nawet i tam walka trwa tylko do pierwszego celnego ciosu, czyli przeważnie krócej niż jedną rundę. Mój pojedynek z Dagnes Merial jako żywo przypominał owe archaiczne boje i zdaje się, że po tej rundzie zyskałem lekką przewagę. Ruszyłem się przebrać w coś odpowiedniejszego do eskapady z tak uroczą cizią jak panna Tonsen. Fioletowy uniform, wyprodukowany na „Rubikonie”, nie posiadał bowiem błyskawicznych zamków.

Moja hebanowa przewodniczka prezentowała się teraz wspaniale. W srebrzystej króciutkiej spódniczce, która prawie niczego nie zasłaniała, w równie srebrzystych majteczkach z dwóch cienkich niczym pajęczyna pasków i w dokładnie wysrebrzonych rękawicach pilota, kończących się wysoko za łokciami, oraz w tegoż samego koloru hełmie z czubem nad czołem wyglądała jak nowoczesna wersja starożytnej nefrytowej księżniczki lub damska odmiana rycerza Okrągłego Stołu. Brak jej było tylko ciężkiego miecza i ewentualnie rumaka; gdyby nie to, już mogłaby ruszyć do ataku. Przepraszam. Rumak był. Cekał równie hebanowosrebrny jak jego pani – superszybki i zwrotny

bardziej niż wierzchowiec czy pegaz – ślizgowiec copeauskiej wytwórni Endeo, gotowy wykonać każdy rozkaz bez przynaglania szpicrutą; wystarczy drobny elektryczny kopniak, sygnał dany sterującemu komputerowi złączonemu z panną Tonsen czujnikiem; zwyczajne przełączenie guzika z „off” na „on”, by spełnił jej najdziksze, najnamiętniejsze życzenie: zawiózł ją na koniec świata – ją i każdego, kogo zechce ze sobą zabrać jego władczyni – istota złączona z nim w trakcie lotu w jedność przez każdą myśl płynącą cienkim przewodem – przez kształt linii papilarnych uruchamiających klawisze – przez pulsowanie krwi, które wyczuwał oplatającą się wokół przegubu gumianitową macką. Jeśli się komu wydaje, że w tym opisie przesadziłem, to niech sobie wyobrazi, że daleko tu jeszcze do pełni, która by oddała ów magiczny związek, jaki zachodzi między każdym jeźdźcem a jego ślizgowcem.

– Proszę – wskazała mi wewnątrz i miejsce obok siebie w czteroosobowej kabinie.

– Witam panią – powiedział ciepło ślizgowiec. – Dokąd dzisiaj?

– Na poszukiwanie stada pegazów. Zaraz dostarczę ci dane – powiedziała panna Tonsen i włożyła w paszczę komputera pęk folii. Analizator połknął je trzema szybkimi kłapnięciami i przez parę sekund trawił zawartość programu, po czym na jednym z centralnych ekraników zapalił czerwone światełko. Miałem wrażenie, że jest to sygnał zadowolenia. Zwłaszcza że blask czerwonego oka wzrastał się z każdym ruchem miękkiego ciała panny Tonsen. Kiedy wpasowywała się dokładnie w otulający zewsząd fotel, rubin zapłonął karmazynem, a gdy dziewczyna przyłożyła wreszcie mackę do przegubu, ta oplotła się wokół błyskawicznie, jakby nie mogła się już kontaktu doczekać, a blask ekranu stał się nieznośny, niemal różowobiały.

– Jestem gotowy – powiedział ślizgowiec namiętnie.

– Prawda, że wspaniały? – zwróciła się do mnie Murzynka. Kiwnąłem tylko głową. Pierwszy raz widziałem taką więź między

maszyną a kobietą. Nie był to standardowy ślizgowiec, miał zapewne masę przeróbek poczynionych specjalnie z myślą o pannie Tonsen. Wolałem sobie nawet nie wyobrazić, jakiego rodzaju mogły to być przeróbki. Dostyc, że panna Tonsen robiła wrażenie głęboko perwersyjnej istoty. Miałem nadzieję, że te przeróbki nie przekraczają granic normy moralnej, która choć była nieostra i problematyczna, to jednak gdzieś tam i jakoś tam jeszcze istniała. Panna Tonsen jakby na potwierdzenie mej myśli powiedziała z tajemniczym uśmiechem:

– Uwielbiam go. Bo jest rodzaju męskiego... – Całe szczęście tym razem nie czekała na moją reakcję, rzuciła tylko ostro:

– Ruszaj!!!! – i pojazd poderwał się jak piórko, wyprysnął do przodu niczym błyskawica, zakręcił się jak wir trąby powietrznej, wbił się z sykiem w atmosferę, rozciął ją swym lancetowatym ciałem i pomknął za horyzont.

Każdy jego czujnik nastawiony był na ślad pegaza, na zapach pegaza, na kształt pegaza, choćby jedno świeżo zgubione piórko pegaza. Odcisk kopyta w piasku, odbicie w lustrze wody skrzydlatej sylwetki konia, jedna cząsteczka feromonu na sto metrów sześciennych, włos z ogona wierzchowca nanizany na kępę krzewów, wszystko to natychmiast przywabiałoby ślizgowiec. Ale na razie brakło tego typu śladów (jakichkolwiek świeżych śladów), więc pędziliśmy zgodnie z wyznaczonym przez poprzedni lot Ptyrła szlakiem do miejsca, gdzie stał się on ze stadem, to jest do Parowu Blasków. Ślizgowiec wzniósł się wysoko, tak iż miałem wrażenie, że zaraz znajdziemy się w stratosferze, a nasz wzrok w pełni obejmie olbrzymi kontynent Talbii. Przyglądałem się bordowym równinom przechodzącym w rozwodniony, barszczowaty w kolorze ocean, krzewom arahit zbitym w gęste kępy obwiedzione aureolami orzechów niebiesko

błyszczących w słońcu, patrzyłem na stadka zwierząt przemieszczające się lekkim cwałem – spłoszone hałasem ślizgowca, raczej niemiłym wizgiem rozcinanego w wielkim pędzie powietrza – patrzyłem na oczka jezior i odległy grzebień łańcucha gór i robiło mi się jakoś ciepło, miękko; nie jak w pracy niebezpiecznej, lecz jak na szkolnej wycieczce. W pewnej chwili poczułem dotknięcie ciemnej dłoni na swym ramieniu.

– Niech pan popatrzy – pokazała w lewo, w dół. Widok zasłaniał mi nieco jej fotel i srebrny trzon kadłuba. Wyciągnąłem szyję.

– Zwolnij! – zakomenderowała. – Kołuj i zawiśnij nad nimi! – Ślizgowiec natychmiast wykonał rozkaz i opuścił się, czyniąc pętlę. Przez krótką chwilę widziałem dziwne dwunożne stworzenia, w czerwonych surdutach, drepczące w wielkim pędzie, potem zniknęło mi wszystko przy kolejnym manewrze, wreszcie pojazd zawisł nieruchomo, ale dalej nic nie widziałem.

– Niech się pan wychyli! – ponagliła mnie Tonsen. Wykonałem jej żądanie, ale ciągle nie widziałem zwierząt. Musiałem dokonać jeszcze większego wysiłku, wychylić się tak daleko, że całym torsem zawisłem nad jej udami i brzuchem, od których buchało miękkie ciepło, wspaniały żar, dziwna magnetyczna moc. Wreszcie zobaczyłem je! Olbrzymie oczy, czerwone surduty, na piersiach szmaragdowe podkoszulki w poprzeczne czarne pasy, i straszliwe kły.

– Co to? – zapytałem wparty w jej ciało.

– Arargi phasangańskie. Jedne z największych drapieżników w znanym wszechświecie. Atakują wszystko, co się rusza. Niech pan spojrzysz, jak łakomie na nas patrzą. Gdyby tylko mogły, wzbilyby się w powietrze, żeby dostać się do kawałka mięsa. Na szczęście nie latają.

Rzeczywiście sympatyczne arargi o pędzlastych uszach, w swoistych śmiesznych podkoszulkach przypatrywały się bacznie ślizgowcowi i gdy tylko nad nimi znieruchomiał, przerwały trucht i zbiwszy się w ciasną gromadę z zadartymi do góry ciężkimi głowami poczęły się wspinać ku nam jeden przez drugiego, jeden na drugiego, jeden po drugim, drugi po pierwszym, trzeci po dziesiątym, nie bacząc na nic.

– Straszne – powiedziałem zahipnotyzowany.

– To jeszcze nic. Niech pan spojrzy! – wyciągnęła z bocznej kieszeni kabiny kawał syntetycznego mięsa i cisnęła go w dół. Przechyliłem się jeszcze bardziej, żeby dokładnie obejrzeć, co się tam będzie działo. W ułamku sekundy piramida zwierzątek rozpadła się i pocziwe mordki morsów stały się mordami bestii. Arargi zaczęły sobie wyszarpywać kawał jada, gryźć się nawzajem, popychać, kopać i wrzeszczeć. A każde zadrapanie, kropla krwi na sierści współplemieńca powodowała nowy atak furii, inne zwierzęta zaraz rzuciły się na niego, jakby już nie był z nimi, a stawał się ofiarą. Wkrótce przestwór zamglił się od kurzu, a ku nam wzlatywał z tego tumanu jeden wielki, przerażający kwik rozszarpujących się wzajemnie arargów. Patrzyłem na to widowisko z niesmakiem, ale też i z niemałą fascynacją. Kto by pomyślał, że mogą się czaić w jakimkolwiek organizmie stworzonym przez naturę tak straszliwe pokłady nieopanowanej agresji.

– Podobno ludzie byli kiedyś tacy sami – powiedziałem w zamyśleniu.

– Podobno byli gorsi – odezwała się Tonsen dziwnie zduszonym głosem. – One za chwilę się najedzą i przestaną, a ludzie zabijali, mimo iż nie byli wcale głodni.

Poczułem nagle, że dziewczyna gładzi moje włosy, spojrzałem

na nią i dopiero teraz oderwany od hipnotycznych ararów zauważyłem, że jestem przewieszony przez jej podolek, całym ciężarem wbity w jej drobne uda. Panna Tonsen włożyła dłoń za moją kolczugę, w którą się przystroiłem na okazję lotu, i najwyraźniej usiłowała odszukać samoprzylepny zaczep paska od spodni. – Ładna historia – przemknęło mi. Ostrożnie się poruszyłem, próbując wrócić do poprzedniej pozycji.

– Lubię wszystko, co rodzaju męskiego – wyszeptała ekstatycznie Murzynka. – Arargi również!

Miała półprzymknięte niebieskie powieki i rozchylone zmysłowo pełne wargi. Znalazła dostęp do mojej fortecy. Nie było odwrotu. Są sytuacje, kiedy mężczyzna nie może się wycofać.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem bez sensu.

– Gdzieś w pobliżu... tego... miejsca... tego incydentu – wyjęczała, niemal wijąc się pod moim ciężarem. – Naprzód! Ruszaj!!!

Myślałem, że to do mnie, ale to było tylko do komputera, który porwał ślizgowiec gwałtownie do przodu i wepchnął mnie wręcz między jej hebanowe uda, jej pełne wilgotne wargi, w jej cudowne piersi, w zapach włosów, w słodczy oddechu, w zapomnienie i splątanie dwupłciowe. Seks to szaleństwo! To jedno z najwspanialszych szaleństw, jakie nam Bóg do dyspozycji pozostawił! Namiętność! Gwałtowność! Emocjonalna huśtawka! Rozkosz! – Pędziliśmy nad Talbią, nie wiadomo w którą stronę, w nieznany świat bez kierunku i celu. Pędziliśmy unoszeni na naszym wspólnym rumaku – nad nami chmury, pod nami wirujące pejzaże. Ja i wspaniała kobieta. Nie kochałem jej. Prawie jej nie znałem. Ale zapomniałem w jej ramionach o całym świecie. Kiedy wydawała przeciągłe okrzyki

rozkoszy, czułem również rozkosz. Ekscytacja! Seks! Miłość! A jednak nie ma to porównania ze wspaniałością prawdziwej miłości. Podobno miłość, jedynie miłość, daje poczucie najpełniejszej harmonii i szczęścia, lecz nie każdy ma to szczęście być miłowanym prawdziwie. Ja go dotychczas nie miałem, więc bezinteresowne oddanie erotyczne wystarczająco zawracało mi w głowie.

I tym razem straciłem kontrolę nad sobą i nad rzeczywistością tego cudownego lotu i chyba zasnąłem potem na kilka minut, bo kiedy wróciłem do świadomości, ślizgowiec stał na porośniętej żółtymi liliami polanie sięgającej prawie horyzontu. Panna Tonsen spoczywała przerzucona niedbale przeze mnie, prezentując bez żenady wszelkie wspaniałości swego ciała. Części jej i mojej garderoby walały się po całym wnętrzu, a czerwone normalnie światelko zmieniło się na ekraniku w zawistny, zielony jak jaszczurcza skóra, odpychający blask.

– Otwórz! – zaśmiałem się z głupiego, zakochanego komputera. – Mnie też się coś należało, nieprawdaż? Ty masz ją codziennie w zasięgu swojej gumianitowej macki! – Zauważyłem, że nawet teraz nie zdjęła jej z przegubu. Światelko zmieniło nieco odcień, jakby przyżółkło, akceptując mój tok myśli i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Cienką mą koszulę szarpnął gwałtowny podmuch wiatru. Tonsen rozbudziła się w chwili, gdy już niemal postawiłem stopę między liliami.

– Co robisz?!!! – krzyknęła przerażona. – Przecież to kotfje!!!

Cofnąłem się odruchowo, a najbliższe łodygi zadrżały napięte. Zupełnie nie miałem pojęcia, co to są kotfje, ale spodziewałem się najgorszego.

– Zamknij! – wydała rozkaz ślizgowcowi. – Dlaczego go nie

uprzedziłeś?!

Oko pałało nie wróżącym nic dobrego seledynowym odcieniem. A to złośliwiec – pomyślałem. – Gotów był mnie skazać na zetknięcie z tym paskudztwem z zemsty. Bydlak! Kopnąłem ze złością w boczne drzwi maszyny. Poczułem, jak w odwecie stwardniał mój fotel. Wyrznąłem pięścią w kontrolkę. Z krzesła wysunęły się twarde kanty, które werżnęły mi się w kończyny. Z całej siły wałnąłem w szybę, tak że pękła z trzaskiem. Z miękkiej skóry fotela wyrosły co centymetr spiczaste rogi. Przeciwnik zgotował mi fakirskie oparcie! Uderzyłem więc w pulpit, prosto w to podle łypiące na mnie obraźliwe zielone oko. Ze strachem poczułem, że rogi przemieniają się w igły, które w coraz szybszym tempie rosną, usiłując mnie przebić na wylot.

– Zrób z nim coś! – krzyknąłem do Tonsen. – Ten zazdrośnik gotów mnie wykończyć!

– Wystarczy odłączyć mu emocje – rzekła chłodno. – I skasować je.

– Nie rób tego, pani! Proszę! – odezwał się nagle komputer. – Coś ci za to powiem.

– Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Przestań prześladować mojego gościa, albo pójdiesz na złom!

– Ja go nie prześladowuję.

– Więc przestań robić dowcipy i przyrzeknij, że będziesz grzeczny.

– Zgoda.

– W porządku. A teraz mów.

Poczułem, jak igły się cofają, potem zamieniają się w rogi, rogi znikają, faliste kanciastości przepadają i zostaje wyłącznie mój dawny miękki fotel. Dzięki Bogu!! Otarłem pot z czoła.

– O jakieś dwa kilometry na wschód jest duże skupisko pegazów – powiedział ślizgowiec.

– Co? I dopiero teraz o tym mówisz?! – Tonsen zerwała się i zakładała szybko swą srebrzystą bluzeczkę. Musiałem jej pomóc zapinać. Miała ze trzydzieści guzików.

– Nie śmiałem przeszkadzać – odezwał się komputer. – Zbliżają się w naszym kierunku.

Tonsen nacisnęła jakiś guzik i poczułem dziwny aromat.

– Ile ich jest? – zapytałem.

– Poza rozdzielczością selektora. Lecą nisko, jest ich bardzo dużo.

– Czyżby to było nasze stado? – zwróciłem się do Tonsen.

– Zapewne. Innych się tutaj nie spodziewam – powiedziała Tonsen w chwili, gdy rozległo się miauknięcie mnemokomórki łączności.

– Co jest z wami?! – wrzeszczał Malwan. – Od godziny nie dajecie znaku życia! Żadnych komunikatów! Namiar wyłączony! Piknik czy co?!!!

– Uspokój się, Malwan – rzuciła mu całkiem lodowato Tonsen.

– Właśnie je mamy. Zbliżają się do nas od wschodu. Podaję namiar. Roztoczcie wkoło punktu sieć. Wydaje mi się, że pan San dobrze wybrał miejsce na pułapkę. Jednak zna się na pegazach jak mało kto – puściła do mnie oko. – One uwielbiają tarzać się w kotfjach.

– Macie uruchomiony sygnał wabiący? – zapytał Malwan.

– Oczywiście. Przecież nie dopuścimy, żeby nam się wymknęły.

– Tambollin mówi, że to może być zbyt niebezpieczne.

– Niech się nie martwi – wtrąciłem. – Będziemy w stałej łączności.

Nagle od wschodu niebo pociemniało.

– Dlaczego to powiedziałaś? – zapytałem ją, gdy czarna chmura przysłaniała coraz większą część nieba.

– Bo jesteś bardzo miły, a Malwan wyjątkowo odpychający – uśmiechnęła się jak zwykle zawadiacko.

– Robisz ze mnie bohatera, a wyjdę na idiotę.

– Wierzę w ciebie. Zresztą nie tylko ja. Dagnes też.

– Dagnes?! Popatrz, ściemnia się. Burza idzie czy co?

– Właśnie Dagnes. Ona jest chyba w tobie zakochana. Znam ją.

– Zakochana! Żartujesz sobie! – Nic mi już nie odpowiedziała, a ja nie zapytałem powtórnie, bowiem nad krzewami wyłoniło się czoło stada pegazów. To, co wziąłem za chmurę, było właśnie stadem. Tonsen odruchowo wyłączyła ów aromatyczny sygnał wabiący. Przewodził im olbrzymi czarny ogier ze zwichrzoną, lśniącą grzywą. Toczył pianę z pyska, prychał gniewnie i zamiatał fantastycznym ogonem. Równie czarne jak cała sylwetka, jak głęboka noc, jak pustka międzygwiazdna, równie czarne skrzydła wiosłowały dostojnie powietrze. Za nim posuwała się czołówka, najdorodniejsze sztuki. Każdy z nich byłby gdzie indziej superwierzchowcem, championem torów wyścigowych i przywódcą oddzielnego stada: dwa okazałe srokacze gniewnie rżące w locie, kilka kasztanów i wiotka, biała klacz niczym księżniczka wschodniego dworu – za nimi olbrzymia chmara latających koni.

– Ile ich jest? – szepnąłem.

– Na oko z dziesięć tysięcy – odparła Tonsen.

– Dziesięć tysięcy sto dwadzieścia jeden – włączył się komputer.

– Mamy je – powiedziała Tonsen. Przywódca stada lądował

może ze sto metrów od nas. Wcisnąłem sygnał połączenia.

– Możecie je brać w pierścień – powiedziała panna Tonsen. – Tylko pozwólcie im się trochę wytarzać.

– Dlaczego lubią kotfje? – spytałem zdziwiony.

– Uboczny skutek złamania kodu genetycznego przeciw naturze. Mają masochistyczne usposobienie – powiedziała i roześmiała się. Śmiałem się razem z nią, ale nie wiedziałem, czy mówi serio, czy żartuje. Pegazy tarzały się w żółtych liliach i nie zwracały na nas najmniejszej uwagi.

Wróciliśmy do osady dopiero pod wieczór. Trzeba było jeszcze eskortować stadko w jego normalny rejon. Kiedy poderwano je polami elektrycznymi z kotfjowej łąki, dwie sztuki wymknęły się i zamierzały uciec. Przemknęły pod elektrycznym biczem i biegły w stronę wzgórz. Kazałem je wziąć do ładowni i przeprowadzić natychmiast wszelkie możliwe analizy. Potem, jak niegdyś kowboje, lecieliśmy wzdłuż szeregów okazałych koni, setkami kilometrów gnaliśmy je na pierwotne leża, zapędzając co chwilę odłączające się sztuki. Nie znalazłem czasu, by zadać Tonsen dręczące mnie pytanie. Miałem wrażenie, że z Dagnes Merial to jakaś pomyłka lub żart. Kiedy nareszcie wylądowaliśmy po zmroku w pobliżu instytutu, byliśmy tak skonani, wyczerpani, ledwie żywi, że nawet na myśl mi nie przyszło pytać kogokolwiek o cokolwiek.

– Może nie zdążyłem się zaaklimatyzować – powiedziałem.

– Być może, ale zarobił pan swoje luno – odrzekł dyrektor.

– Nie była to wielka sztuka – czułem się otepiały i bezwolny.

– Powietrze na Maskrii ma skład mieszanki uniwersalnej – tłumaczył mi, gdy przez chwilę szliśmy bok w bok, nim nasze ścieżki się rozeszły. – Jest odpowiednia dla wszystkich człowiekowatych i w ogóle białkowców. Skoro mieszanka jest odpowiednia dla wszystkich, to nic dziwnego, że każdemu czegoś

brak w tej atmosferze.

– Ma pan wyniki analiz tych dwóch sztuk, które przysłałem? – zapytałem go na rozstajach.

– Proszę – wsunął mi dwa dyski i pęk folii w dłoń. – I powodzenia.

Chciałem się jak najszybciej umyć i położyć po tym szybkim pożegnaniu. Nade wszystko zaś potrzebny mi był łyk dwunastki, bo znów przeszedłem skrajne stany emocjonalne, co zawsze mnie rozkładało. Przestałem myśleć o Tonsen. Był to nieważny flirt. Martwiło mnie raczej, że minął drugi dzień, a ja nic nie wiem. Kto wie, może folie, które niosę pod pachą, coś wyjaśnią. Nic to. Wystarczy pięć minut samotności i znów będę w pełni formy. Gdy jednak dochodziłem do mojej samotni, ujrzałem, że w saloniku pali się światło. – Kogóż u licha przyniosło? – pomyślałem zniecierpliwiony i zdenerwowany. W pokoju siedziała, sącząc paskudny miętowolizgardowy koktajl numer osiem, Dagnes Merial.

– Jak tu weszłaś? – odezwałem się niezbyt przyjemnym tonem. – Że też człowiek nawet na chwilę nie może być sam!

– Przepraszam – powiedziała, wstając i kierując się do drzwi, jakby serio miała zamiar opuścić me niegościnne progi.

Przytrzymałem ją za łokieć.

– Nie denerwuj się – powiedziałem. – Napijemy się czegoś.

Usiadła. Nacisnąłem klawisze podajnika. Tym razem wystukałem sobie 12 05 99, tego napoju maszyna dawała mały naparstek, i to w czterdziestośmiogodzinnym odstępie. Był niezastąpiony w razie kryzysu i podobno jego rodowód wywodził się z krainy mego pochodzenia, to jest nadwiślańskiej doliny Euazu. Nie będę wymieniał tu nazwy tego płynu, pewnie niewielu z was wie, co to Euaz, a niejeden nawet o Metropolii nie słyszał, takie dzisiaj czasy nieuctwa. Wszechświat schodzi na psy.

(Wiecie, co to pies? Ha, ha, ha!!!). Pociągnąłem spory łyk tego płynu. Trochę mną trzepnęło. Oczy wyszły mi na wierzch. Zrobiło mi się zimno. Potem gorąco. Potem miękko w nogach. Usiadłem natychmiast. Dagnes obserwowała wszelkie przemiany mej fizjonomii i kolorów. Po chwili zapytała:

– Żyjesz jeszcze, czy mam wzywać reanimatorów?

Dałem jej ręką znak, że żyję, bo mnie za gardło kleszczami niemoc złapała. Powachlowałem się chwilę poduszką, którą pod dłonią przypadkiem wyczułem, i już było wszystko w najlepszym porządku.

– Więc o co chodzi? – zapytałem.

– Musisz się narkotyzować tym świństwem? – zapytała miast odpowiedzieć na me pytanie. Nie lubię, kiedy mnie pytają zamiast mówić, z czym lub po co przybyli. Szczególnie mnie to denerwuje u kobiet, bo mam wrażenie, że usiłują grą słówek przykryć bezdenną pustkę, która w nich zalega.

– Aha, czyli chciałaś mi zrobić wykład na temat narkotyków – stwierdziłem sarkastycznie.

– Nie – odpowiedziała z kamienną miną. – Ale wiesz, że 12 05 i wszelkie jego warianty są zabronione na osiemdziesięciu procentach planet. Gdyby nie technicy, a zwłaszcza Ptrył, już dawno i tutaj by tego nie było.

– Dzięki ci, o Wielki Ptrylu, Horacy Zbawco biednych intuicjonalów, którzy omyłkowo zawitali na Maskrię! – powiedziałem i zaśmiałem się.

– Kiepski dowcip – odcięła się gładko.

– Być może, ale jestem Ziemianinem, a Ziemianie jak powszechnie wiadomo, nie odznaczają się szczególnym dowcipem ani ciętym języczkiem, w przeciwieństwie do słynnych na całą galaktykę pięknych Maskryjek! – poczułem,

że język zaczyna mi się plątać. – Natomiast nasze trunki mają najwyższą markę i zawistna Galaktyka nie może znieść myśli, że nie jest w stanie nam dorównać. Nasze trunki odznaczają się polotem, dddowcipem... – przerwałem. Jeżeli ona jeszcze chwilę zostanie, to zobaczy z pewnością cudowną antystresową niezaprzeczalną siłę ziemskich trunków w całej mocy, bowiem zaraz osunę się na podłogę i usnę jak dziecko niepomny na jej obecność, nie skończywszy nawet rozpoczętego zdania, którego sens dawno wyleciał mi z pamięci.

– ...i mają cięty języczek! – dokończyła za mnie ze złośliwym uśmiechem. – Języczek ścinający z nóg.

– Tttaaak. Maają jjjęzyczek! – wybeblałem z siebie. – Czy jeszcze coś chciałaś powiedzieć, dziecinko?

Wstała. W dłoni trzymała list.

– Właściwie to nie. Chyba moment nie jest najwłaściwszy. – Przez chwilę kręciła się niezdecydowana. – Znalazłam ten list pod twoimi drzwiami. Weszłam tu, bo drzwi były otwarte. Trzeba zamykać drzwi.

– List? – Wyciągnąłem rękę po kopertę. A kogóż to naszło na tę archaiczną formę wymiany informacji? Jakiś wielbiciel starożytności?! Wybuchowa mieszanka odpłynęła z centralnego układu nerwowego, a raczej równomiernie rozprzestrzeniła się po całym organizmie, tak że zawrót głowy nieco zelżał, język nieco się uelastyczył, a władza w członkach częściowo powróciła.

– Jest adresowany do ciebie.

Rzeczywiście był adresowany do mnie.

– Sądę, że wiem, jaki był prawdziwy powód tej wizyty.

– Niemożliwe?

– Przecież jesteś zdrową, silną, piękną kobietą. Czy tylko

dlatego w środku nocy składasz wizytę w mieszkaniu samotnego, zdrowego, silnego mężczyzny, że znalazłaś jakiś tam list? – Zbliżyłem się do niej nieco chwiejnie i objąłem ją mocno. Poczułem lekkie drżenie ramion. Szykowała się do ciętej riposty, do zaprzeczeń lub obelg. Musiałem działać szybko. Nie dopuścić jej do głosu. Pocałowałem ją. Był to długotrwały namiętny pocałunek, w trakcie którego nasze języki okrążyły się wielokrotnie i wnikały w nieznane zakamarki, wargi zderzyły się z sobą jak dwa tarany usiłujące się zetrzeć z powierzchni ziemi, a zęby jak samodzielne, niezależne zwierzątka usiłowały pochwycić przeciwny język bądź wargę wyłącznie po to, by nasycić natychmiast swój nienasycony głód. To miał być pocałunek otumaniający, odbierający siły, blokujący dostęp powietrza, obezwładniający! Lecz gdy skończyłem sam tracąc dech i siły i ostrożnie wymacywałem językiem własną nadgryzioną wargę, usłyszałem jej zimne, metalowe pytanie.

– Jak poszło polowanie na pegazy? – Dagnes patrzyła na mnie bardzo uważnie. Zrozumiałem bezbłędnie sens tego kubła zimnej wody, którym mnie usiłowano oblać. Nachyliłem się, by jeszcze raz ją pocałować. Bawić się w pytania i odpowiedzi to dobre dla dzieci. Odepchnęła mnie, próbując się oswobodzić. Jest zazdrosna? Może więc Tonsen miała rację?

– Odpowiedz. Nie masz nic do powiedzenia? – atakowała z miną niewiniątka. – Tonsen jest bardzo miła, prawda?

– Tak. Jest miła, ale co to ma do rzeczy? Owszem, jest miła, dobra, ładna, wesoła, ale zupełnie się nie liczy.

– Masz rację. Prawie tak dobra jak te nowe łóżka elektroprocechronowe. Jeszcze człowiek nie zdąży pomyśleć, a już się rozkłada!

– Ależ!... – zamurowało mnie. Mur. Beton. Osmit.

– Cały jesteś przesiąknięty jej perfumami! – rzuciła mi w twarz i ruszyła ku drzwiom.

– Aaaależ, Dagnes! – gwałtownie poszukiwałem właściwego słowa. – To nie ma nic do rzeczy! Kocham cię! – Ale ona mnie już nie słyszała, już jej nie było w pokoju ani w domu. Wybiegłem. Zniknęła, jak to ona. Kamfora w ciemnościach. Ani śladu. Zawróciłem. Przez sekundę miałem ochotę biec, szukać jej, fonować, prosić... ale opanowałem się. Głupiec ze mnie. Łatwo ulegam namiętnościom. Zbyt łatwo daję się wodzić za nos. Zbyt szybko zapominam i wybaczam. Kobiety, dzieci, zwierzęta, rośliny, a nawet androidy zbyt często włożą mi na głowę. Czy ja nigdy nie nauczę się panować nad sobą?! Psiakrew! W niej kiełkuje miłość. We mnie także jakby coś się rusza, chociaż nie bardzo pojmuję co. Tylko czy to oznacza, że zaraz mam wszystko rzucić, że zaraz powinienem zapomnieć o tym, co zrobiła, wybaczyć obłudę, rozgrzeszyć dwulicowość, polubić podstępność?! Człowiek tak słaby, z takimi brakami charakteru, może co najwyżej otrzymać garść kolorowych papierków, wór błyskotek bez wartości, omamiającą sztuczkami kobiecości pustkę, a nie prawdziwe uczucie! Sztuczka – ja jak na lep! Sztuczka – ja jak do rzeźni! Sztuczka – ja jak w dym! Sztuczka – ... Nie! To musi ulec zmianie. Nawet jeśli kocha, to pokocha mocniej. Nie wolno mi być miękkim. Zbyt wiele razy przyszło mi płacić za brak wytrwałości. Jeśli zaś nie kocha, tym lepiej! Przede wszystkim jednak koniec z dwunastką we wszystkich odmianach. Koniec z nie kontrolowanymi przyjemnościami! Koniec z tym całym kotłowaniem się, przepychaniem, ustępstwami, naiwnością, prostotą i bezpośredniością! Zażyłem dla równowagi pastylkę pobudzającą i zabrałem się za przyniesiony materiał. Nie, nie zamierzam jej szukać. Dam jej

czas. Sam muszę mieć czas. Udowodnię, co jestem wart! Przede wszystkim liczy się rozwiązanie zagadki.

Wertowałem materiały, przerzucałem dane na dyskach, oglądałem hologramy pod setkami kątów czując, jak wszystko się we mnie gotuje, buzuje, jak energia wzbiera za niewidzialną tamą, jak rozsadza żyły każdym uderzeniem krwi, jak wiadomości pulsują w czaszce, jak fale kotłują się niewidzialne, a wyczuwalne w załomkach szarej masy, niedostępnych zakamarkach mego umysłu, meandrycznych drogach nerwowych jaźni do podświadomości. Myślałem teraz szybko, wręcz błyskawicznie. Pomysł za pomysłem, spostrzeżenie za definicją, twierdzenie za wskazówką i rozwinięcie w ciąg logiczny, weryfikacja, nowa hipoteza, pomysł, eksplikacja, założenie, rozwiązanie i tak dalej, i tym podobnie, itp., itd., i jeszcze raz od nowa. Poderwałem się z fotela, krążyłem wokół pokoju jak tygrys w klatce, rzucałem się na folie i pliki niczym drapieźny ararg i znów krążyłem. We krwi pegazów znaleziono kilka alkaloidów, które nie uchodziły za typowe składniki ich pokarmu. Teoretycznie nie powinny były znaleźć się w pokarmie tych zwierząt, skąd przez żołądek i jelita zostały wchłonięte do krwi. Ilości substancji były tak minimalne, że niemal na granicy błędu pomiarowego. By mieć pewność i zgodnie z przepisami móc umieścić w protokole informację na ich temat, powinienem był zrobić drugie badanie. Nie pomyślałem o tym wcześniej i teraz sprawa została przegrana. Oficjalny protokół to jedna sprawa, a moje prywatne spostrzeżenia druga. Czyż nie tak zapewne zdarzyło się w poprzednich przypadkach? Oto wyjaśnienie, dlaczego w dostarczonych mi wcześniej materiałach brak było nawet poszlak. A więc substancje. Substancje. Sole mineralne. Pewne nieprawidłowości –zapewne skutek niedawnego okresu karmienia zgniłym sianem, zatem hormony. Hormony. Nadmiar adrenaliny. Adrenalina – to sprawa wtórna. Pochodna rozregulowania wewnętrznego systemu kontroli. Przyczyna tkwi głębiej. Białe ciała i czerwone ciała. Tak!

Białaczki nie ma, anemii także, infekcji żadnej. Alkaloidy. Minimalne, tycie–tyciusieńkie zachwianie. Ślad śladu. Skąd? Zapewne z pokarmu. Skąd pokarm? Pastwiska. Albo? Tak. Pozajelitowo. Z powietrza. Albo z wody. Niech to szlag! Skądkolwiek. Pięć alkaloidów do wyboru i należałoby wybrać jeden. Laktucyna, mrucyna, furcyna, nikotyna, narkotyna. Laktucyna, nikotyna, narkotyna odpadały z miejsca, bo były zbyt słabe lub działać powinny inaczej – uspokajająco, nasennie, rozluźniająco. Mrucyna lub furcyna. Obie substancje euforyzujące i tak jak wszystkie poprzednie mogły być w wodzie, roślinach lub powietrzu. Powietrze? Chyba zbyt duże musiałyby być stężenie alkaloidów, by przedostać się do krwi, i zbyt duży obszar musiałyby objąć, w końcu zwariowały wszystkie pegazy, a nie kilka sztuk. Czy rzeczywiście? Wystarczyło, że zbzikował czarny ogier? Nie. Infor powiedział mi, że wśród pegazów nie ma tak wielkiego szacunku dla przywódcy stada. Przywódca każdorazowo mianuje się sam, lecz tylko na jeden przelot, przejście do wodopoju... wodopój? Idealne miejsce, żeby zatrąły się wszystkie pegazy, które piły wodę.

– Czy na planecie jest używana mrucyna bądź furcyna? – zwróciłem się ponownie do inforu.

– Tak.

Więc możliwe, że jakiś człowiek, może ulotniła się, wykropiła, wyciekła, odpuszczono ją jako odpad z jakiegoś procesu technologicznego! Stop! Zatrzymałem się w swym krążeniu, błędzeniu, wymyślaniu, wnioskowaniu.

– Gdzie używa się tych substancji?

– Tylko furcyny. W Androidtechnatom. Na linii produkującej sztuczne poroża – odpowiedział grzecznie infor.

– Poroża?

– Tak. Dla jednorożców, smoków, sztucznych gigantusów...

– Dziękuję – po raz pierwszy chyba w życiu pogłaskałem z zadowolenia to przekłete urządzenie. Trzeba działać –

pomyślałem – trzeba zaryzykować. Zapewne to stamtąd wywodzi się przyczyna nietypowego zachowania się zwierząt. Gdybym miał jakiś ślad tego typu dla skonfrontowania z przeszłością, mógłbym mieć pewność. Co prawda minimalne stężenie alkaloidu we krwi dwóch pegazów nie usprawiedliwia w dostatecznym stopniu ich obłądnej ucieczki z przypisanych stada terenów, jednak można uznać, że działa jakiś czynnik wzmacniający, na przykład genetyczny, powodujący reakcję patologiczną, podobnie jak przy patologicznym upojeniu alkoholem. Furcyra w dużych stężeniach powoduje euforię, napady śmiechu, dzikie harce, przyływ dziwnych pomysłów, nieadekwatne reakcje agresywne... To jedyny dowód, jedyny element, który w sposób uchwytny jest nie w porządku. Trzeba ryzykować. Mam do tego prawo. Umocniwszy się w postanowieniu, niezwykle z siebie zadowolony, rąbnąłem w klawisz wifonu. Na ekranie pojawiła się zaspana twarz Tambollina.

– Pan bez przerwy chyba śpi! – powiedziałem, bo byłem w dobrym humorze. – Pan śpi, a ja mam według pana w tym czasie myśleć?! Mógłbym się obrazić, pogniewać, ale... mam dla pana niespodziankę. Wykryłem przyczynę tego całego zamieszania. Niech pan natychmiast zarządzi zamknięcie linii produkcyjnej sztucznych poroży w ATA.

– Jest pan tego pewien? – odezwał się niezbyt przytomnie Tambollin. Przetarł oczy i połknął pastylkę otrzeźwiającą.

– Moja intuicja nigdy mnie nie zawodzi.

– Może poczekamy z decyzją do jutra?

– W każdym razie jestem pewien, że stamtąd pochodzą zanieczyszczenia, które w sposób dyskretny zakłócają funkcjonowanie ekosystemu.

– Zadziwia mnie pańska pewność. Jest to bardzo poważna decyzja. Nie ma naprawdę żadnych innych możliwych rozwiązań?

– To wydaje mi się najpewniejsze.

– Więc są inne?

– Są. Ale nasza rozmowa nie ma najmniejszego sensu. Trzeba spróbować. Sytuacja dojrzała do weryfikacji praktycznej.

– Muszę się zastanowić. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli odłożymy rozmowę do jutra. – Tambollin ziewnął przeciągle, nie zasłoniwszy nawet ust dłonią. Bezczelność.

– Jest pan śpiący, podczas gdy komunikuję panu być może najważniejszą wiadomość, na którą pan czekał.

– A pan nigdy nie sypia, młody człowieku? Doprawdy, mógłbym się pogniewać albo i obrazić za połączenie o trzeciej nad ranem, mógł pan poczekać cztery godziny. Ale nie zrobię tego. Obiecuję, że będę śnił na ten temat. Jeszcze coś?

Wyłączyłem się.

Kiedy obudziłem się rano (właściwie miało już prawie południe), głowa bolała mnie niemiłosiernie jak zwykle po dwunastce – zero pięć – dziewięćdziesiąt dziewięć. Zaraz przypomniałem sobie fon do Tambollina i lekceważący stosunek tamtego do przedstawionej sprawy. Za to gdy zobaczyłem nie rozklejony list leżący na podłodze, przez dłuższą chwilę nie pamiętałem, co to właściwie jest. Z niecierpliwością rozerwałem kopertę i wrzuciłem listek folii do czytnika. Treść listu zastanowiła mnie i w pewnym stopniu nawet zaniepokoiła. Stało tam zaledwie parę wystukanych przez półkomputer słów. Mniej więcej brzmiało to tak:

STRZESZ SIĘ! OSZUKUJĄ CIĘ TO RAZ. ZAJRZYJ DO KLAUZULI W, W ÓMOWIE – TO DWA. A TRZY? JAK CI NIE POMOŻE I NIE PRZESTANIESZ WTRĄCAĆ NOSA W NIESWOJE SPRAWY TO CI

GO KTOS PSZYTNIE. TO TYLKO DOBRA RADA. Z SZACUNKIEM.

RZYCZLIWY

Przez chwilę nie mogłem się zdecydować, co to jest. Realne, z głębi serca płynące ostrzeżenie przed oszustwem, które przecież znałem, wiedziałem o nim, byłem poinformowany – czy też groźba w razie niezastosowania się do wskazówki? Czy oba człony tekstu są równie prawdziwe? Jeśli ostrzeżenie – to rada, lecz jeśli groźba – to szantaż. Jeden wniosek można było wyciągnąć z całą pewnością. Nie ostrzegał mnie nikt z tych, którzy dokładnie znali klauzulę i wiedzieli, że ja również ją znam. Musiał to zatem być ktoś stąd, ktoś nie do końca zorientowany we wszystkich sprawach. Kto? Tonsen? O co tu chodzi? Komu, u diabła, przeszkadza to, co tutaj robię? Namnożyło się tych pytań, odkąd wylądowałem na Maskrii. Miałem w głowie okropny chaos. Chaos chaosem, ale dlaczego miałbym ustępować, ugiąć się przed groźbą, i do tego teraz, kiedy należało spróbować zamknąć tę linię. Tylko dlatego, że ktoś inny sobie tego życzy? Ktoś wcale mi nie życliwy i wykrętnie ukryty za anonimem? Kiedy otrzymałem ten list? Wczoraj wieczór. Ów ktoś miał więc jeszcze jeden, przynajmniej oczywisty, cel. Chciał wyprowadzić mnie z równowagi. Sabotował moją pracę. Rozmyślenia przerwał sygnał wifonu. Na ekranie był Tambollin.

– Co pan wczoraj mówił na temat ATA?

– Przykro mi, ale nie mam teraz czasu. – Trzepnąłem wyłącznikiem, aż zadzwieczało.

Wróciłem do rozmyślań. Kto to może być? Komu wszedłem w paradę? Winny zaniedbań, zawistny, zazdrosny, odsunięty, przeciwnik obecnego dyrektora Tambollina, wróg intuicji jako metody. Znalazłoby się parę osób na takiej liście. Dlaczegoż

by nie Tonsen, sam Tambollin, Dagnes Merial. W końcu to Dagnes wręczyła mi list. A że jest wzmianka o klauzuli? To jeszcze o niczym nie świadczy. Wręcz odwrotnie. Bardzo sprytny manewr odwracający podejrzenia! A Malaw Malwan? O tak, ten przede wszystkim! Dagnes Merial! Niby go kocha, ale wciąż umyka. Skąd można wiedzieć, czy naprawdę kocha, skoro raz już z czystego interesu wlaźła mi do łóżka. Tylko udaje? Może być w zмовie z tą Tonsen. Albo Tonsen z Malwanem. Albo Tambollin z... Schowałem folię do kieszeni i postanowiłem na razie o niej nikomu nie wspominać. W każdym razie wrzuciłem wszystkie informacje w domowy komputer i sformułowalem zapytania. Ten dał jednak odpowiedź zwyczajem komputerów wykrętną: Brak wystarczających danych dla sądu jednoznacznego – po czym wymienił wszystkich podejrzanych w kolejności procentowego prawdopodobieństwa. Procent prawdopodobieństwa był w ogóle bardzo niski, a poszczególnych delikwentów dzieliło od siebie czasem dwa do trzech punktów. W każdym razie zapamiętałem osobę z pierwszej pozycji. Z komputerem głównym nie chciałem się łączyć, a i z domowego na wszelki wypadek wymazałem to działanie i skasowałem plik. Postanowiłem być dzisiaj wyjątkowo stanowczy. Dla dodania sobie animuszu nacisnął klawisz 12 w podajniku, ale podajnik nie wylał z siebie ani kropelki. – Popsuł się czy co? Stuknąłem raz i drugi. Bez skutku.

– Jeszcze tego brakowało – wysapałem. – Odbierają mi ostatnie źródło radości! To z pewnością ich sprawka!

Pamiętałem wszystko, co się wydarzyło poprzedniego wieczora. Wszystko z wyjątkiem tego, iż osobiście wydałem zakaz podawania sobie kombinacji dwunastki i również osobiście wprowadziłem ten rozkaz do pamięci podajnika.

Wyszedłem z domu porządnie nabuzowany i przekonany, że oni rozpoczęli przeciwko niemu działania. Jacy oni? Nie wiedziałem. Wyobrażałem ich sobie dość mgliście. Stanowili w moim umyśle chaotyczną plamę najeżoną kolcami zasadzek, animozji, wykrętów. Jawili mi się jako sieć rozciągnięta w czarnym labiryncie lub zestaw antycznych masek, komplet pociąganych za sznurki figurek plin-nippu, które wydają się żywe, ale ich ustami poruszają ukryte sznurki. Czy to zresztą ważne, jacy oni? Jak świat długi i szeroki zawsze byli, są i będą jacyś oni, których zawsze wygodniej jest nie definiować i nie dookreślać.

Z Tambollinem udało mi się porozmawiać na tyle stanowczo, że przekonałem go do zamknięcia linii w ATA. Obecność Malwana przy decydującej rozmowie była mi bardzo na rękę. Jeżeli to on napisał anonim, zostanie zmuszony do energicznego działania. Postanowiłem mieć się na baczności. Dowcip się ze mnie ulotnił przez upały, które objęły nas ognistymi ramionami. Znad barszczowatego oceanu buchał gorący wiatr, od lądu duło żarem, woda zrobiła się ciepła jak zupa. Myślenie w takich warunkach nie jest zadaniem łatwym. Umysł wyłącza się samoczynnie i przestawia na jałowe tory, zdolny najwyżej konsumować biernie, i to bez wgłębiania się, powierzchownie. Cały ten dzień, poza poranną utarczką – oj, kosztowała mnie ona energii – przeleżałem pod ololuquonem; to coś w rodzaju palmy z wyglądu, lecz przynależy do rodziny Amanita zaliczanej w poczet plechowców (mówiąc prosto: grzybów). Trochę słuchałem w ogrodzie kasetonów, trochę oglądałem kasetony i lovidy, a także na trochę podłączyłem się do mnemokaset. Sama rozrywka, nic poważnego. Ale rano, mówię wam!!! Gdyby ktoś zobaczył minę Malwana, pękłby ze śmiechu, wtedy gdy jednym tchem wyrecytowałem nakaz zamknięcia linii. Tambollin tłukł pięściami w stół, rwał włosy z głowy, krążył po biurze i obijał się

o meble. Wyrzucił nawet za drzwi Ptryla, który przyszedł prosić o zmianę pracy, gdyż stwierdził, że ma kompletnie dosyć pegazów. Musiał się biedaczysko nieźle wystraszyć tego niewinnego w istocie pościgu. Tambollin miał oczywiście tysiące argumentów, żeby linii nie zamykać, ale nie dałem się zagadać.

– Niech pan sobie wyobrazi – krzyczał, a twarz mu przy tym niebezpiecznie czerwieniała – co się stanie, gdy ta linia zostanie wyłączona! Przecież tam nie produkuje się tylko na nasze potrzeby, ale także na potrzeby Androidtechnatom na innych planetach! A poroże? Gdyby chociaż chodziło o jakieś mniej ważne części, ale poroże?!

– Wydaje mi się – powiedziałem spokojnie – że poroże jest mniej ważne niż wewnętrzne organy czy na przykład cała głowa.

– Tak. Tak się wydaje – powiedział, żywo gestykulując, Tambollin. – Ale to nieprawda.

– Każdy głupi tak myśli – wtrącił się Malwan. Patrzył tępo w końce swoich paznokci. Podejrzany ten Malwan. Tambollin przyjrzał mu się groźnie, bo stracił na moment wątek.

– Organy wewnętrzne, mój panie – kontynuował – to tylko elektronika, układy hiperzredukowane, minikomputapleksy i temu podobne. To można robić wszędzie. Cała głowa? A cóż warta jest głowa bez poroża?! Jakaż tam ona wtedy cała? Te wszystkie jednorożce, mamuty – bo i kły się tam również produkuje – gigantusy, połciowce, sapegi, choćby najzwyczajniejsze sarnoptaki, tyranozaury, to wszystko bez poroża, kostnych grzebieni, kłów, szabli, wachlarzy?!!! Czy pan wie, że to wstrzyma 40% całej produkcji mechaniczno-elektronicznych zwierząt i na dodatek usunie z terenu parku 30% okazów ze względu na brak części zamiennych?!!! Nie! – krzyczał, kręcąc się jak bąk wokół własnej osi. – Nie! Nigdy nie pozwolę zamknąć

linii poroży!

– Gdyby kiedyś ludzie rozumowali tak jak pan, to nigdy by nie zamknięto tych milionów smrodzących, brudzących, zanieczyszczających fabryk i zakładów, nigdy nie pozbyto by się owych napędzających rzekomy postęp trucielei ludzkości. I wie pan, co byśmy dziś mieli zamiast Ery Najnowszej?! Zbiorowy grobowiec!

– To demagogia, młody człowieku. Sytuacja na Maskrii nie ma nic wspólnego z niegdysiejszym zagrożeniem ekologicznym Metropolii!

– Albo jest pan ślepy, albo niespełna rozumu. Nawet pan nie zauważa, że stosuje te same argumenty co kiedyś ministrowie i premierzy. Nie zamykamy, bo nam się gospodarka zawali – przedrzeźniałem jego ton. – Nie zamkniemy nigdy, bo jutro, bo postęp, bo szczęście, bo wyścig, bo chwała! Gównu. Lepiej stracić trochę, żeby ocalić życie. Jeżeli pan nie wyłączy tej linii, to jutro, pojutrze przyjdzie załamanie, katastrofa i cały park zacznie panu bzikować! Kto to wtedy opanuje?

– Nie wyłączę – powiedział z uporem Tambollin.

– Dobrze. – Wstałem. – Dobrze – powiedziałem zupełnie spokojnie. – Dobrze – dodałem obojętnie. – Proszę mi dać zatem na piśmie, że pan z własnej woli nie zastosował się do mojego zalecenia, które uważam za rozwiązanie problemu.

Tambollin zatrzymał się na środku, jakby go piorun strzelił. Przez chwilę wcale nie byłem pewien, czy nie stanęło mu serce albo coś podobnego. Nawet Malwan podniósł głowę i przestał skubać paznokcie. Wreszcie Tambollin mrugnął jednym okiem, potem drugim, zaczerpnął powietrza, siadł przed pulpitem i powiedział do mikrofonu:

– Wyłączyć linię P 16 w ATA-Talbia Nord... Natychmiast!!!

Tak wyglądało moje dzisiejsze efektowne zwycięstwo w dużym skrócie.

Rzecz jasna Tambollin nie omieszkął mnie jeszcze postraszyć, że jeśli ten mój pomysł się nie sprawdzi, to potrąci mi z wynagrodzenia, ale odpaliłem mu natychmiast gładko, że mam prawo do dziesięciu procent pomyłek, a to moja pierwsza decyzja dopiero. Jeszcze coś tam szemrał, że jeżeli się okaże ostatnia, to będziemy mieli sto procent pomyłek, ale nie słuchałem go i w pogodnym nastroju, jak rzadko dotąd od pamiętnego wieczoru w Konwenthotelu, udałem się zjeść coś w zbiorowej stołówce przeznaczonej dla ogółu pracowników.

Kiedy z apetytem wcinałem drugie danie – sznycel z tralfamadoryjskimi borówkami – zauważyłem Ptryrła. Przywołałem go zapraszającym gestem do wspólnej biesiady, w końcu siedziałem sam i w ogóle było pusto, a przecież nie po to przychodzi się do zbiorowej stołówki, żeby jeść posiłki samemu. Okazało się jednak, że nie będzie mi mógł towarzyszyć. Wpadł tylko na chwilę napić się łyk trzynastki.

– SzeF się tak wściekł, że trudno z nim wytrzymać. Nieźle mu pan zalazłeś za skórę! – wyciągnął z ust pastylkę, ułożył ją starannie na bibułce i pociągnął łyk płynu. – Gorzej na tej zamianie wyszedłem, niżbym się w ogóle zwolnił.

– Co takiego? – zainteresowałem się. – Nie opłaci się panu nowe zajęcie?

– Ach – machnął ręką i wypił kolejny duży haust, po którym ukazało się dno szklanki. – Roboty po łokcie. Wie pan, co to jest? Kontrola taśmy w Zakładzie Przystosowania Genetycznego. Taśma najstarsza na Maskrii, zakład wcale nie nowszy, i to wszystko sto metrów pod ziemią. Cztery godziny dziennie w piwnicy. – Jeszcze raz machnął ręką, włożył pastylkę

z powrotem do ust i żując gwałtownie, jakby miał zamiar ją rozgryźć na miazgę, odszedł do swoich spraw. Trochę mi go było żal. W końcu pośrednio przeze mnie spotkało go nieszczęście, ale niech tam. Są sprawy ważniejsze. Jedni wygrywają, drudzy przegrywają, jedni są górą, drudzy dołem, jedni na szczytach, inni leżą na obu łopatkach, odwieczny kołowrotek ciągłych zmian. Nic nie mogło mnie dzisiaj wyprowadzić z równowagi. Tak mi się przynajmniej do tego momentu zdawało. Niestety zaraz potem otworzyły się drzwi, właśnie kończyłem deser (kompot agrestowy – fatalna konsystencja, ale smak niezły), i ukazała się w nich rozpromieniona panna Tonsen, tym razem w różowych rajstopach, czerwonych szpilkach i kłującym oczy ceglastym cylindrze, z piórkiem oraz w takimż fraku, pod który ubrała pasiasty, czarno-zielony podkoszulek. Gdyby nie brak spiczastych uszu przy cylindrze, można by ją wziąć za autentycznego ararga, i przysiadła się do mnie. Przemily uśmiech. Odpowiedziałem tym samym. Jedno oczko, drugie, trzecie perskie. Nie odpowiadam, ale nie wypada mi być zbyt niegrzecznym, bo przecież coś więcej nas łączy niż wspólny stół w tej stołówce. A panna mówi, że wybiera się do sektora hotelowego, więc jeśli chciałbym zobaczyć...

– Jeżeli pani jedzie tym swoim ślizgowcem, to raczej dziękuję – odpowiadam z najmiłym uśmiechem i czuję, że po prostu powinienem powiedzieć: Kobieto, dajże mi święty spokój. Było nam miło, lecz jestem bardzo zajęty, a nawet jeżeli nie jestem... to co?, ale mówię:

– Bardzo chętnie obejrzałbym te wspaniałe hotele i restauracje, a zwłaszcza przejechał się jakąś wycieczkową trasą.

– Więc weźmy pański ślizgowiec! – podsuwa mi szybko panna Tonsen.

– Ja nie mam – mówię ze źle skrywaną radością.

– Każdy ma. Każdy, kto tu pracuje. Jeszcze go pan nie widział? Stoi w garażu za instytutem.

Dagnes odczepiłaby się dawno, gdyby tylko jeden grymas zdradził nieszczerłość mych słów, ale panna Tonsen jest inna. W gruncie rzeczy nie obchodzi ją, co ja czuję.

– Prawdę mówiąc – zaczynam się więc – nie lubię w ogóle ślizgowców.

Tonsen myśli, myśli, w końcu wpada na nowy concept:

– Możemy pojechać – mówi – jakimś archaicznym środkiem lokomocji. Drog tu co prawda nie ma, ale na przełaj, jakimś łązikiem albo... albo na przykład morzem! To byłoby wspaniałe.

– Nachyla się nad stolikiem i niespodziewanie całuje mnie w rękę. – To byłoby cudowne, żaglówka, ja i ty, my dwoje oraz ocean! – znów wpiła się gorącymi wargami w moją dłoń. Wyrrywam ją jak oparzony.

– Co pani... Co też pani robi... przecież to nie jest miejsce...

– Miejsce nie ma dla mnie znaczenia! Czy to kogoś może zgorszyć?!

– Nie lubię, kiedy ktoś całuje mnie przy innych! – trochę mnie już wyprowadziła z równowagi, choć nie do końca. Najchętniej natychmiast bym się jej pozbył.

– Wobec tego – powiedziała, nim zdążyłem wstać, żeby odnieść brudne naczynia do pochłaniacza – przyjdę do pana dzisiaj wieczór, po zmroku. Będziemy sami. Po co właściwie jechać do tych hoteli. To nic ciekawego! Znacznie miłsze są ustronne, intymne miejsca... – znacząco przeciągnęła dłonią w górę uda.

– Tylko że ja wieczorem pracuję...

– Niech mnie pan nie złości! Jest pan nastawiony na „nie” jak

gadający słupek graniczny. – Podniosła niespodziewanie głos i uderzyła małą, czarną piąstką w stół. Cylinder przekrzywił jej się przy tym zabawnie. – Niech pan powie wprost! Jeżeli wtedy było niemiło, niedobrze, nieprzyjemnie!...

– Ależ nie! – przerwałem, broniąc się gwałtownie. Coraz więcej osób patrzyło na nas, właśnie schodzili się, przyszła bowiem pora obiadowa, a zachowanie i strój panny Tonsen nie licowały ni z miejscem, ni z godziną. – Chodźmy, chodźmy stąd... – pociągnąłem ją. – Zaraz pani wyjaśnię.

Na szczęście zgodziła się wyjść z pomieszczenia jadalnego, acz niezbyt chętnie. Stanęliśmy na schodkach przed budynkiem, w tym oślepiającym słońcu, które poraża każdy nerw, i natychmiast z tego upału i w ogóle zapomniałem, co miałem jej powiedzieć.

Za to ona nacierała dalej. Wzięła mnie pod ramię i przyciągnęła blisko siebie:

– Albo po co – kontynuowała. – Po co czekać do wieczora? Chodźmy teraz. Mam dwadzieścia minut przerwy, a nawet mogłabym mieć więcej, jeżeli zajdzie potrzeba, powiedzmy godzinę!

– Teraz?! – przeraziłem się. – Teraz muszę iść... iść... – szukałem przeraźliwie kłamstwa mogącego stanowić usprawiedliwienie – ...do Tambollina. Jestem umówiony.

– A wydawało mi się – powiedziała Tonsen z szerokim uśmiechem, zęby ma rzeczywiście olśniewające – że właśnie stamtąd wyszedłeś. Kłamca. – W jej tonie nie było cienia złości, nawet satysfakcja i zmysłowość. – Uwielbiam cię. Uwielbiam bezwzględnych mężczyzn, którzy z całą brutalnością realizują swe samcze prawo posiadania i deptania! – mówiła podniesionym szeptem i nie bacząc na nic, zaczęła mnie tu na

środku, na oczach ludzi obcałowywać po głowie i twarzy, i znowu po rękach. Chciałem ją odepchnąć, a cały czas mój umysł pracował nad tym, jak by ją namówić, żeby przynajmniej w jakieś ustronne rzeczywiście, mniej publiczne miejsce zgodziła się przenieść ze swymi namiętnościami, przecież tutaj w każdej chwili może nadejść... i stało się, w tym momencie. Stało się, gdy całowała mnie namiętnie w usta! Nadeszła Dagnes. Wyrwałem się Tonsen i z głupoty, z zażenowania niepotrzebnego, z nierozsądku, pomieszania i konfuzji jałem poprawiać kombinezon, przyglądać fryzurę – jakby się naprawdę coś wydarzyło. Osioł!!! Któż się przyznaje do łotrostwa bardziej otwarcie jak nie morderca, co pospiesznie chowa nóż do kieszeni, jak nie złodziej, co pozbywa się gwałtownie skradzionego przedmiotu, jak nie łgarz, który kłamstwa swe odwołuje?!

– Ależ co się stało, kochanie?! – krzyknęła wystraszona Tonsen, która omal nie upadła. Pogorszyła tylko swym okrzykiem sytuację. Dagnes przedefilowała przed nami sztywna, jakby połknęła szczotkę, szyja jej nie drgnęła, by obrócić głowę w moim kierunku. Stałem jak słup, wpatrzony w nią jak sroka w gnat, jak diabeł w święty obrazek, jak głupiec w kiszony ogórek, jak... jak... mniejsza z tym.

– Ach! – odkryła poniewczasie Tonsen. – Rozumiem. Jesteś zakochany. Ja zawsze mam pecha.

Wzruszyłem ramionami. Cóż, miałem może zaprzeczyć?

– Żegnam – powiedziała oschle i twardo jak klinga szpady, która rozplątuje serce najgorszego wroga, i odeszła.

Zostałem ogłupiały na środku placu. Słońce prażyło nie osłoniętą głowę, mój czerep, tę puszkę, w której gotował się właśnie mój mózg. Tonsen nie było. Dagnes nie było. Ruszyłem

więc przed siebie. Cóż mi pozostało, jak nie leniwe leżenie pod drzewem, obcowanie ze sztuką, przemyślenia, rozrywki, skoro chyba definitywnie straciłem dwie kobiety, i to naraz. Po odsłuchaniu pięciu symfonii waltorniowych, trzech puzonowych, dwóch arii trąbonosowych, oglądnięciu pięciu stereonów, włączeniu się w dwa nudne realony i kanał HV, na którym siedł dziennik, postanowiłem spróbować symulatora, gdy doleciał mnie z wnętrza dźwięk fonu. Podeszedłem i odebrałem, chociaż nie bardzo miałem ochotę. Pot lał się ze mnie ciurkiem. Mimo że sygnał połączenia był w porządku, na ekranie ujrzałem kreski zakłóceń, ostrość stała się niewystarczająca, a osobnik, który mówił, miał na głowie maskę. Była to właściwie druga wielka gipsowa głowa, głowa boga byka Merssyla z Mardatasalii nasadzona na tę pierwszą, małą sprytną głowę, która schowała się w jej wnętrzu.

– Jeżeli nie przerwiesz – wybełkotała męskim głosem bycza głowa. – Jeżeli nie przestaniesz! Zginiesz! Zginiesz! Zginiesz! – zarechotała na koniec osobiwie i zniknęła.

Połączenie się urwało. Mimo całego upału po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Natychmiast wywołałem ścieżkę kontrolną.

– Kto ze mną rozmawiał i skąd? – zapytałem.

– Połączenie z automatu w sektorze turystycznym. Połączenie z automatu w sektorze turystycznym. Połą... – wyłączyłem go czym prędzej, bo jeszcze chwila i nauczyłyby mnie tego na pamięć. Wróciłem roztrzęsiony pod drzewo. – Chcą mnie wystraszyć! Mnie!!! – roześmiałem się, ale był to śmiech cienki, mało wesoły, przypominający raczej nerwową czkawkę. Meldować, zawiadamiać? Nie meldować jeszcze o niczym. Poczekać jeszcze na dalszy ciąg. A jeżeli będzie za późno?

Postanowiłem wstrzymać się jednak z zawiadomieniem Tambollina. Zbiegłem ze stoku wprost do wody. Miała konsystencję ciepłego śluzu i nieprzyjemnie kleiła się do ciała. Mimo to pływałem dobrą godzinę, prawie do zmroku. Nikt mnie tego dnia nie odwiedził. I ja doszedłem do wniosku, że lepiej będzie pozostać w domu. Trzeba było czekać. Czekać na efekt podjętych działań. Być może sprawa jest już załatwiona, a interwencja nieznanego wroga o byczej głowie spóźniona. Widziałem światełka jarzące się w domku Dagnes, ale jeżeli miałem być twardy, to do końca i we wszystkim. Wypiłem mleko, zrobiłem siusiu i poszedłem grzecznie spać. Nie miałem żadnych snów, złych ani proroczych.

Kilka następnych dni upłynęło spokojnie. Żadnych gwałtownych wydarzeń. Spokój w parku. Żadnych tajemniczych połączeń czy listów. Byłem zadowolony z siebie i już poczułem się jak na wakacjach. Czyżby moja praca na tym miała się zakończyć? Niestety. Życie to bardzo uciążliwy maraton, i to maraton z przeszkodami. Ten bieg wydaje się nie mieć końca, a każdy kolejny próg ma wyżej ustawioną poprzeczkę. Natury nie obchodzi, że z upływem czasu coraz mniej mamy sił i ochoty na podobne harce, w tym względzie wykazuje ona cechy istoty ożywionej, wręcz osoby ludzkiej o szczególnie parszywym charakterze. A już zupełnie nie ma mowy, by coś przebiegło gładko tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Nic łatwego, nic prostego – same komplikacje. Piątego dnia po południu zdarzyło się kolejne nieszczęście. Pozornie wydarzenie miało przebieg mało dramatyczny i nie zapowiadało niczego groźnego. Ja jednak czułem, czułem już narastanie kataklizmu.

Siedzieliśmy właśnie z Dagnes na pomarańczowych gładkach cypla Uszaków, który wbijał się malowniczym klinem w morze Purpurra jakieś sto kilometrów od Osady, rozdzielając jego buraczkowe, spienione wody u naszych stóp. Nastrój był bardzo

relaksowy i miły. Ledwie wczoraj zafonowała do mnie, nie wspominając ani słowem o sprawie panny Tonsen, i wieczorem spędziliśmy miłą godzinę w stołówce. Wyglądało na to, że puściła tamtą sprawę zupełnie w niepamięć. Teraz rozmawialiśmy o rzeczach pozornie obojętnych, o naszej przeszłości, o planach, o florze i faunie Maskrii, o cudownych barwach nieba i nagle w te nasze trele-morele wdarł się brzęczyk połączenia wifonicznego płynący z przegubu jej dłoni. Skąd wiedzieli, że jesteśmy właśnie tu? Nie musieli wiedzieć. Diabli człowieka biorą! Ani chwili samotności, żadnego ustronnego miejsca od czasów, gdy nas zaobrączkowano tymi elektronicznymi terrorystami łącznościowymi. Wypłyniesz na sam środek oceanu, żeby mieć święty spokój, a tu pik-pik-pik, fon; wplącesz się w jądro buszu, dżunglę, gdzie jedynie małpy i kakadu mają coś wspólnego z cywilizacją (potrafią nieźle małpować po prostu), i znów pik-pik, mają cię; włazisz w najgłębszą dziurę, jaką tylko na Ziemi da się znaleźć, i jeszcze tam się dobrze nie zdążysz usadowić, by nieco odpocząć po trudach, jakie niesie ze sobą tego typu przedsięwzięcie, a już ci brzęczy za uchem ta obrączka i to tylko z tego powodu, że jakiś kretyn akwizytor uparł się, żeby właśnie tobie zareklamować nowy bubel, albo bezduszny komputer właśnie ciebie sobie upatrzył do sondażu na temat planetarnej komunikacji w przyszłym stuleciu. Ja rozumiem, to bardzo ciekawe, bardzo pożyteczne, ale naprawdę... nawet nie możesz się schronić w sen, na Lunie też cię dopadną, na każdej planecie, wszędzie. Jedynie pustka kosmiczna gwarantuje jaki taki spokój, ale niedługo już, zapewniam was. Żeby było śmieszniej, zdjęcie z przegubu tego paskudztwa fonicznego jest prawnie zakazane, dla naszego dobra rzecz jasna, żeby nam się coś nie stało, przecież serduszko

musi być pod kontrolą komputera, ciśnienie, temperaturka ciała, poziom cukru, stopień krzepliwości, liczba czerwonych krwinek w każdej sekundzie – komputer czuwa, komputer twój przyjaciel, komputer twój sługa, komputer twoje drugie „ja”, komputer twój pan i władca!!!

Tak było i teraz. Dobrze, że na przykład nie zacząłem jej jeszcze całować (nie mówię, gdybym posunął się dalej), bo bym go roztrzaskał o pomarańczowe głązy razem z ręką, nie bacząc na całość kości!!! Łatwo mi mówić, prawda? Bo to cudza ręka i nie moje kości! Nie zdążyłem powiedzieć jeszcze, jak tu pięknie i romantycznie, a tu brzęczyk: pik–pik–pik–pik. Moje zdziwienie było jeszcze większe, gdy się okazało, że chcą rozmawiać ze mną, a nie z nią.

– Słucham – powiedziałem, nie hamując jawnej wrogości.

– Przepraszam – usłyszałem głos Tambollina. – Ale zapomnieliśmy przestawić kod pańskiej bransoletki zaraz po przylocie i stąd to małe zamieszanie. – „Małe zamieszanie”, niech go gęś kopnie!!!

– Coś się stało? – mówię zły jak osa.

– Niestety. Wypadek w Zakładzie Przystosowania.

– Wypadek?!

– Tak. Zaraz po wybudzeniu z narkozy pooperacyjnej trzy arargi, które zostały poddane zabiegowi, rzuciły się na androidy z obsługi.

– O Boże – jęknęła Dagnes.

– Rozumiem z tego, że do tej pory nie mieliście podobnych problemów?

– Nigdy.

– I co, pocięły je na sieczkę?

– Pan sobie dowcipkuje, a to jest klęska! – Tambollin niemal

płakał z rozpaczy.

– Ile androidów nadaje się na złom?

– Dwadzieścia cztery, a szesnaście do reperacji, niektóre w ciężkim stanie, do osiemdziesięciu procent wymiany uszkodzonych części!!! – mówił to tak, jakby co najmniej wymieniał liczbę zabitych i rannych.

– W porządku.

– Co w porządku? – ryknął. – Ostrzegam pana, że jeżeli ten pański pomysł nie wypali!!!...

– Arargi zostały obezwładnione i przebadane?! – przerwałem mu niegrzecznie.

– Dostarczymy wyniki do domu.

– Będę tam za chwilę.

– Na Jasną Przestrzeń! Niech pan coś sensownego nareszcie zrobi! Ta sytuacja nie może trwać wiecznie! Jeszcze te androidy, grożą mi komisją BHP i Nadzoru Pracy. Będą się skarżyć o odszkodowania za utratę integralności!

– Od tej pory – powiedziałem najzupełniej poważnie – zamykam się w celi i nie opuszczę jej dobrowolnie, aż problem zostanie rozwiązany!

– Jeżeli nie zostanie, będziemy zrujnowani! My zrujnowani, a przedsięwzięcie, które od tylu lat pięknie się rozwija, doszczętnie zniszczone!

– Niech się pan uspokoi, kolego Tambollin (kolego – tak go nazwałem!). Zrobię, co tylko się da. – I wyłączyłem owo piekielne urządzenie, które przerwało mi romantyczną randkę.

– Muszę wracać, Dagnes – powiedziałem do niej, choć nie chciało mi się jeszcze nigdzie iść. – Ale gdybyś zechciała odwiedzić mnie dzisiaj wieczór...

Przytknęła palec do mych ust.

– Nie mów nic. Zdaje się, że zapomniałeś o obietnicy złożonej Tambollinowi sekundę temu.

– Czyżby? Powiedziałem mu tylko, że nie opuszczę celu, i będzie to zgodne z prawdą.

– Szybko się uczysz.

– Człowiek się uczy na własnych błędach albo od innych – powiedziałem uszczypliwie, bo nie spodobał mi się jej moralizatorski ton. Zarumieniła się. Zmarszczyła brwi.

– Lepiej wracaj do swojej Tonsen. Ona będzie szczęśliwa i nie opuści cię nawet na minutę.

– Dziękuję za radę! – podniosłem głos, lecz zaraz się zmitygowałem. – Czy my musimy się zawsze pokłócić?

Ruszyła do ślizgowca, który błyszczał srebrzystym dziobem pośród tostańskich fiołków. Fiołki tostańskie wyglądały prawie tak jak nasze ziemskie, tyle tylko, że miały około metra wysokości, liście wrębnne, a nie owalne, kwiaty półmetrowej średnicy, białe, nie fiołkowe, a zapach bliższy zjełczałemu baraniemu sadłu niż kwiatowej symfonii miłosnej. Rozejrzałem się rozpaczliwie za czymś innym, ale nie było. Pobiegłem za nią, brodząc po kolana w tym rajskim kwieciu i sam nie wiem, widok czy nastrój miejsca podziałały na mnie tak silnie, że przyszło mi do głowy podarować jej piękny bukiet. Czytałem ostatnio w Zeszytach Historycznych, że do progu Ery Najnowszej istniał zwyczaj obdarowywania kobiet kwiatami, które świadczyły najlepiej o stanie uczuć delikwenta i przełamywały najbardziej skamieniałe bariery. Tak. Narwę jej pęk cudownych białych fiołków tostańskich, niech przyświadczą swą bielą czystość moich intencji, niech otworzą twierdzę jej serca, niech oddadzą cześć tej niepokalanej istocie, jaką Dagnes rzeczywiście była. Zacząłem się więc mocować z tymi parszywymi rośliniskami, pot

wystąpił mi na czoło, marynarka piła pod pachami, chajdawery przydeptywałem raz po raz koturnami obcasów. Uporałem się w końcu z jednym, lecz przekonałem się na własnej skórze, że różnica między fiołkami ziemskimi a tostańskimi tkwi nie tylko w powierzchowności, lecz sięga do głębi, te bowiem mają łodygi sztywne jak kocie ogony i tak samo jak kocie ogony sprężyste, i niczym koci ogon z kocich czterech liter tak i je trudno wyrwać z gleby.

– Pospiesz się – ponagliła mnie, nie oglądając się nawet za siebie. Poprzestałem na pojedynczej zdobyczy. Pobiegnę szybko, grzęznąc w ukrytych wykrotach. Muszę ją udobruchać!

– Co to? – zrobiła przerażoną minę, gdy ujrzała fiołek w mej prawicy.

– Chcę cię przeprosić. Wybacz mi. Obiecuję się więcej nie sprzeczać. To dla ciebie – wyciągnąłem dłoń ufnie ku niej.

– Dla mnie?! – krzyknęła. – Chyba oszalałeś?!!!

– To stary ziemski zwyczaj! Chyba docierają do was obyczaje i mody z Metropolii?

– Ziemski zwyczaj?! Nie urodziłam się ani nie wychowałam na Metropolii! Byłam tam po raz pierwszy dopiero teraz i wcale mi się nie podobało! Dla mnie to nie jest zwyczaj, tylko barbarzyństwo!

Na tle różnic obyczajowych nie raz już dochodziło do spięć i nieporozumień w stosunkach międzyplanetarnych. Swego czasu słynna była przygoda, jaką przeżył Ijon Tichy na dwóch bliźniaczych planetach Pincie i Pańcie. Posiadanie w tamtych rejonach Galaktyki puszek sardynek na pokładzie może być niebezpieczniejsze niż przeciek radioaktywny.

– To bardzo stary obyczaj – usiłowałem się usprawiedliwić. – Chciałem ci zrobić przyjemność!

– Ładna przyjemność dla kosmobotanika widzieć, jak ktoś niszczy jeden z najrzadszych okazów flory, na którego przystosowanie do warunków Parku zużyto pięćdziesiąt lat i milion transsolarów!

– Przepraszam. – Opadłem ciężko na fotel. Ruszyliśmy. Postanowiłem się nie odzywać. Nic nie będę robił. Nic nie będę mówił. Nie kiwnę palcem. Z babami tak zawsze. Zaciąłem się. Za to ona nie przestawała. Czego się nie tknę, to zaraz jej się nie podoba! Tylko na moment odstąpiłem od swej linii, wyszedłem z inicjatywą dzisiejszego spotkania i znowu kłótnia, nieporozumienie, katastrofa. Koniec. Żadnych inicjatyw więcej.

– Jak mogłeś to zrobić, bez zmrużenia powieki – tokowała Dagnes. – Bez chwili refleksji, bez pytania!!! Trzeba było przyjechać kosiarką i ofiarować mi całą łąkę!

Rzucała mi wściekłe spojrzenia. Usiłowała sprowokować do odpowiedzi. Nie ma nic gorszego dla kobiety niż milczenie, kiedy ona ma ochotę się pokłócić. Nie odezwę się. Mowy nie ma. Jadowite ostrze mej intuicji już nigdy nie zwróci się przeciwko mnie.

– Symbol? – kontynuowała Dagnes, gdy lecieliśmy nad górami Rubinów. – Dostyc wątpliwy. Dla mnie wyrwać najpiękniejszy kwiat z ziemi, to jak wyrwać uczucie z serca. Zabić roślinę, skazując ją na torturę wielodniowego umierania to manifestacja sadyzmu, odciąć ją od podłoża i znajdować w tym satysfakcję, radość – to co najwyżej dowód perwersji!!!

– Masz rację! – nie wytrzymałem mimo najsolenniejszych obietnic. – Zbyt się od siebie różnimy. Nie pasujemy do siebie! Ty: szlachetna i wzniosła, rozumna i piękna, nieposzlakowana i ucywilizowana – ja: gburowaty, tępy, bez ogłady i swady, sadystyczny, perwersyjny barbarzyńca!!! Dwie takie osoby nie

powinny przebywać razem nawet przez sekundę, bo stanowią koktajl zbyt niebezpieczny, mieszanekę, która w każdej chwili może, a nawet musi, detonować!!! Zatrzymaj tu!!! – wrzeszczałem. – Zatrzymaj natychmiast!!!

– Tu? – zdziwiła się. – Przecież lecimy nad oceanem?!

– Ostatni raz mówię: Zatrzymaj! Inaczej za chwilę poznasz rzeczywistość, co to prawdziwe barbarzyństwo!

Posłusznie zmniejszyła prędkość i wyhamowała.

– Otwieraj drzwi! – powiedziałem do komputera.

– Nie można – odezwał się przemiły jak zwykle. – Jesteśmy w locie. Wysokość pięćdziesiąt metrów.

Nic człowieka nie może wyprowadzić bardziej chyba z równowagi niż słodkie, mechaniczne trili-rili, gdy ma się ochotę bić i mordować!

– Otwieraj! – huknąłem groźnie. – Albo zaraz cię rozłukę na drobne kawałeczki!

– Daj spokój, Jan – przestraszyła się Dagnes.

– Nie można! – zawył rozpaczliwie automat. – Wysokość...

– Wiem, jaka wysokość!!! Nie pouczaj mnie, ty debilu, tylko otwieraj drzwi! Tutaj wysiadam!!!

Zamek szcęknął z oporem. Odepchnąłem drzwi. Kątem oka spostrzegłem, że Dagnes naciska guzik zmniejszenia wysokości. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty skakać, ale czyż mogłem zrobić teraz co innego?!

– Jan, proszę cię! – wyrzuciła z siebie błagalnie, a ja dałem nura, aż mi dech zaparło. Przez sekundę, która zdawała mi się wiecznością, szybowałem wykonując karkołomne fikołki. Odruchowo przygotowałem się na bolesne uderzenie, bo wiedziałem, że nie uda mi się uzyskać prawidłowej pozycji przy wejściu w lustro wody. Biorąc pod uwagę jej gęstość,

pozostało tylko zmówić błyskawicznie paciorek, nim mnie rozerwie, i liczyć na szybką reakcję komputera. Zacisnąłem powieki i skurczyłem się w środku. Czekałem... Czekałem... Czekałem... Otworzyłem oczy: Wiszę metr nad wodą w sieci rozciągniętej przez naszego elektronicznego obrońcę. Pode mną roi się od maleńkich wrzecionowatych rybek, jakby śledzi czy coś w tym rodzaju, czuję słony zapach wody, widzę każdą zmarszczkę na jej powierzchni. Szarpnąłem się raz i drugi, ale już windowano mnie do góry cały czas w tej idiotycznej, kompromitującej pozycji, z rękami wyciągniętymi do przodu, nogami w kompletnym nieładzie. Dziękowałem Panu i Przestrzeni Jasnej, że zainstalowano wszędzie czuwacze, że nie pozwalają zdejmować bransolet fonicznych, że na każdym kroku pilnowały ludzi maszyny, że interesowały się naszą niestrannością i najmniejszym wahnięciem ciśnienia, że interweniowały zawsze gotowe i sprawne, ze stuprocentową skutecznością. Nie byłem głupi, gdybym tego wszystkiego nie wiedział, nie skoczyłbym do morza. Wkrótce siedziałem już w swoim fotelu, drzwi były zamknięte i poleciliśmy dalej. Do końca lotu nie spojrzałem nawet na nią.

– Co zamierzasz dalej? – zapytała, gdyśmy już wylądowali. Zachowywała się, jakby nic nie zaszło między nami.

– Odizolować się od tego zwariowanego świata – odpowiedziałem i ruszyłem wąską ścieżką wiodącą z lądowiska do mojego domu.

Wszedłem do pokoju, gdy z rury pneumo wypadł pakiet analiz zrobionych krwiozerczym arargom. Z niecierpliwością rozdarłem kopertę. Od razu przeszedłem do alkaloidów, pomijając inne informacje, które wydały mi się nieważne. Niemal ta sama sytuacja! Mrucyna, furcyna, nikotyna,

narkotyka. Brak laktucyny. Zawartość podwyższona. W innych proporcjach niż poprzednio. Więcej nikotyny, znacznie mniej narkotyki, tyle samo mrucyny, dużo więcej furcyny. – Co jest, u diabła?! –myślałem. – Zakład Przystosowania Genetycznego znajdował się na innym kontynencie i na dodatek pod ziemią, jak twierdził Ptyrl... chwileczkę, Ptyrl?! W tym i w tamtym przypadku Ptyrl znajdował się blisko miejsca wydarzeń! Czyżby wiązało się to jakoś z jego osobą? Trzeba się pilnie przyjrzeć Ptyrlowi!

Zażądałem natychmiast informacji o miejscach jego pracy w poprzednich latach. Z podniecenia spotniały mi dłonie. Nie mogłem się wprost doczekać, aż terminal informacyjny zacznie wyszczekiwać wiadomość. Jeszcze dobrze nie wypluł cienkiej folii, gdy już drugi koniec wpychałem do czytnika i nacisnąłem starter. Przez ułamek sekundy trwałem w olbrzymim napięciu, dopóki ekran się nie rozjaśnił i wtedy... Kompletny kłops. Jeszcze jeden niewypał. Ptyrl nie miał nic wspólnego z poprzednimi pięcioma przypadkami. Przez ostatnie cztery lata pracował w tym samym miejscu na południu Talbii, tutaj niedaleko osiedla, głównie przy odłowie latimerii. Dokarmianiem pegazów zajmował się dopiero od niedawna, dorywczo. Chybiłem, jak rzadko! Tylko tyle, że występowała zbieżność między zatrudnieniem Ptyrła w ogóle na Maskrii i początkiem serii wypadków. Zbieżność oczywiście zupełnie przypadkowa, nie do dnia ani do godziny, nawet nie co do miesiąca. Ilu nowych pracowników rocznie zatrudniano w Parku Chimer? – Około 40% – padła odpowiedź z inforu. To mi do końca wyjaśniło sprawę. W tym samym roku przyjęto jeszcze parunastu innych, teoretycznie równie co Ptyrl podejrzanych. Informacja okazała się więc do końca bezużyteczna. Opadłem na czerwoną otomanę

prawie bez sił. Jak się do tego zabrać? Jak to rozgryźć?! Chyba zastosuję starą, wypróbowaną metodę jogów. Tak!

Najpierw pożywiłem się nieco, później odpocząłem godzinę, wreszcie wyłączyłem wszystkie urządzenia elektryczne, mnemoelektryczne i elektroniczne oraz przeciąłem wszelkie połączenia ze światem. Zamknąłem drzwi zewnętrzne na laserowy klucz, pozamykałem okna i nawet drzwi do ogrodu. Przez następne dwie godziny nie mogłem się jednak zdecydować na żadną z pozycji. Gmerałem, przebierałem, ale w każdej coś nie grało. Na głowie – zbyt męcząca, lotos – przykurcz ścięgien i trzy dni chodzenia w pozycji kucznej, nim ustąpi, dhanurasana – zwichnięcie kręgosłupa. Wziąłem też pod uwagę suptawajrasanę, majurasanę i siasiankasana, świeca też źle mi się kojarzyła, a po siedzeniu na piętach zawsze bolały mnie całe stopy. Próbowałem po kolei prawie wszystkich, ale wciąż mnie coś uwierało, gniotło, pobolewało, strzykało. Przy staniu na głowie (sirsasana) rozrzucone na dywanie okruchy wbiły mi się w ciemność, a przy leżeniu przerzutnym (wiparitakarani) naderwałem wreszcie ścięgno i mięsień kapturowy, co zmusiło mnie do rezygnacji z wymyślniejszych, lecz przez to i bardziej medytacyjnie obiecujących pozycji na rzecz najprostszej i najwygodniejszej siavasany, czyli zwykłego leżenia na plecach. W tej też pozycji po trudach gimnastyki usnąłem. Lubię spać. Sen pokrzepia. Sen odświeża. Sen pozwala mi śnić, że jestem kimś innym, niż jestem. Nie lubię siebie. Tylko ci, którzy siebie nie lubią, lubią śnić o sobie innym. Być innym, o tak! We śnie jestem herosem i gladiatorem, zdobywcą niewieścich serc oraz niezgłębionym magiem o superumyśle z ilorazem 3000. Jednym ruchem ręki rozbijam wraże legie, jednym mrugnięciem przywabiam gwiazdy piękności niespotykanej, jedną myślą przenikam strukturę wszechświata i odnajduję kamień filozoficzny. W rzeczywistości nic nie przychodzi mi bez wysiłku, prawdę powiedziawszy najczęściej nie wiem, jak to się stało, że coś zrobiłem w końcu dobrze, bo przez cały czas błędzę, a myśli

mam pokiełbaszone od Sasa do Lasa. Nie lubię takich pokiełbaszeńców, nie lubię więc i siebie. Nie spałem długo. Najwyżej dwie, trzy godziny. Zbudziło mnie dobijanie się do drzwi. I tym razem nie nawymyślałem się zbyt wiele, nim mi przerwano. Mało myślałem, jeszcze mniej wymyśliłem, do prawie żadnych konkluzji nie doszedłem, a już na pewno nic nie rozwiązałem. Ktoś tłukł się jak oszalały, zupełnie jakby nadciągało trzęsienie ziemi albo coś podobnego. Rozwścieczyło mnie to. Czyż nie mówiłem, że zamierzam się zamknąć?! Jeżeli będą mi co chwilę przerywać, to nigdy mi się nie uda! Hałas docierał do mnie jeszcze jak przez watę, nie wiedziałem, czy to już jawa, czy sen, ale krew się we mnie burzyła ze złości. Miałem krótko nadzieję, że się zniechęcą, ale po dalszych minutach łomotania zwlokłem się z dywanu i pobiegłem do drzwi. Zawróciłem stamtąd, bo przypomniałem sobie, że jestem nagi, i pobiegłem jeszcze raz. Otwarłem. Za drzwiami stała panna Tonsen.

– Niech panią pokręci! – wrzasnąłem, nim zdążyła otworzyć usta. – Nie zdążyłem się porządnie skoncentrować, a już mi przerywacie!!! Czego pani chce?!

– Ja? Nic. To szef pana wzywa – powiedziała oficjalnym tonem. – I to natychmiast!

– Natychmiast, natychmiast! Sklerotyk bezsensowny! Czy on ma pojęcie, na czym polega praca intuicjonala?! Czy on w ogóle wie, o co mu chodzi?!!!

– To nie moja sprawa. Czekam w ślizgowcu.

– Tylko wciągnę koszulę – powiedziałem.

W jej ślizgowcu siedział już nowy amant. Błady, gruby, z włosami jak badyle i szarymi wypsiałymi oczami. Kręciłem się niezdecydowanie, nie wiedząc, czy wsiadać, czy może lepiej iść na piechotę, ale Tonsen ponagliła mnie bezceremonialnie, więc wsiadłem i poleciliśmy.

– Co się tam stało? – zapytałem, gdy już hamowała, wcześniej

nawet bym nie zdążył, bo to ledwie dwa kilometry, czyli trzydzieści sekund ślizgowcem.

– W pobliżu Galepichry jest hodowla węży morskich. Trzy z nich wypełzły właśnie na ląd, diabli wiedzą dlaczego.

– Nie można mi tego było przekazać fonicznie?

– Jak? Przecież się odciąłeś od świata!

– Słusznie. Trzy węże. I co ja z tym mam zrobić? – mówiłem, opuszczając się po rozkładanych schodkach.

– To już twoje zmartwienie – poklepała mnie po ramieniu, jej amant uśmiechnął się współczująco i rozstaliśmy się.

Tambollin tym razem miał minę inkwizytora, więc postanowiłem nie czekać, aż zarzuci mnie pretensjami. Patrzył na mnie tak, jakby zamierzał przywalić mnie słowami niczym lawiną dorseylandzką. Nie ma niebezpieczniejszego zjawiska planetarnego nad lawiny z Dorseyland. Toczą się ze stukrotną prędkością tajfunu, a masa drobnego fragmentu bywa czasem większa niż całych Alp Apenińskich.

– Jak pan śmie nasyłać na mnie swoich bezmyślnych pracowników! – walnąłem z grubej rury. – Mówiłem, że zamykam się w celi! Czy pan rozumie, że przerwano mi trans, że przez dwadzieścia cztery godziny nie będę się mógł teraz skoncentrować?!

Tambollin osłupiał, zapomniał języka w gębie i już go miałem.

– Czy pan wie – kontynuowałem, zadając cios za ciosem – ile taki gwałtowny szok kosztuje mnie zdrowia?! Czy pan rozumie, że mogliśmy stracić szansę na rozwiązanie, gdyby została przerwana jakaś ważna wizja, sen, tok myślenia, ciąg skojarzeń?! Czy pan zdaje sobie sprawę z paragrafu 116 i 185, oraz 234 punkt 16 konwencji ogólnej, o powinnościach zatrudniającego?! Myśli pan, że wyłączyłem się z komunikacji ze światem bez ważnego

powodu?!!!

– Panie San! Niech pan posłucha...

– Nie zamierzam słuchać! – przerwałem mu. – Pański pracownik zadał sobie wiele trudu, żeby zburzyć mój spokój, omal nie rozwalił mi drzwi!

– Panie San!!! – ryknął Tambollin i walnął pięścią w stół. Umilkłem. Opadł gwałtownie na krzesło i dużymi haustami łapał powietrze. Minęła minuta napiętej ciszy.

– Niech mnie pan zrozumie – zaczął wreszcie. – Bardzo pana proszę. Wiem, że ma pan okazję, by się uczepić tych paragrafów i próbować zerwać umowę, ale to się nie opłaci ani panu, ani mnie. Musiałem pana wezwać. Proszę mi wierzyć. Musiałem, bo zamiast coraz lepiej, dzieje się coraz gorzej. Przestaję rozumieć! Przedtem jeden incydent przypadał na sto dni, od pana przyjazdu już na cztery dni. Nie uważa pan, że to się rozpręga?

– Owszem. Ale nie siedzę z założonymi rękami. Coś niecoś mam. Poza tym nie sądzi pan chyba, że to ja prowokuję zwierzęta do niesubordynacji?

– Nie, rzecz jasna, nie, tylko niech pan coś zrobi – schwycił za koniec mego rękawa i utkwiał we mnie błagalne spojrzenie. – Panie Janku, niech pan ratuje! Pański poprzedni pomysł był do bani olejowej! Niech pan ratuje, bo niedługo nastąpi kataklizm! Jeżeli pan nie będzie przeciwdziałał, to... teraz znowu te węże morskie, przecież niewiarygodna historia z nimi!

– Jeżeli mają we krwi podniesiony procent mrucyny, furcyny albo nikotyny... – zacząłem.

– Nie o to chodzi – przerwał mi. – Jeżeli pan tego nie znajdzie, to za dwadzieścia dni przybędzie Gremium i powyrzucają nas stąd wszystkich na zbity pysk!

– Czy na pewno wszystkich?... W każdym razie cieszę się, że fakt nadciągania kataklizmu wreszcie do pana dotarł.

– Co pan miał na myśli pytając, czy wszystkich?

– Nieważne. W porządku. Zaraz zabieram się serio do roboty, tylko... – zawiesiłem głos, bo przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Tylko?

– Ta umowa. Nie podoba mi się kilka jej punktów.

– Panie Janku, stale pan do tego wraca. Tłumaczyłem panu, że ja sam bardzo chętnie, ale nie mogę jednoosobowo podjąć żadnej decyzji.

– Niech pan przekona innych, że bez uczciwej zapłaty nie ma uczciwej pracy, a bez uczciwej umowy uczciwego wypełniania obowiązków. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że nieuczciwość jednej strony pociąga za sobą takie same postępowanie drugiej, i vice versa, otwarte przyznanie się do kłamstwa i oszustwa powoduje nie zemstę, lecz wybaczenie, dopiero potem możliwa jest współpraca.

– To nie jest wcale proste, gdy nie można przekonać dowodnie współpracowników, że pójdą na dno razem z łodzią, która tonie. Każdemu wydaje się, że jakoś utrzyma się na powierzchni.

– W każdym razie musi się pan postarać. – Wstałem, Tambollin podniósł się również. – Jeśli się panu nie uda, to jestem skłonny podejrzewać, że któryś z członków zarządu bardzo źle panu życzy. I radzę się pospieszyć, póki z chmurnego nieba nie lunął jeszcze deszcz.

– Może nie lunie? – próbował zażartować.

– Chmury są nad całą Maskrią – powiedziałem z uśmiechem sugerującym posiadanie ukrytych atutów. – A ja nie żądam wiele. 10 000 lunów więcej w razie niewywiązania się z zadania oraz likwidacji klauzuli o półrocznym okresie trwania kontraktu.

– 10 000? Dam panu odpowiedź jutro – powiedział ponuro. – Nie sędzę, by mi się udało ich przekonać.

– Niech to będzie lepiej od razu zmieniony tekst umowy. – Ukłoniłem się i wyszedłem. Byłem zadowolony. Miałem ich w ręku. Musieli zmięknąć. Ich czas kurczył się błyskawicznie, moja cena rosła. Rzecz oczywista, nawet nie myślałem o porzuceniu sprawy czy śrubowaniu ceny. Zbyt mnie ta zabawa pochłoneła. Miałem na myśli raczej własny prestiż i zemstę za podstęp. Dzisiaj był pierwszy dzień miesiąca Pchły. Idąc przybrzeżnymi szuwarami i mijając automatyczną barcę połowową, zakotwiczoną w tym samym co zawsze miejscu, postanowiłem serio zabrać się do roboty. Miałem pewność, że zaakceptują moje warunki, bo przeczucie kataklizmu wisiało w powietrzu jak zapach nadchodzącego tornada. Chyba... chyba że zwycięży przeciwnik Tambollina. Coraz więcej wskazywało, że taki istnieje, i to w jego najbliższym otoczeniu.

*

– Poproście do mnie Malwana – powiedział do fonu Tambollin. Czuł się straszliwie staro, czuł, że nie nadaje się na stanowisko dyrektora, zwłaszcza dyrektora tak dużego obiektu jak MASPAZ. Myślał, że w tym cichym zakątku wszechświata doczeka spokojnie emerytury, że cała jego praca polegać będzie na błogim biurokratycznym śnie, że po emeryturze osiadzie w Osadzie i będzie doglądał z doskoku swojego byłego gospodarstwa na półetacie lub jako doradca z małą dodatkową pensją. A tu masz! Spokojny zakątek okazał się piekłem. Posada jest poważnie zagrożona. W związku z tym o pozostaniu w Osadzie po przejściu na emeryturę nie może być

mowy, bo nie doczeka najprawdopodobniej emerytury, jeśli tak dalej pójdzie! Mało kto wiedział, a już na pewno nikt z jego podwładnych, że jeśli on wyleci, to nie tylko z posady, branży czy koncernu. Jeżeli go wyrzucą, to ostatecznie. Miał za sobą dwukrotne ostrzeżenie z powodu popełnionych błędów. Nikomu nie trzeba tłumaczyć, co znaczy trzecia czerwona gwiazdka na dokumencie zatrudnienia. Zresztą, kompletną nieprzydatność łatwo jest udowodnić. Wystarczy poddać delikwenta mozolnemu cyklowi badań kontrolnych, których długotrwałość spowoduje takie zmiany w organizmie, że któryś z parametrów zacznie odstawać od normy. W czasach, gdy na jedno miejsce pracy przypada dziesięć milionów chętnych, byle haczyk wystarczy, by człowieka odstawić na boczny tor niczym nie skrępowanej konsumpcji i nudy. Tylko jedna dziesięciotysięczna populacji człowiekowatych znajdowała obecnie zatrudnienie. Można powiedzieć, iż elektroniczna rewolucja III Generacji, uwalniając ludzkość od konieczności pracy, postawiła ją pod mur w szeregu innych konieczności, w tym konieczności wyboru między dalszym postępem na obecnej drodze a rezygnacją z własnych ambicji i tego, co określano mianem jądra człowieczeństwa. Tambollin miał się czego bać. Zawód administratora i koordynatora można zaliczyć do tych, które maszyny mogą z powodzeniem zastąpić, jego położenie było więc nieporównanie gorsze niż pozycja na przykład Jana. Intuicjonałowie i wszelkiej maści psionicy oraz kasty twórców tworzyli coś na kształt establishmentu, wirującej, wiecznie ruchliwej, tłustej śmietanki, która zbiera się na samej górze konwi wypełnionej w 98% chudym mlekiem. Śmietanka była ciągle poszukiwana. Tambollin dla ochrony swej posady gotów był zapłacić każdą sumę, posiadał jednak pewną wadę, która nie

rzucała się w oczy przy powierzchownym kontakcie. Mimo pozorów niezłomnej twardości za poczwórną maską logiki i oschłego chłodu Ruggiero Tambollin był człowiekiem wrażliwym, miękkim i uступliwym. Za nic w świecie nie chciałby nikomu sprawić przykrości, łatwo też ulegał wpływom. Trudno o gorsze cechy u kogoś, kto musi kierować dużą grupą ludzi i podejmować czasami niepopularne decyzje. Kamuflaż, studia psychologiczne oraz drobna łapówka sprawiły swego czasu, iż udało mu się przemknąć przez sito testów i otrzymać posadę, jaką sobie wymarzył. Nic dziwnego, w teście Wexlera zebrał 180 punktów. Z taką inteligencją łatwiej lawirować i czasem udaje się zwieść nawet komputery. Korzystne zbiegi okoliczności pomogły mu przetrwać niebezpieczne zakręty, gdy już się zdawało, że jego tajemnica zostanie ujawniona. Dożył sędziwego wieku ciągle na posadach kierowniczych, pomimo dwóch przykrych wpadek zakończonych gwieżdzistymi kleksami w dokumencie zatrudnienia. Niestety, tym razem sytuacja przedstawiała się najgorzej, jak tylko można sobie wyobrazić. Od samego początku, kiedy objął posadę w MASPAZ, przyszło mu zetrzeć się z Malawem Malwanem, który reprezentował diametralnie odmienny typ człowiekowatych. Szybko okazało się, że tępa bezwzględność i przebojowość Malwana są niemożliwe do opanowania. Tambollinowi brak było zresztą energii na podobne utarczki. Już od dawna, o czym na sto procent nikt nie wiedział, ale co wszyscy podejrzewali, dyrektor Tambollin nie podejmował żadnej decyzji za plecami Malwana. Powszechnie szeptano, iż ten szarlatan bez żadnego dyplomu jest szarą eminencją Parku. Równie powszechnie mówiono, iż Malwan przyczynił się do upadku poprzedniej dyrekcji MASPAZ. Jan nie miał pojęcia o tym wszystkim. Tambollin dobrze zdawał

sobie sprawę z sytuacji, chociaż udawał, że nic nie widzi. Tambollin robił, co Malaw Malwan sobie życzył, nie protestował, godził się na jego dziwaczne plany, na sposób zawarcia kontraktu z intuicjonalem, na odwracanie uwagi Sana od sedna problemu przez angażowanie go w kwestie szczegółowe, na podsuwanie panny Tonsen, przerywanie transu, opóźnienie doręczenia dokumentów i tak dalej. Tambollin udawał, że nie zauważa machinacji Malwana, udawał, że się z nim godzi. Początkowo dla świętego spokoju, potem tłumacząc sobie, że może Malwan nie posunie się tak daleko. Teraz, kiedy zaczynało być jasne, iż nic nie powstrzyma tej rasputinicznej osobowości przed wprowadzeniem w czyn paranoicznego planu sięgnięcia po władzę nad Parkiem, musiał zacząć działać. Mimo że krajało mu się jego uległe woskowe serce i cała natura wzdragała się przed stanowczym krokiem, Tambollin postanowił przeciwstawić się Malwanowi. Słowa Jana San uświadomiły mu, że ma ostatnią szansę, a przecież nie był człowiekiem głupim, może nieco zeszklerotyczałym, ale na pewno nie głupim, i całkowicie nie wchodziło w rachubę, by postradał na starość instynkt samozachowawczy. Słowa Jana, choć ten nie zdawał sobie z tego sprawy, spowodowały, że Tambollin przejrzał. Przejrzał i to, co zobaczył w najbliższej perspektywie, zjeżyło mu włosy na głowie. Był to kominiek, fotel na biegunach i amatorski zbiór etykiet z kaset stereonowych. Odegnął szybko ten koszmary obraz przyszłości w razie klęski i skoncentrował się wewnątrz. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę.

W progu stanął Malwan, jak zwykle naburmuszony, ze ściągniętymi brwiami, płonącym spojrzeniem, wielki jak góra i ponury jak ciemność.

- Powiedziałeś mu?! – rzucił wrogo od wejścia.
- Nie. – Tambollin schował dłonie pod biurko, by tamten nie dostrzegł, jak mu się trzęsą. – Nie powiedziałem i nie powiem.
- Dlaczego? – Malwan miał ochryply głos i manię kręcenia swym łańcuszkiem z mamutem.
- Nie wydaje mi się, żeby to był najszczęśliwszy pomysł.
- Chyba oszalałeś! – krzyknął Malwan i uderzył pięścią w stół.
- Chcesz, żeby nas stąd wyrzucili?! Masz robić, co ci każe!!!
Tambollin cofnął się instynktownie i skurczył w fotelu.
- Nas? – zapytał pozornie opanowanym tonem. – Ty jesteś bezpieczny... Poza tym on wyraźnie życzył sobie spokoju. Nie chciał niczego więcej.
- Ja mu nie wierzę. Trzeba go kontrolować i popędzać. Trzeba mu przydzielić kogoś, żeby...
- Nikogo mu nie przydzielę! – przerwał mu Tambollin. – Trzeba wypełnić warunki, które stawia! Twoje zarządzenia nie pomagają mu, jak twierdziłeś, tylko przeszkadzają.
- Stawia jakieś dodatkowe warunki?
- 10 000 lunów.
- I zamierzasz mu je dać?!!!
- Tak – powiedział Tambollin i zdziwił się, że przyszło mu to tak łatwo.
- Zaczekaj – Malwan nagle zmienił ton. – Parę dni zwłoki nie zaszkodzi, a chciałbym jeszcze czegoś spróbować.
- Nie ma mowy.
- Nie denerwuj mnie, Tambollin!!! – ryknął olbrzym tak, że zatrzęśły się szyby w oknach. – Co się z tobą dzieje?!!! Przecież facet sypnął garść szczegółów. Wrzucimy to na maszyny i może coś z tego wyniknie. Po co wydawać forszę, skoro nam się ona może przydać.

– Mnie niepotrzebna. Nie można dłużej zwlekać.

– Ale mnie potrzebna! Nie poprę cię na zebraniu Zarządu. Nie dopuszczę, żebyś mu dopłacał za nie wiadomo co! Merial mnie poprze.

– O tak. Ona ze swoją naiwnością i idealizmem gotowa paść trupem prędzej, niż dać nie potwierdzonego luna z kasy, ale nie wyobrażaj sobie, Malwan, że będziesz robił, co ci się podoba. Wiem coś niecoś o tobie.

– Grozisz mi?! – zaśmiał się szyderczo. – Staruszk, to jest sprzężenie zwrotne.

– Prawda – skonstatował Tambollin.

– Widzisz – Malwan uśmiechnął się pobłaźliwie i poklepał starego po policzku.

– Daję ci dwa dni.

– Mam jeszcze lepszy pomysł... – zaczął Malwan, lecz dyrektor mu przerwał.

– Twoje pomysły są kiepskie.

– Wszystko robię w dobrej wierze!

– Więc skończ z tym. Przestań robić cokolwiek! Masz dwa dni i koniec!

Przez moment wydawało się, że Malwan rzuci się na staruszkę. Wargi mu posiniały, mięśnie napięły się do ostateczności, a z oczu trysnęły błyskawice gniewu. Powstrzymał się jakimś cudem. Nie wiadomo, co go powstrzymało. Chyba resztką zdrowego rozsądku tłęca się na dnie opanowanej chorobliwą idée fixe świadomości. Odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju, trzaskając pleksitonowymi drzwiami tak mocno, że została z nich tylko klamka. Kilka osób obecnych w pracowni obok oniemiało z wrażenia. Po minucie pojawił się robot z nowymi drzwiami pod pachą, a po dwóch nikt

by się nie domyślił, że nastąpił tu wybuch wulkanu namiętności i trzęsienie czyjegoś ego o sile dziesięciu stopni w skali Richtera. Wieść o owym wydarzeniu rozeszła się jednak wśród personelu z prędkością znacznie szybszą, niż rozchodzi się dźwięk, i tego samego wieczora dotarła do Jana, któremu przeszkodzono po raz kolejny.

Ostatnio miałem zwyczaj obserwować zachód słońca z ogrodu. Siedziałem tam do momentu, aż się całkiem ściemniło. Dzisiaj na południowym zachodzie pokazały się zbrązowiałe chmury. Miejscami przechodziły w barwę czarnobrunatną i wyglądały jak porcje kawowych lodów, wykładane ręką niewidzialnego lodziarza na olbrzymi stół nieba przykryty złotym obrusem. Po przeciwnej stronie, nad horyzontem wschodziły pierwsze gwiazdy. Ocean łomotał u podnóża lesistego zbocza swym najgłębszym skomasowanym, lecz dźwięcznym basem, na który składały się solówki poszczególnych fal zestrojone jak w idealnym chórze. Dźwięk morza łączył się z gamą przedwieczornych zapachów i kolorami powietrza w upajający koktajl zdolny ukoić najbardziej zharatane nerwy. Przeglądałem pod starym pigwaniem pęk folii, które zamówiłem przez pneumo z tutejszej biblioteki. Materiał traktował o wszystkim i o niczym. Ogólnie rzecz biorąc, o Maskrii. Miałem nadzieję, że jeśli zapoznam się z najdrobniejszymi szczegółami z historii planety, z jej geologią, geografią, klimatem, biologią, niuansami warunków fizycznych i szczegółami wszelkich dokonanych ręką człowieka przekształceń, będę mógł się wczuć w jej tętno, w podskórny rytm rządzący każdym jej atomem. W tak harmonijnym zestrojeniu łatwo wyczuć dzięki nadwrażliwej intuicji drobne dysonanse albo przynajmniej w pewnym stopniu zrozumieć, co by je mogło spowodować. Na tym miała polegać nowa metoda pracy. Była straszliwie pracochłonna i wymagała nieco czasu, ale doszedłem do wniosku, że nawet jeśli nie spowoduje pożądanego

rezultatu, czyli pełnego sukcesu, to da dużo nowej wiedzy, która może się przydać później, a już z pewnością nie zaszkodzi. Włączając metody hipnopedyczne, wchłonięcie niezbędnego materiału nie powinno mi zająć dłużej niż tydzień. Trzeciego dnia miesiąca Wieprza mógł być gotów i jeżeli wcześniej nie spłynie na mnie olśnienie, pozostanie to ostatnią deską ratunku.

Metodę dogłębnej analizy i harmonijnego współodczuwania polecano na Akademii jako szczególnie pewną, choć żmudną i nieefektywną, gdy w grę wchodziły krótkie terminy lub konieczność podejmowania natychmiastowych decyzji. Sposób ten, zwany w skrócie „dajhwa”, został opracowany już w roku 1431 Najnowszej Ery przez jednego z najsłynniejszych intuicjonistów wszech czasów, Isobar Highstrunga i przyczynił się do rozwiązania wielu ważnych problemów. Wielokrotnie przerabiałem tę metodę na ćwiczeniach i miałem w niej spore sukcesy. Co innego jednak ćwiczenia, a co innego tutaj.

Westchnąłem. Odłożyłem arkusz i spojrzałem na morze. Miałem wielką ochotę współodczuwać z jego lepкими falami za pomocą szybkiego, zwinnego kraula. Kiedy gapiłem się na morze, całkiem z boku, na granicy pola widzenia dostrzegłem cień. Odwróciłem głowę w tamtą stronę. Nikogo nie było. Byłbym przysięgł, że czarna sylwetka przeskoczyła zza jednego krzaka za drugi. Wieczorny bezruch. Słońce zniknęło za horyzontem, lecz niebo pozostawało jasnokrwiste, tylko na wschodzie z bordowometalowej płaszczyzny biły białe iskry najbliższych Maskrii planet. Musiało mi się zdawać. Nawet jeden listek nie drgnął na drzewach. Skupiłem się na pracy.

Sukces był mi bardzo potrzebny. Nie chodziło wcale o satysfakcję własną, to także, ale w mniejszym stopniu. Raczej szło tu o dobry start. Żaden intuicjonista nie musiał się martwić o pracę, nawet ci średni mogli liczyć na parę czy paręnaście

zamówień w ciągu życia. Nie zamierzałem być średni, a tym bardziej nie myślałem spędzać reszty swego „czasu na Ziemi”, bawiąc się Tarokiem lub wgapiony w szklane kule wróżyć gospodyniom, czy uda im się imieninowy tort z ananasami, albo ekstrapolować znudzonym młodym parom, czy najnowszy nabytek, wspaniały afrodyzjak sprowadzony z Ba Chhi, okaże się rzeczywiście skuteczny. Trzask gałęzi. Podniosłem wzrok. Coraz ciemniej. Ktoś musi tam być?! Czyżby życzliwy informator doszedł do wniosku, że czas przejść do konkretniejszych działań?! Wstałem. Zebrałem folie, mnemoporty i szyfrokobówki komputera, twarde i półtwarde dyski. Bez specjalnego pośpiechu skierowałem się ku werandzie. Szedłem równym krokiem i nie oglądałem się za siebie, lecz czułem, jak od cierpnącego karku wzdłuż kręgosłupa posuwa się mrowiące stado drobnutkich owadów wyimaginowanych przez napięte nerwy. Ten ktoś mógł mieć na przykład broń i właśnie teraz, gdy wstępowałem na schodki oświetlony jak tarcza strzelnicza lampami z pokoju, nadarza się najlepsza okazja, by pociągnąć za spust. Przekroczyłem próg. Teraz? Nie! Padłem na ziemię i krzyknąłem: – Zgaś! – Automat zareagował błyskawicznie. W kompletnej ciemności nacisnąłem guzik i drzwi zamknęły się bezszelestnie. Przejrzysty pleksiton posiadał zbyt słabą trwałość, by obronić mnie przed kulą. No, może przed jedną, ale nie przed serią. Jeżeli jeszcze nie spłoszyłem do końca intruza swą gwałtowną reakcją, to powinien przejąć inicjatywę i zaatakować. Przebrnąłem przez mroczne pomieszczenie, potykając się na fotelu, na rozstawionym na dywanie odbiorniku stereonicznym, po czym pośliznąłem się na zestawie kasetonów, uderzyłem czołem we framugę i wyjechałem do przedpokoju po rozrzuconym w progu szlafroku. W wąskiej kiszce

przedpokoju było jeszcze ciemniej. Usiłowałem ominąć garnek, o którym pamiętałem, że go postawiłem na samym środku, i przylepiony do ściany po prawej stronie strąciłem ze stolika aparat wifonu, butelkę i kieliszek, który rozprysnął się na podłodze z trzaskiem. – Piękna akcja – pomyślałem zezłoszczony swą niezdarnością. – Jakby pijany, ślepy komandos próbował wyjść z labiryntu Fantomów przez teleportację. Zaiste, żeby jeszcze coś z tego przedsięwzięcia wyszło, by zaskoczenie się udało, komandos po przeciwnej stronie musiał być równie pijany i głuchy.

Przemknąłem do drzwi frontowych na tyle cicho, na ile to było możliwe, i wyszedłem na zewnątrz. Należało okrążyć dom i zająć przeciwnika od tyłu. Oczekałem parę sekund, by przywyknąć do otoczenia, i ruszyłem wzdłuż muru, który powinien mnie zaprowadzić na werandę. Ostrożnie wychyliłem głowę za pierwszy załom. Nikogo. Posuwałem się dalej po białym zgrzytającym żwirze do następnego narożnika. Znow znalazłem się w ogrodzie. Na tle nieba dojrzałem niespodziewanie sylwetkę intruza, czarny cień nachylony u drzwi. Jakby usiłował zajrzeć do środka albo podważyć mechanizm zamka. Zrobiłem na palcach krok w stronę szczupłego napastnika w wąskich spodniach i wstrzymałem oddech. Intuicyjnie spodziewałem się wielkiego typu o kolosalnych barach, może samego Malwana, a nie takiego chucherka. Tylko że chucherka najczęściej dobrze znały tajniki tepsth-mzumo, jo-ku-trunk-feel czy biting-dragon-style. Nie zastanawiałem się wiele. Dwa metry od sylwetki z bojowym okrzykiem wzbiłem się w powietrze i spadłem jej na kark. Rozległ się przeraźliwy damski pisk i razem upadliśmy na pianxidbeton. Zmartwiałem z wrażenia. Dziewczyna zamarła także, lecz chyba od zderzenia z pianxidem, co zawsze było

bolesnym przeżyciem zapierającym dech w piersiach.

– Kto to? – rzuciłem w ciemność, trzymając jednak mocno wykręcone do tyłu ręce przeciwnika.

– O Boże, jak to boli?! – usłyszałem przepełniony skargą głos. – Błagam, puść mnie! – Rozpoznałem go bez trudu.

– Co ty tu robisz? – puściłem ją, otwarł drzwi i wprowadziłem do środka. – Niech to diabli. Mogłem ci skrócić kark! – Zapalił światło.

– Czego tu szukasz?! Szpiegujesz mnie?!

– Nie. Skąd – powiedziała oburzona.

– Nie oburzaj się. Lepiej stań tam pod murem i ręce na ścianę!

– Posłusznie spełniła polecenie. Przeszukałem ją pobieżnie. Broni nie miała.

– Więc?! – zapytałem, kiedy mogłem już spokojnie opaść na fotel.

– Co więc? – zapytała, nie poruszając się.

– Co to za nowy pomysł? Przerzucasz się z kosmobotaniki na kosmozoologię?! Nowe studia nad homo sapiens?!

Dagnes westchnęła i usiadła obok mnie.

– Chciałam ci powiedzieć, że Tambollin pokłócił się z Malawem Malwanem.

– Bardzo interesujące... – zawiesiłem głos. – Ale nie dla mnie. Prawdę mówiąc, gdyby nie bezbrzeżna naiwność tego tłumaczenia, posądziłbym cię o coś gorszego niż tylko szpiegowanie.

– Masz rację.

– Rację?!

– To nie jest prawdziwy powód.

– Jaki jest zatem prawdziwy?

– Kocham cię. Ostatnio zachowywałam się głupio. Chciałabym

to naprawić.

– Kochasz mnie? W porządku – powiedziałem sceptycznie. –

A jak ten scenariusz ma wyglądać dalej?

– Scenariusz? Jaki scenariusz?!

– Nie rozumiesz? Doskonale. Napijesz się czegoś?

– Nie wierzysz mi?

– Ani trochę. Napijesz się?

– Zrobię wszystko, co zechcesz, żeby cię przekonać.

Zagwizdałem przez zęby, brwi same uniosły mu się ze zdumienia.

– Więc napij się czegoś – powiedziałem z czarującym uśmiechem.

– Przestań mnie namawiać do picia!

– Dobra. Więc ja ci powiem, jak ten scenariusz ma wyglądać. Oto co masz zapisane w następnej linijce: On rzuca mi się teraz na szyję, upojna noc, upojny tydzień, wyruszamy w podróż poślubną, trzy miodowe miesiące i już cała reszta jest po naszej myśli. Kontrakt leży, zwierzaki harczą, Gremium się wścieka, Tambollin wylatuje. Tak tam jest napisane, czy może inaczej?

– A może tak? – rzuciła w moją stronę razem z jadowitym spojrzeniem. – On mi nie wierzy, wyrzuca mnie z domu, ja zażywam sto bromunali, on ma wyrzuty sumienia, nie może pracować, kontrakt diabli biorą, mnie w końcu ratują, pomarszczoną i wyłysiałą, ale od czego operacje plastyczne, za to zwierzaki harczą, Tambollin wylatuje i tak dalej.

– Ciekawe – powiedziałem po chwili zastanowienia. – Tylko że nieprawdziwe.

– Na pewno?

– Pod warunkiem, że prawdziwe jest to, co powiedziałaś wcześniej, że zrobisz wszystko, co zechcę, by mi dowieść

wartości swoich słów.

– Co mam zrobić?

Jan podszedł do podajnika i nacisnął cyfry: 16 80 16.

– Masz zostać dziś ze mną na całą noc, aż do rana – powiedziałem, skupiając się wyłącznie na szklaneczkach, do których spływały lepkie strumyki alkoholizowanego feromafrodu. – I nie licz na wyznania wielkiej miłości. I rób tylko to, co ci każę. – Podąłem jej kieliszek. Powąchała i dała znać uśmiechem, że rozszyfrowała zawartość tego płynu.

– Zgoda.

Wypiliśmy jednym haustem. W chwilę potem osunęliśmy się na dywan spleceni i zrzucaliśmy z siebie niecierpliwie figowe listki, które w podobnych sytuacjach są najzupełniej zbędne.

Była to najwspanialsza noc w moim dotychczasowym, krótkim życiu. Gdyby ktoś mi choćby dzień wcześniej powiedział, że trafię kiedyś na tak wspaniałą pogromczynię smoków i że to będzie właśnie Dagnes Merial, nie uwierzyłbym mu za nic. To jednak był fakt. Mogłaby śmiało konkurować ze świętym Jerzym, gdyby nie zasadnicza różnica między smokami, o które tu chodzi. Coraz to budziliśmy się, całowali, kochali szczęśliwi, że jesteśmy tylko we dwoje, zapadaliśmy w krótki sen, by zbudzić się jeszcze szczęśliwsi i znów całować. Cały świat ze wszystkimi jego okropnymi problemami, Maskria i jej bezsensowny Park Chimer, transgalaktyki i transsolary, hekatombi i wynalazki, przeszłość oraz przyszłość ludów i szczepów, człowiekowatych czy siarkowych; stawały się w naszej wspólnej, granatowej ciemności tak nieważne, jak kruszynka pyłu gwiazdowego jest nieważna dla masy Galaktyki. Tylko nad ranem sen o złocistej sferze zakłócił mą pewność siebie. Maskria uciekała w nim spod mych stóp, rozpełzała się daleko na boki, w przestrzeń, by nagle, okrążywszy mnie, zatrzasnąć się ową złotą jarzącą się kulą. Nacieralem

na roziskrzoną ścianę, przebijałem się przez jej słodki, odurzający blask, ale za nią znajdowała się następna, srebrna, a po niej szła purpurowa, karminowa, amarantowa, błękitna, biała i jeszcze raz złota. Nabierałem sił do ponownego ataku i cała droga powtarzała się od początku, a każda bariera, utkana z innego rodzaju tworzywa, niosła w sobie odmienny gatunek słodczy i rozkoszy, zniewalała na swój niepowtarzalny sposób. Poczułem w pewnej chwili, że następnego obrotu już nie dokonam, złota kopuła pojmała mnie w jasyr, jej złoto było najbardziej złote, a słodycz najśłodsza. Wtedy powietrze stało się gęstsze, wyraźnie widzialne, dokładnie nasączone złotoblaskami, a potem zgęstniało jeszcze wyraźniej, uzyskując konsystencję miodu, a potem więzienie zamknęło się na zawsze, złota kuleczka podrzucana ręką dziewczynki pod niebo i ja w jej wnętrzu, uwięziona w bursztynie mucha... Obudziłem się i na ułamek sekundy zakiełkowała we mnie ponownie nieufność do świata, do tej kobiety, do sytuacji, samego siebie, drzemiących, ukrytych sił mego organizmu, prawdomówności zmysłów i lojalności świadomości. Gdy obróciłem głowę w bok i odszukałem ciepłą dłoń słodko śpiącej Dagnes, zaraz się uspokoilem. Złe przeczucie przysło – mydlana bańka ciemności – czarne baloniki nocy. Czyż ta wspaniała kobieta nie kochała mnie szczerze? Czyż nie dała absolutnych dowodów swego uczucia?! To ciało nie mogło kłamać! Te cudowne piersi pulsujące pod moimi palcami przyspieszonym rytmem, te rozfalowane biodra, pachnące ziołami włosy, chętnie moim pieścizotom oddane, miękkie łono, alabastrowa skóra były prawdą i tylko prawdą, prawdą najprawdziwszą i odwieczną! Od tych myśli spłynął na mnie błogi spokój, który pozwolił mi spać twardo i bez sensacji do późnego przedpołudnia następnego dnia.

*

Ranek przywitał nas cudownym śpiewem ptaków. Nie. Ranek

przywitał nas cudownie, śpiewem ptaków. Też nie. Ranek powitał nas śpiewem cudownych ptaków. Mniejsza z tym. Niech tak zostanie. Trochę mnie to zdziwiło, bo jak długo zamieszkiwałem w tym skromnym lokum na skarpie, nigdy nie udało mi się usłyszeć świergotu. Delikatnym pocałunkiem zbudziłem Dagnes. Zauważywszy swoją nagość, zarumieniła się i natychmiast przykryła narzutą. Lubię tę kobietę wstydlivość, nawet jeśli jest nieco udawana. Przez chwilę trwała nieruchomo i nasłuchiwała treli płynących z ogrodu.

– Prawda, że piękne? – powiedziałem. – To prezent od bogów Maskrii na nasz pierwszy wspólny dzień.

– Jeżeli nawet prezent – powiedziała z napięciem w głosie i podeszła do okna – to raczej niezbyt miły.

– Nie lubisz ptaków? – znajdowałem się we wspaniałym nastroju, w doskonałej dyspozycji, mogłem przenosić góry pod warunkiem, że natychmiast zjem coś konkretnego i wezmę prysznic.

– Ptaki? Owszem, dlaczego nie. Tylko że to nie są ptaki. – Usiłowała coś wypatrzeć, przylepiając nos do szyby, ale najwyraźniej nie udawało jej się.

Oderwałem się od podajnika, bo program śniadania był już gotowy, i poszedłem w jej ślady. Nie dostrzegłem niczego, ptaków także.

– Jeżeli są, to muszą siedzieć gdzieś z boku – powiedziała.

– Wyjdźmy – stwierdziłem. – Zobaczymy z bliska.

– Nie – powstrzymała mnie gwałtownie przed naciśnięciem guzika. – Mam go. Popatrz tutaj.

Skierowałem posłusznie wzrok we wskazanym przez nią kierunku, to jest na lustrzanie gładką pianxingową posadzkę werandy. Odbijał się tam obraz zadziwiający. Korona ginsengu,

który stał na wprost, nieco w lewo, i w jego rozłożystych konarach na różnych wysokościach spoczywające... trzy olbrzymich rozmiarów złociste gryfy!!! Uniosłem oczy. Przylepiłem policzek do szyby. Ich potężne lwie łapy ostrzegały muskulaturą i szponiastymi zakończeniami pazurów. Zakrzywione orle dzioby również nie wróżyły nic dobrego. Tylko nieco gardłowy, prawie słowiczy tryl zwodniczo wabił ofiary.

– Co one tutaj robią?! – krzyknąłem.

Największy z gryfów, jakby mnie usłyszał, utkwiał w mojej twarzy zionące nienawiścią, drapieżne, żółte ślepia. Przeszedł mnie dreszcz.

– Trzeba się połączyć z Tambollinem!

– Myślę, że oni już wiedzą – powiedziała powoli Dagnes. – Przecież gryfy mają swoje siedliska na północnym Konwirze. Sześć tysięcy kilometrów stąd. Musiały przeciąć parę stref obserwacyjnych. Lepiej się zastanówmy, jak stąd wyjść?

– Wyjść? A po cóż mielibyśmy wychodzić? – objąłem ją ramieniem i pocałowałem w ziołowe włosy.

– Opamiętaj się, Janie. – Delikatnie wysunęła się z mych objęć.

– Zdaje się, że powinienes się zająć tą sprawą, i nie tylko tą. Ja też mam swoje obowiązki.

– Zajmuję się moją sprawą nieustannie i wcale w tym celu nie muszę wychodzić.

– Ale ja muszę.

Nacisnąłem guzik.

– Co robisz?! – krzyknęła przerażona Dagnes, lecz powstrzymałem jej rękę usiłującą co prędzej odciąć nas od zagrożenia. Zwierzaki zaciekawione mechanicznym szumem wgapiły się w otwarte wejście. Po raz wtóry zrobiło mi się nieswojo. Mimo tego nie zrezygnowałem. Wezwałem czuwacza,

który dotychczas stał zupełnie przede mną zapomniany w kącie szafy ze sprzętem zelektronizowanym.

– Umiesz ciskać kamieniami? – zapytałem go.

– Umiem wszystko! Wszystko, co konieczne do obrony bądź ataku! – oznajmił buńczucznie.

– Widzisz te gryfy na ginsengu? – wskazałem żeńszeniowe drzewo.

– Widzę – odpowiedział mrugając teodolitowym namiernikiem.

– Przepłósz je stąd. Tylko tak, żeby im nie zrobić dużej krzywdy i żeby im się odechciało tutaj przyłazić.

– Zrobione – powiedział czuwacz i zapalił czerwony sygnał zadowolenia. – Do tego nie trzeba kamieni.

Obserwowaliśmy jego akcję zabezpieczeni zamkniętymi drzwiami. Czuwacz stanął pod samym drzewem i zadarł kwadratowy łeb do góry. W pewnej chwili światelko na jego szczycie zmieniło barwę na ostrozieloną i w tym samym momencie wydał z siebie tak przeraźliwy ryk, że mimo pleksitonowej zapory omal nie popękały nam bębunki. Gryfy nie drgnęły. Czuwacz zaryczał ponownie, zaczął tupać żelaznymi nogami, wzbijając przy tym tuman kurzu. Gryfy nie drgnęły. Czuwacz złapał uchwytami za pień i nie przestając ryczeć oraz tupać, zaczął coraz energiczniej potrząsać drzewem. Wtedy największy gryf spojrział w dół i jednym skokiem dopadł naszego obrońcy. W kotłowaniu pokrytej kołtunem kurzu, która teraz nastąpiła, trudno było dojrzeć przebieg walki. Nie trwała ona zresztą długo. Pył rozpląnął się po sekundzie i już wiedzieliśmy, że sprawa nie będzie prosta. Czuwacz nie istniał. Pozostała z niego jedynie na wpół wbita w grunt zdeformowana głowa, której czub wysyłał rozpaczliwe laserowobłękitne SOS.

– Nie przypuszczałem, że czuwacze mogą wykazać się taką pyszałkowatością! – stwierdziłem z westchnieniem.

– Trzeba się stąd wydostać, dotrzeć do centrali, dowiedzieć się, co się właściwie dzieje. Dlaczego nas natychmiast nie zawiadomili?

– Myślę, że Tambollin naprawdę wziął sobie do serca to, co mu powiedziałem. Bał się mi przeszkadzać.

– Ale mnie? Powinien się połączyć z moim osobistym inffonem. – Pokazała na bransoletkę, którą cały czas miała we właściwym miejscu.

– To proste. Odłączyłem się od zewnątrz. To oznacza, że cały budynek jest ekranowany. Nie mógł się z tobą połączyć. Pewnie cię szukają.

– Trzeba koniecznie wezwać kogoś stamtąd.

– Masz rację – powiedziałem i włączyłem urządzenia inforofonowe.

– Poczekaj, tylko się ubiorę. Nie powinni nas zobaczyć w takim stanie.

– I tak już się domyślają. Przecież dawno już musieli zapytać inforu, gdzie jesteś.

Połączyliśmy się z biurem Tambollina. Trwało to nad wyraz długo, jak na normalne tutejsze stosunki. Wreszcie ktoś po drugiej stronie odebrał połączenie. Na ekranie ukazała się ponura twarz Malawa Malwana.

– No i co, psioniczny degeneracie – zaczął, nie dopuszczając mnie do słowa. – Tutaj klęska żywiołowa, a ty zamiast coś robić podrywasz następną panienkę?!

Zawrzało we mnie, ale już Tambollin wyrwał urządzenie Malwanowi.

– Niech pan przyjeżdża. Zgadzam się na wszystkie pana

warunki. To jest kataklizm. Nie ma chwili do stracenia!

– Właśnie w tej sprawie się łączę. Przyślijcie jakieś wyspecjalizowane automaty. Jesteśmy otoczeni przez gryfy, które przed chwilą rozbiły w strzępy czuwacza.

– Mnie już nic nie dziwi – powiedział Tambollin. – Zaraz będzie tam WZROK i ślizgowiec.

– Jeszcze jeden warunek – powiedziałem szybko, nim zdążył się wyłączyć.

– Nie zamierzam się targować. Słucham, choć jest pan najbezcenniejszym młodym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miałem styczność.

– Wraz z zakończeniem pracy przeze mnie rozwiąże pan kontrakt z panną Merial.

– Z miłą chęcią – powiedział Tambollin i wyłączył się.

Popatrzyłem na Dagnes, stała osłupiała z półotwartymi ustami.

Jakby jakiś wewnętrzny trybik się zaciął w chwili, gdy miała właśnie coś powiedzieć. Skamieniała królewna. Nagle rzuciła się na mnie z furją.

– Czyś ty oszalał?! – wrzeszczała, okładając mnie pięściami. – Co sobie wyobrażasz?! To ma być nagroda za moją miłość?!

– Uspokój się. Uspokój się, kochanie – usiłowałem powstrzymać za wszelką cenę jej zakończone ostrymi pazurkami ręce, które orały bezlitośnie mój tors. – Kocham cię! Kocham, rozumiesz?! – Zamarła. Pewne słowa miewają w pewnych chwilach zbawienne skutki. Objąłem ją mocno.

– Kocham cię. Będziemy bogaci, jeżeli rozwiążę ten problem. Nie musisz się tutaj kisić. Wyruszymy w podróż, dokąd zechcesz. Będiesz mogła kontynuować badania na własny rachunek! Kupimy laboratorium, jakie sobie wymarzysz!

– Jeżeli rozwiążesz problem – powiedziała bez zachwytu.
– Rozwiąż! Na pewno! Przy takiej motywacji...
– Nie jestem pewna, czy mnie zadowalała ta perspektywa.
– Czy cię zadowala?! Przecież dla twórczego umysłu nie ma nic miłszego niż perspektywa swobodnej możliwości tworzenia?!

– Prawdę mówiąc, mam tysiąc różnych pomysłów na życie, ale w żadnym z nich nie ma miejsca na niewolę w męskich rękach.

– Niewolę? Będziesz robiła, co zechcesz! – W naszą rozmowę wdarł się przeciągły warkot przechodzący w gwizd. Musieliśmy przerwać dyskusję, jako że nadleciał właśnie robot. Wyglądał dosyć osobliwie, jak latający złamany wiecznopis, z którego powierzchni w nieregularnych odstępach wyrastają mniejsze i większe bąble. Z tych bąbli z kolei wyrastały miejscami inne, a z tamtych cała masa rączek, wysięgników, teleskopowych anten, trójkątnych stateczników, wylotów rur, różnokalibrowych luf karabinów, działek, promienników, moderatorów pola, degeneratorów falowych, przyspieszaczy, spowalniaczy, a nawet młotkowaty knut lagownicy.

– A cóż to za pokraka? – wyrwało mi się.

– Nie pokraka, lecz forteca. WZROK – odpowiedziała Dagnes. – Konkretnie jeden ze WZROKÓW, czyli Wielozadaniowych Zespolonych Robotów Obrońców Kontynentu.

– Rozumiem – wyszeptałem zdumiony. W tym samym momencie rozległ się migotliwy, alarmowy sygnał wifonu. Natychmiast włączyliśmy wewnętrzne i zewnętrzne głośniki.

– Tu WZROK I. Nie opuszczać pomieszczenia aż do odwołania. Potwierdzić odbiór. – Miał nieprzyjemny skrzeczący głos i przemawiał tonem nie znoszącym sprzeciwu. W pierwszej

chwili na takie dictum opanowywał człowieka spontaniczny odruch buntu, ale było w tym głosie także i coś, co nakazywało bezwzględne posłuszeństwo.

– Zrozumiałem – odpowiedziałem szybko i znów podbiegłem do werandowych drzwi, żeby zobaczyć, jak to skomplikowane straszdyło poradzi sobie z gryfami. Zwierzęta przechadzały się teraz po ogrodzie, roztaczając wokół siebie złote błyski i blaski, które powstawały od padających na nie promieni słonecznych. Tylko jeden siedział nadal na konarze ginsengu z oczami utkwionymi w nadlatujące pudło. WZROK wykonał jedno spokojne okrążenie, po czym gwałtownie obniżył lot i plunął z lewego statecznika trzema ognistymi pociskami. Tor ich lotu był doskonale widoczny, gdyż z tyłu wlokły smugi czerwonego dymu. Gryfy jak na komendę poderwały się ze swoich miejsc i przemknęło mi przez myśl, że zabawny rezultat może mieć to starcie. Trzy żywe istoty, nie większe masą od zwykłego afrykańskiego lwa, rozgniatające jak pluskwę najeżonego hipertekniką żelaznego robocopa – to mogłoby mi sprawić nawet satysfakcję. Widać jednak i one czuły, że nie mogą się równać stalowej fortecy, ponieważ miast atakować, rzuciły się do ucieczki. Dwa leciały na niskim pułapie, tuż nad ziemią klucząc między krzewami soqqos, a trzeci wzbił się wysoko, pod chmury. Jakby spodziewały się, że zmylą pogonie i rozproszą siły przeciwnika. Lecz pociski nie były ślepe, choć nie posiadały oczu. Kierował nimi bezbłędnie wyczulony na woń złotych gryfów zmysł węchu robocopa. Gryfy, które jak wiadomo mają mózg nie większy niż orzeszek laskowy, nie miały o tym zielonego pojęcia. To żenujące widowisko nie trwało długo. Trzy pociski pędzące tropem swych ofiar jak wagańskie komary, które raz uchwyciwszy feromon w swe małe nozdrza nie wypuszczają

go dotąd, aż trup ściganego zwierzęcia rozłoży się, zmieniając zasadniczo kombinację zapachową, te trzy pociski dopadły gryfów jednocześnie i w jednej sekundzie zwierzęta w komicznych pozach zamarły. Zastygły w powietrzu. Znieruchomiały. Po prostu skamieniały jak zaczarowane. Najniesamowiciej wyglądał ten pod chmurami. Złoty balon w kształcie gryfa z kolorowymi martwymi szklami zamiast oczu, które ciskały błyskawice. Od automatu odłączył się teraz czołowy moduł i po kolei wchłonał groźne chimery do swego wnętrza.

– Akcja skończona – poinformował WZROK.

– Co on im zrobił? – zapytałem Dagnes.

– Po prostu je zatrzymał. Te gryfy były elektroniczne. Złote są elektroniczne, a czarne żywe. Androidtechnatom produkuje na Maskrii wyłącznie w kolorze złotym, tylko na ten kolor otrzymali pozwolenie jeszcze za czasów braci Maxmon.

– A więc walczyły ze sobą cztery robocopy?

– Tak.

Roboty przeciw robotom. Wzrok człowieka ludzi, słuch mamy, pamięć kłamie, doświadczenie bywa bezradne w odmiennych okolicznościach – pomyślałem.

*

To, co się działo, istotnie zakrawało na kataklizm. Najgroźniejsza sytuacja wytworzyła się w okręgu turystycznym, zwanym umownie Miastem i rozciągającym się w trójkącie między rzeką Spirit, płaskowyżem Stokrotek a skrajem pustyni Seth. Panował tam okropny rozgardiasz i poruszenie. Niemalże panika. Początek inwazji niesamowitości dała poranna

wycieczka z międzyplanetarnego liceum artystycznego imienia wielkiego malarza, mistrza farb pulsujących Assa Pic. Złożona była ze stu uczniów i piętnastu mistrzów, którzy lecieli do phasangańskiego sektora na latającym dywanie. Lot przebiegał normalnie do przecięcia granicy sektora. Zaraz po wejściu w jego obszar na latający dywan zwała się chmara szablozębów. Jak i we wszystkich poprzednich przypadkach szablozęby normalnie zachowywały się bardzo przyjaźnie, zwłaszcza w stosunku do ludzi, uchodziły wręcz za potulne. W locie szablozęby wyglądają bardzo pocziwie, bowiem posiadają grube, okrągłe cielska i małe skrzydełka, które z trudem unoszą te mało zwrotne zwierzęta w powietrze. Słowem urocze filoletowe baloniki, spychane w dowolnym kierunku każdym silniejszym podmuchem wiatru. Niestety, te baloniki są zabezpieczone wystającymi z przodu dwoma potężnymi kłami zdolnymi uszkodzić nawet spory samolot. Tym razem właśnie owych kłów użyły. Latający dywan został rozszarpany na tysiące latających strzępów, a sto piętnaście osób odniosło obrażenia, spadając z wysokości osiemdziesięciu metrów w chłodne odmęty rzeki Eurynome. Upadek został na szczęście złagodzony przez sieć, tak że nikt nie odniósł obrażeń zbyt ciężkich, ale konstrukcja dywanu nie obliczona na tak totalne zniszczenie nie zdołała na czas wytworzyć wystarczająco stabilnego pola. Niektóre oczka puściły, okazując się iluzją i upadek nie był w pełni łagodny. Efekt: kilka złamanych nóg, kilka rąk, rany cięte i sińce oraz sto piętnaście skarg z żądaniem odszkodowania.

Wieść rozniosła się szybko po hotelach, zwłaszcza że zaraz z teatralnym szumem i hałasem, w oprawie wycia syren i migotania niebieskimi światłami, wystartowały wszystkie

hotelowe uniwermedy na pomoc rozbitkom. Nie minęła godzina od tamtego wydarzenia, gdy pod jednym z peryferyjnych pensjonatów, Gross Blind w stylu późnego postindustrializmu, zaobserwowano pojawienie się sporych rozmiarów samca kurdla. Kurdel miał wysokość pięciopiętrowej kamienicy, masę 630 ton i żadnych złych zamiarów. Posiadał też długość osiemdziesięciu pięciu metrów, a z ogonem stu dwudziestu pięciu, i powinien się znajdować zupełnie gdzie indziej. Jego leże znajdowało się trzydzieści kilometrów na wschód. Tam normalnie przebywał, tam z jego grzbietu każdego popołudnia podziwiano rozległe pejzaże. Kurdel, nie obeznany z miastem i zasadami dobrego wychowania, skierował się do restauracji, skąd dobiegł go zapach pieczonych gruszek i miła woń szczypiorku. Zwłaszcza obecność szczypiorku w ich pobliżu źle wpływa na maniery kurdli. Nie bacząc na nic, w dążeniu do smacznego kąska zdeptał stojące na pensjonatowym postoju ślizgowce i naruszył osiem piaskowcowych filarów amfilady, tak że pensjonat runął z hukiem. Tutaj nie było ofiar w ludziach, a kurdel nasycony zieleniną wkrótce zapadł w poobiednią drzemkę, co ułatwiło jego przetransportowanie do Pigwangbery Fields, miejsca jego stałego zameldowania.

*

Razem z Dagnes wpadliśmy do centrali w chwili, gdy nadchodziły kolejne meldunki. Wszystkie bez wyjątku mówiły o niesubordynacji żywych zwierząt, żaden o zwierzętach ATA, a przecież te gryfy...? Diplodok Johanssonii usiłował opuścić swe przybrzeżne leże w bagiennych mułach kotliny Kisz i teraz konał

przywalony słupem nadmiernego ciśnienia sto metrów od brzegu. W północnej Talbii nad rzeką Wizor, gdzie rozpoczynała się strefa kloszy, szczerp od dawna zdziczałych cyklopów obrzucił kamieniami tunel widokowy, niszcząc go i odcinając powrót wycieczce dollomitian. Dollomitianie siedzieli uwięzieni jak zwierzęta w klatce, a naokoło hasały cyklopy z wojennymi okrzykami na ustach. Cyklopy pomalowały się na niebiesko i czarno, w czym niewątpliwie naśladowały arargi i co miało znaczyć, że wkroczyły na wojenną ścieżkę. Jedna eteryczna i bardziej sypka dollomitianka dostała na ich widok szoku połączonego z wewnętrznym rozprzężeniem i trzeba było błyskawicznie słać po uniwermed, bowiem lada chwila mogła się zupełnie rozpuścić w powietrzu lub zwyczajnie rozsypać komórka po komórce. Poza tym nie było wiadomo do końca, co też strzeli do głowy cyklopom, które są silne jak byki, a inteligencją nie przewyższają wcale goryla Wrighta (jak powszechnie wiadomo, są to najgłupsze i najbardziej nieobliczalne mały we wszechświecie). Natychmiast rozpoczęto energiczne działania, lecz mimo iż komputer centralny pracował na pełnej mocy, ledwo uporał się z jednym ogniskiem szaleństwa, już pojawiło się kolejne i stale musiał wysyłać nowe WZROKI, uniwermedy, brygady naprawcze, roboty złomujące, sekcje porządkowe, środki pobudzające, cucące, uspokajające, brygady androidycznych prawników do spisywania coraz to nowych skarg i łagodzenia wzrastających pretensji. Ofiar zaś przybywało z godziny na godzinę. Koło jedenastej okazało się, że nastąpiła awaria podajników karmy, które zostały uszkodzone przez stado mamutów w ich wędrówce na tereny przynależne centaurom. Na drodze stał im ośrodek zawiadowczy, sterujący podawaniem paszy we wszystkich sektorach, i mamuty

zachowały się tak jak przysłowiowe słonie w składzie porcelany. Centaury, gdy tylko się zorientowały, co im zagraża, zrobiły naradę. Nie zamierzały oddać pola bez walki. Z kamer obserwacyjnych można było dostrzec obraz przygotowań. Sypano tam szańce, zbierano wielkie głazy, a kilku centaurów wyruszyło w Czarne Góry, by upolować hydrę i kilka bazyliżków, które użyte przeciw mamutom miały sparaliżować ich poczynania. Centaury niestety również nie należą do najlotniejszych stworzeń, więc należało się spodziewać w tamtym rejonie lada chwila większego zamieszania. W południowej części płaskowyżu Vanvogta nad rzeką Vogelblummen, która malowniczymi kaskadami wpada do morza Marmurra, doszło do zacieklego starcia komarów vaggańskich, zbiegłych spod szczelnego klosza, z mrowcami Matchewssonii posiadającymi odwłoki z ciałometalu o straszliwie żrących w zetknięciu z ożywioną materią właściwościach. Mrowce Matchewssonii były w tym starciu oczywiście górą, bo nim komar zdążył przebić się przez pancerz, by wprowadzić śmiertelny jad w system nerwowy wroga, padał zżarty ciałometalem. By nie dopuścić do całkowitego wytrzebienia kolonii komarów, z uporem maniaka samobójczo atakujących mrowce, których feromon wciąż pozostawał w pamięci tych mściwych owadów, trzeba było zamrozić całe towarzystwo do temperatury poniżej zera absolutnego, by komary wprowadzić w stan anabiozy, a ciałometal pozbawić właściwości żrących i stanu stałego. Zastosowano oczywiście na wielką skalę (bo obszar bitwy wynosił kilometr sześcienny) wyizolowany z borówek wargolepa przez Inno Johnstona szlachetny gaz anagnon, znany przede wszystkim z tego, że ma temperaturę krytyczną niższą od wszystkich znanych gazów

i posłużył Johnstonowi swego czasu do prac nad infraciepłem.

Wkrótce okazało się też – gdy infor wystukał tę wiadomość w centrum dyspozycyjnym, zapanowała grobowa cisza i nastrój ogólnego przygnębienia – że awaria spowodowana przez mamuty zabiła jedyny egzemplarz hiperszybka od dwunastu lat z trudem utrzymywanego przy życiu z powodu błyskawicznej przemiany materii. Jakakolwiek zwłoka w podaniu mu pokarmu albo byle czkawka powodowały u tego dziwnego gryzonia zapaść energetyczną, gdyż jego organizm wydatkował tak wiele energii na obracanie żuchwami, że nie mógł sobie pozwolić na sekundową przerwę w ciągłym zjadaniu nowych porcji wysokokalorycznych łądyżek młodych pędów soqqos. Słuchałem nowych informacji i patrzyłem na nowe obrazy spustoszenia ze wzrastającym uczuciem niedowierzania, znużenia i przestachu. Mieszanina tych trzech rodzajów emocji oraz ciągle przewijająca się myśl o złotych gryfach z ATA nie pozwalały mi pozostawać w beczynności. Z drugiej strony zaś nie mogłem oderwać oczu od ekranów i czytników, które przekazywały nieustannie obraz wszechogarniającej katastrofy, obraz o tak wielkiej, że niemal hipnotycznej sile przyciągania. Kręciłem się więc nerwowo, maszerowałem z kąta w kąt, stale wpadałem komuś pod nogi, posuwałem się po pomieszczeniu jak kataleptyczny tancerz w amoku rozdzielenia jaźni, bo też tak niemal było, moja uwaga rozdzielała się dokładnie na dwa człony, pociągając za sobą rozszczepienie na dwa samodzielnie myślące moduły jaźni: jeden – rejestrujący wydarzenia, drugi – analizujący sprawę elektronicznych gryfów. Trzeci człon kierował w tym czasie nieskoordynowanymi ruchami moich kończyn.

Tambollin obserwował mnie od czasu do czasu kątem oka, nie

mniej przerażony moim zachowaniem niż tym, co płynęło z ekranów. A płynęło tam, płynęło i wciąż płynęło i wciąż. Och, co to było! Płynna magma zastraszających faktów, która zdawała się nie mieć końca, jak wszystkie erupcje wulkanów. Należało się pocieszać, iż na tej samej zasadzie dojdzie tu do jakiejś kulminacji i jednak po niej do zakończenia, choć nie można było przewidzieć, czy po tym zakończeniu będzie istniał jeszcze jakiś MASPAZ.

Gryfy, gryfy, złote sfery ze snu, złote gryfy na jawie, mrucyna, furcyna – tłukło się po mojej głowie – furcyna, nikotyna, narkotyna, mamuty, tylko gryfy tu nie pasują! I jednocześnie: w zatoce Kontura rozdrażnione węże morskie roztrzaskały łódź transportową, która wiozła pokarm na przylądek Freethink dla kuraków i połciowców. Kilkanaście ton latimerii wpadło z powrotem do oceanu i poszło na dno. Węże zaś rozpoczęły ekstatyczny taniec na czubkach ogonów, bijąc z leguminiastej wody góry różowej piany. Dwunożne gerony uszate w panice wpadły na teren szablastomiczowych tygrysów, gdyż na ich teren wdarły się drapieżne arargi. Arargi zaś uciekły ze swych stanowisk z powodu ataku tyranozaurów, które z kolei ruszyły w drogę podrażnione przez jadowite pchły. Najgorsze było jednak to, że ze swych jaskiń na Konwirze wyroiły się ślepe osy rigelskie i znajdowały się w drodze do Miasta. Nie pozostało nic innego jak anihilować je w przesmyku międzykontynentalnym, nad oceanem, nim spowodują, że na skutek ich ukąszeń przybędzie kilka tysięcy nowych skarg. W samym Mieście panowało już wystarczająco duże zamieszanie; niepotrzebne tam były jeszcze osy rigelskie. Ostatnia wiadomość z Miasta mówiła o pojawieniu się w największym stereonie „Błękitne Marzenie” kilkunastu żar-ptaków, z których powodu wybuchła panika

na widowni. Gdy żar-ptaki zbijały się w jedną kulę, ich blask stawał się tak oślepiający, że wielu osobom trzeba było udzielić pomocy z powodu zapalenia spojówek. Oczywiście spowodowały także pożar, ciskając się jak oszalałe pomiędzy łatwopalnymi meblami. Postanowiłem nie wysłuchiwać dalszego ciągu ponurej relacji. Nie mogłem dłużej pozostawać w stanie rozdwojonego zawieszenia lub, jak kto woli, zawieszzonego rozdwojenia, musiałem się zjednoczyć na powrót i skoncentrować.

– Wychodzę – powiedziałem do Tambollina zajętego niekończącym się wydawaniem interwencyjnych poleceń.

– Niech pan idzie – bąknął Tambollin przez ramię. – I tak wszystko stracone.

Wydawało się, że biedny staruszek zaraz się rozklei i wybuchnie płaczem jak dziecko.

– Jeszcze nie wszystko, jeszcze nie – pocieszyłem go. – Będzie dobrze – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu z miną stuprocentowego pewniaka i ze skurczonym ze strachu żołądkiem. Nawet cień konkretnej myśli nie powstał w jego głowie i całe to gołosłowne zapewnienie można było o dupę rozbić. Pobiegnę do domu, zostawiając Dagnes u boku Tambollina. Czułem, jak narasta we mnie chłodny spokój. Przestałem się denerwować i opadły ze mnie wszelkie emocje. Nadchodziła chyba koncentracja. Chyba wzbierała we mnie fala sił chi (czy). Energia, która przychodzi i odchodzi niespodziewanie, która skupia się i promieniuje od czołowego czakramu ku splotowi słonecznemu, przeszła w stan lekkiej wibracji w pulsującym rytmie bolera.

Przeleciałem odcinek od instytutu do domu nawet nie bardzo będąc tego świadom, i pewnie od razu znalazłbym rozwiązanie, gdyby... gdyby nie kolejne trzy złote gryfy na ginsengu

w ogrodzie. Tak mnie ten fakt wyprowadził z równowagi, że kiedy i te trzy sztuki spoczęły w ładownikach kolejnego WZROKA, nie było już mowy o żadnej koncentracji. Cudownej mocy liliowe i różowawe promienie, co płynęły z przestrzeni w moje wnętrze, uleciały gdzieś w bezkresny kosmos.

Od paru godzin pozostawałem w zamknięciu. Chociaż trzy gryfy spłoszyły me natchnienie, przyprawiając mnie o najgłębszą rozpacz, to przyczyniły się jednak do wyjaśnienia swej własnej zagadki. Natychmiast połączyłem się z działem analiz i otrzymałem wiadomość, która wkomponowała je wreszcie w całość zdarzeń, uwalniając mój umysł od obłądnej wersji o celowym zamachu i sabotażu. Okazało się, że złote gryfy nie są wcale złotymi, lecz czarnymi gryfami, których skóra pod wpływem reakcji chemicznej, zachodzącej wewnątrz komórek, zmieniła kolor. Na czym dokładnie owa reakcja miała polegać, powinny wyjaśnić najbliższe eksperymenty. Tego typu zaburzenia pigmentacji nie były mi znane, aczkolwiek wszystko, co jest do pomyślenia, zdaje się być na tym świecie możliwe. Musiałem przyjąć przedstawioną przez analizatory wersję, choćby mój rozsądek nie wiem jak burzył się przeciw takiemu rozwiązaniu. Niewątpliwie było ono faktem. Komputer nie myli się nigdy, a jeśli się myli, to poprawia go inny komputer, a nad nim stoi inny kontroler i tak jest aż do przekroczenia progu prawdopodobieństwa.

Uspokoilo mnie to, jak rzekłem, lecz i pozbawiło kolejnego atutu, jednego z nielicznych wyrazistszych punktów zaczepienia, z którego pojawieniem wiązałem niejaki nadzieje. W związku z mocnym postanowieniem wzięcia się w garść mimo przeciwności, nawet wbrew Tao, jeśli będzie trzeba, zmieniłem tryb życia. Zmieniłem, skończyłem, zaprzestałem to oczywiście bardzo wielkie słowa. Moja zmiana nie miała więcej niż trzy godziny, przez które jednak zdążyłem już wielokrotnie

przemierzyć pokój wzdłuż i wszerz. Spędzałem godziny na przemian w egipskich ciemnościach, mając nadzieję, że przywołam tym gestem ezoteryczne staroegipskie wapory, to w jaskrawym świetle porażającym nerwy wzrokowe, co miało wywołać ekstatyczne pulsacje mózgowych bioprądów. Trawiłem czas trochę stojąc na głowie, trochę leżąc w łóżku, to w zimnej wodzie zgodnie z zaleceniami Aqusa III, to w parnej atmosferze sauny, skupiony w zenistycznej kontemplacji z zamkniętymi oczami bądź w jogistycznej koncentracji z otwartymi oczami albo w szaleńczym psychomotorycznym pobudzeniu voodoo. Cały mój kontakt z zewnętrżnością, jak postanowiłem i jak się stało, polegał na wysłuchiwanie regularnego kłapania końcówki inforu wystukującego coraz to nowe informacje na temat eskalującego się zamieszania oraz fragmenty analiz farmakologiczno-toksykologicznych. To regularne stukanie inforu wprowadzało mnie z kolei w rytmiczne podrygi ekstazy rodem z Czarnego Łądu bądź dwudziestowiecznych dyskotek z pełnym przeglądem tempa, od powolnych łagodnych swingów i bluesa do rock and rolla oraz drgawek new wave i techno. Po każdej partii takiego materiału zasiadałem nad dokumentami, segregowałem je do różnych przegródek, nanosiłem na mapę Maskrii, kolorowałem nowe szlaki zwierząt, punktowałem nowe miejsca starć, awarii urządzeń, wypadków i tak dalej, porównywałem, kreśliłem wykresy, układałem tabele i ani trochę nie byłem mądrzejszy niż przedtem.

Wstępne wyniki eksperymentów i analiza krwi gryfów nieco rozjaśniły mroki mej niewiedzy, bowiem okazało się, że i w ich krwi zlokalizowano metaboliczne produkty syntezy i rozkładu alkaloidów zidentyfikowanych jako papiryna, nikotyna, frumazyna, bibulina, myrystycyna oraz iodyna. Podejrzenie

musiało się teraz skoncentrować siłą rzeczy na nikotynie. Było dla mnie zupełnie niepojęte, jak ten łagodnie pobudzający alkaloid może prowadzić do takich zaburzeń, ale tylko on powtarzał się regularnie. Uparłem się na te bogu ducha winne alkaloidy, podczas gdy zapewne setki innych wskaźników można było obwiniać, lecz ufałem bezgranicznie swej intuicji i pierwotnemu osądowi. Tego mnie nauczyli w szkole: Jeśli musisz podważać własne założenia i hipotezy, to w ostatnim rzędzie podważaj odczucia i wskazania płynące z intuicji, i tylko w wypadku, gdy wyczerpałeś wszystkie poziomy logiczno-dedukcyjno-indukcyjne.

Nikotyna. Szkoda, że nie obrałem jej za cel wcześniej. Obecnie zasięg wydarzeń i ich zmienność, powszechność katastrofy, nastroczały poważne komplikacje z identyfikacją i lokalizacją źródła zakłóceń. Większość zwierząt została poruszona ze swych leży, stref i stanowisk w sposób pośredni. U tych w wynikach analiz nie spotykało się, tak jak je przeglądałem wstecz, podwyższonego odczynu nikotynowego. Zmieniony odczyn miały wyłącznie drapieżniki, lecz i te nie w komplecie. Zawęziłem pole operacyjne wektorem gubiącym Sclerossa i wrzuciłem dane w elektroniczny weryfikator. Wystukał mi, że poza tym drapieżniki owe łączy kilka cech: wszystkie są wtórnie przystosowane do egzystencji na Maskrii, nastawione na pożywienie wzbogacane kalorycznie, oraz mają niebieskie bądź cytrynowe oczy. Bardzo ciekawe, tylko jak to ugryźć? Rzecz zrozumiała należało szukać związku z karmą, lecz równie dobrze mogło to znaczyć, że przyczyna leży w metabolizmie typowym dla przystosowanych drapieżców lub w konstrukcji genetycznej. Nie wynikało z tego nic dla lokalizacji czynnika bezpośredniego.

Tymczasem bunt objął wszystkie kontynenty i strefy klimatyczne. W ciągu następných dwudziestu czterech godzin zamknięto fabryki ATA, odizolowano kloszowym polem strefę turystyczną i przygotowano się do ewakuacji zwiedzających poza planetę. Jeśliby do tego rzeczywiście doszło, przedsiębiorstwo poniosłoby olbrzymie straty i nie udało by się uniknąć skandalu. Z napływających danych wysnułem jednak wniosek, że epidemia euforii powoli przycicha. Jej szczytowy moment zgodnie z teorią „wulkaniczną” mieliśmy chyba za sobą. Połączyłem się z Tambollinem. Przyjął tę informację z ulgą, ale bez radości. W jego przekonaniu batalia została przegrana. Przekonałem go, że nie powinien się załamywać, wręcz odwrotnie, ma szansę przejść do historii jako ten dyrektor MASPAZ, który uratował przedsięwzięcie od ruiny i własną pierśią zasłaniał biedne zwierzątka w chwilach niebezpieczeństwa.

– Tak – powiedział bez entuzjazmu. – Ma pan rację, to oczywiście kwestia wyłącznie propagandy. I kretyna można obwołać publicznie geniuszem, ale gdzie pańskie rozwiązanie?

Tu położyłem uszy po sobie, żadnych logicznych przyczyn nie było widać, nie miałem nic do powiedzenia, więc powiedziałem:

– Jutro, jutro coś się wyjaśni, jutro będzie lepiej. – Z pobieżnych szacunków widać było, iż straty są znaczne. Z moich statystycznych obliczeń, które każdego dnia wprowadzałem w odpowiednie rubryki, i z podsumowań, które robiłem codziennie o godzinie dwunastej w południe, wynikało jednak, iż trzeciego dnia liczba wypadków i przetasowań w rozmieszczeniu poszczególnych hodowli spadła w stosunku do dnia pierwszego o dwadzieścia procent. Miałem więc podstawy, by powiedzieć, że jutro będzie lepiej, tyle że rzeczywiście dla Tambollina jutro może być za późno.

Rozsunąłem zasłony i otworzyłem drzwi na taras. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że na zewnątrz jest przepiękny

dzień. Białe słońce poraziło me oczy i zalała mnie fala obezwładniającego upału. Pomny doświadczeń okołobiegunowych Amundsena oraz himalajskich przypadków Hillary'ego wycofałem się do wnętrza, gdzie klimat był bardziej umiarkowany i nic nie groziło moim spojówkom. Może nie powinienem tych drzwi otwierać, ale miałem dosyć zamknięcia. Narastało we mnie jeszcze nie w pełni świadome odczucie uwięzienia. Powszechnie wiadomo, że praca więźnia czy niewolnika, nie mogącego samodzielnie decydować o własnym losie, jest niewiele warta. Powinienem odpocząć. Powinienem porozmawiać z Dagnes, która od trzech dni zniknęła z mego horyzontu. Powinienem się przygotować do decydującego natarcia. Rozwiązanie musiało być blisko, tuż-tuż, tylko nie wyłoniło się jeszcze z odmętów chaosu. Przeglądałem się w lustrze, skąd płonącymi oczyma spojrzęło na mnie odbicie Piętaszka zarosniętego czarną, kędzierzawą pokrywą włosów po same uszy. W minutę pozbyłem się tego balastu za pomocą kremu depilacyjnego i wróciłem na taras, oswojony nieco z blaskiem.

Z ogrodu doleciał mnie zapach pitangów, soqqos i znacznie delikatniejszy kwitnących drzewek cytrynowych. Przysiadłem na schodkach wpatrzony bezmyślnie w powierzchnię dziwnie spienionego morza. Zapomniałem już, jak ono wygląda. W białym świetle miało kolor różowopomarańczowy. Coś się tutaj zmieniło? Ach, tak! Barka połowowa zakotwiczona została trzysta metrów w prawo, tak że jej skrawek, dziób i nadbudówka były wyraźnie widoczne pomiędzy zwichrzonymi czubami drzew. Rozejrzałem się dookoła zaniepokojony bezruchem powietrza. Zupełnie jakby nic się na planecie nie działo. Idylla. Dziwne przeczucie, zupełnie nie sformułowane w konkretny obraz czy myśl, wywołało we mnie najpierw skurcz, a potem przypływ strachu. Zerwałem się ze schodów i spojrzęłem w kierunku powykręcanych diabolicznie konarów ginsengu.

Podświadomie spodziewałem się odnaleźć zagrożenie właśnie tam, gdzie ostatnio ustawicznie pojawiały się gryfy. Ale przy żeńszeniowym drzewie i w jego koronie było pusto. „Co to ma znaczyć?!” – przemknęło mi... i nagle w ułamku sekundy wydarzyły się trzy albo nawet cztery rzeczy naraz:

Niebo przeszył straszliwy błysk. Rozjaśnienie, błyskawica pomimo pełnego blasku słońca. Drzewa i krzewy zrobiły się na moment czarne, a ocean utracił barwy, jakby się nagle zapadł pod ziemię. Fiołkowe chmury.

Tuż za moimi plecami trzasnęła przecięta żarem szyba w otwartych przeze mnie przed chwilą drzwiach. Szkło osypało się z nieprzyjemnym chrzęstem na posadzkę. W mieszkaniu eksplodowała żarówka i spadł obraz ze ściany. Biały pył.

Upadłem na beton i przyłgnąłem do jego powierzchni, starając się spłaszczyć niczym arkusz przezroczystej folii. Przestałem oddychać. Najchętniej w ogóle przestałbym istnieć. Czuję tylko łomoczące gdzieś w gardle serce. Oszalały koliber w klatce.

Ogarniając półkolistym ruchem głowy przestrzeń, dojrzałem za pitangiem sylwetkę uciekającego w dół zbocza człowieka, i ciemne osmalenie na kołnierzyku mej koszuli w odległości pół centymetra od aorty szyjnej i obojczyka. Jak wypalona papierosem dziurka.

Zaraz potem zerwałem się na równe nogi.

„Zamach?! – pomyślałem. – Laser albo promiennik! Zamach na mnie! Teraz?! Dlaczego?!”. – Ruszyłem pędem w stronę pitangu. Z miejsca, w którym się znajdowałem, nie potrafiłem dostrzec drogi ucieczki napastnika, gdyż przesłaniał ją garb porośnięty chaszczami soqquos. Biegłem w dół na złamanie karku. Na moment przystanąłem przy krzewie, żeby się

zorientować, czy gdzieś nie błysnie biały podkoszulek tamtego, ale nie, nawet śladu. Musiał doskonale znać teren albo przyczaił się i zaraz wygarnie drugi raz. Ta ostatnia myśl zniechęciła mnie do dalszego pościgu i spowodowała, że padłem natychmiast na kolana. Na czworakach rozglądałem się dookoła krzewu. Parę gałązek zostało nadłamanych, a trawa wydeptana. Czekał jakiś czas i niecierpliwił się. W jednym miejscu utrwalił się nawet ślad obcasa w gliniastej ziemi. Dobrze by było ustalić chociaż, czy to męski, czy damski but. Z pewnością dużych rozmiarów. Wstałem i zamierzałem odejść, gdy coś mignęło w ogólnej zieloności podłoża. Mignięcie dotarło do mnie jako ostry błysk, którego nie powinno w tamtym miejscu być. Dostrzegłem je tylko kątem oka. Cofnąłem się, nie zmieniając położenia wzroku. Pojawił się ponownie. Zidentyfikowałem położenie przedmiotu. Po sekundzie miałem go już w rękę. Nie tylko przedmiot, ale i jego właściciela. Cóż za partactwo! Tak! – westchnąłem z ulgą. – Więc mam cię! – Na mej dłoni błyszczał w słońcu srebrny łańcuszek z mamutem. Własność Malawa Malwana!!! Przez cały czas w głębi mej podświadomości tliła się nie wyjaśniona sprawa listu i fonicznego połączenia, wątpliwości co do osoby i intencji, żarzyła się jak ciemny, pozornie wygasły, lecz ciągle gorący węgielek, który nie pozwala się trzymać w dłoniach. Nareszcie uwolniłem się od niej. Balast jednej zagadki został odczepiony wraz z łańcuszkiem ze srebra, pozostała tylko ta druga, ale teraz mogłem wypłynąć z mętnych głębi na powierzchnię morza. Tylko tą drogą mogę dobić do lądu, bacznie obserwując horyzont. Poczułem olbrzymią ulgę. Tak wielką, iż miałem ochotę skakać i tańczyć. Malwan, który usiłował sparaliżować moje działania, który starał się mi zaszkodzić, który knuł przeciw Tambollinowi i który czuł się śmiertelnie zagrożony, a czując się

zagrożonym usiłował mnie przed minutą pozbawić życia, stał się mimowolnym sprawcą mej radości. Radości i pewności zwycięstwa. Moja intuicja działała bezbłędnie, znajdowałem się w doskonałej formie, skoro wyczułem grożące mi niebezpieczeństwo, i to wyczułem je skutecznie, to znaczy na tyle wcześnie, że reakcja była jeszcze możliwa. Jeśli nie rozwiążę problemu MASPAZ, to musi znaczyć, że rozwiązanie nie istnieje! Ale nie ma skutków bez przyczyn, a przed intuicją nie stoją żadne formalne bariery, zatem wcześniej czy później rozwiązanie się znajdzie. Najpewniej spłynie na mnie niespodziewanie. Przyczyny mogą mi się bowiem wydawać nielogiczne, lecz to nie będzie oznaczać wcale, iż są nielogiczne. Ich logika jest dla świadomości człowieka, bądź żelaznych reguł matematycznych komputera, niedostrzegalna, ukryta w zalewie szczegółów, w pogmatwanych hierarchiach i poziomach związków przyczynowo-skutkowych. Ich logika jest po prostu matematyczna. Nie znaczy to także, że cała moja dedukcyjno-analityczna robota była bezwartościowa, wręcz odwrotnie – była niezbędną, bez jej wykonania nie pojawiłaby się ta właśnie myśl, myśl myślana w tej chwili, myśl, która oczyszcza drogę, otwiera mój umysł. Ta myśl nie byłaby również możliwa bez wstrząsu. Tego wstrząsu dokonał zaś zamach Malawa Malwana. Teraz trzeba czekać. Czekać. Tylko czekać. Jedynie czekać. Czekać. Czekać. Czekać. Czekać!

Wróciłem na taras, podzwaniając w zamyśleniu bransoletą. Machinalnie schowałem ją do kieszeni. Morze wyglądało tak kusząco, że nie potrafiłem mu się oprzeć. Rozebrałem się szybko i lekki niczym piórko na wietrze pobiegłem do wody. A w biegu tłukła mi się stale ta sama myśl. Czekać! Czekać, ale jak długo?! Z rozpędem wpadłem do wody i rzuciłem się na nadpływającą

krwistą falę. Oszalałem! Oszalałem, a w każdym razie wyglądałem z pewnością na wariata. Dopiero co strzelano do mnie, nie trafiając o pół centymetra. Promień przebił mój kołnierz, szybę w drzwiach, żarówkę w lampie, która stanęła mu na drodze, i uchwyt obrazu przedstawiającego „Zaklinacza węży”, przetransformowaną wersję arcydzieła Celnika Rousseau – barbarzyństwo tak się obchodzić ze sztuką (nawet w wydaniu transformistów) – barbarzyński, promienisty szaszłyk ze sztuki, kołnierza i szkła! Zaśmiałem się, tak mi się ta przerośnięta spodobała, i zaraz zostałem ukarany, bowiem woda wlała mi się w otwarte usta, powodując zachłyśnięcie. Krztusząc się i parszcząc, płynąłem dalej, nie biorąc pod uwagę, że Malwan może gdzieś się jeszcze czaić, że do barki daleko, że za chwilę z głębin może wyskoczyć zwariowany wąż morski, Nessyphera cosmidae albo wyjąca polihipnofoniczną arię syrena. Trzysta metrów to dla dobrego pływaka niewiele, lecz dla mnie był to kawał drogi. Był moment, iż zdawało mi się, że już nie dopłynę. W końcu to było morze a nie basen olimpijski...

Z trudem dźwignąłem się na pokład po linowej drabince luźno zwisającej z rufy. Padłem na jasne deski kokpitu bez sił.

– Słaba kondycja! – usłyszałem nagle nad sobą. Poderwałem się jak rażony prądem i spojrzałem pod słońce. Widziałem jedynie czarny cień na tle czerwonych chmur.

– Wystraszyłem pana?

– Ach, to ty, Ptyrl?! – rozpoznałem głos Horacego i uspokoiłem się, koliber w mojej klatce przycichł, jeszcze raz nie udało mu się odfrunąć.

– Kąpiel jest dobra na wszystko – zaśmiał się technik – ale po tylu dniach ciemnicy najteżsi nawet wysiadają.

– Myślałem, że jesteś w zakładzie przystosowania genetycznego.

– Byłem, ale już drugiego dnia im powiedziałem, że się

w piwnicy zamknąć nie dam! Smród tam taki, że nos wykręca! Krają te geny, panie Janie, na drobną sieczkę, pakują w lodówki, łączą, spawają, dzielą, odejmują, dodają, a jak się lodówka zepsuje, to fetor gorszy niż w kloace! Dziadostwo, proszę pana! Zresztą, teraz i tak wszystko tam zamknięte.

– Prawda, zapomniałem. – Wstałem i podszedłem do burty. Z tej wysokości zatopione w głębinie sieci wydawały się być zrobione z cieniutkich niteczek. Wokół statku zaś kłębiła się niezauważalna z powierzchni wody, a doskonale widzialna z pokładu, czarna, ruchliwa masa tysięcy ryb.

– Dalej latimerie?

– Chciałby pan zobaczyć?

Wzruszyłem ramionami, lecz nie czekając, ruszył ku dużemu wiadrze ustawionemu w pobliżu grotmasztu.

– Straszna ilość tych ryb! – powiedziałem z podziwem, truchtając u jego boku. Ptyrl wyraźnie zadowolony wyciągnął z wiaderka garść różowych kulek i cisnął je zamasyście w fale, zupełnie jak rolnicy ze wczesnohistorycznych obrazów. Brak mu było jedynie filcowego kapelusza i gumianych butów. W tamtym miejscu natychmiast zakotłowało się od ryb, aż na powierzchni powstały bryzgi białej piany.

– Lubią to! – Horacy Ptyrl uśmiechnął się do siebie uszczęśliwiony. – Ma się swoje sposoby.

– Rzeczywiście. – I ja się uśmiechnąłem, widząc tego szczęśliwego człowieka i jego ryby. Łowcę, któremu karmienie ofiar sprawiało tyle trywialnej, lecz dogłębnej satysfakcji. Westchnąłem. Ileż bym dał, żeby się znaleźć w tym momencie na jego miejscu. Popatrzyłem na złotawe niebo bez skazy i na zieleniejący za nami, spokojny brzeg. Byłoby tu pięknie, gdyby nie trzeba myśleć o tym diabelnym buncie. Bunt chimer, phi!

– Tiu, tiu, tiu!!! – wołał Ptyrl, rzucając kolejną garść pastylek. – Chodźcie no tu, bobaski! Tiu, tiu, tiu, tiu! Za chwilę podniesiemy sieć i będziecie wszystkie fikać w ładowni. – Znów się pochylił do wiaderka, nabrał kolejną garść i rzucił. Jedna pastylka odbiła się niefortunnie od burty i wróciła na pokład, spadając nieopodal jego buta. Schylił się i starannie ją oczyścił.

– Nic nie może się zmarnować – powiedział, wkładając pastylkę do ust. Popatrzyłem na niego zdziwiony. Ptyrl żuł pastylkę, jakby to było najnormalniejsze w świecie.

– To dla ludzi też się nadaje?! – zapytałem.

– A jakże. Nikotynowe orzeszki z Gameronu. Poczęstuje się pan?

– Nie, dziękuję! Nie używam używek.

– Nie używam używek. Dobrze.

Popatrzyliśmy po sobie. Błysk. Fala gorąca, gejzer, światłość! Zakręciło mi się w głowie. Mam!!! Mam!!! Gdyby mnożenie wykrzykników mogło pełniej wyrazić krzyk mej świadomości, napisałbym nimi całą powieść! Mrowiące wewnętrzne iskry przeleciały przeze mnie od stóp do czubka głowy. Jeszcze do końca nie sformułowałem tej myśli, jakbym się bał uwierzyć bądź ją spłoszyć! Tylko obraz, jeden obraz stanął mi przed oczami połączony z chwilą obecną przez repetycyjną identyczność dialogu. Ja i Ptyrl ramię w ramię na tarasie widokowym „Rubikonu”. Te same słowa. Po prostu dubel!

– Od dawna im pan to daje? – zapytałem pozornie spokojnie, nadgryzając różowy orzeszek o smaku mentolowego papierosa.

– Od dawna. Ale przedtem rzadko. Dopiero teraz przywiozłem dwa pełne plecaki. Zauważyłem to od razu – chełpił się Ptyrl. – Pastylka mi do balii z latimeriami wpadła. Patrzę, a one haps! To mój patent, panie. – Ptyrl poklepał się po piersi z dumą. – Wie

pan, że tracę teraz dziesięć razy mniej czasu na odłów?!

– To wspaniały wynik! – powiedziałem, tamując zalewającą mnie radość i podniecenie.

– A tymi latimeriami to karmicie wszystkie drapieżniki w parku? – zapytałem po chwili drżącym głosem.

– Nie. Tylko te, które mają braki w kaloriach. Dieta wzbogacona. To leci jako dodatkda do mieszanek. Dla niektórych trawożernych też.

Z dzikim wrzaskiem skoczyłem do góry! Rzuciłem się na biednego Ptyrla, poklepując go i obcałowując ze wszystkich stron!

– Ptyrl! – krzychałem. – Na miłość boską, jesteś moim wybawcą! Ptyrl! Ocaliłeś park od ruiny! Cudownie! Cudownie! – wrzeszczałem, nie panując nad sobą. – To twoje orzeszki dokonały małej rewolucji w MASPAZ! Przez nie całe to zamieszanie! Rozumiesz?! Teraz już wiemy, na czym to polega! To znaczy mamy źródło!

Ptyrl przez chwilę się głupio uśmiechał i nagle, złapawszy się za głowę, przysiadł na pokładzie.

– A niech to szlag! – wysapał. – Teraz przecież wypieprzą mnie z roboty! – Minę miał nietęgą. Rzeczywiście, ten aspekt mojego odkrycia nie przyszedł mi do głowy. Zmitygowałem się. Moje szczęście obracało się w jego nieszczęście, moja radość obracała się w jego zmartwienie! „Niedobrze – pomyślałem. – Mój wybawca może się przedzierzgnąć w moją ofiarę!”. – Nagle olśnił mnie jeszcze jeden pomysł.

– Nie przejmuj się – powiedziałem i poklepałem go po ramieniu z miną odkrywcy Nowego Świata. – Sam widziałem, jak automaty celne przepuszczały cię z twoim towarem. Muszą mieć jakieś luki w programie! Zwalimy na nie. Zawsze twierdziłem, że

na maszynach nie można do końca polegać. Poza tym to chyba nie ty je programowałeś?

– Od programów jest Malwan – powiedział ponuro Horacy Ptyrl, wcale nie przekonany o słuszności mego rozumowania.

Natychmiast połączyłem się z Tambollinem.

Scena mojej generalnej rozprawy z Malawem Malwanem w obliczu całej prawie ekipy Parku i Tambollina, oraz przede wszystkim Dagnes Merial i Horacego Ptyrła, była tak imponująca i przyniosła mi tyle satysfakcji, że mógłbym ją w każdym szczególe, nie pomijając najmniejszego skrzywienia ust, drgnięcia powieki, najdrobniejszego gestu, opisywać przez następnych sto stron. Po namyśle postanowiłem tego jednak nie robić. Niech zna ten oszust i karierowicz moją szlachetność. Nie mam w zwyczaju pastwić się nad pobitym przeciwnikiem, ni kopać leżącego. Chełpienie się tego rodzaju tryumfami napawa mnie raczej odrazą. Dostyc na tym, że z mojego punktu widzenia i z punktu widzenia dyrekcji Parku wszystko skończyło się dobrze, a nim zakończyłem swe wywody, na sali pojawiła się ekipa androidycznych automatów strażniczych, które ze szcękami założyły na ręce Malwana zupełnie innego rodzaju, nie srebrne, choć błyszczące bransoletki. Mógłbym tu także opisać punkt po punkcie uczone wywody różnych specjalistów na temat skomplikowanych interferencji, jakie mają miejsce między nikotyną zawartą w gamerońskich orzeszkach, metabolizmem latimerii a wewnętrznymi procesami organicznymi, jakie zachodzą u zwierząt wtórnie przystosowanych, zwłaszcza opartych na kodach antygenetycznych, sprzecznych z naturalnymi kodami wytworzonymi przez ewolucję. Pominę jednak i tę część zagadnienia, bo niejednego mogłaby przyprawić o niestrawność. Wystarczy, jeśli powiem, że w ciągu dwu tygodni, jakie pozostały do wizyty Międzyplanetarnego Gremium Kontrolnego, udało się na Maskrii przywrócić kompletny ład i zwierzaki pasły się

potulnie na przypisanych sobie siedliskach, a wycieczki mogły bez obawy żeglować znów nad malowniczymi połaciami planety na swych latających dywanach.

– Nie wiem tylko – powiedziałem na koniec do Tambollina, który notabene pozostał na swym stanowisku i nawet otrzymał za ofiarność poważne odznaczenie – czy cały ten nasz wysiłek ma jakikolwiek sens. Niech mi pan wierzy, któregoś dnia znów dojdzie do jakiegoś wybuchu, bo natura nie znosi sztuczności i nigdy nie pogodzi się z tym, cośmy na Maskrii zrobili. Kto wie, czy nie powinno się przywrócić tym stworzeniom swobody i pozwolić im na drodze naturalnego doboru i eliminacji utworzyć tu najnormalniejszy pod słońcem ekosystem.

– Ależ skąd! – zaprzeczył gwałtownie. – Park Chimer to nasza duma. Wielkie osiągnięcie ludzkości! To się już nigdy nie powtórzy!

– Tak pan myśli? Być może. Lecz moja intuicja podpowiada mi co innego.

Dziwnie jest pomyśleć, jak świat w swym sposobie rozumowania daleko już odszedł od ideałów, które uformowały i zapoczątkowały Najnowszą Erę. Zapewne skończy się to kiedyś kolejną rewolucją. Cóż poza tym? Horacy Ptryl pozostał przy swoich zajęciach. Eon Kicz długo, długo po moim odlocie z Maskrii tkwił w swej telemitańskiej nudzie Parku Przygód, nie mogąc widać wymyślić genialnego „ruchu skoczkiem”. Ja razem z Dagnes, zaraz po zainkasowaniu honorarium, wsiadłem na pokład odbywającego rejs powrotny „Rubikonu”. Automatom celniczym na Maskrii uzupełniono nieścisle programy, a galaktyczna HV nadała sprawie taki rozgłos, że przez cały czas podróży na Metropolię nie mogłem się opędzić od reporterów i zbierałem coraz to nowe dowody uznania od współpasażerów. Nawet załoga „Rubikonu” wyróżniła nas specjalnie,

oprowadzając po niedostępnych zwykle podróżnym pokładach. Mogłem się nie obawiać braku ofert po powrocie i ufnie spoglądać w nadchodzące lata. Tylko Dagnes nie bardzo było w smak, iż ciągle otaczały mnie i adorowały żądne przygody piękne panie. Pod koniec lotu zebrałem się na odwagę i zaproponowałem jej ślub. Spotkało mnie tutaj niespodziewane niepowodzenie. Dostałem kosza.

– Możemy być razem, jak długo zechcesz – powiedziała. – Ale ślub wybij sobie z głowy. Jestem wolną kobietą i zamierzam realizować wszystkie swoje dotychczasowe pomysły. Wątpię, czy znalazłabym wystarczająco dużo czasu dla domu i rodziny. Poza tym wiesz, że to rozleniwia. W takich warunkach ludzie szybko gnuśnieją!

Cóż, nasze problemy z emancypacją są chyba nieśmiertelne, a tryumf, słodycz i rozkosz nieodłącznie splatają się z klęską, goryczą i udręką.

Na CO₂ – w więzieniu u Elpikowców

c.d.

Tak. Piękna historia. (W tym miejscu długie nostalgiczne westchnienie). Mówią, że pierwsze wejście aktora na scenę jest najtrudniejsze i najważniejsze. Moje można uznać za udane. Za to jeśli chodzi o kobiety... Z Dagnes nie bardzo mi się powiodło. Nie mam szczęścia do kobiet. Nigdy go nie miałem. Agra? Cóż, nie widziałem jej od 1795! Dwieście lat! Ładny kawałek czasu. Ale żarty na bok... Sam nie wiem, dlaczego z taką łatwością wpadam w ton kpiąco-żartobliwy, gdy mi przychodzi mówić o Agrze. Byłem w niej bardzo zakochany. Kiedyś. Czy dlatego? Raz w życiu miałem szczęście. Dawno, dawno temu. Właśnie z nią. Czy dlatego? Byliśmy długo małżeństwem. Ożeniłem się młodo. Prawie sto pięćdziesiąt lat razem! Czy dlatego? Kto by wytrzymał we dwoje taki kawał czasu!? Można się sobą znudzić tak, że nawet się drugiej osoby nie zauważa. Przez tak długi czas taka osoba, cała, w najdrobniejszych szczegółach staje się drugim tobą. Każdy jej oddech znasz na pamięć. Śmieję się, śmieję i śmieję, bo doprawdy nawet dziś nie jestem pogodzony z jej niepotrzebną śmiercią. Niepotrzebną? Śmierć jest czymś straszliwie niesprawiedliwym, zawsze spada na najbliższe nam osoby. Nigdy nie ima się uprzykrzonego wroga. To zrozumiałe, że potrafię tylko z mojej miłości kpić i śmiać się. Każdy z was na moim miejscu robiłby to samo. Czy

wiecie, jak to jest, gdy ścinają głowę waszemu drugiemu ja?! Ja wiem. Ale czy dlatego? Śmierć jest czymś podejrzanie absurdalnym... Chociaż, nie. Nie, nie, nie... co ja pieprzę, za przeproszeniem. Jak zwykle zagalopowałem się w uogólnieniach, biorąc pod uwagę wyłącznie swój osobisty punkt widzenia. Śmierć ma bowiem wiele uzasadnień i głęboki sens! Nigdy nie jest niepotrzebna. Nigdy nie bywa przypadkowa. Śmierć jest starannie zaplanowanym misterium natury. Przekonał mnie przecież o tym dowodnie casus Smoka Immortala z Arpahszad. Opowiem o nim innym razem. Jest to historia mrożąca krew w żyłach i bardzo smutna. Dostyc o śmierci. Nie zamierzałem mówić o śmierci. Miało być o kobietach. Miało być bardzo śmiesznie... Nie znałem ich wiele. Moje życie wypełniała bez reszty praca.

Intuicjonizm i aktorstwo mają ze sobą wiele wspólnego. I jedno, i drugie musi się otaczać woalem czarów, zasłoną nieprawdopodobieństwa, kurtyną pozorów, murem szminek i nieprawdziwych uśmiechów. To jest magiczny obrządek. Bez całego tego szamaństwa, które skrywa prawdziwą duszę obu tych zawodów – lata ćwiczeń dla wydobycia jednego lekkiego półuśmiešku, strumienie potu wyduszone ciężkim wysiłkiem z ciała po to, by było uległe na każde zawołanie – bez Tego szamaństwa i blagi nie jest możliwa magiczna więź z widownią. Bez magicznej więzi aktor pozostanie na zawsze miernym aktorem. Bez tej więzi intuicjonał jest kiepskim intuicjonałem. Poza tym dla intuicjonała zejście na dłuższy czas ze sceny jest tak samo niebezpieczne jak dla aktora. Traci się kontrolę nad sobą, a i twarz powoli ulega zapomnieniu. Zatem, nie miałem wiele czasu dla kobiet.

Po śmierci Agry powróciłem do ciągle świeżej i młodej, pomimo szesnastego krzyżyka, Dagnes. Właściwie próbowałem

powrócić. Z Dagnes zawsze była niespokojna dusza. Pięciu minut nie potrafiła, jak to mówią, usiedzieć na tyłku i, jak to mówią, im dalej w las, tym więcej grzybów – to jej nie przechodziło z wiekiem, ale narastało. Pomysły miała coraz dziksze i w znacznie większych ilościach niż za młodu. Wkrótce rzuciła mnie ponownie na rzecz Zakonu Przenajczystszej Duszy, którego neotranscendentalne idee są w ostatnich latach bardzo popularne. Jak nastolatka! (W tym miejscu zwykle kręcę głową z niedowierzaniem i podziwem). Do tamtej chwili, powtórnego odejścia Dagnes, miałem więc za sobą dwie wielkie miłości, ze trzydzieści erotycznych przygód niezbyt udanych i dwieście lat na karku. Dwieście lat! Piękny wiek. Dla polityka to dopiero początek kariery. Dla kochanka jednakże ostatni dzwonek. Nadrabiałem zawzięcie zaległości. I co mi pozostało? Nie pamiętam twarzy, imion, narodowości, miejsc, okoliczności, zapachów ani nawet ich ciał. Wszystkie te osoby zlały mi się w jedną cielistą masę, w jednolity wzorcowy feromon, w jedną wyzutą z indywidualności twarz. Mam także tylko jedno mgliste odczucie i ono sprawia, że serce mocniej mi pika: jest to uczucie niesmaku, którego chciałbym uniknąć w przyszłości.

Kobiety wykorzystywały zawsze me słabości, bezwzględnie obdzierały mnie z grosza, usiłowały mną manipulować – sterować, i niemal wszystkie namiętnie mnie zdradzały. Zmęczyły mnie i dały w zamian... niesmak... Dopiero ostatnio mam więcej spokoju. Nie, nie śmieJCie się: nie dlatego, że całkiem skapcał i stracił ochotę na te rzeczy! Nie jestem młodzikiem, prawda, ale niejednego nieopierzonego gówniarza jeszcze bym przeskoczył... gdybym tylko chciał. Za dużo dowcipów coś dzisiaj. Pewnie to znowu ta zupa korzenna, którą mnie opychają jak wieprzka na rzeź! Cha, cha, cha – znów dowcip wisielczy. Mówią mi, że mam kiepskie poczucie humoru.

Może to i prawda... Wróćmy do kobiet. Mam więc spokój, odkąd jestem z Adnes. Ona mnie przynajmniej nie zdradza. W każdym razie z ludźmi. Cha, chachacha, ha, Ha, HA!!! (Ależ mam dzień, co!?). Może dlatego, że zbyt wiele czasu spędza zamknięta... w szafie! ANDROIDKI, RZECZ POWSZECHNIE ZNANA, NAJWIERNIEJSZE I NAJPOŚLUSZNIJSZE Z KOBIET!!! – to treść ulotki reklamowej. Idąc za tym hasłem, kupiłem Adnes. Jak to tam naprawdę z nimi jest, tego nie wiadomo. Lata lecą, wieki mijają, nawet tysiąclecia, a w sprawach seksu wciąż są jakieś tabu. Na przykład teraz nigdzie nie piszą, jak one to robią? Jak to robią między sobą, rzecz jasna. Ciekawa sprawa, no nie? Kościół twierdzi, że nie robią w ogóle, ale Kościół zawsze idealizował brudną rzeczywistość. Programiści milczą jak zakłęci, osobistości polityczne wolą się nie wypowiadać, lekarze stwierdzają, że to działka mechaników, mechanicy, że androidy są niemal żywe i to sprawa lekarzy, inne autorytety udają, że problemu nie ma. Cybernetycy bełkoczą szeregami cyfr i symbolami greckimi. Swoją drogą ten przyimek „niemal” przed słowem „żywe” to też zabawny unik. W głębi duszy jestem przeświadczony, że Adnes, jak tylko może, zaraz się puszcza. Cały dom pełen jest elektronicznej służby. Nie chcę być wulgarny, ale przecież nie musiałyby to być zaraz aż służący, android jak ona, wystarczyłby jej zapewne zwykły automatyczny mikser wielozadaniowy. Cha! Nie chciałbym też być obsceniczny, ale dużo, dużo razy myślałem o tym (człowiek jest skazany na domysły z braku podręczników), jak one to robią, ze ściśle technicznego punktu widzenia. Zapewne najpierw się delikatnie elektryzują, potem dążą do zwarcia, a rzecz cała kończy się krótkim spięciem! Och, co za rozkosz, nie ma dla maszyny większej przyjemności nad dobry wstrząs elektryczny!!! (brzuch mnie boli ze śmiechu). Jeszcze jeden dowcip i zwali mi się na głowę czereda strażników zaniepokojonych dziwnymi odgłosami docierającymi z mej więziennej lepianki-liścianki!...

Dlaczego się tak uczepiłem seksu i kobiet?! Obsesja więźnia?! Rozkrochmało mnie wspomnienie pierwszej dziewczęcej miłości,

która z ostatnim słowem poprzedniego tekstu stanęła jak żywa przed moimi oczami i przywołała także obraz Agry. Cały film z naszych szczęśliwych dni, który przewinął się w mej wyobraźni z gigantyczną szybkością. Pierwsza miłość. Pierwszaaaa!!! (jeszcze raz wzdycham, tym razem wzniośle i patetycznie)? A propos „pierwsza” – nareszcie złapałem wątek i przypomniało mi się, co zamierzałem na tych stronicach rzeczywiście powiedzieć. Skleroza to potworność. Nie, nie to chciałem powiedzieć, tylko to, że pierwsza praca, ta w Parku Chimer, nie może stanowić żadnej granicy i w żaden sposób nie wyznaczy tutaj pożądanego porządku. Porządek. Pożądanie. Stąd całe nieporozumienie. Prosta zbieżność fonetyczna. Wydaje mi się, że powinniśmy się cofnąć jeszcze dalej. Najdalej, jak to możliwe. Poza dzieciństwo pamięć moja nie sięga... Nie. Nie mam ochoty mówić o dzieciństwie ani grzebać się we własnej genealogii, na razie... Ważna jest jednak szkoła. Bez szkoły, bez szczegółów na temat Akademii Psionicznej w Krakatos, nie potraficie właściwie ocenić całego dalszego ciągu. Ludzie, których tam spotkałem, atmosfera, którą przesiąknęłam, wydarzenia, w których brałem udział, ukształtowały w dużym stopniu moje nastawienie do całej rzeczywistości. Takie wykłady, jak te profesora Mroka, czy ćwiczenia medytacyjne z mistrzem Peng Think albo mistrzem Kayano, nie pozostawiają na tym samym miejscu ani jednego segmencika osobowości i trwale zmieniają percepcję. Świat przestaje się jawić człowiekowi jako bezsens i bezlik chaotycznych wydarzeń, staje się zamkniętym systemem o ścisłych powiązaniach i przyporządkowaniach. Po kursie Fairsightera, Starra albo Sichta znika wszelka naiwność wpleciona w takie pojęcia jak wolność, konieczność, hierarchia, wszechświat, fikcja, rzeczywistość. Akademia w Krakatos jest

stanowczo najniesamowitszym i najbardziej zwariowanym miejscem, jakie istnieje w Naszej Galaktyce. Muszę ją wam opisać, zwłaszcza że już tam błysnęły moje zdolności, i to do tego stopnia, że czteroletni kurs nauczania pozwolono mi skrócić do lat dwu! Co prawda potem o mały włos nie oblałem końcowego Egzaminu, ale to inna historia.

Zatem uwaga!

Nie. Tę historię opowiem już w II foliotomie.